

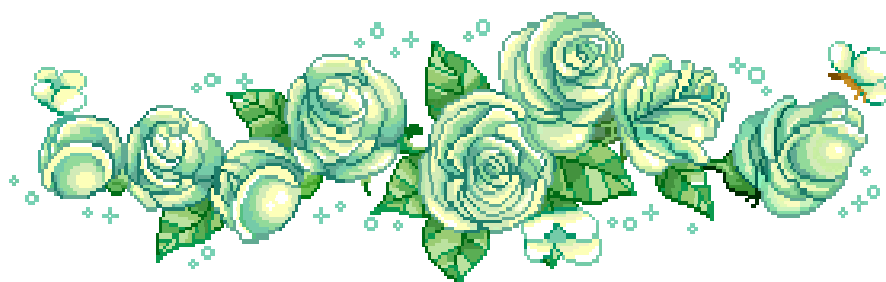


Carrie Karasyov Jill Kargman

Dobry

adres

Tytuł oryginału: *The Right Address*



- Kompletne bezguście.
 - Totalne.
 - A te jej ciuchy? Bilet w jedną stronę na ekspres do Tandeta City na konkurs na najbardziej beznadziejnie ubraną osobę.
 - Jakby Roberto Cavalli na nią zwymiotował.
 - A jej mieszkanie...
 - Byłaś?
 - Nie. Ale Kincaidowie byli.
 - I?
 - Constance mówiła, że wygląda, jakby zostało urządzone przez Charlesa i Wondera.
 - Och, tak, ta beznadziejna firma z Hadesu, która zaprojektowała nową okładkę „Architectural Digest”?
 - Nie. Chodzi mi o Raya Charlesa i Steviego Wondera. Tylko ślepiec wybrałby tak okropne materiały.
 - Och, Joan, jesteś paskudna!
- Podczas gdy Wendy Marshall i Joan Coddington poprawiały makijaż i siekały na plasterki innych gości przyjęcia koktajlowego Batesów w Union Club, Melanie Korn siedziała jak sparaliżowana – słyszała wszystko, sama nie będąc widziana. Właśnie otwierała

drzwi kabiny w damskiej toalecie, kiedy usłyszała swoje nazwisko wypowiedziane w tym samym zdaniu, co słowa „tani” „bez klasy” i „siano na głowie”. Zamarła. Z początku myślała, że muszą mówić o kimś innym. Ale w miarę jak duet kontynuował paplaninę, ostrząc sobie pazury i języki, dokonując na niej wiwisekcji, krew z wolna napływała Melanie do twarzy. Ostrożnie zamknęła drzwi do kabiny i bezszelestnie wróciła do muszli, siadła na klapie i podciągnęła nogi pod brodę, żeby nikt jej nie dostrzegł. Czuła się jak ten mały chłopiec w filmie *Świadek*, z jedną różnicą – to ona była ofiarą morderstwa.

– No, ale widziałaś te szkaradne metalowe żurawie, które dała Batesom w prezencie z okazji ich rocznicy? – zapytała Wendy z niedowierzaniem. – Fuj! Zupełnie jakby ich hol zamienił się w jakiś Bangkok.

– O tak. Prawdziwy koszmar.

– Przyznasz, wyglądały, jakby trafiły tu z jakiegoś tajlandzkiego sklepu ze starzyzną. Trzeba być autentycznie obłąkanym, żeby kupić coś takiego.

– Regina powiedziała, że natychmiast je wyrzuciła.

– Ja myślę.

– Nawet nie mogła dać ich Goodwillom. To naprawdę byłaby zła wola dać komuś innemu taki prezent.

– Biedny Arthur. Taka żona. Nie sądzę, żeby miał pojęcie, że Melanie tak obniża jego pozycję towarzyską i że jest taka *maleleve*.

Większość mężczyzn trafia na gorszy model w drugim małżeństwie.

Starając się uniknąć zaprawionych tuszem Maxa Factora wodospadów łez w stylu Oksany Baiul, Melanie podniosła drżący palec do oka. A wydawało się jej, że te żurawie są takie eleganckie. Widziała coś podobnego w mieszkaniu Powellów, prezentowanym w magazynie „House Beautiful”. A poza tym, do cholery, były drogie.

- Diandra Korn to zupełnie inna bajka.
- Pierwsza klasa.
- Podobno Arty był zdruzgotany, kiedy się ulotniła.
- Załamany.

– No bo ona była wcieleniem dobrego smaku. A ona go nigdy nie będzie mieć.

– To aż niemożliwe, żeby jedna osoba robiła wszystko nie tak, jak trzeba. Jej paznokcie? Ten odcień czerwieni jest typowy dla sekretarki. Za bardzo pomarańczowy.

– Tak jak mówiłam, czego się spodziewać po piękności, która została stewardesą?

Ich śmiech zmieszał się z trzaskiem zamykanych puderniczek i torebek od Judith Lieber i obie kobiety wyszły do jadalni w furkocie jedwabi, brzęku złota i obłoku perfum. Gdy Melanie wstała, jej kolana drżały od siedzenia w regularnej pozycji astanga jogi i od absolutnego upokorzenia. Posłuchała jeszcze, żeby się upewnić, czy jej oprawczynie odeszły, potem wyszła z kabiny i obejrzała się w lustrze. Co one chcą od jej stroju? Roberto Cavalli jest przecież na Madison Avenue¹! Okay, sukienka trochę za obcisła, ale – do cholery – przy jej figurze może sobie na to pozwolić, czyż nie? Bizuteria też wydaje się właściwa – Catherine Zeta-Jones miała dokładnie taki sam naszyjnik na rozdaniu Oscarów. Zaledwie kilka minut temu Arthur mówił, że w tej fryzurze wygląda ślicznie. Nikt nie może jej zarzucić, iż wzięła się nie wiadomo skąd. Zanim się rozplakała, jej makijaż był idealny. Nie rozumiała, o co chodzi. Dlaczego ludzie podśmiewają się z niej za jej plecami?

¹ Projektant ten tworzy obcisłe i skąpe jaskrawe stroje, zdobione cekinami, złotem, piórami i futrem (wszystkie przypisy od tłumaczki)

Kiedy płukała ręce, poczuła, jak jej rozpacz zmienia się we wściekłość. Wystarczyło, że musiała sobie poradzić z tym, że nie powitano jej z honorami, kiedy poślubiła Arthura. Uznała, że ta grupa społeczna woli status quo. Ale to, co z początku wydawało się nielicznymi, mało istotnymi komentarzami, na przykład jaka to fantastyczna była pierwsza żona Arthura, zamieniło się w potok szalenie pochlebnych uwag. Każdy – począwszy od kobiet jedzących lunch tam, gdzie ona, po kelnera w Payard, a nawet jej własnego kamerdynera, pana Guffeya – zdawał się należeć do fanklubu Diandry Korn. Te szpilki, w które Melanie miała się wpasować, robiły się coraz większe. Jak ma z nią rywalizować? Nawet Arthur kiedyś powiedział, że między nimi dwiema nie ma porównania.

Melanie w końcu pozbierała się na tyle, żeby wyjść z łazienki z podniesioną głową, ale kiedy zobaczyła Joan i Wendy idące w jej kierunku, schowała się za szeroką wzorzystą zasłoną marki Brunchwig & Fils. Przemknęły z prędkością niemal dziesięciu stopni w skali Beauforta, nieświadome obecności skulonej, zdruzgotanej i rozbitej podsłuchiawczki. Melanie wydało się okrutne, że mogą być tak bez troskie, choć zaledwie przed momentem bezlitośnie zepsuły jej wieczór.

W samochodzie podczas powrotu do domu Arthur położył pokrzepiająco dłoń na kolanie żony.

– Dobrze się czujesz, kochanie? Jesteś bardzo cicha. To nie jest do ciebie podobne, moja mała trajkotko.

– W porządku – jakoś nie mogła się zebrać i zaufać mężowi na tyle, żeby mu opowiedzieć o tym, co usłyszała i co zrobiło z niej kebab.

– Kurczę, to przyjęcie było jak casting do *Nocy żywych trupów*. Nudne zombie na każdym kroku. Marzyłem o ka-tapulcie. Ten snob Phillip Coddington w tym swoim blezerze z insygniami rodowymi.

On nikomu nie daje dojść do słowa. A w ogóle co to był za herb? Jakiś jelonek Bambi i drzewko czy coś takiego.

– Nie jestem pewna – wymamrotała Melanie.

– Idiotyczne, cokolwiek to było. Wygląda, jakby jakiś głupi jeleniec szczał w lesie. Co w tym takiego fajnego? Ale on jest tak dumny z tego swojego kretyńskiego rodowodu.

Melanie ledwie go słuchała. Zatopiona w rozmyślaniach, wpatrywała się w pokrytą kropelkami deszczu szybę. Siedziała nieruchomo, tylko jej prawy kciuk zaciekle poruszał się po palcu wskazującym, zdrapując lakier w kolorze „czerwieni typowej dla sekretarki”. I gdy tak bentley Kornów sunął po Park Avenue, płatki lakieru barwy wozu strażackiego opadały na podłogę.

RS

ŻYCIE BYWA DO ZUPY

Takie hasło ozdabiało fartuch, który Madge, gosposia państwa Vance'ow, miała na sobie, kończąc przygotowania do kolacji w wietrzny środowy wieczór na początku września. Fartuch sprezentowali jej synowie Vance'ow na ostatnią gwiazdkę, ponieważ od razu zachwylił ich koślawy rysunek dość obscenicznie wyglądającej wazy.

Madge posypała natką pietruszki bitki cielece, nałożyła ryż Uncle Ben's na każdy talerz, dodała okraszonej masłem fasolki szparagowej i zniosła porcje na tacy do jadalni.

– No i siedzimy w tym domu, w tym Zadupiu City, stan Vermont, kompletnie upaleni – ciągnął Drew, odrywając kawałek bułeczki. Skinął Madge w podziękowaniu, kiedy postawiła przed nim posiłek.

Jego ojciec, Morgan, zmarszczył czoło.

– Wiesz, że marihuana jest nie tylko nielegalna, ale i bardzo szkodliwa. Niszczy komórki mózgowe – powiedział surowo.

– Taa, jasne, jasne. Ale nie robię niczego, czego by nie robił nasz prezydent. A poza tym nie bądź taki krytyczny. To naprawdę świetna historia – odparł Drew.

– I co dalej? – zapytał John, jego młodszy brat.

– No i tego, mamy odlot, ogrzewanie na ful i nikt nie ma pojęcia, jak je skręcić, więc Cynthia i Whitney po prostu zdejmują koszulki. Siedzą w samych stanikach...

– A co to za młode damy? – przerwała Cordelia.

– Znasz je – Cynthia Whitaker i Whitney Coddington – odpowiedział Drew matce.

– Nie chce mi się wierzyć, żeby zachowywały się tak nieprzyzwoicie – stwierdziła z pogardą. Madge postawiła przed nią talerz i Cordelia spojrzała na nią ze zdziwieniem, jakby zaskoczona, że ktokolwiek spodziewa się po niej zjedzenia czegokolwiek.

– Och, zdziwiłabyś się, mamó. Ale czy ja mogę skończyć?

– Tak, na litość boską, zasuważ dalej – zażądał John, wpychając sobie do ust ryż i fasolkę. – Nie będziemy tu przecież siedzieć całą noc.

– Więc w końcu ktoś puka do drzwi, a my: „Kto to, do cholery, może być?”. A tu glina! Kobitka. Wchodzi, rozgląda się i widzi te fajeczki, puste puszki po piwie i tym podobne gówna...

– Drew!

– Cóż to za język!

– Sorki. No i ona, tego: „Pan Lewis prosił, żebym do was zajrzała. Niepokoił się, że jesteście tu sami. A to, co widzę, to jakaś tragedia. To niedozwolone, macie wielkie kłopoty, bla, bla, bla”.

– Czemu nam o tym nie powiedziałaś? Będziesz potrzebował prawnika! – zaniepokoił się Morgan. – Powinienem natychmiast zadzwonić do Sy'a Hammermana.

– Czekaj, posłuchaj do końca, zanim zaczniesz histeryzować! Więc jedna z dziewczyn zaczyna beczeć. Kompletnie ześwirowały ze strachu, mamy przerażane. A Carl to w ogóle robił w gacie, przecież ma kuratora za tę otwartą puszkę piwa wtedy, w Martha's Vi-

neyard. A tu nagle ta policjantka włącza muzykę i zaczyna się rozbierać!

– Wielkie nieba! – Cordelia podniosła rękę do serca.

– To była cholerna striptizerka – zaśmiał się Drew.

– Odłot! Kto ją wynajął? – spytał John.

– No, to jest dopiero najlepsze. Carl. Chciał nastraszyć dziewczyny, że nas przymkną, ale był tak naćpany, że kompletnie o tym zapomniał, więc na początku świrował bardziej niż cała reszta.

John i Drew wybuchnęli śmiechem. Morgan przyglądał się im z mieszaniną pogardy i zazdrości. On nigdy nie używał wulgaryzmów w obecności swoich rodziców. Temu pokoleniu zupełnie brakuje szacunku. Ale on sam nieczęsto widywał swoich rodziców, wysłany do angielskiej szkoły z internatem w wieku lat sześciu, więc był dumny i zadowolony, że ma tak dobre stosunki z synami. Nie chciał być sztywniakiem jak jego ojciec; przypominał sobie to uczucie przerażenia przy stole w jadalni, gdzie rozmawiało się o polityce i na żadne błazeństwa nie było miejsca. Morgan nie pamiętał nawet dobrze swojego ojca, właściwie tylko to, że często czytał gazetę i ciągle wyjeżdżał w interesach, gromadząc dziesiątki milionów dolarów. Z odsetek żyło im się teraz dość wygodnie. Nie był w stanie przywołać w pamięci nawet jednego szczęśliwego rodzinnego posiłku. Ani jednego. Wraz z siostrami był zazwyczaj wysyłany do dziecięcej jadalni, podczas gdy rodzice jedli w salonie, w swoim skrzydle domu. O wiele cieplej wspominał nianię, Ruth. To za nią najbardziej tęsknił, kiedy wyjechał do szkoły. Z perspektywy czasu rezerwa jego rodziców wobec niego wydawała się formą zawołanego okrucieństwa.

– Panie Vance? Pilny telefon do pana – w progu pojawiła się Madge.

Morgan szybko się podniósł.

– Dziękuję. Odbiorę w swoim gabinecie. Jeżeli pozwolisz, Cord.
Cordelia uniosła wzrok znad nietkniętego talerza.

– Oczywiście, mój drogi.

Morgan podszedł do niej i cmoknął ją w policzek.

– Dziękuję za kolację. Była wspaniała. – Wyszedł z pokoju.

– Mamo, my też spadamy – powiedział John.

– Gdzie się wybieracie?

– Jedziemy do śródmieścia zobaczyć kapelę Chestera w Luna Lounge.

– To synek Clarka Winthropa?

– Tak, mamó, i ma już dwadzieścia trzy lata. Już nie synek – odpowiedział John.

– Wy, dzieci, tak szybko rośniecie. O rany, wydaje się, że zaledwie wczoraj przyłapałam was na bieganiu po mieszkaniu i wyrzucaniu balonów z wodą za okno – westchnęła Cordelia.

– Noo, mamó, to było wczoraj – stwierdził Drew.

– Śmiertelnie wystraszyliście biedną panią Cockpurse – strofowała ich Cordelia.

– To było szalenie zabawne!

– Wasz ojciec musiał sporo zapłacić za czyszczenie jej kurtki z norek. Trzeba ją było wysłać do Maximilliana – przypomniała.

– To dlatego, że John wlał oranżadę do swojego balonu.

– Kto nosi pieprzone futro we wrześniu?

– Kiedy wy, chłopcy, w końcu dorośniecie? – zapytała Cordelia, w skrytości ducha mając nadzieję, że odpowiedź zabrzmii: „Nigdy”.

– Nie wiem, mamó. - John wstał. – Dzięki.

– Kiedy wracasz do Trinity, John?

– We wtorek.

– A zatem musimy zjeść jeszcze jedną wspólną kolację, zanim pojedziesz.

– Jasne. Chodź, jełopie.

Drew podniósł się i cmoknął matkę w policzek.

– Pa, mammo, dzięki.

Chłopcy wyszli z pokoju, a Cordelia wpatrywała się w ich puste krzesła. Przy wielkim mahoniowym stole spokojnie mogło usiąść dwanaścioro ludzi, więc wyglądał teraz bardzo smutno z jedną osobą u szczytu. Cordelia obrzuciła roztargnionym spojrzeniem pokój. Ściany pomalowano farbą w kolorze czerwonej lukrecji i ozdobiono starymi płótnami holenderskich mistrzów, obecnymi w rodzinie Morganów od pokoleń. Kredens był angielski, w stylu Jerzego II, jak zresztą większość mebli Vance'ow, odziedziczonych po rodzinie Cordelii lub kupionych na aukcjach, z wyjątkiem kilku nabytków z targów w Maastricht i Nowym Jorku. Okna przystrajały zasłony z jedwabnej tafty, przypominające suknie balowe z przełomu wieków, a podłogę wyściełał orientalny dywan. Mario Buatta urządził apartament pod koniec lat osiemdziesiątych, a Jerome de Stingol, najlepszy przyjaciel Cord na świecie, nieco go odświeżył tuż przed nowym tysiącleciem. To było piękne mieszkanie, pełne wykwintnych i cennych nabytków. Skarbów, które Cordelia i jej rodzina już dawno przestali dostrzegać.

Tak naprawdę, Cordelia czuła, że już nic nigdy nie sprawi jej przyjemności i że już nie ma niczego, na co nie mogłaby się doczekać. Zaczął się dziwny okres. Chłopcy dorastali, praca Morgana wymagała od niego coraz więcej zaangażowania, bale charytatywne stały się mniej ciekawe: wydawało się, że życie pomału zwalnia i dobiega końca. Przyszło jej do głowy, gdy w roztargnieniu bawiła się widelcem, że czuje się bardzo pusta. Przesunęła całą zawartość talerza na jedną stronę – właściwie nic nie zjadła – i spojrzała na delikatny różany deseń na porcelanie od Tiffany'ego. Jej ślubna zastawa. Dotknęła palcem złoczonego brzegu. Wydawała się taka luk-

susowa i elegancka, kiedy zamawiała ją razem z matką. Teraz była to zwykła codzienna porcelana do obiadu, nic specjalnego. Zabawne, jak rzeczy się zmieniają. Nagle – nie miała pojęcia dlaczego – przypomniała sobie słowa piosenki, której jeden z chłopców nieustannie słuchał, kiedy chodził do prywatnej szkoły średniej: „Teraz jestem wygodnie odrętwiała”. Właśnie tak.

W tym samym czasie w innej części szesnastopokojowego apartamentu Morgan, kurczowo ściskając słuchawkę telefonu, na pewno nie był odrętwiała. Krew w nim kipiała, a pot ściekał po czole wzdłuż siwiejących skroni i zbierał się na okularach.

– Maria, Maria, uspokój się – wyszeptał do telefonu. Zerknął nerwowo przez szparę w drzwiach, upewniając się, czy nikt go nie podsłuchuje.

– Mam się, kurwa, uspokoić?! – wrzasnęła kobieta z ciężkim hiszpańskim akcentem. Dzwoniła z mieszkania w Central Park South, które Morgan ostatnio dla niej wynajmował. – Nie mów mi, żebym się uspokoiła, gościu. Właśnie odeszły mi wody i jestem tu sama! To TY się uspokój.

– Maria, co chcesz, żebym zrobił?

– Właśnie zadzwoniłam po samochód. Będzie tu za kwadrans i zabierze mnie do New York Hospital. Rusz dupę i jedź tam albo utnę ci jaja.

– Nie mogę, Maria. To nie jest najlepsza pora.

– Dziecko właśnie ze mnie wyłazi i nie obchodzi je, czy to najlepsza pora. Rusz swoją pieprzoną dupę, ale JUŻ! – wydarła się Maria i rzuciła słuchawkę.

Morgan pobladł, bolała go ręka od ściskania słuchawki. „Dobra, oddychać głęboko”, napomniął sobie. Wrócił długim korytarzem do jadalni. Cordelia z oszołomioną miną wpatrywała się w swój talerz.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytał. Podeszedł do swojego nakrycia i pociągnął duży łyk whisky ze szklaneczki.

– Pewnie. Kto to dzwonił?

– To z pracy. Coś tam wypadło... Ten interes z Japonią, wiesz, są w innej strefie czasowej, ale do nich to nie dociera. Więc... hm... muszę pojechać na trochę do biura. – Morgan nie patrzył żonie w oczy. Pociągnął jeszcze whisky.

– Dobrze.

– Nie czekaj, mogę wrócić późno. Wiesz, jacy są ci Japończycy. Naprawdę ciężko pracują – dodał. – A tam jest już jutro. Jutro rano...

– Dobrze.

Morgan popatrzył na kobietę, z którą był żonaty od dwudziestu ośmiu lat, i nagle ogarnęło go olbrzymie poczucie winy.

– Jakie masz plany na jutro? – zapytał.

– Wychodzę wcześniej na zakupy z Jerome'em.

– Świetnie! – powiedział z przesadnym entuzjazmem. – Kup sobie coś specjalnego.

– Dobrze.

Morgan podeszedł pocałować żonę na do widzenia.

– Och, to środa! Dziś jest twój ulubiony serial!

– *Prawo i sprawiedliwość* – kiwnęła głową Cordelia.

– Więc nie będzie ci mnie brakowało! – Morgan przed wyjściem z pokoju położył rękę na ramieniu żony. W drodze do windy zerknął na nią z korytarza. Nadal siedziała przy stole, ospale wpatrując się w przestrzeń. Właściwie to wyglądała, jakby była pod wpływem środków uspokajających.

W szpitalu było zupełnie inaczej i Morgan wiele by dał za podanie takich środków Marii. Jej przeszywające wrzaski słychać było już

przy windach. Żaden film, żaden ostatni odcinek hitowego serialu czy zapis porodu pokazywany na kanale edukacyjnym nie mogły się równać z superdra-matem Marii. Co więcej, porody Demi Moore lub Jennifer Aniston nie miały nic z tego wypychania dzieciaka na świat. Maria Garcia została nową królową wrzasku.

– AAAAAAAAAAAAA! To cholerstwo rozedrże mnie na pół!

– Uspokój się – strofował ją Morgan.

– AAAAAA! Nie mów mi, żebym się uspokoiła, ty pieprzony dupku!

Morgan był przekonany, że ręka mu zaraz odpadnie, tak mocno ją ścisnęła. Sześć godzin tych tortur, a dziecka nadal nie ma – cierpiał Morgan. A w ogóle to dlaczego on musi przy niej być? Cordelia pozwoliła, nalegała nawet, żeby siedział w poczekalni, i dzieci zobaczył dopiero, gdy zostały wytarte ze śluzu, wykąpane i zawinięte w niebieski kocyk. Tak powinno być, uważał Morgan. Nie jestem jakimś hipisem – jestem biznesmenem. Nie muszę oglądać tego wszystkiego co wyciskają z kobiety, która nie jest nawet moją żoną.

– TY DRANIU!

– Zastanówmy się nad imieniem, to cię powinno od tego ode-rwać. Może Juanita?

– Aaaaaaaaaaaa!

– Lupe?

– Aaaaaaaaaaaa!

– To urocze imię. Moja ciotka miała pielęgniarkę, która nazywała się Lupe.

– Na pewno nie!

– Concepción?

– AAAA! Żadnych głupich imion!

– Myślałem, że chcesz imię zgodne z twoimi korzeniami. Które pasowałoby do nazwiska Garcia – Morgan starał się zachować spokój.

– Chyba do Vance. Jeśli to mnie wpierw nie wykończy!

– Co? – Morgan zaczął panikować. W dodatku ręce lekarza jeszcze bardziej zagłębiły się w drogach rodnych Marii. Morgan stwierdził, że zaraz zemdleje.

– Świetnie ci idzie. Przyj, jeszcze tylko raz – powiedział lekarz.

– Mam przec? Jeszcze?

Dziecko ma się nazywać Vance? Po moim trupie – pomyślał Morgan. Będzie musiał ją namówić na hiszpańskie imię, które brzmiałoby śmiesznie z Vance.

– Może Josefina? – zaproponował.

– Ma mieć jakieś szykowne imię. Tiffany albo Tristan, albo Schuyler!

Nagle rozległ się płacz.

– To piękna dziewczynka – zahuczał lekarz, podnosząc ociekającą krwią dziecko.

Maria opadła na łóżko.

– Schuyler. Schuyler Vance – oznajmiła. Morgan zemdlał.

Kilka pięter pod apartamentem Vance'ów podczas innej kolacji również zadzwonił telefon. Pan Guffey, kamerdyner Kornów, uniósł z dezaprobatą brwi, patrząc na personel kuchenny. Zarówno kucharz, pokojówka, jak i gospoia dobrze wiedzieli, o czym myśli. Tylko jakiś okropny typ może dzwonić o tej porze. Przecież to oczywiste, że o ósmej cywilizowani ludzie jedzą kolację. Ale jeszcze lepiej wiedzieli, że pan Guffey jest wściekły, gdy mu się przeszkadza, kiedy sam je kolację, więc zanim zdążył rzucić serwetkę i podnieść się od stołu z naburmuszoną miną, Juanita, pokojówka, zerwała się, żeby odebrać telefon. Kilka chwil później pojawiła się w jadalni.

– O co chodzi, Juanito? – zapytał Arthur.

– Przepraszam, psze pani, mówią, że to pilne. – Juanita wyglądała na zmieszaną. Nie bardzo miała ochotę na wysłuchiwanie wymówek od swojego szefa, ale człowiek po drugiej stronie linii telefonicznej był nieustępliwy.

Melanie westchnęła głęboko i odsunęła krzesło.

– W porządku. – Wiedziała, że jeżeli pan Guffey pozwolił Juanicie jej przeszkodzić, musi to być coś poważnego. Kamerdyner był bardzo stanowczy w takich sprawach i nikt nie ośmieliłby się narażać na jego gniew. Nawet Melanie, pomimo że była jego chlebodawczynią.

Przeszła korytarzem do najbliższego aparatu, stojącego w pokoju obok na stoliku z opuszczanym blatem.

– Słucham?

– Melanie Sartomsky?

– Taak... – wyjąkała zaskoczona. Panieńskiego nazwiska przestała używać już dawno temu, nawet jeszcze przed ślubem. – Obecnie Melanie Korn.

– Córka Cala Sartomsky'ego?

Czy to jakiś żart? Ktoś się z niej nabija?

– Może... – odpowiedziała niepewnie.

– Tak czy nie? – zażądał szorstki głos po drugiej stronie słuchawki.

– Tak – przyznała niechętnie. To nie jej wina, że jest jego córką. Zrobił dziecko jej matce trzydzieści pięć lat temu, a potem wpadał co jakiś czas po forszę, którą przepuszczał w barze lub kasynie. Kiedy czteroletnia Melanie, wołając: „Tatusiu!” wyciągnęła do niego ręce, żeby ją przytulił, minął ją i podszedł prosto do lodówki.

– Cóż, zatem, Melanie Sartomsky, przykro mi panią poinformować, że pani ojciec, Cal Sartomsky, zmarł wczorajszego wieczoru w swojej celi w Więzieniu Stanowym w Faudon. W tej ciężkiej chwili składamy pani i pani rodzinie nasze najgłębsze kondolencje. Możemy pani zaproponować darmowe miejsce na cmentarzu, może też pani przysłać kogoś po ciało i sama zająć się pogrzebem.

Melanie była wstrząśnięta. Jej ojciec... nie żyje. To musiało się kiedyś zdarzyć, i choć nie widziała się z nim od lat, czuła, jak ogarnia ją tsunami smutku. Przełknęła rosnącą kulę w gardle, żeby się odezwać.

– M-m-mój mąż pracuje w sektorze usług pogrzebowych – wyjąkała. – Zajmiemy się tym. Mamy własne trumny. – To było wszystko, co Melanie była w stanie powiedzieć, zanim odłożyła słuchawkę i wróciła do jadalni.

– O co chodzi? – zapytał Arthur zaniepokojony wyrazem jej twarzy.

Melanie usiadła na swoim miejscu, położyła serwetkę na kolanach i wypila łyk wody.

– Mój ojciec zmarł – powiedziała wreszcie.

– Och, kochanie. – Arthur wyciągnął rękę i delikatnie pogłaskał żonę po głowie. – Tak mi przykro. Ja się wszystkim zajmę.

Spojrzała na niego nieprzytomnie. Miała piękną twarz i choć botox zdołał zatrzeć jej mimikę, w jej oczach widać było głęboki smutek. Nie z powodu śmierci ojca, ale z powodu jego życia – w którym nigdy nie było dla niej miejsca.

– Damy mu najładniejszą trumnę, kochanie, najlepszy model: DX5000, piękny mahoń i obicie z importowanego chińskiego jedwabiu. Weźmiemy tę z odtwarzaczem CD w środku... – Arthur urwał, gdyż Melanie siedziała bez ruchu.

– Dobrze – powiedziała automatycznie.

Arthur patrzył, jak jego śliczna blondwłosa żona składa i rozkłada serwetkę na kolanach. Zawsze taka silna i pewna siebie, a tu po raz pierwszy od dawna chyba się pogubiła. Czekał w milczeniu, chcąc wyczuć jej nastrój. Mijały minuty, a on nie śmiał jeść.

– W porządku, kochanie. Naprawdę nic mi nie jest. – Wytarła jedną zabłąkaną łzę.

Arthur pochylił się i ją pocałował. Kurczę, ale z jego żony twar-dzielka: taka silna, taka pewna siebie. To kobieta, która podbije świat. Wiedział to od pierwszej chwili, jak tylko ją spotkał.

– Jesteś pewna? Prawdopodobnie jesteś w szoku.

– Nie, nie – upierała się, odgarniając kosmyk z czoła. – Już nie jestem Melanie Sartomsky. Nie mogę płakać nad tym, co było. To już za mną. Jestem panią Arthurową Korn z Park Avenue. Koniec, kropka – i zaczęła kroić stek. A kiedy Melanie mówiła: „koniec, kropka” oznaczało to zawsze, że temat został skończony i nigdy więcej nie należy go poruszać.

Jedno można o niej powiedzieć z całą pewnością – Melanie to silna kobieta. Musiała taka być: jej droga do Park Avenue nie była łatwa. Urodziła się w domu-przyczepie na przedmieściach Cashmere w stanie Washington (w samym sercu jabłoniowych sadów), ale większą część dzieciństwa spędziła pod Tallahassee na Florydzie – po śmierci matki w wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę, kiedy Melanie miała czternaście lat. Klasyczna historia awansu społecznego białej hołoty, bez czego Ameryka nie byłaby tym, czym jest. Mama nie żyje, tatko tankuje i co chwila traci pracę, i jest jeszcze młodsze zasmarkane rodzeństwo, którym trzeba się opiekować. I jak w wypadku Shanii Twain nic nie mogło jej powstrzymać. Od początku było jasne – nawet mimo postrzępionej grzywki i trwałej, wybielanych dżinsów i kurtki z logo szkolnej drużyny – że tej tyczkowatej nastolatce, która wcześniej zaczęła dojrzewać, pisane jest jakieś lepsze życie. Jej mama zwykła mawiać: „Nie wychodź za mąż dla pieniędzy. Ale nie zaszkodzi kręcić się tam, gdzie one są”. Melanie zawsze była uparta i zdeterminowana, a jej pragnienie, żeby wyrwać się z rodzinnego miasteczka, tylko przyśpieszyło ucieczkę w wielki świat.

Nigdy nie oglądała się za siebie. Może szczęścia się nie kupi, ale pieniądze się przydadzą.

Była już *concierge* w MGM Grand w Las Vegas, hostessą w Palm Springs i osobistą asystentką żony producenta serialu *Hollywood Squares*, kiedy podjęła decyzję, która okazała się najrozsądniejszą w jej życiu. Została stewardesą. Była w tym znakomita i miała dużo szczęścia, więc wkrótce obsługiwała pasażerów w pierwszej klasie linii United Airlines.

Dwa lata temu, podczas pewnego lotu do Miami, w mroźną zimową niedzielę, kiedy strasznie trzęsło, osoba mająca przychylić pasażerom nieba okazała się jeszcze bardziej przychylna dla multimi-

lionera Arthura Korna, lecącego odwiedzić swoją osiemdziesięciodwuletnią matkę, którą niedawno umieścił w luksusowym ośrodku z całodobową opieką i oknami wychodzącymi na plażę.

– Precle czy orzeszki? – zapytała Melanie uwodzicielskim szeptem.

Arthur opuścił „Wall Street Journal” i naprzeciwko swojej twarzy zobaczył obfity biust Melanie, który ledwie się mieścił w niebieskim uniformie.

– Wszystko – nie zdążył pomyśleć, oczarowany jej piersiami.

Zarumienił się, róz przeszedł w głęboki pąs, a on bardzo starał się ochłonąć. Melanie posłała mu uśmiech. Było coś w tym mężczyźnie w średnim wieku, z wystającym brzuszkiem, coś, no... miłego. I wydawał się też tak samo zraniony przez życie jak ona, a im więcej czasu spędzali razem, tym szybciej goiły się ich rany. Arthur przedłużył swój pobyt w Miami o kilka dni, potem o kilka tygodni. Kiedy Melanie miała przerwę w lotach, tańczyli do rana w nocnych klubach i jadali w różnych dziwnych restauracjach z daleka od turystycznych ścieżek. To były szalone zaloty.

I w końcu, choć może Arthur wybawił Melanie od odwijania do końca życia z folii suszonych plasterków wołowiny, to właśnie ona ocaliła jego. Kiedy się spotkali, robił wrażenie kompletnie wykończonego niedawnym rozwodem. Jego żoną była Diandra Chrysler, nowojorska bywalczyni salonów, którą poznał, gdy oboje wypoczywali w uzdrowisku Canyon Ranch (świętowała swój drugi rozwód – powinien był już wtedy dostrzec sygnał ostrzegawczy). I choć Arthur urodził się i wychował w Nowym Jorku, większą część życia spędził w odległych od centrum dzielnicach – ściślej rzecz biorąc, w Queensie i Brooklynie – więc nie był uważany za prawdziwego nowojorczyka. Tylko dzięki Diandrze zyskał prawo wstępu do tego lepszego świata. Ona zdecydowanie do niego należała.

Urządziła ich w wytwornym i wystawnym życiu, pełnym przyjęć opisywanych w rubryce towarzyskiej „New York Post” i wycieczek jachtem z podejrzeniem gejowskimi projektantami mody. Kiedy się to skończyło, po czterech krótkich latach, okazało się, że stracił pięćdziesiąt milionów dolarów, wszystkie antyki i, co najgorsze, poczucie własnej wartości.

Arthur popadł w depresję i postanowił zaszyć się u matki, aż nowojorska prasa skończy używać sobie na jego życiu osobistym. Był tak ponury, że wszystko wydawało mu się mętne, jak gdyby znalazł się pod wodą. To znaczy dopóki nie pojawiła się Melanie. Kiedy „wleciała” do jego życia, nie miało żadnego znaczenia, że roznosi prażone orzeszki w miodzie na trzydziestu tysiącach stóp wysokości; to tak, jakby się dzięki niej odrodził. Była zabawna, ekscytująca, nieustępliwa i inspirująca – wreszcie ktoś rozmawiał z nim szczerze i uczciwie. I wszystko działo się naprawdę jak w bajce. Ledwie minęły dwa miesiące od ich podniebnego spotkania, a Arthur i Melanie pobrali się na Florydzie.

Kiedy Arthur przeniósł żonę przez próg mieszkania na Park Avenue, doznała wstrząsu. Wiedziała, że Arthur nie jest biedny, ale nie miała zielonego pojęcia, że to tak ogromne pieniądze. Czas ich zalotów był jak magiczny bąbelek w dusznym i upalnym powietrzu Florydy, a przyjazd na Upper East Side sprawił, że Melanie poczuła się, jakby nad jej głową nastąpiło oberwanie chmury. Kiedy zdała sobie sprawę, w co wpakowało ją małżeństwo, bez względu na jej wielką miłość do Artyego, ogarnęły ją... mdłości. Jej młodość i uroda natychmiast wzbudziły gniew pań, nie robiących nic poza jedzeniem lunchu, i Melanie wiedziała, że wpadła jak śliwka w kompot. Chciała chwycić Arthura i uciekać gdzie pieprz rośnie, ale on wydawał się w tym świecie szczęśliwy.

Tak więc została dobrą żoną i starała się, żeby mąż mógł być z niej dumny. Przypominało to walkę, jaką Oprah toczyła z nadwagą. Za każdym razem, kiedy wydawało się jej, że robi postępy, była z powrotem spychana na swoje miejsce osoby spoza towarzystwa. Arthur starał się jej pomagać, ale prześladował ją pewien dręczący fakt z jego życia: Diandra. Nigdy nie słyszała innego imienia wypowiedzianego z taką czcią jak imię pierwszej pani Korn. Każdy zawsze chętnie wygłaszał pochwały na temat tej tajemniczej damy, która była niewiarygodnie obecna nawet dla kogoś, kto nie mieszkał w Nowym Jorku. Stała się solą w oku Melanie. A co najgorsze, Arthur nie chciał o niej rozmawiać, tak wielki był jego smutek z powodu ich, jak krążyły słuchy, dramatycznego rozstania.

RS

- Och, dałabym się za nie pokroić.
- Powiedz to tym himalajskim jeleniom!

Wśród intensywnych kolorów – malina, róż, cytryna, turkus, musztarda, szkarłat czy lila – rzesze pań ubranych w stroje od czołowych projektantów pogryzały koreczki i odrzucały do tyłu głowy jakby doznawały permanentnego orgazmu.

Było to pierwsze w tym sezonie półtajne przyjęcie z tkaninami shahtoosh w roli głównej, zorganizowane w imponującym apartamencie Pierre Hotel, z sufitem na wzór katedralnego sklepienia. Wyższe sfery bogaczy z manhattańskich dynastii zebrały się na tej fecie, przypominającej bardziej sprzedaż bezpośrednią garnków czy odkurzaczy, żeby kupić bardzo pożądane i – przy okazji nielegalne – szale. Shahtoosh przędzona jest z o wiele bardziej miękkiej od kaszmiru wełny zbieranej z szyj gatunku lam zagrożonego wyginięciem. Nikogo to jednak nie obchodziło. W tym połączonym apartamencie ciężki los tybetańskiego zwierzęcia, które poświęciło się dla mody, wydawał się oddalony o całe lata świetlne dla uzbrojonych w platynowe karty kredytowe paniuszek mieszkających w luksusowych apartamentach na zachód od Lexington Avenue. Metki z napisem „3000 dolarów” nie martwiły kupujących kobiet bardziej niż malejąca liczba lam. Jeżeli już, to szale z przemytu zyskują na atrakcyjności z powodu trudności związanych z ich zdobyciem, a efektem jest za-

prawiony szampanem dreszczyk emocji wywołanej igraniem z prawem.

Nieodłączna towarzyszka Wendy Marshall, Joan Cod-dington, jeszcze się nie pojawiła i Wendy zaczynała się coraz bardziej martwić. Nie dlatego że za dwadzieścia minut miały zarezerwowany jak co tydzień stół w La Goulue przy Madison Avenue – James, maître d'hôtel, po prostu nie lubił, kiedy kazano mu czekać, nieważne, kim byłby gość – ale dlatego że najlepsze odcienie znikwały pochwycone przez mnóstwo wymanikiurowanych rąk.

Cordelia Vance, z którą Wendy prowadziła towarzyską rozmowę, bez ustanku przeglądała napraszające się o dotknięcie towary we wszystkich kolorach tęczy.

– Paszmina może się przy tym schować! – wykrzyknęła Wendy, starając się wymyślić jakiś temat do rozmowy z tą wielką damą z Park Avenue, uosobieniem nienagannego smaku.

Wendy uważnie przyjrzała się idealnie ubranej Cordelii: garnitur od Oscara de la Renty, torebka, model Birkin, niedbale wisząca na przedramieniu, i biżuteria – jak zawsze wspaniała. Bez zarzutu. Cordelia była żoną Morgana Van-ce'a, z tych Vance'ow z Hobe Sound i z Locust Valley. Jak nie miałyby jej przyciągnąć tak autentyczna przedstawicielka śmietanki towarzyskiej? Lecz w Cordelii było coś nieuchwytnego; podczas gdy jej ciało odziane było w najdroższe marki światowego krawiectwa i ozdobione drogą biżuterią, to jej głowa zazwyczaj tkwiła w chmurach.

Wendy przeciwnie; zawsze stała twardo na ziemi podczas towarzyskich spotkań, dostrzegając każdy najnowszy dodatek na każdej kobiecie, przetrząsając w umyśle organizery, żeby przypomnieć sobie, gdzie każda z nich mieszka, czym zajmuje się jej mąż, do jakich klubów należała jej babka. Choć własnej szafie nie mogła niczego zarzucić, nadal używała zeszłorocznej torebki, a wartość jej całej biżu-

terii nie przekraczała ceny tego prostego pierścionka ze szmaragdem i diamentami, który Cordelia miała na małym palcu prawej ręki.

– Trochę mnie martwi, że to nielegalne – powiedziała Cordelia do Wendy. – Wyobraź sobie zamknięcie w więzieniu za szal!

– To idiotyczne, że władze uznały to za kontrabandę! – Wendy zaśmiała się lekceważąco, zdumiona i zachwycona tym czystym szaleństwem. – No bo czyż nie mają większych zmartwień, jak choćby handlarze kokainą? Poza tym, gdyby agenci federalni mogli sobie pozwolić na coś tak miękkiego, to wiesz, że sami daliby w łapę przy odprawie celnej.

Cordelia wahała się przy wyborze koloru szali. Dotknęła ich raz jeszcze, żeby podjąć decyzję, jakby chciała się przekonać, czy zieleń morskiej piany może być jeszcze bardziej miękka niż morela.

– Wezmę seledyn i kremowy – oświadczyła. – Och, i może jeszcze róż...

Wendy, która nawet nie była pewna, czy chce szal, nie mówiąc już o tym, czy go potrzebuje, zobaczyła, że Cordelia chwytą cztery, i wiedziała, że ona też musi mieć jeden. Zdecydowała się na bładny błękit.

– Czyż nie są bajeczne? Nigdy tak łatwo nie rozstawałam się z trzema tysiącami!

Cordelia się uśmiechnęła.

– Nie zebym robiła z tego jakiś problem – dodała Wendy nerwowo.

Wyglądając przez przeszkloną ścianę z widokiem na wierzchołki drzew Central Parku, Cordelia odeszła ze swoim łupem w stronę stolika kasjera. Nagle wpadła Joan Cod-dington i od razu popędziła do Wendy. Uścisnęła ją teatralnie i cmoknęła w policzki.

– Co za koszmar! – wykrzyknęła i objęła Wendy z prawdziwą ulgą, jak gdyby ta była boją, a ona utrzymywała się ostatkiem sił na

falach Oceanu Indyjskiego. Tymczasem widziały się nie dalej jak wczoraj. – Och! Przeszłam przez piekło, żeby tu dotrzeć! Piąta to katastrofa! Cała aleja jest zablokowana, bo portierzy barykadują ogrody na czas parady portorykańskiej! – zagrzmiała.

Gwałtownie wachlowała dłonią twarz i wydychała powietrze, starając się uspokoić. Wszystko w Joan nakazywało zwrócenie na nią uwagi: jej platynowy, wysoko upięty kok, bardziej pasujący do gwiazdy filmowej z lat czterdziestych, jaskrawoczerwona szminka, chropowaty głos palacz-ki i okulary przeciwsłoneczne w stylu Jackie O. Tuż za Joan stała Melanie Korn, która weszła razem z nią. Ani Joan, ani Wendy nie raczyły zauważyć tej okropnej parweniuszki.

– Wiem, to kompletny chaos, ale nie powinnyśmy narzekać. Wolę duży ruch na ulicach niż puszki po piwie i kości kurczaka w moich chryzantemach. No bo niby czemu mamy płacić niebotyczne pieniądze architektom krajobrazu, skoro ci chuligani i tak to zaświęnią po swojemu?

– Och, Wendy, jesteś okropna! – zaśmiała się Joan. Melanie poczuła zakłopotanie i wzięła głęboki oddech.

Nie mogła zapomnieć tego, co niedawno podsłuchiwała. Dla Joan i Wendy była tylko *piñata*². Ale postanowiła nie dać się zastraszyć. Jakoś je do siebie przekona. Zmusi je, żeby ją zaakceptowały; czuła, że jest to winna Arthurowi. Może i nie pochodzi z tak wysokich sfer jak jego pierwsza żona, ale musi być postrzegana jako ktoś, kto przysparza mu chwały – a nie wstydu, jak uważa ten duet.

– To właściwie jest parada dominikańska – wtrąciła się Melanie.

Dwie kobiety odwróciły się, żeby na nią spojrzeć.

² Zwieszające się z sufitu naczynie pełne słodyczy, które osoby z zawiązanymi oczyma starają się rozbić za pomocą kijków - latynoamerykański zwyczaj, przypominany zwłaszcza podczas Bożego Narodzenia lub urodzin.

– Parada portorykańska jest w czerwcu.

– Ależ, Melanie, nie wiedziałam, że jesteś Portorykanką – zareagowała Wendy.

– Wcale nie jestem! – Melanie zaczerwieniła się po uszy. Przełknęła ślinę i dodała: – Ale moja gospoia...

– Dobra, obojętne, jaka jest przynależność etniczna tych ludzi, ta tradycja jest ohydna. Dlaczegoż nie mogą paradować u siebie? – zapytała Joan. – Niech sobie maszerują na Bronksie czy gdzie tam. Muszą galopować Piątą?

Melanie pomyślała, że ją prawdopodobnie też uważają za tak samo obcą na ich alei.

– Arty nie lubi zostawać w mieście podczas parad – spróbowała przejść na ich stronę. – Zresztą zwykle i tak w weekendy wyjeżdżamy do naszego domu za miastem.

Wendy i Joan bez słowa wymieniły na wespół ukradkowe spojrzenia, które w ich słowniku min zdawały się oznaczać: „Nie cierpimy tej suki”. Ewidentnie nie mogły znieść jej obecności. Tymczasem Melanie zdążyła się jeszcze mocniej zaczerwienić, zdawszy sobie zbyt późno sprawę, że wspomnienie o domu na weekendy może zostać odebrane jako przechwałki.

– Och, tak – odparła Joan sarkastycznie. – Współczuję tym niešťczęśnikom, którzy jeszcze gniją na Manhattanie w weekendy.

Joan przewróciła nieznacznie oczami i Melanie wyczuła, że jej towarzystwo nie jest pożądane. Czemu? Co zrobiła źle? I dlaczego tak się tym zadręczała? Z kolei te dwie plotkary mają po dwanaście lat i po dziesięć kilogramów więcej niż ona, a w tych zakietach z poduszkami na ramionach wyglądają jak bibliotekarki, więc dlaczego się tak denerwuje ich opinią na swój temat? Ponieważ te źmije mają cięty język i dowcip, a ona wzdyga się na samą myśl, że ktoś jej

nienawidzi. Ostatecznie wzruszyła ramionami i odeszła, w uwydatniającej tylek spódnicy rozmiaru trzydzieści dwa i pantoflach na wysokich obcasach od Jimmy'ego Choo, postanowiwszy przyjrzeć się towarom. Wendy i Joan zlustrowały jej chude łydki, gdy przechodziła przez salę, i westchnęły.

– Tylko mi nie mów, że przyszedłeś tu z Melanie Korn – odezwała się Wendy.

– Nie przyszedłem z nią. Była w windzie.

– Prostaczka. – Wendy pokręciła głową. – Cóż, czekają na nas dużo ważniejsze sprawy. Musisz, musisz koniecznie wziąć kilka tych szali, zanim je rozchwytają. Denerwowałam się, że najlepsze przejdą ci koło nosa.

Joan wyciągnęła rękę, żeby dotknąć szali.

– O mój Boże – zakwicziała. – Moje paszminy to przy tym papier ścierny. Dzięki niebiosom za nieuczciwych celników.

Cordelia, która wychodziła ze swoimi nowymi nabytkami zawiniętymi w czerwoną bibułę, zatrzymała się koło Joan i Wendy.

– Czy powinnam mieć wyrzuty sumienia? – zapytała.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała Joan. – One i tak już nie żyją.

– Chodzi mi o to, że tyle wydałam.

– Nie mów głupstw – włączyła się Wendy. – Chyba nie chcesz zmarznąć w zimie?

– Morgan by zdecydowanie nalegał na ich kupno – oświadczyła Joan stanowczo.

– Masz rację – uznała Cordelia, jakby to usprawiedliwiało zakup. – A poza tym są absolutnie boskie.

– Nie mogę się doczekać, aż zawinę się w mój dziś wieczorem – zgodziła się Wendy.

Cordelia pomachała im na pożegnanie, weszła do wykładanej fornirem windy i zjechała do czekającego na nią samochodu z szoferem. Tak naprawdę nie martwiła się tym, że wydała tyle pieniędzy, ale czuła, iż wypadałoby mieć choćby lekkie wyrzuty sumienia po przepuszczeniu dwunastu tysięcy dolarów na szale. Samo przyznanie się do tego pozwoliło jej nie myśleć o cenie i wepchnąć torbę nielegalnego towaru na dno szafy, gdzie leżały zapomniane setki nie otwartych toreb z zakupami.

– Pora na naszą ulubioną sałatkę warzywną z winegre-tem aromatyzowanym truflami – przypomniała Wendy.

– Wiem. – Joan zerknęła na swój zegarek od Cartiera. – Komu się wprosimy do samochodu?

– Och, to tylko cztery przecznice, Joan.

– W pantoflach od Manolo Blahnika musisz to pomnożyć przez trzy, więc tak naprawdę – dwanaście przecznic.

Przypadkiem usłyszała to Melanie, obładowana szalami shahtoosh w każdym możliwym kolorze. Może ją polubią, jeżeli je podwiezie?

– Dziewczyny, podrzucić was? Mam bentleya na dole...

– Nie, naprawdę – pokręciła głową Wendy.

– Weźmiemy taksówkę – odpowiedziała Joan.

– Okay. – Te dwie to będzie twardy orzech do zgryzienia.

Wendy i Joan udały, że się nie śpieszą.

– Nie zamierzam spędzić z tą nieuleczalnie nieokrzesaną kobietą więcej czasu, niż to konieczne – wyszeptała Wendy.

Kiedy już się upewniły, że Melanie wyszła z budynku, zjechały windą do okazałego marmurowego westybulu i wsiadły do taksówki. Gdy tylko portier z epoletami i w białych rękawiczkach zamknął drzwi pojazdu, Joan i Wendy opuściły szyby w oknach, jak gdyby od tego zależało ich życie.

– Ten smród kierowcy jest po prostu nie do przyjęcia – skrzywiła się Joan pomiędzy próbami złapania oddechu.

– Fu, Chanel numer dwa.

– Czy ci ludzie mają dezodoranty o zapachu curry?

– Joan, kochanie, nie sędzę, żeby oni używali jakichkolwiek dezodorantów.

– Najwyraźniej.

Jadąc Madison Avenue w tempie ślimaka, dwie damy omawiały spotkanie z wieśniacką nuworyszką.

– Za kogo ta Melanie Korn się uważa? – zastanawiała się Wendy.

– To syndrom drugiej żony. Myśli, że ma prawo tak sobie wejść i chwalić się, jaki to ona ma samochód.

– Co za parweniuszka.

– Aż mnie dreszcz przeszedł – oznajmiła Joan.

– Posłuchaj tego – Wendy przygotowała grunt pod opowieść:

– W zeszłym tygodniu stałam na rogu Fifty-seventh Street i Park Avenue, rozpaczliwie starając się złapać jakąś taksówkę. Zgadnij, kto się zatrzymał?

– Nie mów mi, że...

– Melanie Korn w swoim gigantycznym bentleyu. Nie tym złotym, tylko tym stalowym. Tak czy inaczej, wiem, że to brzmi irracjonalnie, ale potrzebowałam, by ktoś mnie podrzucił...

– E tam.

– Chmury wyglądały groźnie, a ja dopiero co wyszłam z nową fryzurą z salonu Fekkai – broniła się Wendy.

– Och, no chyba że tak.

– No więc z poczuciem winy wsiałam do jej wozu. A ona mówi: „Och, właśnie robię małe zakupy, jak to świetnie, że czarny American Express nie ma limitu. Uwielbiam to!”

– Nie, nie powiedziała tak...

– Czekaj. Pochyliła się do kierowcy i słuchaj tylko: „Gun-ther, za-
wieź tę panią na Park Avenue 1002, proszę”

– Wie, gdzie mieszkasz?

– Tak! Normalnie jak jakiś świr prześladowca. Byłam w szoku. Ma taką obsesję na punkcie tego, kto jest kim, że chyba musiała się nauczyć na pamięć książki telefonicznej.

– Żałosne.

– To nie wszystko.

– Niemożliwe. Taka mała nowobogacka zdzira.

– No więc jedziemy Park Avenue, a ona pyta: „Kiedy byłaś żoną
Chipa, mieszkaliście pod 627, prawda?”. Możesz w to uwierzyć? Ta
agentka wyszperała kompletnie wszystko na mój temat!

– Jak śmiała? – Joan położyła dłoń na piersi, jakby te wiadomo-
ści przyprawiły ją o palpitanie serca. – I wspomnieć Chipa, jakie to
niestosowne!

– A potem, kiedy podjechaliśmy do wejścia, miała czelność po-
wiedzieć: „Chip ożenił się ponownie, prawda?” Jakby znała moją
rodzinę!

– Nie wytrzymam. Niedobrze mi.

– Żeby tak zdechła – Wendy strzykała jadem. – Chłodno po-
dziękowałam za podwiezienie i trzasnęłam drzwiami.

Dotarły do celu, Joan zapłaciła za taksówkę i weszły do luksusowego bistro. Joan nadal odczuwała zawroty głowy, spowodowane opowieścią o niedawnych wydarzeniach, zbulwersowana koszmarem, przez jaki przeszła jej droga przyjaciółka, i to za sprawą tej fładry, pseudoelegantki z domu na kółkach.

Dla Joan i Wendy Melanie była intruzem, farbowanym lisem, szczywaną towarzyską parweniuszką z chronicznym słowotokiem. Wkroczyła do socjety zbyt gwałtownie, zbyt szybko. Chcąc natych-

miast dostać się do towarzystwa, rozrzuciła dookoła pieniądze w takim tempie, że nie musiała czekać na propozycje wejścia do komitetów i zarządów powierniczych. A w wypadku Wendy i Joan dotknęła szczególnie bolesnego miejsca, ponieważ ich pozycja społeczna osłabła. Wendy zniszczył rozwód. Była kompletnie nieprzygotowana, kiedy mąż rzucił ją dla młodszej kobiety. Ni mniej, ni więcej, tylko dla niani, która u nich pracowała. A Melanie miała wszystko, czego brakowało Joan: smukłą sylwetkę (za takie biodra dałaby się pokroić) i pobłażliwego męża, który płacił jej rachunki. Joan finansowała Phillipa od samego początku i choć miał nieskazitelny rodowód, czasami chciała, żeby zabrał precz swój tyłek.

– Szlag mnie przez nią trafia – oznajmiła Joan w taksówce, którą wracały z La Goulue.

Joan i Wendy przedyskutowały wiele innych tematów podczas lunchu – lifting twarzy Fernandy Wingate, romans znanego chirurga plastycznego, doktora Simona Brooksa, i dziedziczki Palmolive, rozwód Mastersonów – ale zawsze wracały do Melanie, ich stałego obiektu niechęci.

Wiem, wiem – zgodziła się Wendy.

Joan zamilkła, pławiąc się w niechęci, i wyjrzała przez okno. Samochód zatrzymał się na czerwonym świetle przed Park Avenue numer 741, najbardziej pożądanym budynkiem w całym Nowym Jorku, gdzie, nieprzypadkowo, obecnie mieszkali Melanie i Arthur Kornowie.

– To haniebne. Prosta dziewczucha robiła zakupy w centrum handlowym, podawała kurczaka lub wołowinę w boeingu 747, a teraz prowadzi światowe życie na Park Avenue 741, wśród śmietanki towarzyskiej. Awans białej hołoty z Południa – kiedy Joan była rozsierdzona, jej ociekający nienawiścią język ciął bez litości.

Wendy spojrzała na przedwojenny czternastopiętrowy budynek z wapienia, ze szmaragdowozieloną markizą nad wejściem.

– To najwytworniejszy budynek w Nowym Jorku – stwierdziła Joan. – Arthur Korn nigdy by się tu nie znalazł, gdyby nie jego pierwsza żona. Został przyjęty tylko dlatego, że Diandra miała koneksje. Gdyby on i Melanie teraz starali się tu zamieszkać, to zostaliby wyśmiani.

– Dokładnie. Naprawdę jest najlepszy. Mieszkają tu najwyższe sfery.

– Morgan i Cordelia Vance'owie.

– Olivia Weston, przyszła właścicielka Fanny's Pharmacy – do rzuciła Wendy.

– Emma Cockpurse, ta dziecienniała miliarderka, która zjeżdża sobie goła do westybulu.

– Mademoiselle Oeuf, suczka, która odziedziczyła apartament wartości dziesięciu milionów dolarów po pani Lloyd – dodała Wendy pospiesznie.

– I pomyśleć, że ta stara torba zostawiła mieszkanie jakiemuś kundlowi! – wykrzyknęła Joan.

– To czystej krwi pudliczka; niebotycznie droga, z tej hodowli prowadzonej przez lesbijki w Minnesocie – sprostowała Wendy.

– Mimo wszystko.

– Cóż, to jeszcze nic pewnego. Dzieci kwestionują testament.

Znowu zerknęły na budynek. Portierzy w świeżo wyprasowanych szarych liberiach otwierali drzwi niani z wózkiem spacerowym.

– Mieszkają tu Wingatetowie – wymieniała dalej Joan.

– Powellowie.

– Rothmanowie.

– Aldrichowie.

Joan i Wendy znały listę lokatorów na pamięć, a jeżeli chodzi o ścisłość, to przypominały ją sobie na głos za każdym razem, gdy miały ten budynek. Wymieniały każdego mieszkańca i zawsze kończyły na Komach.

–I Arthur Korn! – w głosie Joan słychać było niedowierzenie, że ten człowiek i jego żona mogli się znaleźć w takim bastionie ekskluzywności. Próbowała podejść do sprawy filozoficznie: – Właściwie to mi go szkoda. Nie jest taki zły. Zdołał się wydostać z Queensu.

–Co za matoł.

–Cóż, jest miliarderem.

–Prawda, prawda – Wendy pokiwała głową.

–Ale prowadzi najbardziej przygnębiający biznes – obwieściła Joan.

–O tak.

–No, ale jakim geniuszem trzeba być, żeby zaczynając od trumien, rozszerzyć działalność o domy pogrzebowe, a teraz domy spokojnej starości? – zapytała Joan.

– Podobno jest właścicielem co trzeciego domu pogrzebowego w kraju. – Wendy doskonale wiedziała, że nie podobno, ale na pewno.

– Naprawdę zmonopolizował rynek zgonów – chwaliła Joan.

– Ludzie go na ogół lubią; Ponury Kosiarz to on nie jest. – Wendy spojrzała na Joan kątem oka, żeby się upewnić, czy tamta się z nią zgadza.

– Jego żona jest czarną owcą w tym budynku – dramatyzowała Joan.

– Jasne – zgodziła się Wendy.

Ciągnęły tę rozmowę, wyjeżdżając z centrum miasta, i obrzucały Melanie Korn wszystkimi epitetami, jakie tylko przyszły im do głowy, dopóki nie dojechały do swoich domów. Następnie, wygłaszając litanię wyzwisk, wisiały na telefonie aż do kolacji.

Eddie i Tom, portierzy pracujący na wieczornej zmianie, stali pod rzeźbioną kopułą westybulu domu przy Park Avenue 741, czekając w gotowości, aż samochód któregoś z mieszkańców podjedzie pod wielkie dwuskrzydłowe drzwi, ozdobione kunsztowną kratownicą z mosiądzu. Budynek został zaprojektowany przez pracownię Mc-Kim, Meade & White i ukończony w 1904 roku. W 1946 roku znalazł się w rejestrze nowojorskich zabytków. Wapień na elewację pochodził z najlepszych złóż na świecie, a każdy detal idealnego westybulu był zatwierdzany nie tylko przez wszystko widzących członków rady zarządzającej, ale i przez samą Sister Parish, której firmie zlecono renowację części publicznej w 1974 roku³³.

W oszałamiający splendor wejścia wpisywali się również Eddie i Tom. Dobrze wiedzieli, że są nie tylko od otwierania drzwi. Stanowili oczy i uszy westybulu, składając w całość strzępy informacji dotyczące osób, których nazwiska pojawiały się nie tylko na liście lokatorów, ale i w magazynie „Fortune”

Synom i córkom tych rodzin nigdy niczego nie odmówiono; czego tylko zapragnęli, dostawali w ciągu nowojorskiej nanosekundy, często w zastępstwie prawdziwych uczuć. Drew Vance był marzeniem uczennic prywatnych szkół średnich, ubranych w ciuchy od Lilly Pulitzer. Wszystko – od pewnego siebie kroku, przez udział w

³³ Dorothy May Kinnicutt Parish (1910-1994), znana jako Sister Parish – słynna amerykańska projektantka wnętrz (urządzała Biały Dom za czasów prezydentury Kennedy'ego).

reprezentacji Stanów Zjednoczonych w lacrosse⁴⁴, po znakomitym rodowód – czyniło z niego jednego z najbardziej pożądanych młodzińców na Manhattanie. Panienki z ekskluzywnych klubów sportowych, które przeprowadzał przez westybul, idealne blondynki jak z taśmy produkcyjnej, gotowe były zabić, żeby zostać panią Vance. Dlatego ich wy-manikiurowane pazurki mocno go trzymały, dzięki czemu Drew przypadkowo został seryjnym pozeraczem serc niewieścich.

A Eddie i Tom, strażnicy i obserwatorzy otaczanych czcią przedpokoi, wiedzieli o wszystkim. Byli głównymi świadkami oskarżenia każdego z mieszkańców; znali ich wzloty i upadki, przyjaciół, wrogów, nabytki, wystrój wnętrza mieszkań, procesy sądowe. Traktowano ich jak stały element wyposażenia windy. Goście wychodzili z przyjęcia i plotkowali o gospodarzach („Ona naprawdę nic nie wie o jego flirtach, gdy rzekomo pracuje do późna”) albo komentowali ich gust („Okropny nowy Rauschenberg, to obraz z późniejszego okresu, tego się nie kolekcjonuje”). Portierzy chłonęli i magazynowali te brudy, katalogując towarzyskie afronty, romanse, triumfy.

– Widziałeś cycki tej laski, co ją Drew Vance tu wczoraj przyprowadził? – zapytał Tom, młody, przystojny dublińczyk. – O ja cię.

– Miałem chętkę na nią, na tej ławeczce w windzie, mamma mia – odpowiedział Eddie, Włoch rodem z Palermo, reprezentujący teraz drugie pokolenie mieszkańców Secaucus.

– Drew chyba nie ma jaj, za duży z niego lalusz, żeby dogodzić jej jak należy. Prenumeruje „GQ”. Założę się, że w ogóle nie umiał się do niej zabrać, ciota.

⁴⁴Elitarna gra indiańska, podobna do hokeja na trawie.

Arthur Korn miał za sobą długi dzień w pracy. Wysiadł z samochodu – nareszcie w domu. Na jego widok Eddie pośpieszył zamknąć drzwi pojazdu, a Tom, służbiście sztywniejac, rzucił się, żeby wziąć od niego nowiutką teczkę.

– Dobry wieczór, panie Korn – powiedział Tom uprzejmie.

– Dobry wieczór panu – dodał Eddie.

– Dobry wieczór, Tom, Eddie. Czy moje garnitury przyszły od krawca?

– W tej chwili jeszcze nie, ale zawieziemy je na górę, kiedy tylko je dostarczą.

Arthur podziękował i wszedł do windy. Numer jego piętra – 10 – już się świecił, wybrany na centralce portierskiej przez Eddiego, który dbał o to, aby lokatorzy czy goście mogli się dostać tylko na wyznaczone piętro. (Na czas przyjęć i w godzinach szczytu wzywano trzeciego portiera, który pracował jako windziarz, jakby samo wciśnięcie guzika mogło kogoś zbytnio zmęczyć).

– Farciarz – wymamrotał Eddie. – Chętnie bym bzyknął jego żonę.

– W bentleyu – dodał Tom z szelmowskim uśmiechem.

– Ty, ale wiesz, że ona była kiedyś z normalnej dzielnicy – przypomniał sobie Eddie. – I nie chodzi mi tu o przejażdżki samochodem.

– Ma coś z Heather Locklear. Seksowna.

Nagle obu znowu wysztywniło, a ich złośliwe szepty ustąpiły miejsca stosownym, grzecznym powitaniom.

– Miss Weston! Dobry wieczór. Proszę pozwolić, że wezmę pani pakunki.

Drzwi windy już się zamykały, kiedy Arthur usłyszał, jak wchodzi. Rozpoznał jej kroki, zanim Eddie zdążył cokolwiek powiedzieć.

– Miss Weston, przytrzymamy pani windę. – Tom niósł jej ozdobioną monogramem torbę od T. Anthony'ego i zakupy spożywcze z E*A*T.

– Dziękuję – odparła cicho.

Olśniewająco piękna dziedziczka miała dwadzieścia osiem lat i już wyceniono ją przynajmniej na sto milionów dolarów. Olivia Weston, córka Russella i Eleanor Westonów z Greenwich w Connecticut i Fisher's Island, jak i Prout's Neck w Maine, była prawdziwą piękną o zaróżowionej karnacji, jak z obrazu Whistlera, i posiadała wszystkie cechy autentycznej damy. Tak Arthur wyobrażał sobie tajemnicze istoty z nowojorskiej socjety.

Skinęła mu głową i odwróciła się, przyglądając się sunącej w górę windzie. Arthurowi zaczęły pocić się dłonie, gdy tylko weszła do środka i stanęła po jego lewej stronie, nieco bliżej drzwi. Zapach jej perfum przenikał całą przestrzeń, a on przyglądał się jej szyi, która wdziękiem i urodą dorównywała szyi Audrey Hepburn.

To dopiero prawdziwa klasa, pomyślał Arthur. Zastanawiał się, jak to możliwe, żeby ta idealna istota stała tak blisko niego: jej lśniąca włosy, perły, jej skóra – ta kobieta to ucieleśnienie doskonałości. Wydawała się taka czysta, taka nieskalana. Czuł się jak jakiś oszust, będąc z nią w tym samym miejscu.

Nagle, ku jego przerażeniu, w ciszy ich powolnego wznoszenia się zaburzało mu w brzuchu.

– Przepraszam – zawstydził się. – Nie jadłem lunchu.

Olivia spojrzała na niego i zanim się odwróciła, obdarzyła go krótkim półuśmiechem. Arthur poczuł się jak skończony idiota. Wiedział, że uznała go za światowej klasy palanta. Za starego, podrzędnego cieniasa. „Nie jadłem lunchu”. A co ją to, głupku, obchodzi!

Kobieta przesunęła idealnie białą dłońią po włosach. Ten prosty, zwyczajny gest sprawił, że Arthur o mało nie zemdlął z zachwytu.

– Piękny dzień, prawda? – rozpaczliwie starał się zatrzeć złe wrażenie i zagłuszyć dalsze odgłosy dobiegające z żołądka.

– Jesień w Nowym Jorku jest magiczna – zareagowała.

– O tak, to moja ulubiona pora roku – podchwycił.

– Moja też.

Jakie to dziwne. Arthur nie mógł uwierzyć, że mają tyle wspólnego! Oboje mieszkają w tym samym budynku, oboje uważają, że jesień jest najlepsza... Co ich łączy... o czym by tu...?

– A słyszała pani, że Jankesi...?

– Niespecjalnie interesuję się sportem – uśmiechnęła się bezradnie.

Winda stanęła na jej piętrze.

– Do widzenia. – Z uśmiechem zniknęła w swoim holu.

– Wspaniałego wieczoru! – powiedział Arthur ze zbytnią skwapliwością. Czuł się jak kompletne zero. Jankesi, cholera. Musiał poruszyć taki głupi temat? Oczywiście, że baseball jej nie obchodzi. Spanikował, bo o Jankesach zawsze mówił odruchowo, kiedy nie wiedział, o czym rozmawiać. Dlaczego tak to wychodzi? Zdawał sobie sprawę, że jest kiepski w towarzyskich pogaduszkach.

Drzwi windy otworzyły się na mały, elegancki hol ze stolikiem w stylu art déco i wytwornym bukietem dostarczanym co rano przez firmę Renny. (Była to dokładna kopia holu Vance'ów, mieszczącego się kilka pięter wyżej. Kiedy Melanie – desperacko starając się dopasować – „przypadkowo” zatrzymała się na ich piętrze i podejrziała wystrój, kazała dekoratorowi wewnątrz odtworzyć go u siebie włącznie ze stojakiem na parasolki). Arthur przekręcił klucz i wszedł do dwupoziomowego mieszkania o powierzchni ponad ośmiuset metrów kwadratowych. Zaanonsował się, wołając: „Dobry

wieczór!" – i ruszył na poszukiwanie swojej ukochanej. Zastał ją pogrążoną w lekturze.

– Hej, kochanie – pocałował ją w czoło. – Czytasz Torę?

Uśmiechnęła się, odkładając „Zagat” – przewodnik po restauracjach.

– Staralam się uspokoić. Jestem już przy K i nic z tego.

– Twój tata? – Arthur spytał pełen współczucia.

– O nim też myślałam, ale chodzi o coś innego...

– Co, ktoś ci ukradł kartę kredytową?

– Ha, ha, bardzo śmieszne. Miałam doskonały dzień, a przynajmniej tak mi się wydawało. Wygrałam z Gayfryd, bo udało mi się kupić ostatni rozmiar trzydzieści dwa u YSL – pokazany na okładce „Town & Country” – a potem wróciłam do domu i zobaczyłam to.

Melanie podsunęła mu nowy numer magazynu „10021”. Czasopismo, dostarczane gratis do najekskluzywniejszych budynków, na okładce zamieściło zdjęcie Olivii Weston opatrzone nagłówkiem: „NASTĘPNA MIMI HALSEY”. Przystrojona w powłóczystą spódnicę balową od Lacroix, kaszmirowy bliźniak od Ralphi Laurena i klejnoty babci, spoglądała spokojnie – wcielenie elegancji i niewymuszonej gracji. Przypominała nawet trochę młodą Diandre.

– To... Olivia Weston.

– Nazywają ją następną Mimi Halsey, która była następną Brooke Astor dziesięć lat temu.

– I?

– I to mnie martwi. Czuję, że nie mam co z tymi kobietami współzawodniczyć, że nigdy ich nie dogonię. No bo ta mała dziewczynka sieci aptek urodziła się ze srebrnym termometrem w tyłku. W życiu nie przepracowała ani jednego dnia, nie wspominając o

tym, że nie zrobiła niczego dla innych. Nie wie, czym jest prawdziwe życie, i jest „następną Mimi Halsey” wynoszoną ponad innych.

– Czemu się tak martwisz? Takie głupie tytuły jak ten są po to, żeby zwiększyć sprzedaż. – Poglaskała Melanie po głowie.

– Arthurze, oni go nie sprzedają. Jest darmowy dla wszystkich z naszym kodem pocztowym. Po prostu tego nie rozumiem. No bo staram się i staram: zbieram pieniądze, poświęcam swój czas, używam wszelkich możliwych wpływów, żeby takie sławy jak Gary Coleman czy Joan Lunden patronowali naszym imprezom, a nikt tego nie docenia.

– Docenią, kochanie. A poza tym może Olivia robi to dłużej.

– Robi co? – westchnęła Melanie. – Wiem na pewno, że po wyostosowaniu zaproszeń nie robi już nic. Ona tylko pozwala im używać swojego nazwiska, a na połowie spotkań w ogóle się nawet nie pojawia.

– Dlaczego tak cię to dręczy?

– Bo chcę wiedzieć, na czym polega mój błąd. – Melanie wyraźnie cierpiała. – Po prostu nie rozumiem. Zawsze uważałam, że szybko się uczę, ale tu się pogubiłam. No bo robimy dużo więcej niż tacy ludzie jak Olivia, a ja nadal jestem kimś spoza towarzystwa, a ona jego ozdobą. Daliśmy miliony na centrum onkologii Memorial Sloan-Kettering, na New York City Ballet, Museum of the City of New York, na ośrodek pomocy społecznej na Henry Street...

– Kochanie...

Osobiście przewodniczyłam niezliczonym imprezom dobroczynnym i pracowałam nad ich reklamą. A ona nie robi nic i jakimś cudem jest bohaterką, a ja? Napisała cieniutką – dziewięćdziesiąt siedem stron – „powieść autobiograficzną” o wakacjach na Fisher's Island, wielkie mi rzeczy.

– Tak?

– Robię wszystko, a nie znalazłam się na żadnym zdjęciu w tym numerze.

– Proszę, wyjaśnij mi, dlaczego ci zależy na tych głównianych zdjęciach. Przecież i tak są rozmiaru znaczka pocztowego.

Melanie zamilkła. Dobrze wiedziała, dlaczego jej zależy.

– Pan Guffey powiedział, że Diandra pojawiała się tam co drugi miesiąc.

Diandra, to o to tutaj chodzi? Arthur pragnął, żeby Melanie więcej o niej nie myślała, ale podejrzewał, że prowadzi jakieś zestawienie wyników. Ponownie pogłaskał ją po włosach.

– To bez znaczenia, dzieciaku. Nikt na to nie zwraca uwagi. – Zobaczył, jak na twarzy żony maluje się frustracja. Boże, ona tak bardzo chce być kochana. – Nie martw się – Arthur spróbował uspokoić jej skołatane nerwy, przytulając ją i całując. Ale kiedy była w takim stanie, nic nie mogło jej pomóc.

– Nawet Cordelia Vance, ta snobowata, gigantyczna tabletką valium, jest wymieniona jako jeden z najhojniejszych dobroczyńców – ciągnęła. – Nigdy nie okazała mi życzliwości, a ja zawsze staram się być miła. Jest taka lodowata. Nic dziwnego, że – jak mówią – Morgan zagląda do innych łóżek.

– Melanie, uspokój się. Nigdy nie wiadomo, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami.

– Arthur, w każdej plotce jest ziarenko prawdy. – Melanie gwałtownie obracała na palcu pierścionełkę zaręczynową z dziesięciokaratowym brylantem o szlifie Asschera. Bawiła się nim, kiedy była wściekła, a nawyk ten wziął się stąd, że próbowała zwrócić uwagę na swoją drogą błyskotkę, aby zrobić wrażenie na ludziach.

– Och, nie zawracaj mi tym głowy. – Arthur rzucił teczkę. – Marzę o kolacji. Umieram z głodu. – I ruszył w stronę jadalni.

Melanie zdała sobie sprawę, że przeholowała, więc postanowiła na razie zostawić ten temat. Chwyciła Arthura pod ramię i poszła z nim korytarzem.

– Zamówiłam twoje ulubione danie!

– Peklowana wołowina? – zapytał zaskoczony.

– Nie, głuptasie, *filet mignon*. – Uważała, że to powinno być jego ulubione danie.

– Och, świetnie.

Tuż przed jadalnią Melanie stanęła jak wryta.

– Kochanie – powiedziała poważnym głosem.

– Tak – zaniepokoił się Arthur.

– Wiem już, co muszę zrobić.

RS

-Co?

– Powinnam dostać się do zarządu Metropolitan Museum.

– O czym ty mówisz? Melanie położyła rękę na piersi.

– Pan Guffey wyjaśnił mi, że jedyny sposób na to, żeby ludzie zdali sobie sprawę, jaka ze mnie, z nas, potęga, to znaleźć się w tym zarządzie.

– Myślisz, że to pomoże?

– Oczywiście, że tak. Pamiętasz, kochanie, milion razy ci mówiłam: w Nowym Jorku pieniądze to ważny czynnik demokratyzujący, a jak oboje wiemy, każdy, kto ma ich dużo, może się wkupić do wyższych sfer. Ale żeby zostać naprawdę zaakceptowanym i szanowanym, trzeba się wkręcić do zarządu ważnej organizacji filantropijnej.

– Czy to jeszcze aktualne w dzisiejszych czasach?

– Całkowicie. W przeciwieństwie do Londynu, gdzie chodzi jedynie o ziemię i tytuł, w Nowym Jorku liczą się tylko zarządy. I muszą tam się dostać. Do najważniejszego. Do Met.

– No i proszę, kolejne miliony na kolejne muzeum – jęknął Arthur.

– Och, naprawdę, kochanie. Mówisz, jakby to był jakiś problem. Ludzie codziennie umierają. Powinieneś się tylko postarać, żeby więcej ciał znalazło się w trumnach Korna.

– Chcesz po trupach dojść do celu? – Arthur był rozbawiony.

– Wiem, wiem, jestem dziś wredna.

– Zawsze wychodzisz z siebie, kiedy czujesz wyzwanie; to ten zadziorny wojownik budzi się w tobie.

– Mówiłeś, że to we mnie uwielbiasz – drażniła się Melanie.

– Melanie, jesteś straszna – w głosie Arthura słychać było zarówno dumę, jak i oszołomienie. – A teraz chodź jeść. Umieram z głodu.

Melanie w końcu zmobilizowała się, żeby wyjść z domu po poranku spędzonym na niespiesznym przeglądaniu „New York Post”, „Women's Wear Daily”, „National Enquirer” i „Star”.

– Jakaś uroczysta kolacja? – zapytał pan Guffey. Melanie zamarała w przedpokoju.

– Nie...

– Och – pan Guffey wyrażał się lakonicznie, jak na Brytyjczyka przystało. Uniósł brwi i zmierzył ją wzrokiem.

– Skąd to pytanie? Przecież jest pora lunchu... – wydusiła z siebie łamiącym się głosem.

– Bez powodu, proszę pani – pan Guffey skrzywił się na widok kółka, jakie zostało na hebanowym stoliku po oszronionej szklance z pellegrino. Z dezaprobatą umieścił pod nią podstawkę, upewniając się, że chlebobawczynie dokładnie widzi jego reakcję na swoje niedbalstwo.

Melanie była kompletnie zdezorientowana. Kilka tygodni zajęło jej załatwienie sobie lunchu z dwiema nestorkami socjety, ale po jednym krytycznym komentarzu pana Guffeya od razu wiedziała, że nie wygląda odpowiednio.

– Uważa pan, że to zbyt strojne? – zapytała, rozchylając futro jak ekshibicjonista płaszcz. Odśloniła kwiecistą sukienkę w barwach jesiennych liści, idealnie, jak uważała, pasującą do rześkiego dnia,

oraz nowy rubinowy naszyjnik od Verdury, którym strasznie chciała się pochwalić.

– Pani wie najlepiej. – Pan Guffey ułożył w gigantyczny wachlarz bezładnie porozrzucane na ławie albumy o sztuce i powieści Jackie Collins.

Melanie zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Proszę. To bardzo ważny lunch i muszę wyglądać idealnie. Umówiłam się z Pat i Blaine – dodała z dumą. Wiedziała, że to zrobi wrażenie na panu Guffeyu. To brzmi tak, jakby powiedzieć, że wybiera się na lunch z Gwyneth i Umą, tylko lepiej.

– Rozumiem.

Melanie czekała, a pan Guffey przyglądał się jej uważnie.

– Zastanowiłbym się nad biżuterią – powiedział w końcu.

Proszę bardzo. Sigourney Weaver to samo powiedziała Melanie Griffith w *Pracującej dziewczynie* i pod koniec filmu Sigourney straciła pracę, a Melanie dostała nie tylko narożny gabinet, ale i Harrisona Forda.

– Phi! Mogę po prostu go zdjąć, to żaden problem. – Melanie szybko odpięła drogocenną kolbę i odłożyła ją z grzechotem na srebrną tacę stojącą na stoliku w przedpokoju. Już miała się odwrócić i wyjść, kiedy pan Guffey znowu się odezwał:

– Tutaj właściwie nikt nie wkłada sukni wieczorowej na lunch, ale może na Florydzie jest inaczej.

Melanie znowu się zatrzymała.

– Uważa pan, że to suknia wieczorowa? – zapytała przybita. – Sprzedawczyni powiedziała, że zdecydowanie mogę ją nosić nie tylko na specjalne okazje – broniła się. – W ciągu dnia i na wieczór.

– Oczywiście – pan Guffey metodycznie porządkował piloty do telewizorów – jeżeli sprzedawczyni tak powiedziały...

Melanie zgłupiała. Czas ją gonił i potrzebowała pomocy. Gdzie jest Emmę i jej drużyna z programu *Fashion Emergency*⁷.

– Proszę, panie Guffey. Niech mi pan pomoże coś wybrać. Nie mam dużo czasu.

Kilka minut później stali w pokoju o wymiarach pięć na pięć i pół metra, służącym jej za garderobę. Melanie niecierpliwiła się, rozpaczliwie chcąc ponaglić pana Guffeya, ale paraliżowało ją przerażenie, że w ogóle odmówi jej pomocy, jeżeli na niego krzyknie. W milczeniu przygryzała wargi.

Cmokając z niezadowoleniem na większość jej ubrań, pan Guffey w końcu wyciągnął garnitur w kolorze morskiej trawy od YSL, pantofle na obcasie od Sergia Rossiego i delikatną złotą bransoletkę od Harry'ego Winstona.

– Doskonale, panie Guffey. Dziękuję. – Melanie obracała się przed lustrem pokazującym całą sylwetkę z kilku perspektyw.

Pan Guffey podążył za nią do holu, gdzie chwyciła futro i zaczęła się w nie opatulać.

– Proszę pani, może warto byłoby zastanowić się nad futrem.

– Och, nie. Tu na pewno się pan myli – powiedziała pewnym siebie tonem, szczęśliwa, że ona też coś w końcu wie. – Futro zawsze jest stosowne. Dowiedziałam się tego dawno temu, kiedy pracowałam w hotelarstwie. Widzisz kogoś w futrze i od razu wiesz, że to ktoś, z kim trzeba się liczyć. Ale dzięki za pomoc. – Melanie wyciągnęła włosy spod kołnierza, rozrzuciła je na ramionach i otworzyła drzwi.

Pan Guffey wręczył jej kremową pikowaną torebkę i zamknął za nią drzwi. Wrócił do kuchni, kręcąc głową. Nie był w stanie uwierzyć, że takie bezguście jest jego obecną chlebodawczynią. O rany,

ale by się stara paczka z prywatnej szkoły w Mayfair uśmieła. Początkowo pracował dla pierwszej pani Korn, kiedy jeszcze była panią Notbridge z Park Avenue numer 951 i żoną specja od inwestycji z dość dobrej rodziny. Został z nią, kiedy przeprowadziła się na Park Avenue numer 772 z panem Paulsonem, drugim mężem, zajmującym się importem i eksportem. Towarzyszył jej, kiedy wyszła za mąż za pana Korna. Choć ten pochodził z rodziny, jaką chciałoby się spuścić w toalecie. Pan Guffey był gotów dzielić życie z Diandrą i panem Diazem, jej ostatnim mężem, dopóki nie poinformowała go, że przeprowadza się na Florydę. Na tym koniec. Tamtejszy klimat nie służył cerze pana Guffeya ani nie pasował do jego stylu życia, więc zgodził się zostać z panem Kornem. I jak się potem okazało, był nawet dość zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Dogłądanie domostwa nie wymagało zbyt wiele wysiłku, jako że pierwsza pani Korn zabrała z sobą większość mebli. Pan Korn rzadko przyjmował gości, a jeżeli już, była to zgraja starych kumpli, zadowolających się orzeszkami i Jackiem Danielsem. Łatwo było wprawić ich w zachwyty, pod warunkiem że nie brakowało mrozonek odgrzewanych w mikrofali, a proporcja alkoholu do wody sodowej w drinkach wynosiła cztery do jednego.

I wtedy, pewnego dnia, ni stąd, ni zowąd, pojawiła się Melanie. Pan Guffey uznał, że pan Korn chce, żeby zsiusiał się ze śmiechu (czyli robi sobie z niego jaja, w brytyjskiej odmianie angielszczyzny), przedstawiając ją jako następną panią Korn. Ale kiedy zdał sobie sprawę, że to na poważnie, że ta dziwna istota skąpana w Glow by J.Lo ma tu zamieszkać, natychmiast poinformował, że zamierza odejść, i zaczął szukać innej posady. Robił to bez większego przekonania przez kilka miesięcy, kiedy Kornowie odbywali podróż poślubną po Europie.

Po ich powrocie zintensyfikował poszukiwania. Ta kobieta doprowadzała go do szału, denerwowało go, gdy skrapiała pokoje CK One, to jak wymawiała „s” w *hors d'oeuvres* i te jej żalosne próby zbudowania życia towarzyskiego. Ale Melanie była nim olśniona – może z powodu jego brytyjskiego akcentu albo posługiwania się taką angielszczyzną, jakiej używała rodzina królewska, a być może dlatego, że uważała go za najbardziej wytworną osobę, jaką widziała na oczy. W efekcie zmusiła Arthura, żeby ten go błagał o pozostanie. Z początku pan Guffey odmówił. Należy dbać o swoją reputację. Ale kiedy najpierw podwoili, a potem potroili jego pensję, uległ.

Teraz zaczynało go to właściwie bawić. Wszystko w Melanie było takie oczywiste, krzykliwe, dobitne, takie amerykańskie. Czasami wydawało mu się, że jego życie zmieniło się w komedię sytuacyjną. Właśnie wtedy, kiedy sądził, że ta żalosna kobieta nie może popełnić większego *faux pas* niż ostatnie, ona prześcigała samą siebie. Doprawdy, trudno mu było uwierzyć, że żaden autor gagów nie dostarcza jej scenariusza. A kiedy zdał sobie sprawę, że Melanie jednocześnie boi się go i czci oraz że jej ignorancja w kwestii wszystkiego, co gustowne i eleganckie, zaczyna do niej boleśnie docierać, zrozumiał, jaką ma wspaniałą rozrywkę. Kilka zdawkowych uwag, wyniosłych spojrzeń plus jego ulubione zagranie – uniesione brwi – i już Melanie błagała go o radę. Taka mała, niewinna zabawa. Pani Melanie Korn tańczyła tak, jak on zagrał. Ilu kamerdynerów może się czymś takim pochwalić?

– To współczesny Michał Anioł.

– Rodin.

Wendy i Joan usadowiły się na narożnej wyściełanej kanapie w tylnej sali restauracji Swifty's, wśród innych wyper-fumowanych dam, które wpadły na swój suto zakrapiany alkoholem lunch. Wszystkie kobiety wystrojone jak spod igły – był to, w pewnym sensie, pokaz mody, mający na celu olśnienie nie mężów, ale koleżanek. Długą wąską restaurację jak zwykle wypełniał tłum. Tego dnia byli niemal wszyscy liczący się: Dominick Dunne z Nan Kempner w jednym rogu, felietonistka działu towarzyskiego z „W” w drugim i jeszcze w przedniej części lokalu siostry Miller urządziły sobie minizjazd rodzinny. Oczy Joan i Wendy spoczywały na Corde-
lii, która szykowała się do wyjścia.

– Ale ona dopiero co się odmładzała dwa lata temu – powątpiewała Wendy. – Jesteś pewna? No, wygląda fantastycznie...

– Przed chwilą widziałam ją w toalecie. Tam są świetlówki – mówiła Joan z takim przekonaniem i powagą, jakby zajmowała miejsce dla świadka w sądzie.

– Och. One zdradzą wszystko.

– O tak. To musi być robota Sherrella Astona. Z daleka poznam jego rękę.

– Tak jak mówiłam, to artysta – stwierdziła Wendy.

– Wiem, że poprzednio poprawiła co się dało: tłuszcz na szyi, oczy, biust, podbródek. Wszyściutko.

Joan dostrzegła swoje odbicie w tym cholernym lustrze nad głową Wendy i zacisnęła usta, wciągając policzki, żeby obejrzeć kości policzkowe i sprawdzić stan zmarszczek.

– Powinnam się trochę podretuszować – uznała.

– Noo, ja też.

– Nadchodzi.

W ich kierunku zmierzała Cordelia z niedbale przerzuconym przez ramię nowym szalem z shahtoosh. Koło niej kroczył Jerome de Stingol, przysadzisty legendarny towarzysz dam/dekorator wnętrz/projektant, a po zmroku – podobno – ciota sadomaso.

– Dzień dobry, Wendy, Joan – uprzejmie pozdrowiła je Cordelia.

– Cord! – Wendy udawała zdziwienie na jej widok. – I *monsieur* de Stingol!

Jerome pocałował Wendy w rękę, a potem Joan.

– Moje drogie – wygłosił to z takim dramatyzmem, jakby deklamował monolog z *Hamleta*. – Wyglądacie urrr-roczno – dodał, wymawiając „r” z wibracją w stylu Juana Peróna.

– Jesteś taki słodki – zarumieniła się Wendy.

– Wybieracie się na małe zakupy? – zapytała Joan.

– Oczywiście! – Jerome pochylił się konspiracyjnie i wyszeptał: – Gołąbek w sosie miętowym jest po prostu boski. Koniecznie zamówcie.

– Koniecznie – zareagowała Joan. – Zawsze polegamy na twoim dobrym smaku.

Jerome uklonił się, wziął Cordelię pod ramię i wyszli na Lexington Avenue.

Kobiety zamilkły, wstrzymując oddech, dopóki ta dwójka nie przeszła wzdłuż restauracyjnego okna i nie zniknęła im z oczu. Wtedy dały upust emocjom.

– To obrzydliwy człowiek.

– Podły typ.

– Prawda? – powiedziała Wendy. – Nigdy nie byłam w stanie go znieść. Nie wiem, jak Cordelia z nim wytrzymuje.

– To jej jedyny prawdziwy przyjaciel – westchnęła Joan.

– Założę się, że ona nawet nie wie, że „de Stingol” to anagram „Goldstein”.

– Oczywiście, że nie wie. Ta babka ma chyba klapki na oczach.

– Wendy pokręciła głową. – Chociaż... – dodała, unosząc brwi (idealnie skorygowane przez Svetlane w salonie Georgette Klinger)

– słyszałam, że on też, że tak powiem, miewa zawiązane oczy. Niegrzeczny chłopczyk. Podobno ma jakieś ciekawe zajęcia w Harlemie.

– Coś podobnego.

– *Oui.*

Podszedł kelner. Obie zamówiły gołąbka w sosie miętowym.

– A Cordelia jest autentycznie uzależniona od zakupów

– Joan martwiła się, jakby chodziło o heroinę, a nie o markowe ubrania w rozmiarze trzydzieści cztery.

– Na olimpiadzie zdobyłaby medal.

– Zawsze jest ubrana w najnowsze stroje.

– I obwieszona biżuterią.

– Widać tak Morgan wynagradza jej swoje romanse. Wendy zastanowiła się przez chwilę.

– Nie – stwierdziła. – Moim zdaniem ona po prostu lubi kupować.

– No, oczywiście. Mówię tylko, że to emocjonalny plaster – dodała Joan. – No bo na aukcji w zeszłym tygodniu ciągle podnosiła tabliczkę! Myślałam, że złapał ją jakiś skurcz czy coś takiego.

– Marnuje tylko życie.

Nagle dwie kobiety usłyszały krzyki dochodzące z przedniej części restauracji. Wyprostowały się nerwowo, chwytając torebki od Hermesa, model Kelly, i patrząc na siebie z niepokojem. Męski głos stał się wyraźniejszy i do ich sali wpadł otyły typ o przetłuszczonych włosach, niosący gigantyczny plakat z napisem „FUTRO TO MORDERSTWO”, wykonanym farbą imitującą krew. Człowiek ten nosił T-shirt z logo ZET (Zwierzęta Etycznie Traktuj) – organizacji, która regularnie napastowała miłośniczki futrzanych okryć. Rzucił głową wte i wewte, jego paciorkowate oczy szukały czegoś lub kogoś, wreszcie, dojrawszy swą ofiarę, pomaszerował do stolika lady Beatrice Harvey. Bywalczyni salonów niedawno przejęła kierownictwo „Harper's Bazaar”.

– Przesyłka specjalna dla lady Haahwi!

Beatrice podniosła wzrok akurat, gdy szalenic rzucił zakrwawione ścierwo szopa pracza na jej talerz. Jak w zwolnionym tempie wylądowało ono z chlupnięciem na talerzu z sałatką, rozpryskując kropelki octu balsamicznego i oliwy po całym obrusie. Osoba towarzysząca Beatrice odskoczyła, lecz ona siedziała nieporuszona z kamienną twarzą. Tłum w sali wydał stłumiony okrzyk przerażenia, gdy szop ześlizgnął się z talerza na podłogę. Wszystko było zachłapane krwią, choć garnitur Beatrice od Calvina Kleina pozostał na szczęście nietknięty.

– FUTRO TO MORDERSTWO! Jesteście MORDERCZYNIAMI! MOR-DER-CZY-NIA-MI!

Trzech kelnerów zdołało wyciągnąć awanturnika z restauracji, podczas gdy dwóch innych usunęło ścierwo.

Béatrice, niespeszona, poprosiła o nowy stek. Bardzo krwisty.

Joan i Wendy siedziały jak sparaliżowane. Nie ze strachu, ale z podniecenia, że uczestniczyły w czymś, co przejdzie do historii i bę-

dzie się rozprzestrzeniało po całym mieście jak pożar podczas suszy. A one zapalały zapalkę.

– Mój Boże, o co tu chodziło? – zaczęła Joan.

– Działacze na rzecz praw zwierząt. – Wendy wzruszyła ramionami. – Biedacy, nie zdają sobie sprawy, że ich akcja jest w stylu końcówki lat osiemdziesiątych.

– Mam ich już dosyć. Kiedy córka Binky związała się z „Vogue” to wszyscy pracownicy pisma musieli mieć ochroniarzy, gdy robili numer pod hasłem „powrót futra”.

Wendy miała już coś powiedzieć, kiedy zauważyła wchodzącą Melanie Korn w olbrzymim białym futrze. Był rześki wrześnieowy dzień, o wiele za ciepły, żeby usprawiedliwić noszenie takiego okrycia.

Melanie zobaczyła obie panie i postanowiła do nich podejść. Były superonieśmielające, ale musiała się im podlizywać, bo udać, że ich nie widzi, byłoby jeszcze gorzej. Zrobiła głęboki wdech i nakazała sobie odwagę.

– Co to było za zamieszanie? – zapytała Wendy i Joan.

– To te protestujące przeciwko futrom ofiary losu ze Zwierzęta Etycznie Traktuj – zaczęła Wendy.

– Napastują ludzi, którzy prowadzą prawdziwe życie – dodała Joan.

– Powinni znaleźć sobie jakąś pracę – skwitowała Wendy. Obie starały się zbagatelizować całą historię, żeby nikt jej nie zdążył rozpowszechnić przed nimi.

– Och, taa, to już takie, no... nieaktualne – Melanie nie mogła wymyślić nic lepszego.

Joan i Wendy wpatrywały się w nią tępo. Melanie poczuła się jak idiotka, więc szybko postanowiła się wycofać.

– No to uciekam, mam lunch z Pat i Blaine. Na razie!

Pomachała im i odeszła. Kiedy się odwróciła, oczy Wendy i Joan powiększyły się do rozmiarów porcelanowych talerzy stojących na ich stole: z tyłu na futrze pani Korn widniała gigantyczna plama czerwonej farby. Joan i Wendy nie były w stanie się opanować i wybuchnęły śmiechem.

RS

Arthur zachowywał się jak dziecko, kiedy tylko musiał iść tam, gdzie jego zdaniem było zbyt elegancko i przytłaczająco – udać się do takiego miejsca, to jak podbić cały Nowy Jork. Więc z tym swoim naiwnym entuzjazmem susami zbiegał po schodach do słynnego i szanowanego klubu 21 na Fifty-second Street. Jako że prawie natychmiast wyrobił sobie opinię stałego bywalca, Harry i Shaker, którzy stali się niemal instytucją, powitali go ciepło i pomogli zdjąć płaszcz firmy Burberry.

Idąc do sali klubowej, Arthur przechodził koło stojaka, na widok którego stanął jak wryty. Zobaczył bowiem powiększoną do rozmiarów plakatu okładkę magazynu „10021” z Olivia Weston. Krzykliwy nagłówek „NASTĘPNA MIMI HALSEY” aż prosił się o sprzeciw – był tak ostentacyjny.

– Harry, co to jest? – zapytał.

– Magazyn „10021” urządza dziś na górze lunch na cześć panny Weston.

– Na górze? Teraz?

– Tak, panie Korn.

– Ciekawe.

Olivia Weston jest na górze, właśnie w tej chwili! Co za zbieg okoliczności! Czy na pewno? Arthur zawahał się, z roztargnieniem przywitał się ze swoim przyjacielem, Peterem Hartnettem, z którym

tu się umówił. Wyobrażał sobie, że siedzi na górze i oddycha tym samym wonnym powietrzem co jego młoda sąsiadka powieściopisarka.

Tymczasem piętro wyżej uroczystość „10021” trwała w najlepsze. Olivia, od stóp do głów w kreacji marki Michael Kors, siedziała pomiędzy swoimi kochanymi przyjaciółkami, Rosemary Peniston i Lilą Meyer, których zdjęcia z przyjęć często pojawiały się w rozmaitych żurnalach i kronikach towarzyskich.

– No, cała rodzina jest przerażona, przerażona, ponieważ brat Brooke, Harpo, chce się przeprowadzić do centrum. Jej babcia prawie ma zawał, a matka wychodzi z siebie, no bo do samiuteńkiego centrum! – Rosemary jak zwykle mówiła dramatycznym głosem. Była solidnej budowy, a wszystko w niej zdawało się niepohamowanie wybuchać – jej grzmiący głos z akcentem z Connecticut wydobywający się przez zaciśnięte szczęki, wielki, układany codziennie przez fryzjera, błyszczący czarny kok, obfite piersi ledwie przytrzymywane przez miseczki D oraz niespożyta energia. Prawdziwa petarda. I jak większość przysadzistych bogatych osób, kolekcjonowała drogie buty i biżuterię. Szaleństwo towarzyszące zakupom równoważyła cierpliwość w trakcie przymierzania. – Więc Brooke mówi do Harpo: „Czemu chcesz się przeprowadzić do centrum? Co tam, do licha, jest takiego, czego nie znajdziesz tu?”. A on: „Jestem młody i chcę żyć pełnią życia”. Szok. No to zrozpaczona Brooke: „Muszę tam pojechać i zobaczyć na własne oczy, gdzie on chce mieszkać”. Wsiadłyśmy do mojego samochodu – na szczęście kierowca wiedział, jak się tam dostać – i zatrzymujemy się na rogu Eleventh Street i Fifth Avenue, i wyobrażasz sobie, co widzimy? Markizy!

Zielone markizy! Rzecz jasna, Brooke spadł kamień z serca. Kto by pomyślał? Mają tam markizy nad wejściami.

– Oczywiście, że tak, Rosemary – powiedziała Lila powściągliwie. Z umiarkowaną energią i patykowatą figurą stanowiła wyraźne przeciwieństwo swojej najlepszej przyjaciółki. – To się nazywa Złote Wybrzeże. Bardzo szykowna okolica.

– Często tam bywam, jest naprawdę miło – poświadczyła Olivia.

– Ja tam nigdy nie byłam. Po prostu nie mogę uwierzyć, że tam są zielone markizy!

– Nigdy nie byłeś w Forbes Museum? – zapytała Lila.

– Nie, a co Forbesowie tam robią?

– Nie wiem, ale mają wielką kolekcję pamiątek po Lincolnie.

Powinnaś zobaczyć – doradziła Lila.

– A co mnie obchodzą pamiątki po Lincolnie?

– Nie wiem, to po prostu ciekawe. Jak myślisz, Olivia?

Przez większą część lunchu Olivia milczała, choć wszystkiego słuchała uważnie. Nie była gadułą, starannie dobierała słowa, zanim się odezwała. Dzięki temu słuchacze zawsze cenili jej poglądy.

– Niewiele wiem o Lincolnie, ale chybabym chciała się czegoś dowiedzieć. Wybierzmy się do tego muzeum w przyszły weekend, co? – zaproponowała.

– Może być fajnie – uznała Lila. – Jak szkolna wycieczka. Chodziliśmy na takie w Brearley.

– Dobra, pod warunkiem że weźmiemy mojego kierowcę – zgodziła się Rosemary. – Fritz jest wielki i ochroni nas przed wszystkim.

– Świetny pomysł – powiedziała Lila.

W tym czasie Peter doradzał Arthurowi w sprawie manhattańskich klubów. Dla większości osób Peter był niepoprawnym snobem, pogardzanym zarówno za pompatyczne nudziarstwo, jak i sępienie. Przypadkowe spotkanie z Arthurem u fryzjera przerodziło

się w coś w rodzaju przyjaźni, nabrali też zwyczaju chodzenia raz w miesiącu na wspólny lunch. Arthur regulował rachunek, a Peter organizował mu przyśpieszony kurs dotyczący zawilosci ich świata.

– Moim zdaniem to zbyt ciężkie zapisywać się i do River Club, i do Knickerbocker. Wybierz jeden, na litość boską. Jeżeli chcesz grać w tenisa, to River, jeżeli chcesz czyste martini – Knick. Osobiście polecałbym Brook – głądził Peter. – Chociaż jestem członkiem wszystkich wyżej wymienionych.

Arthur zjadł kęs zapiekanki z siekanego kurczaka i ziemniaków. Trudno połapać się w tych klubowych bzdetach. Z jednej strony zdawał sobie sprawę, że to tylko tereny hodowlane szlachetnie urodzonych, z kiepskim żarciem (biała anglo-amerykańska elita nie zna się na kuchni) i koktajlami za siedemnaście dolców. Ale z drugiej strony nie ma nic bardziej prestiżowego. Bo pomyśleć, że może należeć do tego samego klubu, w którym Rockefeller wyciskał z siebie siódme poty na korcie do squasha. Ojciec Arthura dałby się za to pokroić.

– Do Links się nie dostaniesz – Peter się rozkręcał. – Syn Tada Sinclaire'a ledwie się wcisnął. A McKinley Fister to jest ktoś, kogo powinni przyjąć z otwartymi ramionami, pięć pokoleń...

Zwykle Arthur notowałby dostarczane przez Petera informacje, ale dziś skupiony był na czymś innym, w trakcie diatryby snutej przez przyjaciela. Nie przestawał myśleć o tym, że Olivia Weston jest na górze. Czy to przeznaczenie, że ciągle na nią wpada? Zawsze tak blisko – w kamienicy, teraz w restauracji... Peterowi nie przeszkadzało to jego rozkojarzenie – nie zauważyłby nawet, gdyby Arthur słowem się nie odezwał – tak uwielbiał brzmienie własnego głosu.

– Widzisz, problemem, jeżeli chodzi o te kluby, są zięciowie. Kolesie, którzy żenią się z córkami długoletnich członków i zabierają

się do ulokowania swoich tyłków w każdym zarządzie i w każdym Komitecie – tak żeby mogli nad wszystkim panować i dopuszczać tylko swoich. Potem są pierwsi w kolejce do spadku, nieustannie starają się wpuścić trochę świeżej krwi. – Peter dał znak kelnerowi, żeby przyniósł mu kolejne martini. – Ci goście w Union Club naprawdę bruździli młodemu Higby'emu, a jego dziadek był jednym z założycieli, na litość boską. Potem nie chcieli przyjąć Matthew Nicholsona tylko dlatego, że firma przeniosła go na rok do Londynu. Myśleli, że dostanie członkostwo, a potem nie wróci. Paradoksalne, bo ci zięciowie nawet nie zostaliby tam nigdy wpuszczeni, gdyby się nie wżenili. A teraz się panoszą.

W Olivii atrakcyjne jest to, uznał Arthur, że jest zarówno nieuchwytna i urzekająca. Nie mówiąc już o tym, że stanowi jego dokładne przeciwieństwo. Gdy w nim wszystko jest niezdarne i niezgrabne, każdy jej ruch, aż po najdrobniejszy gest, jest pełen gracji. Mieszanka swobody i naturalności. Jej ubrania nigdy się nie gniołają, włosy nigdy nie wymykają się spod kontroli. Prawdopodobnie nie poci się w siłowni. A tak naprawdę, założyłby się o cały majątek, to pewnie nawet nie musi tam chodzić, bo taką figurę ma z natury. Jest jak pełna godności, smukła, otulona taftą kobieta z obrazu – czy wytworna księżniczka zasuwałaby po bieżni w siłowni Equinox? Oczywiście, że nie.

Atrybuty, które odróżniają ją od całej reszty, to kombinacja niewymuszonej elegancji, niepowtarzalnego stylu i aury tajemniczości. Coś nieuchwytnego. Jego matka określiłaby ją jako dobrze poukładaną. I wszyscy o tym wiedzą, ponieważ właśnie w tej chwili odbywa się spotkanie na jej cześć. Rety, jak bardzo chciałby być muchą na ścianie piętro wyżej. Żeby tylko na nią zerknąć.

– Przepraszam, muszę skorzystać z toalety – podniósł się od stolika.

Peter kiwnął głową.

Męska toaleta była na dole, ale nie miało to znaczenia. Arthur pojawił się przed drzwiami ustronnej sali, kiedy Clara Coste, redaktorka „10021” szykowała się do przemowy. Zlustrował pomieszczenie przez szparę w drzwiach, szukając Olivii, i po przedarciu się przez morze idealnie wystrojonych młodych kobiet jego wzrok spoczął na główce o ciemnych, lśniących włosach. To ona, istna doskonałość.

– Drogie panie – zaczęła Clara – czuję się zaszczycona, że pojawiłyście się tutaj na cześć bohaterki naszej wrześnieowej okładki.

Szmer rozmów ucichł i uwaga wszystkich skupiła się na Clarze.

– Zawsze trudno zdecydować, kogo umieścić na okładce naszego najważniejszego numeru, i zazwyczaj ja i inni redaktorzy łamiemy sobie głowę, próbując wybrać odpowiednią osobę. Ale nie tym razem. Po prostu wiedzieliśmy. Kiedy postanowiliśmy zrobić numer poświęcony działalności charytatywnej w naszym mieście i znaleźć potencjalną następczynię legendarnej filantropia wszech czasów – niesamowitej Mimi Halsey – od razu wiedzieliśmy, że tylko jedna osoba godna jest tego wyboru: Olivia Weston.

Zerwała się burza oklasków i tuziny zazdrosnych spojrzeń zwróciły się ku Olivii. Uśmiechnęła się lekko, z malującą się na twarzy skromnością i zawstydzeniem, ale i świadomością, że jej się to należy.

– Drogie panie, ta dziewczyna ma wszystko – ciągnęła Clara.

– Nie ma drugiej takiej w naszym społeczeństwie, z takim stylem, intelektem i, nie ukrywajmy tego, zniewalającą urodą. Jest jasno świecąca gwiazdą „10021” i, powiem wam, wznosi się jeszcze wyżej. Więc wznieśmy toast na cześć Olivii.

Wszyscy unieśli kieliszki i w sali rozległo się kilka słabych „za Olivie”. Arthur patrzył, jak bohaterka wieczoru wchodzi na podium. Szelest jej kremowej sukni był muzyką dla jego uszu, a oczy zwężyły

mu się na widok jej delikatnych dłoni, które uniosły rąbek spódnicy, żeby się nie potknąć. Stała wyprostowana, zręcznie wyjęła okulary ze zdobionego klejnotami futerału. Wyglądała tak elegancko, że Arthur zakrztusił się i zaczął kaszleć. Olivia podniosła wzrok, żeby sprawdzić, kto tak hałasuje, i wszystkie kobiety obróciły na niego spojrzenia. Arthur szybko rzucił się do łazienki i oparł o drzwi, cały spocony.

– Dziękuję wam za ten wyjątkowy zaszczyt – zaczęła Olivia. – Jakie szczególne spotkanie...

Pracownik obsługi wpatrywał się w Arthura, który włożył dłonie pod zimną wodę i ochlapał sobie twarz; potem przyjął podany ręcznik, wytarł ręce i czoło. Wyprostował krawat, rzucił banknot pięciodolarowy na tacę, zaczerpnął głęboko powietrza i opanował się przed wyjściem. Zerknął znowu do sali i wpatrzył się w Olivie. Poczował, że ich spojrzenia spotykają się, i w tym momencie przepadł z kretesem. W głowie tłukły mu orkiestrowe kotły, serce pędziło jak prawie nic nie ważący dzokeje na torze wyścigowym Saratoga. Widział jak przez mgłę – zupełnie jakby oglądał nocne niebo na obrazie van Gogha. Był całkowicie oczarowany. Może nawet zakochany.

Morgan wyglądał potwornie: niestarannie ogolony, ubranie – zawsze tak idealne – pomięte, koszula byle jak wciśnięta za pasek. A te worki pod oczami, ach, tak olbrzymie, że mógłby je ozdobić monogramem i sprzedawać u T. Antho-ny'ego po sześćset dolarów jako torby podróżne. Pojawiał się – pod przymusem – na każde zawołanie Marii w czasie jej pobytu w szpitalu. A przy jego wsza-
wym szczęściu musiała tam spędzić prawie sześć dni z powodu ja-
kiejś infekcji czy utraty krwi (błagał, żeby mu oszczędzono szcze-
gółów). W efekcie zakradał się na oddział porodowy jak tajny agent,
kryjąc się przed każdym, kto wyglądał znajomo, wymyślając kolejne
kłamstwa, żeby uniknąć zdemaskowania, i pogrążając się w coraz
bardziej przerażającą czeluść, w którą sam się wpakował.

Ale to już wreszcie koniec, ostatni raz. Właśnie przyjechał zabrać
swoją utrzymankę i to bękarcie maleństwo, Schuyler. Przywiózł jej
wspaniałe spaghetti – ona się będzie zajadać, a on tymczasem spa-
kuje jej rzeczy. Uzgodnił z lekarzami, żeby ją wsadzili na wózek i
zawieźli przez tylne wyjście do taksówki stojącej na rogu. Kiedy do-
jadą do jej mieszkania, wręczy jej czek na sporą sumkę i będzie się
modlił, żeby ją to zadowoliło. A potem: żegnaj, kochanie. Nie ma in-
nej możliwości.

Pół godziny przed północą Morgan włókł się korytarzami New
York Hospital ze zwieszoną głową, spuszczonej oczami i dyndają-

cą w prawej ręce torbą z restauracji Gino z jedzeniem na wynos. Powtarzał sobie w myśli słowa, jakich użyje, żeby pozbyć się Marii ze swojego życia.

– Morgan!

Wydawało mu się, że usłyszał swoje imię, ale nie był pewien, więc przyśpieszył kroku.

– Mor-gan! – zawołał śpiewny kobiecy głos. O, cholera. Muszę stąd zniknąć.

– Morgan Vance! – zaryczał mężczyzna.

Nie ma ucieczki. Morgan odwrócił się. To Regina i Carl Batesowie. Machają dziko rękoma, a on jest wspaniale oświetlony tymi wszechobecnymi świetlówkami.

– Morgan! – podeszli. – Co ty tutaj robisz? Wykonał głęboki wdech i przełknął ślinę. Co ma im, do cholery, powiedzieć?

– A w y co tu robicie? – odwrócił sytuację.

Mieli wypieki z podekscytowania i widać było, że aż pękają, żeby podzielić się wiadomością.

– Liddy właśnie zaczęła rodzić. Znasz naszą córkę Liddy? To jej pierwsze dziecko. Powiedzieliśmy jej, żeby niezwłocznie do nas zadzwoniła, jak tylko odejdą jej wody. Koniecznie musimy z nią być. No i Jeffrey zadzwonił dwadzieścia minut temu, i przyjechaliśmy! Jesteśmy gotowi tu siedzieć całą noc. To nasz pierwszy wnuk i nie zamierzamy stracić ani sekundy – Regina zalała go potokiem słów.

– A biorąc pod uwagę tempo, w jakim zabiera się do tego Preston, to może być i ostatni – dodał Carl. – Trzydzieści sześć lat i ciągle kawaler.

– Och, Carl – trąciła go z przyganą Regina. – Tak czy inaczej, jesteśmy po prostu zachwyceni, zachwyceni. To takie ekscytujące. Oczywiście nie wybieramy się na salę porodową, to trochę w stylu

New Age, nie sądzisz? Bardzo kalifornijskie, wiesz, cała rodzina i krewni, i kamera wideo czeka na małą główkę. Nie w naszym stylu.

– Nigdy w życiu – pokręcił głową Carl.

– Będziemy po prostu w poczekalni, jak długo będzie trzeba.

– Właśnie dlatego nazywa się to poczekalnia.

– Więc będziemy czekać.

– Cudownie, pozdrówcie ode mnie Liddy – Morgan miał nadzieję, że jakoś się wykręci.

– A ty tutaj chyba...? Nie, twoi chłopcy są jeszcze za młodzi. Co tu robisz?

Ich gładzenie dało mu trochę czasu do namysłu.

– Och, moja... ee... asystentka właśnie urodziła.

– Aach – powiedzieli zgodnie, ale wyglądali na nieco zdezorientowanych.

– Ona tu nie ma żadnej rodziny... Jest z Meksyku, upośledzona społecznie, sama wszystko zdobyła, naprawdę ciężko pracowała. Więc ja... ee... przyszedłem ją odwiedzić. Pomyślałem, że tak należy.

To były magiczne słowa dla osób z jego kręgu. Batesowie energicznie pokiwali głowami. To niesamowite, jest coraz lepszy. W kłamaniu.

– Morgan, to wspaniale z twojej strony – powiedziała Regina z powagą.

– Cóż, przynajmniej tyle mogę zrobić. Carl dotknął jego ramienia.

– Jestem pewien, że jej rodzina to docenia. Morgan przytaknął.

– Tak. To dobrzy ludzie, z tego, co wiem.

– To musi być okropne nie mieć przy sobie rodziny, kiedy wydajesz dziecko na świat.

– Ciężka sprawa – zgodził się Morgan.

– Brawo, Morgan – pochwalił go Carl.

Zamilkli. Widać było, że Carl i Regina chcą już być przy córce.

– Zostawię was, pójdę zanieść jedzenie mojej asystentce – pokazał na torbę.

– Oczywiście! Nie chcemy cię zatrzymywać.

– Wszystkiego najlepszego dla was i Liddy.

– I dla twojej asystentki – odwzajemniła się Regina. Kiedy odeszli, Morgan popędził do pokoju Marii, przerażony, że za chwilę znowu na kogoś wpadnie.

– Gdzieś ty, cholera, był? – warknęła na jego widok.

Była ubrana szokująco, w najbardziej niestosowny różowy strój, piętnastocentymetrowe szpilki i puchate boa. Z furią szczotkowała włosy i komenderowała dwiema Meksykankami, które pomagały jej się umalować.

– Dobry wieczór? – powiedział do nich niepewnie.

– To Bianca i Lourdes, moje najlepsze przyjaciółki. Jadą z nami do domu.

– Cudownie. Miło mi was poznać. – Postawił plastikowy pojemnik na stole.

Obejrzały Morgana uważnie od stóp do głów i zaczęły chichotać. Zakryły dłońmi usta i szeptały sobie do ucha – czegoś takiego nie widział od czasów, kiedy jego dzieci były małe i poszedł z nimi na plac zabaw. Poczuł się szalenie nieswojo.

– Przyniosłem ci spaghetti. – Opadł na krzesło koło Marii.

– Dawaj to. Jestem głodna – jęknęła. – Tu karmią byle czym!

Morgan wręczył jej pudełko. Oderwała wieczko i łapczywie rzuciła się na jedzenie. Skinęła na przyjaciółki, żeby podały jej serwetki, a te posłusznie wykonały polecenie. Nie mógł uwierzyć w to, co widział: zupełnie jakby znalazł się w charakterystycznej scenie jakiejś opery mydlanej kanału Telemundo. Czy to możliwe, że to jego życie? I jak fatalnie pokrzyżowały się jego plany uwolnienia się z

kłopotów. Nie byłoby właściwe, gdyby wręczył teraz czek i rzucił ją na oczach przyjaciółek. Należało poczekać, a był już u kresu wytrzymałości. Czuł, że pętla zaciska się. Kłamstw ciąg dalszy nastąpi.

RS

Następnego wieczoru elegancki stalowoszary bentley Kornów zatrzymał się przed legendarnym apartamentem Sandry i Nigela Goodyearów, mieszczącym się na Park Avenue, przywożąc Arthura i Melanie na coroczne przyjęcie z kolacją i tańcami – smokingi obowiązkowe. Poprzednią właścicielką dwupoziomowego mieszkania była najlepsza przyjaciółka Jackie O., dlatego tę pierwszą damę często widywano w dwuskrzydłowych drzwiach. Kiedy *le tout* Nowy Jork wchodził przez te same drzwi, obsługa odbierała płaszcze, a kelnerzy z Feasts et Fêtes proponowali karbowane placuszki ziemniaczane z kleksem kwaśnej śmietany i kawioru z białugi. Patrick McMullan robił zdjęcia przechodzącym koło niego najnowszym ciuchom, niemal oślepiając Arthura, który mrugając, zastanawiał się, po co komu prasa na prywatnym przyjęciu. Tymczasem Melanie, żądna uwiecznienia jej nowej kreacji od Diora, defilowała przed fotografami, ale żaden nie skierował na nią obiektywu. W końcu Happy Renault podeszła i niechętnie ją objęła, fałszywie zachwycając się jej suknią tuż przed stadem paparazzich. To przywitanie było tylko sztuczką obliczoną na znalezienie się w pobliżu reporterów.

– Och, pani Renault! Tutaj! – zawołał jeden z nich, pstrykając jak oszalały.

– Jedną sekundę, chłopaki! – Happy odkrzyknęła z kieteryjnie nadąsaną miną, natychmiast przyjmując idealną poślę z wysuniętym biodrem. – Potrzyмай na chwilę – wetknęła Melanie swój kieliszek chardonnay.

– Mógłbym prosić? – fotograf dał znak ręką Melanie, żeby nie wchodziła mu w kadr.

Melanie, czerwona ze wstydu, poczuła się jak czyjaś służąca. Stała sama, trzymając kieliszek Happy, wykluczona z sesji zdjęciowej i dosłownie odepchnięta. Rozejrzała się spanikowana za Arthurem lub kimkolwiek, kto by ją zabrał z tego wygnania. W końcu dostrzegła męża i pośpieszyła do niego, odstawiając po drodze kieliszek Happy na konsolę. Przywarła do niego, jakby ciepło jego ciała mogło załagodzić to oziębłe traktowanie, które spotykało ją na każdym kroku. Przeszli przez salon, strzelając oczami we wszystkie strony, przyglądając się sukniom i liftingom twarzy, okraszając to okazjonalnymi: „Jak się masz? Jak tam wakacje?” Nie miała nastroju do zabawy, ale starała się ze wszystkich sił. Udawało jej się okazywać sztuczne zainteresowanie i posyłać fałszywe uśmiechy, wyćwiczone podczas niezliczonych miesięcy schlebiana pasażerom linii lotniczych.

Z początku Arthur był zachwycony wizytą u Good-yearów. Melanie okrągły rok zabrało pielęgnowanie tej przyjaźni i załatwienie zaproszenia – wyczyn o wiele trudniejszy niż przeniknięcie systemu bezpieczeństwa Pentagonu. Teraz jednak miał chętkę dać drapakę i wrócić do domu. Zastanawiał się, czy zobaczy tu OHwię. Nie, za młoda – to kraina starych pierników. Pokiwał posłusznie głową, gdy Melanie zapytała: „Kochanie, pamiętasz Cass Weathers? Poznaliśmy się u Johnsonów”.

– Oczywiście, jak się masz?

Trzymał się mocno żony. Właściwie nie było tu nikogo znajomego. Jasne, widywał wszędzie te twarze, ale tak naprawdę to nie znał tych ludzi. Nadal czuł respekt przed tym arystokratycznym towarzystwem, ale zachowywał się już coraz swobodniej z powodu konsekwentnego podejścia Melanie w rodzaju: „Brać byka za rogi”. Wszystkie te uprzejmości strasznie go jednak męczyły. Zauważył jedną z sąsiadek, Cordelię Vance, która wpatrywała się tępo w stojącego po drugiej stronie pokoju męża zerkającego na zegarek. Jejku, wygląda na to, że Morgan też by się chętnie stąd zmył – pomyślał Arthur. – Dziwne.

– Jak cudownie, słyszałeś, kochanie? – Melanie trąciła go łokciem.

Arthur popatrzył na nią bezmyślnie. Wyłączył się, zajęty obserwowaniem gości.

– Weathersowie wynajęli dom w Toskanii na rok – poratowała go Melanie.

– Wspaniała wiadomość. – Arthur przyjrzał się uważnie Weathersom. Kiedy odczuwał niepokój, miał zwyczaj wyobrazić sobie, w jakiej trumnie spocznie dana osoba. Cass zdecydowanie wyląduje w stalowej Lincoln Deluxe z czerwonym obiciem, a jej mąż w grafitowej Eternity Cruiser. Chociaż jeżeli ona umrze pierwsza, on prawdopodobnie szarpnie się tylko na Cinnabar Lincoln One-Star. Faceci na ogół skąpią w takich sytuacjach, jeśli nie należą do don-żuanów. Wtedy taki chce tylko najlepszego modelu dla swojej martwej, oddanej żony, która patrzyła w inną stronę, kiedy on bzykał sekretarkę. Ale jeżeli chodzi o ich wybryki seksualne, to Arthur nie miał nic przeciwko nim, jako że poczucie winy zmusza do podpisywania czeków na większe sumy.

Cordelia lustrowała tłum, rozglądając się za Jeromeem, który miał pojawić się lada chwila. Przyszła prosto od fryzjera – w efekcie jej popielatoblond paż był jeszcze bardziej bez życia niż zwykle. Makijaż zrobiony idealnie, drobna sylwetka nienagannie ubrana w najnowsze Oscara, lecz bez Jerome'a u boku czuła się naga. On zawsze rozpływał się z zachwytu nad jej olśniewającym wyglądem. Morgan wygłaszał obowiązkową monotonną formułkę: „Wyglądasz ślicznie, kochanie”, a to nie robiło już na niej wrażenia. Spoglądał na zegarek, koktajl jeszcze się nie skończył.

Cordelia wreszcie dostrzegła wchodzącego Jerome'a i jej twarz rozjaśniła się. Po ucałowaniu gospodyni i kilku innych wielkich dam (i mrugnięciu w przelocie przez ramię do Cordelii, co miało oznaczać, że zaraz, za chwileczkę...) rzucił się do niej przez salon z otwartymi ramionami.

– Och, wyglądasz bosko! Bezbłędnie, moja droga, *sans flaw* – przytulił ją i uściśnął dłoń jej mężowi. – Witaj, Morgan...

Morgan patrzył gdzie indziej, kompletnie nie zainteresowany. Jego umysł zaprzętały o wiele ważniejsze sprawy. Cordelia uśmiechnęła się do Jerome'a, który wziął ją pod ramię.

– Nie ma tu wykwintniejszej osoby niż ty, moja droga. A teraz, Morgan, muszę zabrać twoją czarującą żonę na momencik i przedstawić jej wcale interesującą dykteryjkę, jaką dziś usłyszałem. Będziesz zszokowana, moja droga, po prostu zszokowana... – Jerome poprowadził Cordelię do stojącej w rogu chińskiej kozetki w stylu chippendale, żeby jej opowiedzieć najnowsze plotki.

Powszechnie wiadomo, że towarzysz dam powinien przestrzegać pewnych zasad. Musi prawić im wyszukane komplementy, być niewyczerpaną skarbnicą pikantnych ploteczek i robić dobry użytek ze zjadliwego języka, wymyślając najbłyskotliwsze docinki pod ad-

resem rywalek swojej rozmówczynie. Jerome de Stingol idealnie spełniał te wymagania.

Na drugim końcu salonu pojawiły się dwie inne plotkarki. Joan i jej mąż Phillip zabrali Wendy na przyjęcie, żeby ta nie musiała przychodzić samotnie. Od czasu jej rozwodu, kilka lat temu, Coddingtonowie właściwie niemal ją adoptowali. Zawsze kupowali dodatkowe miejsce przy swoim stole na każdym balu charytatywnym, na jakim się pojawiali, zapraszali na świąteczne obiady, kiedy to były mąż zabierał dzieci. Wszystko to dawało powód do brzydkich aluzji – wiele osób zastanawiało się, czy Phillip nie zaprosił jej też do swojej sypialni. Ale to tylko takie gadanie. Joan była wystarczająco bystra, żeby wiedzieć, że wyższe sfery nie są zbyt życzliwe dla samotnej kobiety po czterdziestce (nawet trzydziestoośmiolatki wzbudzały pewien niepokój), i dlatego uznała, że nie powinna opuszczać najlepszej przyjaciółki.

– Całkiem spory tłumek – Joan wskazała ruchem głowy gości, wyekspediowawszy Phillipa po drinki.

– Tak. Och, widzę Cordelię! A tu jest Fernanda Wingate – odpowiedziała Wendy.

– I Powellowie... Och, a tam Marie-Josee Kravis. Jak zawsze uosobienie elegancji.

– Nikt nie potrafi tak dobierać kreacji jak ona.

– Wrodzony smak – zgodziła się Joan. Kontynuowały lustrowanie gości.

– Fuj, Melanie Korn – zauważyła Wendy ze wstrętem. – Zobacz, prawie włazi Patrickowi McMullanowi w obiektyw.

– Żenada.

– Nigdy nie nauczy się subtelności.

– Patrz na Arthura. Wygląda nieswojo. Już ma plamy od potu na koszuli.

– Żałosne. Prawie dyszy z zachwytu, że został zaproszony. A właśnie, jak ona się tu wepchała?

– Dała mnóstwo na Robin Hood Foundation, a Nigel siedzi w zarządzie. To jego oczko w głowie.

– Zabawne, że musi zabiegać o środki na fundację, kiedy mógłby spokojnie obyć się bez tego przyjęcia i posłać do szkoły cały Harlem za swoje pieniądze – orzekła Joan.

– Prawda.

– Ale wtedy nie byłoby zabawy.

– Też prawda.

Phillip wrócił z dwoma kieliszkami chardonnay i podał je kobiecom. Stał, sącząc szkocką i słuchając ich rozmowy. Delikatnie mówiąc, nie rzucał się w oczy – średniego wzrostu, średniej budowy, włosy nieokreślonego koloru, okulary. Nie mówił dużo, pozwalając, żeby żona wszystkim dyrygowała. Jedyna stanowcza wypowiedź, na jaką kiedykolwiek się zdobył, to obstawanie przy noszeniu kiltu z rodowym herbem na przyjęcia wymagające stroju wieczorowego. Joan błagała, prosiła, próbowała go przekupić, szantażowała, groziła, ale na próżno. Postawił na swoim. Kilt jak się patrzy – w pełnej krasie, łącznie z gigantyczną agrafką.

– A, Wendy, słyszałam gdzieś, ale jak sama rozumiesz, to nic pewnego... – zaczęła Joan.

– Co? – zaniepokoiła się Wendy, jednocześnie zaskoczona i zbita z tropu, że jej przyjaciółka jest lepiej poinformowana od niej.

– Ktoś mi powiedział, że widział, jak Melanie Korn w westybulu 741 podpisywała pokwitowanie na odbiór ubrań... – Joan nachyliła się, żeby nikt poza Wendy jej nie usłyszał

– ...komuś z więzienia.

– Jak to?

– No, podobno to był odbiór przesyłki, a facet miał mundur strażnika.

– Nie!

– Tak. A kiedyś słyszałam, że jej ojciec jest w więzieniu.

– Bujasz.

– Serio. Jak Boga kocham.

– Niesamowite. To co, jej stary odwalił kitę za kratkami i przywieźli jego rzeczy?

– Kto wie?

– A to wiarygodne źródło, ta osoba, która widziała, jak ona to odbiera?

– Pamela Baldwin. Zazwyczaj można na niej polegać, chociaż ostatnio robiła sobie laserem oko i coś tam nie wyszło. Teraz widzi cienie i nie może prowadzić samochodu w nocy.

– Niemożliwe.

– Tak. Będą się procesować. Tak czy inaczej, wiesz, że nie jestem wielbicielką Melanie, ale nie bardzo chce mi się w to wierzyć.

– No. Sama nie wiem... Pamela kiedyś mi powiedziała, że John Brooks ma romans z Samantha Peters, podczas gdy to była Serena Peterson. Mogła się pomylić.

– Mogła. – Joan uśmiechnęła się przebiegle do przyjaciółki. – A po co fałszywe plotki mają się rozchodzić?

– Wiesz, jak ludzie lubią gadać. – Wendy udzielił się nastrój przyjaciółki, zrobiła więc łobuzerską minę. – Zanim się obejrzysz, wszyscy sądzą, że to święta prawda.

Urwały, przyglądając się Melanie przechodzącej przez salon. Niemal przyklejona do Meredith Beringer. Żalotne. Joan spojrzała na Wendy i znowu na Melanie.

– Zawsze wiedziałam, że to prostytutka – oznajmiła.

– Czytasz w moich myślach – na twarzy Wendy zaigrał złośliwy uśmieszek.

Pojawiło się dwóch służących z kryształowymi dzwoneczkami, żeby zapowiedzieć obiad, i goście kolejno przechodzili do długiej jadalni. Bill Tansey i jego zespół przez dwa dni dekorowali salę na podobieństwo tej, w której lord Westminsteru wydał przyjęcie w swojej brytyjskiej posiadłości kilka dekad wcześniej. Motywem przewodnim było Maroko. Od gigantycznego żyrandola rozchodziły się płachty czerwonego adamaszku, udrapowane na suficie i spływające po ścianach do czarno-białej szachownicy na podłodze. Dziesięć ośmioosobowych stołów nakryto obrusami z motywem pasów zebry i udekorowano pękami rozkwitłych czerwonych róż. Dookoła pod ścianami ustawiono luksusowe czerwone aksamitne sofy – z tak puchatymi poduszkami, że można by się w nich schować – tworząc delikatny efekt kameralności i dyskrecji. A wszędzie gdzie spojrzeć były świece, świece i jeszcze raz świece. Orkiestra Lestera Lanina, wystrojona w białe smokingi, rozpoczęła grać, gdy tylko goście zaczęli wchodzić, a gorliwi kelnerzy w białych frakach szybko napełniali kieliszki schłodzonym szampanem. Piękno pomieszczenia zapierało dech w piersiach. Na ten widok z pomalowanych ust dobyły się stłumione okrzyki zdziwienia połączonego z zachwytem. Szczególnie zaskoczone były Joan i Wendy.

– Ale zagrożenie pożarowe – mruknął do żony Phillip, rzuciwszy okiem na salę. Po tym zwięzłym komentarzu wrażenie prysło, a oczarowanie przestało działać.

– Masz rację – przyznała Joan żalonym tonem. Mąż zawsze potrafił wszystko zepsuć.

Przyjęło się, że Goodyearowie rozsadzali pary, i choć Arthurowi brakowało wrodzonych talentów towarzyskich Melanie, nie mógł być bardziej zachwycony, znalazłszy się przy jednym stoliku z trut-

niami ze szczękościskiem. Najważniejsi gracze, nie ma co. Z samego szczytu. Przyglądał się ożywionej rozmowie, którą prowadziła jego żona przy drugim końcu stołu, i jadł, nie odzywając się specjalnie do swoich sąsiadów. Po prostu nie wiedział, co powiedzieć. Cała ta sceneria peszyła go. W którymś momencie, gdy ukradkiem patrzył na zegarek, przyłapał na tym samym Morgana Vance'a. Uśmiechnęli się lekko i w ich oczach błysnęło porozumienie.

Melanie tymczasem była zachwycona towarzystwem samego gospodarza i jeszcze raz pogratulowała sobie, że namówiła Arthura na ofiarowanie fundacji Nigela dwóch milionów dolarów. Obok niej zajął miejsce Paul Jeffreys, który zdaniem Melanie był nad wyraz nudny. Siedziała już raz koło niego na przyjęciu, podczas którego poinformował ją nosowym głosem, że zbiera grafiki Audubona, ale jego prawdziwą pasją jest pływanie kajakiem po stawie nieopodal klubu w Southampton i zbieranie piłek golfowych, które wrzucili tam beznadziejni golfiści. Wyjaśnił jej szczegółowo aż do bólu, jak starał się sprzedać te piłki w klubie, ale nie było chętnych. Zwerbował kolegów swojego syna, żeby to zrobili. Nikt jednak ich nie chce, więc ma worki piłek, z którymi nie ma co robić, ponieważ nie gra w golfa i tak dalej. Ziew. Melanie go zignorowała.

Cordelia była zdruzgotana tym, że nie siedzi koło Jerome'a, który by ją zabawiał złośliwościami na temat wszystkich obecnych i jak zawsze bezlitosny wobec jej sąsiadki, pani Korn, mówiłby: „Ale, ale... gdzie to siedzi Melanie? Miejsce dwadzieścia sześć D – to przy oknie czy od przejścia?” Cordelia większą część wieczoru spędziła na rozmowie z Fernanda Wingate, która siedziała obok Phillipa Coddingtona.

Wendy rozczarowało, że nie posadzono jej koło jakiegoś kawalera do wzięcia. Nie było ich wielu i w dodatku trudni do zdobycia, ale liczyła, że może jednak. A poza tym jest tu Gustave Strauss, no-

wy na rynku, bo niedawno żona zostawiła go dla instruktora golfa z ich klubu w Nantucket. Ale siedzi koło córki chrzestnej gospodyni, Elizy Weekes, dobre piętnaście lat młodszej od Wendy. A niech to. Zerknęła na Joan, która śmiała się z czegoś, co powiedział Jerome de Stingol. Ta zawsze dobrze trafia.

Joan rzeczywiście ochoczo usadowiła się koło Jerome'a i nawet skłoniła Neda Aldricha, sąsiada z prawej, żeby usiadł z mężczyznami po drugiej stronie stołu, aby Cass Weathers mogła zająć jego miejsce i brać udział w rozmowie.

– Nie podam żadnych imion – zaczęła poważnym tonem – ale ktoś, kogo znamy, może nawet ktoś, kto jest tutaj, ma ojca, który zmarł w kiciu.

– Kto? Kto? Kto? – dopytywał się Jerome z dziecięcym zachwytem.

Joan przeciągnęła palcami wzdłuż ust, udając zasuwanie zamka błyskawicznego.

– To tajemnica.

– Och, Joan, jesteś okrrropna – zganił ją Jerome. – Ale wyciągnę to z ciebie przed końcem przyjęcia.

– Zobaczymy! Nie tak łatwo coś ze mnie wyciągnąć – drażniła się Joan.

– Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, do czego potrafię namówić ludzi, moja droga - Jerome uśmiechnął się znacząco.

Po drugiej stronie jadalni Morgan cierpiał na zabójczą migrenę, a ta cholerna orkiestra bynajmniej nie pomagała jej uleczyć. Ledwo zdążył na kolację – Maria zmusiła go do przyniesienia czegoś na wynos z Palm – i nie miał nawet okazji, żeby wziąć prysznic przed włożeniem smokingu. Nienawidził takich spotkań. Najgorsze, że będzie musiał jeszcze tańczyć, zanim stąd wyjdzie. Wychylił się, żeby sprawdzić, co u Cordelii, i zobaczył, że milczy i prawie nie tknęła

jedzenia. Potem wstała, prawdopodobnie do toalety. Nie mógł nawet na nią patrzeć, tak wielkie miał poczucie winy. Musi skończyć z Marią.

Kiedy Cordelia podniosła się i wyszła z jadalni, Melanie zauważyła, że kilka osób spojrzało na nią z podziwem. Wydawali się oczarowani jej klasyczną gracją i elegancją, upajali się widokiem dodatków, począwszy od wysadzanego klejnotami grzebyczka, a na pierścionku z szafirem o szlifie kaboszonowym skończywszy. Rzyg – uznała Melanie i poprosiła o perriera. Wszystko miała podane na srebrnej tacy, myślała. Każdy chciałby albo nią być, albo ją znać. Melanie wiedziała, że w porównaniu z Diandrą czy Cordelią ma mało towarzyskiego uroku. Obie uznawano nie tylko za wytworne i czarujące, ale i hojne. Zasiadały w bardzo ważnych zarządach w mieście, a ona, choć czynnie uczestniczyła w kilku komitetach charytatywnych, chciała się znaleźć w tych z pierwszej ligi, tak jak eks-żona Arty'ego. Pora zacząć realizować swój plan.

– Hm, Nigel, jesteś w radzie Metropolitan Museum, prawda? – zapytała.

– Już nie. Zrezygnowałem ze wszystkiego poza Robin Hoodem, kiedy postanowiliśmy przeprowadzić się do Palm Beach na zimę. Musiałem skoncentrować się na jednej organizacji.

Melanie była rozczarowana, ale nie zniechęcona.

– Cóż, może mógłbyś mnie przedstawić członkom zarządu. Jestem bardzo zainteresowana. – Nachyliła się, przyciskając biust do jego ramienia.

Nigel przez chwilę wyglądał na wytrąconego z równowagi.

– Hmm, zobaczę, co da się zrobić – wymamrotał i natychmiast odwrócił się do LeeLee Powell, która siedziała z drugiej strony.

– Nigel – kontynuowała Melanie, nie przyjmując do wiadomości, że już nie poświęca jej uwagi – mówię poważnie. Proszę, musisz wiedzieć, że jesteśmy bardzo hojni.

– Wiem. Zobaczę, co da się zrobić – powtórzył.

– Dziękuję – odpowiedziała Melanie z satysfakcją.

Dopiero o wpół do dwunastej nadszedł odpowiedni moment, żeby się pożegnać. Morgan Vance i Phillip Coddington pierwsi wyciągnęli swoje żony. Melanie niechętnie wychodziła, ponieważ czuła, że ma jeszcze mnóstwo do załatwienia, ale uznała za stosowne opuścić wcześniej przyjęcie, żeby stworzyć wokół siebie aurę tajemnicy. Nie ma nic bardziej żalostnego, niż wychodzić jako ostatni gość, tego się szybko nauczyła.

Wróciwszy do domu, Morgan natychmiast sprawdził wiadomości zostawione na sekretarce – czekały na niego cztery grzmiące nagrania od Marii, która domagała się podania miejsca jego pobytu. Mała Schuyler Vance płakała w tle tak ogłuszająco, że kiedy Cordelia weszła do sypialni, Morgan odłożył słuchawkę, bojąc się, że żona usłyszy to wycie. Rozbierając się, zdał sobie sprawę, że z powodu kłopotów prawie nie rozmawiał z nią tego wieczoru, więc poruszył temat, który powinien ją ucieszyć.

– Jak tam zakupy? – zapytał ze sztucznym zainteresowaniem.

– Udały się?

Cordelia wyglądała na zaskoczoną i autentycznie wzruszoną, że o to pyta.

– Tak, właściwie... chciałbyś je zobaczyć?

– Jasne, z przyjemnością.

– Zaraz przyniosę!

Opuściła pokój w koszuli nocnej i jedwabnym szlafroku, poszła korytarzem do swojej szafy, czyli piątej sypialni przerobionej na minimagazyn jej strojów. Morgan odpiął spinki od mankietów, zdjął koszulę, zaczął szykować się do łóżka i obejrzenia pokazu mody w wydaniu swojej żony. Był wyczerpany. Z zapuchniętymi i zaczerwienionymi oczami, wykończony nerwami spowodowanymi pracą, zobowiązaniami towarzyskimi i – o, tak – ojcostwem, położył się na ręcznie wyszywanej pościeli, opierając się o obite tkaniną wez-głowie. Stracił początkową pewność siebie, że pozbędzie się Marii, i nie wyglądało na to, że ona zechce pozbyć się jego.

– A zatem tu jest suknia od YSL. Jerome uznał, że wygląda bajecznie – idealna na Bal Orchidei. Ta część jest ręcznie ozdabiana dżetami. – Po powrocie do sypialni Cordelia zademonstrowała ją w pozie Vanny White, odkrywającej kolejną literę w kole fortuny.

– Fantastyczna, kochanie – odparł Morgan, a wzrok miał nieobecny.

– A potem w butiku Helenę Arpels kupiłam pasujące do niej buty. Mam też białe i beżowe. Beż jest teraz bardzo stylowy... – Cordelia zauważyła, że jej mąż przebywa w innym układzie słonecznym. – Morgan? Morgan, spojrzaleś na nie? – sprowadziła go na ziemię. – Nie podobają ci się?

– Tak, tak, te buty są doskonałe, ubrania też... Wszystko jest doskonałe, kochanie.

– Coś jest nie tak?

– Nie, przeciwnie.

– Wydajesz się niezadowolony.

– Nie, wszystko w porządku.

Cordelia zamilkła. Może nie bardzo odpowiada mu bez?

– Jesteś pewien, że podobają ci się te buty? Bo mogę je odnieść.

– Nie, nie rób tego. Wyglądają świetnie z tą sukienką.

Cordelia spuściła wzrok, zawstydzona, że wybrała rzeczy, które nie przypadły do gustu mężowi. Morgan zobaczył smutek w oczach żony i poczuł się okropnie, dręczony wyrzutami sumienia.

– Przepraszam, jeśli wyglądam, jakbym myślał o czymś innym.

Po prostu... jestem tak zaabsorbowany pracą...

– Masz rację. Zwrócę je.

– Nie, nie odnoś ich. Są piękne, naprawdę – protestował. –

Bardzo mi się podobają.

Cordelia zabrała swoje nabytki i wyszła z sypialni.

– Rób, co chcesz – uznał w końcu Morgan, którego wszystko przerosło.

11

Melanie tonęła we mgle przygnębienia. Za pięć godzin czeka ją wizyta pięciu kobiet, a mieszkanie wygląda jak po wybuchu bomby, kompletny Irak. Wszędzie porozrzućane skarpetki Arthura, krzywo poustawiane bibeloty na stoliku, a każda poduszka wymaga porządnego przetrzepania, i to migiem. Gdy Juanita ścierała kurze i odkurzała w zawrotnym tempie rozszalałego diabła tasmańskiego, Melanie stała w halce – nie wybrała jeszcze stroju i miała ochotę rwać włosy z głowy. Dodatkowo, jakby tego było mało, ludzie z firmy cateringowej RSVP jeszcze nie przyjechali, żeby siekać i porcjować, czy czym tam się, do cholery, zajmują, żeby podać jedzenie. To miało być jej pierwsze spotkanie Komitetu Ocalenia Weneckiego Balu Maskowego i jako gospodyni czuła, że stoi na krawędzi całkowitej klęski.

Gdy Melanie guzdrała się, nadszedł pan Guffey, rzucając na kwiecistą ścianę jej garderoby powoli rosnący hitchco-ckowski cień. Pod pewnymi względami był jak strzegący jej ojciec chrzestny, ale przerażały ją jego wszechwiedza i towarzyszące mu zawsze poczucie dumy.

– Och, panie Guffey! – pisnęła, wydając z siebie swój najlepszy okrzyk, pod tytułem „Dama w opałach”.

– Tak, proszę pani.

– Jestem w rozpacz. Nie wiem, co robić. Nic nie jest gotowe na dzisiejsze spotkanie i nie mam pojęcia, co włożyć. Brakuje też porządnego jedzenia. Bóg jeden wie, gdzie ta firma cateringowa. Oni chyba zawsze pojawiają się w ostatniej chwili!

– Proszę się uspokoić – powiedział łagodnym tonem. – Poradzimy sobie.

– Ach – westchnęła – po prostu wpadłam w przedprzyjęciową panikę. Dziękuję za pomoc... niech pan radzi.

– Z przyjemnością. Chociaż... – zawiesił głos.

– Co?

– Nie, nic.

– O co chodzi? Proszę mówić.

– Cóż... – odwrócił wzrok.

Melanie wstrzymała oddech i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, jak aktorka nominowana do Oscara za najlepszą rolę kobiecą, czekająca na otwarcie koperty.

Pan Guffey w końcu zaczął mówić:

– Chodzi o to, że jedna osoba może niewiele.

– W jakim sensie?

– Nie, nic, chodzi o to... cóż, widzi pani, możemy posprzątać i możemy wynająć najlepszą firmę cateringowa, ale to nie całkiem to samo, co właściwy wystrój mieszkania od podstaw albo szef kuchni. Wtedy wszystko układałoby się automatycznie, a pani nigdy nie musiałaby się martwić.

Melanie już miała zaprotestować, ale zawahała się i przemyślała to, co usłyszała.

– Właściwie – zaczęła – zastanawiałam się nad dopieszczeniem tego mieszkania. No, wiem, że ogołociłam i przebudowałam je całe zaledwie osiemnaście miesięcy temu, ale moim zdaniem lifting nie zaszkodzi. Prawda? Moda zmienia się tak często.

– Czy wolno mi udzielić rady, że ponadczasowe jest zawsze lepsze niż aktualny trend?

– Zdecydowanie, zapomnijmy o trendach! Chcę czegoś ponadczasowego. Klasycznego... – Melanie odpłynęła w zamglone niebo ozdobione dodatkami w szkocką kratę, wyobrażając sobie nowe mieszkanie marki Ralph Lauren. Zaraz jednak wyrwała się z zadumy pełnej klubowych foteli oraz kaszmirowych narzut. – Ma pan jakieś sugestie? No, co do projektantów?

– Mogę zorganizować spotkania z kilkoma osobami, które mają znakomite rekomendacje.

– Świetnie, świetnie. Myśli pan, że szybko się uwiną? Bo Arty i ja naprawdę chcemy prowadzić porządne życie towarzyskie.

– Będziemy musieli się przekonać, co potrafią.

– Dobrze. – Melanie rozglądała się po pokoju. – Taa, chyba ten styl nie jest zbyt trendy.

– Tak, proszę pani. – Pan Guffey przeglądał garderobę Melanie w poszukiwaniu odpowiedniego stroju. – Wiedziałem, że będzie pani żałować usunięcia sztukaterii i obniżenia sufitu.

– Obniżenia sufitu? Cóż, chcieliśmy założyć klimatyzację – broniła się. – Co innego można zrobić, gdy ogrzewanie jest rozkręcone na maksa, bo jakaś staruszka na szóstym piętrze trzęsie się z zimna? Cały budynek ma to znosić? Czułam się jak w Afryce.

– Tak, przypuszczam, że to prawda.

– Ale serio, inni się pańskim zdaniem po prostu pocą?

– Być może odrobina potu im nie przeszkadza, gdy mogą się cieszyć wspaniałą sztukaterią. – Pan Guffey wyciągnął świeżo wyprasowane spodnie z lekkiego tweedu od Stelli McCartney i bluzkę z drukowanego szyfonu.

Melanie zastanowiła się nad jego odpowiedzią. Wydawało jej się to dziwne. Cierpieć dla... piękna? Może i ma to jakiś sens...

– A co pan myśli o umeblowaniu? – zapytała potulnie.

– Mają państwo kilka pięknych mebli. – Pan Guffey strzepnął kłaczek ze spodni.

– Tak, tak. Kosztowały nas fortunę na aukcjach w Sotheby's, Doyle i Frothingham's – powiedziała z dumą.

– Tak. Aczkolwiek nic do siebie nie pasuje.

– Co pan ma na myśli?

– Och, naprawdę nie powinienem się wtrącać, proszę pani.

– Nie, proszę! Panie Guffey, niech pan niczego przede mną nie ukrywa – Melanie starała się żartobliwym tonem pokryć niecierpliwość.

– Cóż, mają państwo miszmasz. Na przykład w bibliotece jest styl francuskiej prowincji przemieszany z secesją i jakieś obrzydliwe dwudziestowieczne rzeczy ze współczesnym oświetleniem i popartem. To jakaś cholerna kapsuła czasu, za przeproszeniem – powinien ugryźć się w język, ale na samą myśl o tym wszystkim pienieł się z oburzenia. Zbyt długo się hamował i już nie mógł wytrzymać.

– A w jadalni dzieła starych mistrzów ze sztuką ludową i rokoko, sypialnia to Bawaria i wiklina – wiklina na Manhattanie! A to krzykliwe monidło, które państwo kupili w Wenecji...

– To prezent ślubny – powiedziała Melanie cicho. – Arthur dał za nie pięćdziesiąt tysięcy.

– A zatem ktoś go oszukał! Melanie milczała.

– Przepraszam, proszę pani.

– Nie, nie. Mów dalej.

– Wydaje mi się, proszę pani, że choć ma pani oko do wybierania świetnych rzeczy, to jednak potrzebuje pani trochę pomocy w ich zestawieniu.

– Ma pan rację.

– Ale proszę się nie martwić, proszę pani. Tak jak powiedziałem – poradzimy sobie.

Jej myśli zwróciły się ku drugiemu brakującemu elementowi układanki.

– I uważa pan, że powinniśmy mieć jeszcze jednego mistrza kucharskiego poza Wayne'em?

– Cóż, proszę pani... Wayne nie jest mistrzem kucharskim.

Co? Czy on oszalał? To mistrz kucharski! Tego jest pewna. Może ten idiota nie potrafi poznać dobrego jedzenia, nawet jak je ma na talerzu, pieprzony Angol. No bo w ogóle to od kiedy oni się znają na żarciu? Słyszał kto kiedy propozycję: „Hej, chodźmy na angielszczyznę?” Wayne to gwiazda kuchni.

– Właśnie że jest mistrzem kucharskim – zaprotestowała rozgoryczkowana Melanie.

– Nie, nie jest.

– Jest!

– Wayne jest kucharzem. Nie mistrzem kucharskim.

– Nie rozumiem. Wzięliśmy go z najlepszej, bardzo cenionej agencji. Jest bratem mistrza pracującego u Mello-nów.

Pan Guffey westchnął jak ktoś, kto próbuje wyjaśnić koncepcję praw obywatelskich skinheadowi z wytatuowaną swastyką.

– Państwo Mellonowie nie mają mistrza kucharskiego. Mają kucharza. To różnica. Kucharz wyprowadza ich psa, Halstona. Mistrz kucharski nie wyprowadza psa. Zajmuje się wyłącznie wykwinną kuchnią, nie operuje szufelką do sprzątania psich odchodów.

– Och... rozumiem. Mistrz kucharski tylko przygotowuje jedzenie. Kucharz... zajmuje się też innymi sprawami.

– Przede wszystkim.

– Więc Wayne nie jest... no... nikt by go nie uznał za jednego z lepszych mistrzów kuchni?

– Powiedziałbym, że raczej nie.

– Ale Arthur uwielbia jego potrawy. Są takie smaczne, zawsze się opychamy.

– Nie chodzi o umiejętność napełnienia baku. Chodzi o naukę. U kogo i gdzie odbywali staż? W jakim *châteaux* uczyli się dobierania wina? Ile gwiazdek Michelin dostała kuchnia, w której pracowali?

– Michelin? Jak te opony?

– Tak. I nie.

– Więc powinnam zatrudnić czterogwiazdkowego faceta z Francji, tak?

– Trzygwiazdkowego.

– Panie Guffey, czy umknęło pana uwagi, że mamy forsy jak lodu? Możemy sobie pozwolić na najlepszego, więc powinniśmy wziąć gościa z czterema gwiazdkami. No bo co? Myśli pan, że nie zauważę różnicy, że nie mam wybrednego podniebienia? Bo, proszę mi wierzyć, z daleka poznam dobre jedzenie.

Biedna Melanie, pomyślał pan Guffey, schylając się, by zebrać kilka ubrań z podłogi i odwiesić je do szafy. Znał ten jej tryb obronny. Zachowywała się w takich sytuacjach jak kameleon raptownie zmieniający barwy, żeby nie stać się zdobyczą miążdżoną przez trzonowce większego zwierzaka. Kiedy patrzył, jak dygocze ze strachu, a następnie z wściekłości, miał uczucie, że ogląda odcinek serialu *National Geographic Explorer* – zupełnie jakby poważny głos lektora komentował jej poczynania: „A tutaj mamy przedstawicielkę lokalnej fauny w jej środowisku naturalnym. Proszę obserwować, jak biega dookoła, starając się uniknąć upokorzenia i wzgardy. Oko jej drga w miarę narastania napięcia, a ona muska sobie piórka przed lustrem, aby wzmocnić słabnące poczucie bezpieczeństwa na swoim terytorium...”.

– Proszę pani, Michelin ma tylko trzy gwiazdki. To najwyższa ocena.

– Ach tak.

– Pójdę sprawdzić, co z firmą cateringową, i dopilnuję, żeby Janita posprzątała.

– Dzięki...

Melanie siadła zrezygnowana przy toalecie, wzięła do ręki srebrną szczotkę i z narastającą wściekłością zaczęła rozczesywać włosy, choć tak naprawdę chciała rozplatać swoje życie. Tyle rzeczy było poza jej kontrolą i w dodatku pędziło z prędkością jednego macha: ludzie, których nie mogła do siebie przekonać, pochodzenie, którego nie mogła kupić, słownictwo, któremu nie mogła sprostać. Pragnęła, żeby życie podarowało jej jakieś kosmetyki, którymi mogłaby wygładzić i wyprostować każdy zakręt na swojej drodze. Albo gdyby tylko świat był jak *Matrix*, a ona mogła przyswoić wszystkie potrzebne jej informacje w ułamku sekundy i raz na zawsze uwolnić się od drwin. Wtedy byłaby bezpieczna. Ale jedyną bronią, jaką oferoowało jej nowe tysiąclecie, były właściwe koneksje. Siedzieć w odpowiednim zarządzie, mieć odpowiednich przyjaciół i dobry gust, należeć do odpowiednich klubów, być zapraszany na odpowiednie przyjęcia. Każde dojscie wynagradzało ją dodatkowym uzbrojeniem – tu rękawica, tam napierśnik – a ona umacniała się z każdym pokonanym poziomem. Ale kiedy już uważała, że jest cała zakuta w kuloodporną stal, trafiało się coś lub ktoś, co ją osłabiało, a jej starannie gromadzone tarcze ochronne rozwiewały się w miejskim powietrzu.

Melanie czuła się, jakby musiała nadganiać zaległości. Gdyby tylko wcześniej poradziła się pana Guffeya. Wyglądało na to, że on wie wszystko – jak się ubierać, jak się zachowywać, jak podejmować gości. Z początku za bardzo się bała, żeby w ogóle go o coś za-

pytać. No bo naprawdę, kto by pomyślał, że ona, Melanie Sartomsky, będzie miała prawdziwego angielskiego kamerdynera! (Kiedy napisała swojej kuzynce Dotty Hix – jedynej osobie ze swojej przeszłości, z którą utrzymywała kontakt – że pracuje u niej służący z takim akcentem jak ten facet z *Mój chłopak się żeni*, to cóż... Dotty oszalała). Ale teraz ma możliwość wykorzystać wiedzę pana Guffeya. Musi ją poprowadzić w należyтым kierunku, żeby mogła zacząć jeszcze raz i zyskać wreszcie szacunek, na jaki zasługuje.

Godzinę później zadzwonił dzwonek do drzwi. Pan Guffey wpuścił do salonu Kornów pierwszych gości, Joan Coddington i Wendy Marshall. Wcześniej, naprędce i z pomocą portierów, pan Guffey usunął większość odrażających mebli, upychając je w bibliotece i zamykając ją na klucz. Załatwił przez kamerdynera Aldrichów wypożyczenie kilku pięknych połączonych krzeseł z ich sali balowej; potajemnie przeniesione stały w piwnicy. Wymagało to perswazji i przekupstwa, ale w końcu stary sztywniak zgodził się i teraz krzesła zastąpiły resztę mebli Kornów.

W celu uniknięcia jakichkolwiek skandalizujących plotek pan Guffey stanowczo poradził Melanie, żeby odmawiała wszelkim prośbom o pokazanie domu, oświadczając, że mieszkanie jest w przebudowie, i obiecywała prezentację całego lokum w późniejszym terminie.

Melanie podniosła się z krzesła stojącego w skąpo umeblowanym pomieszczeniu, żeby przywitać się z gośćmi.

– Melanie! To takie ekscytujące, jeszcze u ciebie nie byliśmy – powiedziała Joan entuzjastycznie.

Była autentycznie podniecona i nie mogła się doczekać obejrzenia mieszkania. Ona i Wendy od tygodni śliniły się na samą myśl, że zobaczą Casa Kom. W windzie całą drogę dowcipkowały na temat

przypuszczalnego wystroju. Wendy nawet zażartowała, że powinny założyć pieluchy na wypadek, gdyby posusiały się ze śmiechu.

– Tak, Melanie, chętnie obejrzałybyśmy mieszkanie – gorliwie przytaknęła Wendy. Strzelała oczami po całym pokoju, żeby zinventaryzować każdy kąt. Niestety, były tylko dwie sofy obite kwiecistą tkaniną – nuda – i kilka krzeseł balowych oraz niski stolik. Nic katastrofalnie ohydneho. Cholera.

– Och, bardzo mi przykro, ale mieszkanie jest w przebudowie. Właściwie to zmieniałam projektantów, więc zaczynamy od nowa.

– Och – rozczarowała się Wendy. Zerknęła na Joan. – A nie mogłybyśmy zobaczyć, jak tam postępy? Chętnie ci coś podpowiemy.

– Tak, Wendy nawet chodziła na kurs projektowania wnętrz, więc co nieco wie.

– Po moim rozwodzie myślałam, żeby się tym zająć, tak amatorsko. Ale, doprawdy, kto by tam chciał, żeby go obsługiwały niezdecydowane kury domowe? Nie, dziękuję.

– No, to chodźmy – Joan delikatnie wzięła Melanie pod ramię, żeby ją pociągnąć na korytarz.

Melanie miała już ustąpić, ale nagle pojawił się pan Guffey z tacą pellegrino.

– Proszę o wybaczenie, proszę pani, ale wykonawca nalegał, żeby nikt nie chodził po mieszkaniu. To zbyt ryzykowne przy porostawianych wszędzie rusztowaniach i dźwigarach. – Pan Guffey wręczył każdej z pań szklanę. – Zapewnia jednak, iż w ciągu kilku miesięcy wszystko będzie gotowe.

– Cóż, zatem trudno. Przepraszam. – Melanie odetchnęła z ulgą.

– Tylko zerkniemy – spróbowała jeszcze raz Wendy. Dostanie szau, jeśli nic nie zobaczy.

– Tak, Melanie. Musisz nam pokazać, bo uznamy, że masz coś do ukrycia – dodała Joan ostro. Nie ma mowy, żeby wyszła bez obejrzania mieszkania.

– Słyszałyście, co powiedział – Melanie wzruszyła ramionami.

Kiedy pojawiły się wszystkie panie (Pamela Baldwin, Meredith Beringer, Fernanda Wingate, LeeLee Powell i, oczywiście, Mimi), podano tradycyjny podwieczorek i spotkanie rozpoczęło się. Właściwie poszło dość gładko, w dużej mierze dzięki panu Guffeyowi, który jakimś cudem pojawiał się znikąd, gdy tylko Melanie nie wiedziała, co powiedzieć.

Kwadrans po czwartej, gdy już zanalizowano każdy szczegół, wyprowadzono ostatnich gości – Joan i Wendy. Melanie, zachwycona, że dała radę poprowadzić spotkanie, oddaliła się do swojego pokoju z wielką miską prażonej kukurydzy Orville Redenbacher i najnowszą powieścią Danielle Steel. Tymczasem Joan i Wendy były poirytowane i obrażone.

– O co tu, do cholery, chodziło? – pieniała się Wendy.

Joan wyjrzała przez okno taksówki.

– Nie wiem. Zatkanęło mnie.

– Nie sądziłaś, że pokaże nam mieszkanie? – zapytała Wendy.

– To jakaś dziwaczna gierka tej baby.

– Myślisz, że zrobiła to celowo? – Wendy otworzyła szeroko oczy.

Joan odwróciła się do przyjaciółki i spojrzała na nią z miną pod tytułem „Nie mogę uwierzyć, że jesteś tak niedorozwinięta”.

– Wendy, to był afront.

– Nie!

– Oczywiście, że tak. Ta mała suka z Florydy ma coś przeciwko nam. To irytujące. Nigdy nie byłyśmy dla niej niemiłe...

– Zachowujemy się jak Matka Teresa, rozmawiając z nią na przyjęciach.

– Wiem. A ona prowadzi przeciwko nam jakąś wojnę. Wiedziałam, że jest zła.

– Zła – zaszemrała Wendy. Obie pokręciły głowami.

– Cóż, co na to poradzisz? – zapytała Joan z udaną rezygnacją.

– Masz rację. A poza tym, kto by się nią przejmował – odrzekła Wendy w podobnym tonie.

Ale gniew kipiał pod ich skórą i szukał ujścia. Dość tego, myślały zgodnie. Zemsta.

RS

Kiedy pan Guffey dopilnował personel kuchenny sprzątający po kolacji i upewnił się, że w łazienkach państwa są świeże ręczniki, udał się na spoczynek. Zajmował pokój przy kuchni, urządzone skromnie i podług jego gustu. Pan Guffey nie znosił bibelotów, nieistotnych dodatków, niczego osobistego czy pretensjonalnego, więc w pomieszczeniu znajdowały się właściwie tylko łóżko, biurko (z gęsim piórem i suszką) oraz odbiornik telewizyjny.

Większość wieczorów spędzał w podobny sposób: raczył się jednym piwem Boddington i oglądał nagrywanych wcześniej *Milionerów*. Za żadne skarby nie przyznałby się do tak prozaicznej strawy duchowej, ale w tym względzie nieco sobie pobłażał – nie mógł się oprzeć poczuciu zadowolenia z siebie, kiedy widział tych głupich mieszkańców Środkowego Zachodu borykających się z pytaniami z zakresu elementarnej wiedzy geograficznej.

Co do kwestii więzi romantycznych, to pan Guffey zostawiał je zwykłym śmiertelnikom. Uważał się za wolnego od preferencji seksualnych. Obie płcie napawały go odrazą (dzielił je na dwie kategorie: śmierdzący, włochaci mężczyźni oraz głupiutki, narcystyczne kobiety). Nie wspominając już o tym, że jego zdaniem seks stanowił czynność zbyt frywolną i niegodną jego osoby, żeby zawracał sobie nim głowę. Istniały inne sposoby sprawienia sobie przyjemności. O

tak. Obecnie odgrywanie pana Higginsa wobec aktualnej chlebowdawczyni – ohydnie nieokrzęsanej amerykańskiej siostry przyrodniej Elizy Doolittle – było niewyobrażalnie zabawne.

Kiedy pan Guffey zapadał w sen pod wykrochmaloną pościelą, myślał o tysiącach sposobów na ulepszenie Melanie. To wyczyn porównywalny z dostaniem się na wesele jakiejś znanej osobistości na Neckers Island, ale możliwy. Tak. Możliwy.

W tym samym czasie Melanie siedziała w swojej garderobie, zbyt energicznie wcierając „Creme de la Mer” w skórę. Arthur dawno już zasnął, lecz ona była zbyt podekscytowana. Wreszcie coś zaczęło się dziać. Jeszcze trochę wysiłku i będzie jedną z osób, które osiągnęły najwyższy szczebel na drabinie tego świata. Skończą się niepochlebne i niekorzystne porównania z pierwszą panią Korn.

Zerknęła na numer „10021” z **Olivia** Weston. To jest siła. Melanie potrafiła sobie wyobrazić frajdę, jaką dałoby jej słuchanie komentarzy, gdyby pojawiła się na zdjęciu z jakiegoś przyjęcia – z pewnością uzasadniałoby to wydanie pięciu tysięcy dolarów plus ciuchy, w jakich wystąpiła. Wiele kobiet z Upper East Side nie ma innych dążeń, jak tylko żeby znaleźć się w gazecie jako modnisią lub osoba z towarzystwa, ponieważ to jedyny rodzaj sławy, na jaką w ogóle mogą liczyć. Z niczego innego nie będą znane, więc robią wszystko, żeby mieć coraz więcej wycinków prasowych ze swoimi zdjęciami. Niektóre, jak słyszała Melanie, nawet posyłają redaktorom działu towarzyskiego magazynów takich jak „W” kaszmirowy sweterek za każdym razem, gdy znajdzie się tam ich zdjęcie.

Przypomniało jej się, jak pan Guffey raz mówił, że gdy Diandra pojawiała się na przyjęciu, bez ustanku robiono jej zdjęcia – miała tak doskonały i niezrównany styl. Wspomniał też, że co roku znajdowała się na liście najlepiej ubranych w „Vogue”. W dodatku mimochodem nadmienił, iż była blisko z wieloma redaktorkami w

mieście. Melanie zastanawiała się, jak tu się zaprzyjaźnić z takimi osobami. Potrzebny jej tylko jakiś punkt zwrotny i wszyscy jej krytycy raz na zawsze zamilkną, tego była pewna. Wtedy Arthur będzie nie tylko zainteresowany jej urodą, ale także z niej dumny.

RS

Był to typowy wieczór w zatłoczonej, odwiedzanej przez bogaczy kafeterii Sette Mezzo na Upper East Side. Dwójka dzieciaków Ral-pha Laurena wpadła po jedzenie na wynos, prezesi zarządów z Wall Street jedli rodzinną kolację, a gorliwi obserwatorzy życia towarzyskiego nie mogli spokojnie przejść ulicą, nie zerkając przez wielkie okno i nie sprawdzając, jakie to grube ryby tam się pożywiają. Arthur i Melanie spędzali cichy wieczór razem, usadowieni od frontu. Melanie wyjątkowo nie zamówiła ryby i wbijając nóż w kluski ziemniaczane, wpatrywała się w męża, owijającego spaghetti wokół widelca. Arthur zauważył jej spojrzenie.

– Jak twoje gnocchi, kochanie?

– Och, znakomite – przybrała zblazowany ton. – Ale nie mogę się już doczekać jutrzejszej kolacji w Cresta. To otwarcie, a wyobraź sobie, że już trzeba czekać trzy miesiące na stół...

– Jeżeli to otwarcie, to skąd wiesz, czy jedzenie będzie dobre?

– Bo Pierre Mancelle zadebiutuje w Stanach. Właśnie go obwołano najlepszym mistrzem kucharskim naszej Galaktyki. Nie pamiętasz? Byliśmy w jego restauracji w Monako.

– Tak, tak. Zapłaciliśmy fortunę. Sześćset siedemnaście dolarów, amerykańskich dolarów – powiedział z dumą. – Połowa ceny trumny Steely Van. I tyle co sosnowa Harbor Island, z drugiej serii.

– Arthur – wymruczała słodko jego imię – zachowuj się. – Zrobiła przerwę i zaczerpnęła głęboko powietrza, gotowa podzielić się przemyśleniami. – Kochanie, mam świetny pomysł.

– O co chodzi? – zapytał z pełnymi ustami.

– Zamierzam wynająć specjalistę od wizerunku publicznego.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Mam dość tej anonimowości. Tak ciężko pracujesz i rozdajemy tyle pieniędzy. Zasługujesz na szacunek. Ludzie powinni wiedzieć o twojej działalności charytatywnej.

– Tak sądzisz?

– Jaki jest sens dobroczynności, jeżeli nikt o niej nie wie? Arthur odłożył widelec z miną wyrażającą niedowierzanie, ale rozbawioną. Ta Melanie. Przynajmniej jest szczerą.

– A co powiesz na to, żeby świat stał się nieco lepszy?

– Oczywiście – przewróciła oczami – ale czy jest coś złego w poinformowaniu tego świata o twojej hojności?

– Chyba nie. Ale od razu specjalista? Nie sądzisz, że wtedy tylko więcej ludzi będzie się dobijać o datki?

– Nie, jeżeli zostanie to właściwie zrobione. Jesteśmy filantropami! Prawdziwymi!

– Myślisz, że ludzie o tym wiedzą?

– Nie wiem, ale chcę, żeby tacy jak Olivia Weston to wiedzieli.

Sam dźwięk jej imienia wywołał w jego sercu słodki ból spowodowany strzałą Kupidyna. Zastanowił się nad argumentami Melanie. Może to wcale nie byłoby takie złe, gdyby ludzie dowiedzieli się, że nie mają węża w kieszeni. Powinni wiedzieć! Kornowie są hojni! Oddają pieniądze! Dzielą się majątkiem! Melanie ma rację. Tym z towarzystwa takie informacje trzeba podtykać pod nos. Subtelne środki do nich nie przemawiają.

– Ufam twojej opinii – powiedział, a Melanie uśmiechnęła się szerzej. – Ale uważaj. Prasa potrafi wszystko przekręcić, a oni nie-
nawidzą bogatych ludzi. Zwłaszcza tych, którzy sami się czegoś do-
robili.

– Nie martw się – dotknęła jego rękawa. – Nieważne, jak piszą,
ważne, że piszą.

– Zobaczymy – wziął dłoń żony w swoją. – Zatem po prostu
wynajmij najlepszego specjalistę od wizerunku publicznego.

– Dzięki, kochanie – powiedziała podekscytowana.

Pochyliła się nad stolikiem i wszyscy ciekawscy na Lexington
Avenue mogli zobaczyć ich pocałunek nad migoczącymi świecami.

– No, no, dobry wieczór, Arthurze, Melanie – nagle przy ich
stoliku znalazła się Joan Coddington ze swoim mężem, Phillipem.

– Dobry wieczór, Joan, cześć, Phillip – Arthur podniósł się, żeby
uścisnąć ich dłonie. Lekko się zaczerwienił na myśl, że ci dwoje mo-
gli usłyszeć ich rozmowę.

– Witaj, Joan, gdzie twoja lepsza połowa? – zapytała Melanie.

– Tu jest prze... och! Masz na myśli Wendy – uśmiechnęła się
kwaśno. – Jest w domu ze swoimi dziećmi. Umówiliśmy się tu z
Weathersami na kolację.

– Szukałem cię parę dni temu, Korn. Chciałem cię na coś zapro-
sić.

– Tak? O co chodzi? – Arthur był zaskoczony.

– Chcę, żebyś znalazł się w Komitecie mojej akcji dobroczynnej
na rzecz Szkockiego Towarzystwa Historycznego. Objąłem prze-
wodnictwo nad balem dobroczynnym w hotelu Waldorf i zamie-
rzam cię w to wciągnąć.

Szkockie Towarzystwo Historyczne stanowiło życiową pasję
Phillipa, który był szczerze przekonany, że obdarza Arthura wiel-
kim zaszczytem, zapraszając go do uczestnictwa w tym przedsię-

wzięciu. Phillip miał pełną kontrolę nad małym lennem nad Park Avenue i ulokował wszystkich swoich krewnych na odpowiednich posadach (dyrektor archiwum, wydawca biuletynu „Monthly New York Scot”), dbając o to, żeby znaleźli się na liście płac. Przed nikim nie odpowiadali, mieli pieniądze z darowizn i zachowywali całkowitą dyskrecję co do tego, kto i kiedy korzysta z budynku (wykorzystywali prawo do niewpuszczania właściwie nikogo spoza wąskiego grona, nawet członków i wścibskich turystów). Phillip wykorzystywał biuro na najwyższym piętrze głównie jako prywatne miejsce do czytania powieści historycznych, kiedy miał dość Joan i nie chciał pojawiać się w „pracy”.

– Och, cóż, w zasadzie nie jestem Szkotem – Arthur ogromnie się ucieszył z tego zaproszenia, chciał się tylko upewnić, czy to nie jakaś pomyłka.

– Nie ma znaczenia. Mamy specjalną kategorię przyjaciół Szkockiego Towarzystwa Historycznego.

Arthur spojrział na Melanie, która starała się ukryć zachwycony uśmiech.

– Wygląda na to, że to bardzo ciekawa impreza – powiedziała. – Szkockie dziedzictwo jest tak cudowne... to ważne, żeby je zachować. No bo co by się stało z golfem, gdyby nie oni, prawda? – Melanie zdała sobie sprawę, że bredzi, ale tylko dlatego, że zdenerwowała ją przenikliwe spojrzenie Joan.

– Dochód idzie na rzecz budynku stowarzyszenia. Tu, nie w Szkocji – sprostowała Joan z niemal niezauważalną nutą szyderstwa.

– Tak, tak, oczywiście. Ale chodziło mi o to, że z całą pewnością robicie coś dla Szkocji. – Melanie wypła łyk wody.

– Tak, robimy mnóstwo rzeczy. Właśnie dlatego ten bal jest naprawdę ważny – odpowiedział Phillip.

– Super! To kiedy jest spotkanie? Może u nas... – wtrącił Arthur.

– Och, nie musisz nic robić. Tylko kup stolik. Właściwie to wpi-
szę cię na dwa stoliki, Arty. Wiem, że cię na to stać. Pomyśl, ilu ludzi
przejdzie na emeryturę albo umrze w ciągu najbliższych trzech mie-
sięcy. – Phillip ze śmiechem klepnął Arthura w plecy.

– Zrobimy trzy stoliki – dodała podeksycytowana Melanie.

Arthur obrócił się i spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Fantastycznie! – zareagował Phillip.

– Chodź, kochanie, nie przeszkadzajmy już Kornom w obiedzie
– powiedziała Joan, prowadząc męża w głąb restauracji. – *Bon
appetit!*

Melanie odczekała, aż odeszli na tyle daleko, żeby jej nie usły-
szyć, i nachyliła się do Arthura.

– Możesz w to uwierzyć? Coddingtonowie chcą, żebyśmy byli w
ich komitecie!

– To jakaś ironia losu. Ja, Żyd z Queensu, mam wspierać impre-
zę, która chroni jedną z ostatnich fortec królestwa białej anglosaskiej
elity w tym mieście.

Melanie odetchnęła z ulgą. Może właśnie nastąpił punkt zwrotny
w stosunkach z tą kliką towarzyską.

– Cóż, nigdy nic nie wiadomo, prawda?

– Peter mówi, że to szalenie ekskluzywne – Arthur uniósł brwi.

– Och, na pewno.

– Ale, słonko, jak, do licha, zapełnimy trzy stoliki?

– Nie martw się, cukiereczku. Nietrudno znaleźć ludzi chętnych
pójść na taką imprezę. Każdy chciałby się tam znaleźć.

Arthur był podeksycytowany, ponieważ wiedział, jaką radość Me-
lanie sprawiło to zaproszenie. Był taki szczęśliwy, że doceniono jej
wysiłki, i miał nadzieję, że dzięki temu trochę się odpręży. Jeżeli dla
jej spokoju musi kupić kilka stolików od takiego sztywniaka jak

Phillip – który z pewnością spędzi wieczność w sarkofagu z płaskorzeźbami przedstawiającymi mężczyzn w kiltach i herby rodowe – niech będzie.

– Dobra robota, kochanie – Arthur dotknął jej dłoni. – Naprawdę zaprowadziłaś nas na sam szczyt.

– Czuję się świetnie – Melanie tylko przed Arthurem pozwalała sobie na szczerość. – Wiesz, ja po prostu... ja im chcę pokazać. Wydaje mi się, że oni to te odlotowe, nadziane dzieciaki ze szkoły, a ja nadal jestem córką pracownika stacji benzynowej, która musi czekać w kolejce przed jakąś instytucją dobroczynną, żeby dostać indyka na Święto Dziękczynienia. Nie chcę już być outsiderem. Chcę być jedną z nich.

Wyzwanie stojące przed Melanie było wyjątkowo trudne. Dopiero niedawno pojęła, że żadne społeczeństwo nie jest w stanie istnieć bez pewnej dozy hipokryzji, zwłaszcza socjeta, a Nowy Jork nie był tu wyjątkiem. Jeśli towarzystwo z Yorkville bardziej niż chętnie witało z otwartymi ramionami zawdzięczającego wszystko sobie milionera, z milionerką – a nawet miliarderką – sprawa nie była tak oczywista. Nowy Jork uwielbiał tego typu bohatera, niczym z *Pigmaliona*, ale płci męskiej, pod warunkiem że ten ma pieniądze. Kogo to obchodzi, gdzie się wychował, w jaki sposób doszedł do fortuny, do jakiego chodził collegeu albo czy jego maniery są w porządku. Oporządzić go trochę, wysłać do dobrego krawca, nauczyć, gdzie należy wydawać pieniądze, i już jest królem balu. Staną przed nim otworem drzwi wszystkich nowojorskich salonów, każda młoda dama do wzięcia będzie chętna, jeżeli tylko na nią kiwnie, no i z pocałowaniem ręki wezmą go na lokatora do jednej z lepszych kamienic.

Ale kobieta z przeszłością, o której lepiej nie mówić, której pochodzenie jest gorsze niż „do przyjęcia” – tej będzie znacznie ciężej

dostać się do tego świata, nawet jeśli się dobrze wżeniła. Albo ją zniszczą jak Marthę Stewart, albo napiętnują jako parweniuszkę, oszustkę, lalunię, która złapała starzejącego się faceta na łóżko, albo, co gorsza, karierowiczkę. To zdaniem Melanie było niesprawiedliwe. Panowało ciche porozumienie, że kobieta powinna co najmniej chodzić do właściwej szkoły. Niechby i dorastała w najgorszej norze w Harlemie, utrzymując się przy życiu dzięki bonom żywnościowym, ale powinna uczęszczać do Chapin – wtedy zostałaby przyjęta do towarzystwa bez żadnych pytań (kierownicy do spraw rekrutacji studentów w nowojorskich elitarnych niekoedukacyjnych szkołach mieli nieograniczoną swobodę decyzji w sprawie dopuszczenia kogoś do zdobionego klejnotami świata, darowizny tak potężnej, że miała wpływ na nie narodzone jeszcze pokolenia). Ale jeśli, tak jak Melanie, pochodzi się z osiedla domów na kółkach na Florydzie, to nie ma żadnych szans. Melanie miała tego świadomość, ale nie chciała się z tym pogodzić.

Arthur był wzruszony tym, co usłyszał.

– Pójdziemy na ten szkocki bal w kiltach! Pokażemy temu miastu, że Kornowie to potęga, z którą trzeba się liczyć!

Melanie uśmiechnęła się do swojego misiaczka. On naprawdę ją rozumie.

– Dzięki, kochanie – szepnęła, poruszona jego wsparciem. Joan może pojawiać się w rubryce towarzyskiej i tak dalej, ale musi spać z taką kreaturą jak Phillip, a ona ma swojego małego Arthura do przytulania. – Kocham cię – Melanie wychyliła się i pocałowała męża.

– Słuchaj, Maria, byłem z tobą i z... Schuyler... Co? Oczywiście, że wiem, jak dziecko ma na imię. Jezu Chryste, niczego nie ułatwiasz. Byłem z tobą i Schuyler wczoraj wieczorem. Nie mogę teraz przyjść, muszę pracować, zapomniałaś?

– Morgan kulił się przy biurku w swoim narożnym gabinecie w firmie Brown Brothers, daremnie błagając kochankę. Przez przeszkloną ścianę widać było bładoniebieskie niebo i postrzępioną linię drapaczy chmur, a dwadzieścia pięć pięter niżej hałaśliwe, zatłoczone ulice Nowego Jorku. Blask latarni i połyskujący chodnik wyglądały w tej chwili tak zachęcająco, że Morgan chciał się rzucić przez okno. Wpatrywał się w okna innych anonimowych budynków, to w jakąś kserującą coś sekretarkę, w telefonującego mężczyznę czy w innego, jedzącego kanpkę w poświacie monitora komputerowego.

Parę kilometrów dalej Maria siedziała wygodnie na białej skórzanej kanapie w swoim mieszkaniu z dwiema sypialniami, podczas gdy pokojówka odkurzała wykładzinę dywanową koloru kości słoniowej, a w białym wiklinowym łóżeczku, marki Baby Guess, spał noworodek.

– To przyjdiesz dziś wieczorem. Mam już dość tego bachora. Nie dam rady sama. Nie wytrzymam! Moja matka też mnie wychowywała samotnie...

Znowu się zaczyna, pomyślał Morgan.

– ...wychowywała mnie i mojego brata. Przeprowadziła się z Meksyku, żebyśmy mieli lepszy start, i pracowała na dwie zmiany. Obiecałam sobie, że ja tak nie będę żyć! Nigdy! Mówiłam ci, że mój brat jest bokserem?

– Tak, mówiłaś.

– Był w marynarce i zna karate. Skopie ci tyłek, jeżeli nie będziesz mnie porządnie traktował! Jest silny!

– Maria, poziom naszej konwersacji znowu się obniża.

– Nie mów mi o żadnym poziomie! Mam twoje dziecko! O tak, i ma go w garści. Zaczerpnął głęboko powietrza.

– Maria, czego ty chcesz?

– Chcę wyjść! Chcę pójść dziś wieczorem do Petera Lugera! Chcę steku, wina i tych małych krewetek w czerwonym sosie!

– Maria, idę dziś na bankiet charytatywny. Po prostu nie mogę się z tobą co wieczór spotykać. Mam rodzinę.

– TO też jest twoja rodzina! I lepiej o tym nie zapominaj! – wrzasnęła. – Myślisz, Mister Bogacz, że możesz zrobić mi dziecko, a potem zostawić? Ty czubek, mister. Mam brata, który zna karate!

Morgan westchnął.

– Maria, chyba już ustaliliśmy, że masz brata, który ma skłonności do używania przemocy i zna starożytną japońską sztukę walki.

– Co? Robisz sobie ze mnie żarty? Nie zadzieraj ze mną! Powiem wszystkim! – Maria odwróciła się do służącej, a Morgan zapadł się głębiej w skórzany fotel. – Wyłącz ten pieprzony odkurzacz, Mercedes! Głowa mnie boli!

– *Que!* – zapytała pokojówka. Schuyler zaczęła płakać.

– Cholera, obudziłaś dziecko. Głowa mi pęka. Ten rozpuszczony bachor ciągle wrzeszczy.

– Maria, muszę kończyć.

– Lepiej, żebyś tu dziś przyszedł i zabrał mnie gdzieś. Chcę wielki, soczysty stek. Chcę, żeby ludzie nas razem widzieli.

– Nie jestem pewien, czy to możliwe – z niepokojem rozluźnił krawat.

– Jeden telefon, mister, i dostaniesz za swoje. Dzwonię do żonki i masz WIELKIE kłopoty. Przychodzisz dziś albo dzwonię.

– Maria, twoje pogrożki na mnie nie działają. I nie mam czasu na bzdurne napady złego humoru. Przyjdę, kiedy przyjdę. Staram się jak mogę. – Morgan trzasnął słuchawką.

Schował twarz w dłoniach. Problem polegał na tym, że pogrożki Marii jak najbardziej na niego działały. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było to, żeby Cordelia się o wszystkim dowiedziała. Byłaby zdruzgotana; nawet nie potrafił sobie wyobrazić, jak bardzo. Maria trzyma go za klejnoty.

A wszystko zaczęło się tak niewinnie. No, poniekąd. To było zeszłej jesieni, na początku października, przypomniał sobie Morgan, ponieważ pracował wtedy nad wykupieniem Simonsona. Poproszono go o pośrednictwo, bo w grę wchodziły wielkie pieniądze. Chociaż na tym etapie kariery on i starsi wspólnicy bardzo rzadko siedzieli po nocy w pracy, on został. Zrobiło się bardzo późno i oczy mu łzawiły od wpatrywania się w ekran komputera, kiedy Maria, słodka meksykańska sprzątaczką, na którą wcześniej nie zwracał uwagi, hałaśliwie władowała się z odkurzaczem, wiadrem ścierek i środków czyszczących. Zaskoczył ją jego widok.

– Och, przepraszam, panie Vance, myślałam, że już pan poszedł na dziś – powiedziała zakłopotana. – Ja wrócić.

Morgan szukał jakiejś wymówki, żeby zrobić sobie przerwę, bo nie rozmawiał z nikim przez kilka godzin.

– Nie ma sprawy, muszę odpocząć. – Zerknął na jej identyfikator. – Maria. Ładne imię.

– *Gracias*.

– Skąd jesteś?

– Meksyk.

– Byłem tam w zeszłym roku. La Palmilla w Cabo San Lucas. Piękne miejsce, świetne pole golfowe. – Morgan odchylił się na krześle i splótł dłonie za głową.

– *Si*, nie byłam tam. Jestem bardziej ze środka, niedaleko Mexico City.

– Och, cóż, powinnaś tam pojechać. Cudowne miejsce.

– Okay.

Morgan patrzył na nią przez chwilę, ale wpadł w zadumę, wspominając ten wyjazd. Piaszczyste plaże, błękitny ocean, margarity. Romantyczne miejsce. To chyba było wieki temu.

– Ja wrócić potem? – zapytała Maria.

– Nie, nie. Nie przejmuj się mną i rób co trzeba.

– Ja nie przeszkadzać?

– Nie.

Morgan odwrócił się do ekranu komputera, a kobieta schyliła się, żeby włożyć wtyczkę do kontaktu. Widział ją kątem oka i, co go zdziwiło, podniecił się na widok szarego stroju pokojówki, ciasno przylegającego do jej pośladków. To jakiś absurd, zachichotał w duchu.

Maria zaczęła odkurzać, a Morgan skoncentrował się na pracy. Nadal jednak zerkał na nią i uśmiechał się, a ona odwzajemniła uśmiech. To zawsze trochę niezręczne, kiedy ktoś sprząta, a ty siedzisz, pomyślał. Nigdy nie lubił być w pobliżu, kiedy pokojówki robiły swoje u niego w domu.

Może zachęcona jego uśmiechami, Maria zaczęła rozmowę:

– Późno pan dziś pracuje, panie Vance.

– Tak, mnóstwo roboty.

– Wielki projekt? – odkurzała pod chińskim stolikiem.

– Tak, bardzo duży, Mario. Niezmiernie ważny.

– *Si*. Pan tu bardzo ważny, wiem. Duży człowiek. Morganowi spodobało się to, co usłyszał. Przyjrzał się jej dokładniej. Miała krągłe kształty – jędrne pośladki i ogromne piersi wciśnięte w strój pokojówki. Ciemne kręcone włosy spadały jej na ramiona, czarne rzęsy były długie i wywinięte, a wydęte wargi wilgotne i czerwone. Egzotyczna piękność. Może dlatego, że od tak dawna on i Cordelia się nie kochali, kiedy Maria nazwała go dużym człowiekiem, doznał wzwołu.

– Przepraszam, ja przeszkadzam – powiedziała Maria pośpiesznie.

– Nie, wcale mi nie przeszkadzasz.

Morgan wrócił do komputera, a Maria do odkurzania. Przeszła koło foteli i zbliżyła się do jego biurka. W końcu został tylko dywanik pod jego krzesłem. Uśmiechnęła się do Morgana.

– Przepraszam, to trudny kawałek – powiedziała i pochyliła się nad nim, suwając odkurzaczem.

– Nie ma problemu.

Jej ręka poruszała się w przód i w tył i za każdym razem lekko muskała jego krocze. Nadal się do siebie uśmiechali.

Z perspektywy czasu trudno stwierdzić, kto zrobił pierwszy ruch. Czy to Morgan przyciągnął ją do siebie, czy to ona pierwsza pochyliła głowę? Nie mógł sobie tego przypomnieć. Ale zanim się zorientował, Maria wzięła jego członek do ust i doświadczał tak ekstatycznej przyjemności, że nie docierało do niego, że to się dzieje naprawdę. Cordelia od lat nie robiła mu laski. Przez krótki okres w trakcie ich małżeństwa była ochoczą partnerką, ale z czasem to jakoś

osłabło, zupełnie jakby uznała pewne rzeczy za zbyt niegodne jej ust (przede wszystkim penisy i jedzenie). Maria przywróciła go do życia, a on eksplodował namiętnością i, później, wdzięcznością.

Ich nocne biurowe ekscesy ciągnęły się podczas transakcji z Simonsonem, a kiedy Morgan nie musiał już tak długo pracować, odbywały się w Empire Hotel na Broadwayu. W końcu, paranoicznie przerażony, ale zadurzony, wynajął jej mieszkanie niedaleko swojego biura. Z początku było tak, jakby trafił na największą żyłę złota. Maria okazała się skora do wszystkiego – żadna pozycja podczas uprawiania seksu nie była dla niej zbyt poniżająca czy forsowna. Nie oburzała jej żadna zabawka z sex shopu, nie przeszkadzały jej żadne wulgaryzmy wypowiedziane w porywach namiętności. Morgan miał poczucie, że uprawia turystykę erotyczną. Wróciło mu zainteresowanie seksem. Przetrzęsał sklepy z bielizną w odległych dzielnicach miasta, kupując każdy lubieżny strój, jaki wpadł mu w oko. Wypożyczał filmy wideo, o których wcześniej tylko marzył, i oglądał je ze swoją towarzyszką. A Maria nie miała oporów przed noszeniem stroju sprzątaczk i nazywaniem go „Mister Duży Człowiek” w ciemnościach ich sypialni. Był w rajach.

Uważał Marię za słodką i śliczną. Jego brak doświadczenia w dziedzinie niewierności sprawił, że błędnie brał jej milczenie za naiwność i nieśmiałość. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, z jaką szczwaną istotą miał do czynienia. Rozentuzjasmowany, zabierał ją w wytworne miejsca i pokazywał ładne rzeczy. Wszystko zapamiętała, polubiła światowe życie i niemal od początku postanowiła wykorzystać Morgana jako przepustkę do wydostania się z nizin społecznych. Gdy tylko zaszła w ciążę, zmieniła się. Morgan nadal nie był pewien, jak to się stało – czasami sądził, że robiła dziury w prezerwatywach albo, co gorsza, przekładała ich zawartość do strzykawki do nadziewania indyka. Tak czy inaczej, zmieniła się w se-

kutnicę – podstępna, wymagająca, skrzeczącą natarczywie wiedźmę, która grozi, że zniszczy mu życie, i jest w stanie to zrobić. I pomyśleć, że kiedyś uważał ją za atrakcyjną! Nie widział, że za tymi długimi rzęsami są worki pod oczami, a gruba warstwa korektora Cover Girl nie jest w stanie ich ukryć. *De facto* cały makijaż, jaki nakładała – a nie było tego mało – nie uwydatniał jej urody, tylko nadawał jeszcze bardziej prostacki wygląd. Te usta, które uważał za tak ponętne, były zazwyczaj przemienione w czarną dziurę, wypływającą obelgi i wywarkującą rozkazy pod adresem każdego, kto znalazł się w jej pobliżu. Ta kobieta to jeden wielki błąd.

A teraz jest na nią skazany – i na ich dziecko. Nie wiedział, co ma robić i co sądzić o małej Schuyler. Nigdy nie miał córki, choć właściwie zawsze tego chciał, ale kim ona się stanie przy takiej matce? Gdyby tylko mógł się pozbyć Marii, wszystko byłoby w porządku. Morgan westchnął. Gdyby tylko...

Melanie siedziała w eleganckiej poczekalni biura szacownej firmy Hunt & Greenberg, zajmującej się wizerunkiem publicznym, czytając egzemplarz sygnałny „Vogue'a”. Natrafiła na zdjęcie Rosemary Peniston w kostiumie Cyganki i Liii Meyers jako czarownicy, ale oczy się jej zwięziły na widok Olivii Weston przebranej za Virginie Woolf. Kiedy miała zacząć czytać towarzyszący fotkom z balu tekst, wychudzona asystentka Stevena Hunta, ubrana w czarny golf, przyszła zaprowadzić ją na spotkanie umówione na siedemnastą.

Zaproponowano jej coś do picia i wprowadzono ją do najnowocześniejszej sali konferencyjno-telewizyjnej, gdzie natychmiast rozsiadła się na brązowej skórzanej kanapie i zaczęła przerzucać prze-faksowany jutrzejszy numer „Va-riety” leżący na ławie. Nos jej się zmarszczył od woni wyprawionej skóry, która niestety była podobna do zapachu końskiego nawozu. Jak w tych tanich samochodach – dlatego nigdy nie kupiłaby volvo – które cuchną. W końcu, zajmujący się wizerunkiem publicznym gwiazd, Steven pojawił się i przywitał z nią. Przeprosił ją gorąco za nietypowe dla niego zderzenie. („Julianę Moore właśnie odeszły wody – szaleję z nerwów!”). Po krótkiej rozmowie o niczym Melanie jeszcze bardziej podniosła mu ciśnienie, przechodząc do sedna sprawy i zabierając mu piętnaście minut niezmiernie cennego czasu.

– I tyle. Jest pan najlepszy na świecie, a ja pracuję tylko z najlepszymi. Co pan na to?

– Rozumiem, pani Korn, ale jak powiedziałem przez telefon, zajmuję się tylko hollywoodzkimi znakomitościami...

– Rozumiem, ale będzie się panu dobrze ze mną układało. To miała odmiana pracować z filantropką. – Przesunęła wymanikiowaną dłoń po blond włosach.

Na twarzy Hunta malowała się dezorientacja („Czy ona nie rozumie, co się do niej mówi?”) zmieszana z ciekawością i lekkim oburzeniem („Co za tupet!”). Niezła artystka, z tym pierścionkiem, futrem i fryzurą. Czemu ona tak rozpaczliwie poszukuje specjalisty od wizerunku publicznego?

– Moi klienci zazwyczaj promują film lub płytę. Na co pani chce łowić?

Melanie sięgnęła do torebki od Gucciego, wyciągnęła gruby plik banknotów i przesunęła go po polakierowanym blacie stolika.

– Jestem taką grubą rybą, że nie potrzebuję haczyka – powiedziała.

Pod koniec dnia na poufnej liście Hunta, wśród szeregu osób przechadzających się po czerwonych dywanach, znalazła się nowa klientka: Juliannę, Charlize, Melanie.

W innej części miasta mąż Melanie też prowadził połowy. Samochód Arthura zatrzymał się przed zieloną markizą przy Park Avenue 741, kiedy akurat Olivia Weston wychodziła z budynku. Wyglądała olśniewająco w płowym płaszczyku i czekoladowobrązowych skórzanych kozaczkach – aż zabrakło mu tchu w piersiach. Wiatr rozwał jej włosy, a ona otuliła szyję kaszmirowym szalikiem. Arthur dałby się pokroić, by być tym szalikiem. Oczy mu się rozszerzyły, gdy patrzył, jak wolnym krokiem łani skręca za róg. Gdy

bentley znalazł się przy krawężniku, wyskoczył z samochodu, szybko dziękując swojemu szoferowi, Charlesowi, i życząc mu dobrej nocy. Portier Tom wybiegł go przywitać i Arthur już miał wejść do budynku, kiedy zatrzymał się i zmienił zdanie.

– Zapomniałem czegoś – wybełkotał do Toma, który przytrzymał mu drzwi. – Zaraz wracam – dodał, jakby musiał się przed nim tłumaczyć.

– Oczywiście, panie Korn.

Arthur zniknął za rogiem i ruszył za swą nieskazitelną sąsiadką. Szli Seventieth Street, on dziesięć kroków za nią, a serce pędziło mu jak samochód na torze wyścigowym ligi NASCAR. Był zahipnotyzowany jej lekkim chodem, unoszącymi się i opadającymi w rytm kroków błyszczącymi włosami.

W Olivii było coś magnetycznego, zniewalającego, co go po prostu do niej przyciągało. Bardzo by się spieszył, gdyby ktoś dowiedział się, że ją śledzi. To było jak uzależnienie – chciał ją chwycić i pić, dopóki się nie nasyci. Ponieważ nie mógł ugasić pragnienia, więc tylko patrzył, dokąd idzie i co robi. Wydawała się bardzo tajemnicza, jak na ulubienicę mediów. Wygodny świat, w którym żyła, wydawał mu się tak boleśnie pociągający.

Skręciła w Madison z Arthurem tuż za plecami. Minęli butik z luksusowymi ubraniami, salony florystyczne i cały czas Arthur zastanawiał się, dokąd zmierza. W końcu raptownie skręciła i weszła do taniej restauracyjki o nazwie Three Guys. Nie był na to przygotowany, więc zawrócił i zaczął wpatrywać się w skrzynkę na listy, udając, że coś wysyła, ale przez okno zerkał na Olivie. Usiadła w boksie z jakimś pretensjonalnym facetem o zmierzwionych włosach i wychudzonej twarzy, ubranym w starą skórzaną marynarkę. Wyglądał na kogoś ze śródmieścia. Arthur przyglądał się im i w końcu, z zuchwałością, która zadziwiła nawet jego, wszedł do środka. A co

tam?! To wolny kraj – pomyślał, kiedy kelnerka prowadziła go do stolika. Szedł w kierunku Olivii, ale siedziała tyłem do niego i widział tylko jej rozświetlone włosy. Wślizgnął się do boksu sąsiadującego ze stolikiem Olivii i jej... przyjaciela? chłopaka? brata, miejmy nadzieję. Głęboko odetchnął, świadom, że od bogini dzieli go tylko oparcie.

Nie mógł uwierzyć, że siedzi tak blisko niej, a dźwięk jej głosu wypełnia jego uszy. Słyszał strzępy rozmowy.

– Byłam naprawdę zajęta... – powiedziała.

– Nic mi nie mów. Mam tyle do roboty, cholera, że nie wiem, od czego zacząć – powiedział facet.

Arthura zaskoczyło, że ktoś może przeklinać przy Olivii. Wstrętne. Zupełnie jakby przeklinał w kościele.

– ...muszę to mieć gotowe. Mam coraz mniej czasu, Rob.

Rob. Ale głupie imię. Dziecinne.

– Och, daj spokój, musisz po prostu olać te towarzyskie bzdety – powiedział szyderczo.

– Nie rozumiesz. Są...

Właśnie kiedy Olivia miała powiedzieć coś ważnego, pojawiła się kelnerka.

Arthur przeklął ją w duchu. Melodyjny tembr głosu dobywający się z krtani Olivii był dla niego wystarczającym pokarmem. Cóż, musi coś zamówić, bo zniecierpliwiona kelnerka zagląda mu przez ramię, żując gumę w najbardziej irytujący sposób. Przejrzał menu i ostatecznie wybrał pastrami z żytnim chlebem i musztardą, i kawę. Melanie by umarła, gdyby zobaczyła, co jem – pomyślał nerwowo.

Kiedy zamawiał swoje danie i surówkę z białej kapusty na przystawkę, nie zauważył, że z toalety wróciła młoda kobieta i siadła naprzeciwko Olivii. Nosila okulary w oprawce w kształcie kocich

oczu oraz czarny trykot. Miała gotycką piękną twarz, zielone oczy, farbowane kruczoczarne włosy i pięć kolczyków w uchu.

Kelnerka odeszła i Arthur mógł wrócić do podsłuchiwania, a nowo przybyła podjęła rozmowę. Arthur słuchał uważnie, przekonany, że to Olivia rozmawia z Robem.

– Czemu poświęcamy tyle czasu na Platona? Moim zdaniem jest przereklamowany – buntował się Rob. – Tego właśnie nienawidzę u naszych profesorów. Te ich przekonania i naiwna wiara, że u tych białych facetów żyjących tysiące lat temu znajdziesz odpowiedzi na wszystko.

– Kompletnie się z tobą nie zgadzam – sprzeciwiła się dziewczyna. – Mam obsesję na punkcie nieżyjących białych facetów.

Arthur się ożywił. Nie miał pojęcia, że Olivie interesuje śmierć. Toż to temat, o którym wie wszystko.

– A co do Platona, to moim zdaniem alegoria jaskini jest genialna – ciągnęła dziewczyna, podczas gdy Olivia, milcząc, popijała wodę. – Koncept, że ludzie wspinają się do światła u wejścia jaskini po wiedzę...

Arthurowi wydawało się, że pławi się w jej głosie – tak silnym, pewnym siebie. Jego melodia działała jak kołysanka na zmęczone uszy, które przez cały dzień słyszały tylko o nowych modelach trumien. A teraz, w tej greckiej restauracyjce, sam miał poczucie, że obudził się z martwych dzięki brzmieniu głosu tuż za jego plecami.

– Kiedy już masz tę wiedzę, widzisz, że przywództwo to marność...

Ale błyskotliwa, pomyślał. Nie tylko piękna, ale i inteligentna. Wiedział już, że jest w niej zadurzony. I musi iść kupić jej książkę, jak najszybciej.

Kelnerka przyniosła Arthurowi jedzenie – prosta przyjemność, którą nie pozwolono mu się cieszyć wieczorami z powodu wyrafi-

nowanych kubków smakowych żony i okropnych lunchów w klubach w ciągu dnia. Czy to taki problem zjeść od czasu do czasu kanapkę?

Kelnerka o imieniu Hortense miała dwie lewe ręce i wylała mu colę na spodnie. Świetnie, jeszcze tylko tego brakowało. Gdy próbowała rozmazać na nim rozlany napój, a on starał się protestować, dziewczyna za nim wstała i przerzuciła kurierską torbę przez ramię.

– Czemu wychodzisz, Holland? Dopiero tu przyszedłam – zapytała Olivia.

– Nie musi pani, wszystko w porządku – powiedział Arthur do kelnerki, która wycierała mu spodnie.

– Mam zajęcia – odpowiedziała Holland.

– Tak mi przykro – przepraszała kelnerka. – A to naprawdę ładne spodnie. Jedzenie na mój rachunek.

– Czemu nie oddzwoniłaś? – kontynuowała Olivia rozpaczliwie.

– Naprawdę nie mam ochoty teraz się z tobą spotykać. Pogadamy kiedy indziej – skończyła rozmowę Holland i wyszła.

– Naprawdę nie ma potrzeby. Proszę się nie przejmować – powtarzał Arthur, rozpaczliwie pragnąc pozbyć się kelnerki, żeby jak najwięcej usłyszeć.

– Jeszcze raz przepraszam – powtórzyła skruszona.

Z powodu afery z colą i ścierką Arthur stracił całą rozmowę między dziewczynami. Kiedy wrócił do podsłuchiwania, przy stoliku siedzieli już tylko Olivia i Rob, rozmawiając o zmieniających kolor liściach i szykując się do zapłacenia rachunku. Arthur nie chciał, żeby go zauważyli, więc zostawił dwadzieścia dolarów na stole i szybko wyszedł na ulicę. Chłodne powietrze owiało mu twarz wilgotną od potu. Pośpieszył do domu, żeby zmienić spodnie, zanim Melanie zauważy plamy – oznaki jego mentalnej zdrady. Ale na-

wet nie zwróciła na nie uwagi. Przywitała go entuzjastycznie, przytulając się. Nieprzytomna ze szczęścia zawiadomiła go, że Hunt & Greenberg zyskali nową klientkę.

RS

Jeżeli cywilizacja i społeczeństwo istnieją po to, żeby powstrzymać istoty ludzkie przed pogrążeniem się w rozmyślaniach o śmierci, to bale charytatywne istnieją po to, żeby bogate i próżnujące kobiety zapomniały, że nie mają nic do roboty – pomyślał Phillip Coddington, przywdziewając kilt na jeszcze jedną imprezę. Prawdziwym celem tych widowisk, choć spowitym w szlachetność, okrytym szczodrością i opatulonym w bezinteresowność, było wyłącznie to, żeby żony mogły udowodnić swoim mężom, dlaczego nie pracują, a w trakcie tego udowadniania trochę ich potortuować.

Melanie Korn zerknęła na zaproszenie na dzisiejszą uroczystość, które leżało na jej toalecie. Uśmiechnęła się na myśl o dziwaczności tych zgromadzeń. Paczka dobroczyńców przypominała grupę koczowników podróżujących po okolicach i rozstawiających swoje namioty w różnych górskich dolinkach. Zawsze pojawiali się w tych samych miejscach – wybierając w kółko coś z pierwszej dziesiątki (Lincoln Center, Met, Botanical Gardens, Waldorf itd.) – rozstawiali namiot z takimi dekoracjami, jakie w danym miesiącu spodobały się komitetowi.

Cordelia, wkładając rajstopy, westchnęła głęboko, niepewna, czy w ogóle ma ochotę na dzisiejszy bankiet. Tak niewiele rzeczy ją zaskakiwało. Czasem zdarzało się przyjęcie wymagające tylko czarno-

białych strojów, czasem bal kostiumowy lub koncert jakiejś sławy, a innym razem aukcja charytatywna. Zazwyczaj jednak zbiegało się to samo stado organizatorek, odzianych w markowe stroje anorektycznych bywalczyń salonów, i na ogół ten sam zestaw uczestników.

Joan Coddington wyjrzała przez zalane deszczem okno samochodu i przyglądała się, jak woda skapuje ze sklepowych markiz. Westchnęła. W dzisiejszych czasach, kiedy dyskrecja i prywatność należą do rzadkości, nieczęsto się zdarza, żeby ktoś niespodziewany pojawił się na tych imprezach. A to naprawdę szkoda. Minęły dni, kiedy świeżo rozwiedziona hrabina Olenska stawała w drzwiach, wywołując szmer wśród tłumu, a i nikt jeszcze nie zajął miejsca Jackie O. czy choćby Carolyn Bessette Kennedy. W epoce bezwstydnego autopromocji, gdy nie jest najkorzystniej pojawiać się w gazecie tylko z powodu urodzin, ślubu i śmierci, rzadko otwierano oczy i usta ze zdziwienia.

Kiedy Wendy czekała w westybulu na Coddingtonów, myślała o tym, co ją czeka dzisiejszego wieczoru. Prawdopodobnie to, co zwykle, czyli nic. Jej środowisku zdecydowanie brakowało kogoś tajemniczego, tej jednej, zapierającej dech w piersi osoby, która by stroniła od większości imprez i prasy, ale co jakiś czas opuszczała złoconą klatkę i pozwalała światu na siebie popatrzeć. W rzeczywistości aurę tajemniczości trzeba pielęgnować – to dlatego najpiękniejsze, ale trochę nieuchwytnie kobiety w rodzaju Olivii Weston stawały się ulubienicami całego miasta.

W ten szczególnie mokry, wrześnieowy wieczór modele lincolna „na miasto”, prowadzone przez szoferów mercedesy oraz limuzyny, podwoziły obwieszone biżuterią damy i odzianych w smokingi mężczyzn do Ciprianiego na Forty--second Street. Przybyli na Bal Alergii Pokarmowych, galę, gdzie zbierano fundusze na pomoc oso-

bom, którym rozsadziliby głowy, gdyby choć spojrzwały na truskawkę. Portierzy z olbrzymimi czarnymi parasolkami pomagali paniom, które podnosiły brzegi ręcznie zdobionych jedwabnych sukni, żeby te nie nurzały się w kałużach. Pantofle od Ma-nola Blahnika przechodziły test wytrzymałości, kiedy damy śpieszyły drobnymi kroczkami do budynku, podczas gdy ich mężowie umieszczali szeszczące banknoty pięciodolarowe w dłoniach portierów.

Wewnątrz Preston Bailey ustawił rozkwitające białe lilie w każdym możliwym miejscu. Pośród tysięcy białych świec głosy witających się gości tworzyły biały szum, przemieszczający się pod olbrzymim, ozdobionym freskami sufitem byłego banku. Joan i Wendy, jak krytycy z *The Muppet Show*, obrały dogodne miejsce, z którego mogły podziwiać i wydrwiwać stroje i biżuterię świeżo przybyłych. Stały na mozaikowej posadzce kojarzącej się z cesarstwem rzymskim, popijały specjalność restauracji – bellini, drink z wina musującego i przetartych brzoskwiń – i upajały się przyływem tkanin i klejnotów.

– Widziałaś pierścionek Cordelii? Teraz wiem, gdzie ćwiczy Michelle Kwan! – powiedziała Joan do Wendy. A do siebie samej: „Zabiłabym jakiegoś nieznajomego za taki pierścionek”

– Czy aby na pewno Diament Hope'a jest nadal w Instytucie Smithsonian?

– Wiesz, wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Morgan jej to kupił.

– Ja też. Zdradzające stopy nie mogą utrzymać rytmu – dodała Wendy.

– Cytujesz George'a Michaela?

– „Nierozważne szepty” do ucha kochanki...

– Uważasz, że takie z niego ziółko? – zapytała Joan, jakby po raz pierwszy omawiały kwestię rzekomej niewierności Morgana.

– Wiem tylko, że Cordelia mówiła na lunchu w sprawie Memorial Sloan-Kettering, że Morgan we wtorki wieczorem gra w sęuasha z mężem Meredith Berigner, a Meredith powiedziała, że Ron już nie gra w sęuasha, od kiedy wypadł mu dysk. Sama wyciągnij wnioski.

– Ciekawe... – Joan zastanawiała się nad tym, opierając brodę na dłoni *a la* Sherlock Holmes. W końcu to za mało, żeby postawić człowieka w stan oskarżenia. – Wypytam Phillipa, czy czegoś nie wie – rozejrzała się po sali.

– Jest Walter Johnson. To *tres* zabawne patrzeć, jak dochodzi do konfrontacji z jego klientkami.

Rzuciły okiem na przystojnego lekarza, którego twarz ściągał grymas. Jego blondwłosa żona, bywalczyni salonów, gawędziła ze wszystkimi z wielkim entuzjazmem, lecz on robił wrażenie nieszczęśliwego. Jak zwykle sunął po sali, oglądając efekty swojej pracy na klatkach piersiowych oraz gładkich czołach, i udawał, że nigdy wcześniej nie widział swoich pacjentek. „Miło mi panią poznać” mówił, ściskając dłoń kobiety, którą trzykrotnie operował. „Witam, jestem Walter Johnson”, przedstawiał się kolejnej, której niedawno poprawiał oczy.

– Patrz! Jest Sebastian Little. Nie sądziłam, że się pojawi – zauważyła Joan z dezaprobatą.

– Nadal miewa samobójcze zamiary? – zapytała Wendy, zapalając papierosa.

– Prawdopodobnie ze wstydu. Pozwól, że zadam ci pytanie: gdybyś chciała umrzeć, czy zakładałabyś na głowę torebkę foliową z zamknięciem strunowym? To najdebilniejsza metoda samobójstwa. Wyskakujesz przez okno jak każdy normalny człowiek!

– Ja bym tak zrobiła. Kilka pigułek i hop za okno. Piętnaście pięter w dół na Park Avenue i klap. – Wendy najwyraźniej przemyślała tę kwestię.

– No, to koszmar dla portierów, ale jednocześnie jedyny niezawodny sposób. Nie wiedziałabym, co zrobić z pistoletem.

– Cóż, nawet gdyby Sebastian Little miał obrzyna, to prawdopodobnie nie wiedziałby, jak go użyć. Nie za bardzo wie, co zrobić z rękoma. – Wendy zdawała sobie sprawę, o czym mówi, bo lata temu wskoczyła z nim do łóżka, jeszcze jako atrakcyjna mężatka.

– Szkoda, że jego żona nie zakończyła swojego romansu. Może by go uratowała.

– Tu nie ma co ratować.

– Musi być potwornie zażenowany. Dlaczego, u licha, pokazuje swoją gębę?

– Prawdopodobnie robi dobrą minę do złej gry, chce udowodnić wszystkim, że jeszcze tu jest – zasugerowała Wendy.

– Ja bym po prostu zniknęła.

– Oczywiście. Jest świadomy, iż wszyscy na tej sali wiedzą, że nawet nie potrafi przyzwoicie popełnić samobójstwa.

– Żalotne.

– Beznadziejne.

– Jest Melanie Korn – powiedziała Joan. – Ta to dopiero wygląda, Czy nikt jej nie powiedział, że ta długość wyszła z mody dwanaście lat temu?

– W ogóle nie umie się znaleźć. Słyszałaś, że stara się dostać do zarządu Met? Nigel Goodyear był po prostu zdegustowany tym, jak bezwstydnie i bezczelnie o to zabiega. Właściwie błagała go, żeby zgłosił jej kandydaturę.

Joan i Wendy przyglądały się, jak Melanie nieomal zgwałciła Patricia McMullana, żeby zrobił jej zdjęcie. Gdy już wyświadczył jej tę grzeczność, wzięła Arthura pod ramię i skierowała się w stronę Lawtonów, których nie znosiła. Ale brat Cindy jest w zarządzie Met.

– Cindy! Gus!

–Melanie! Arthur!

Nastąpiła szybka wymiana cmoknięć powietrza w okolicach policzków.

–Wyglądasz świetnie, Cindy – powiedziała Melanie.

–Miło cię spotkać, Arthur. Widziałem cię któregoś dnia na korcie do squasha. Wracasz do gry? – zapytał Gus, śmiejąc się w duchu na wspomnienie tego żalostnego widoku. Równie dobrze Humpty Dumpty mógłby próbować ćwiczyć. Komedialnie.

–Tak, tak, grywam co jakiś czas. Jak tam interesy? – Arthur dobrze wiedział, że fatalnie. Dziecię funduszu powierniczego przeinwestowało, tracąc miliony. A tatuś go tym razem nie wyciągnie z kłopotów. W tym tempie szybko skończy w sosnowym pudle.

–Jak fajnie tu być. – Cindy rozglądała się dookoła. Potrzebowała planu ucieczki, i to szybko. Jeżeli ktoś zobaczy ją, jak rozmawia z Melanie Korn, jej akcje towarzyskie spadną na łeb, na szyję.

Melanie też się rozglądała. Zmrużyła oczy na widok Wendy i Joan, podrzędnych obserwaterek z jaskółki. Chociaż się ich bała, to powoli orientowała się, że nie są wiarygodne i właściwie każdy uważa je za złośliwe plotkary. Pamiętając, że do pszczoł należy podchodzić z miodem, pomachała im, a one uśmiechnęły się promiennie i odwzajemniły się tym samym.

– Aa, Cindy, jest tu twój brat? Chciałabym z nim pogadać.

–Nie, Martin jest w Gstaad.

–Hm. Cóż, a wraca jakoś niedługo?

–Nie jestem pewna.

Kiedy Melanie robiła swoje, Arthur rozglądał się niepewnie po sali. Chciał zakończyć te pogaduszki i sięść do jedzenia, bo to zawsze łatwiejsze. Nie radził sobie z rozmówkami towarzyskimi z ludźmi, których widywał tydzień w tydzień. Melanie była w tym

świetna, a on do niczego. Obok przeszedł kelner z tacą ragout z dzikich grzybów na polencie i Arthur chwycił go za ramię.

– Proszę mi dać spróbować – włożył całą przekąskę do ust.

Kelner podsunął następnie tacę paniom, które machnęły z obrzydzeniem, jakby proponował im zdechłe karaluchy, ale Gus wziął kęsa. Kelner odwrócił się, żeby odejść, Arthur jednak ponownie złapał go za ramię.

– Nie tak szybko – chwycił jeszcze dwa kawałki. – Miną wieki, zanim któryś z was będzie tędy znowu przechodził.

Melanie szeroko otworzyła oczy.

– Kochanie, nie jedz tak łapczywie! To nie Etiopia.

– Umieram z głodu.

Gus odwrócił się do kogoś innego, a Melanie kontynuowała rozmowę z Cindy. Arthur rozejrzał się po sali. Prawdziwie szpanerski tłum. W jednym kącie najważniejsi gracze na rynku, w innym sztywniaki, a jeszcze w innym... Arthur osłupiał. W rogu z jakąś grubaską i zagłodzoną dziewczyną stała Olivia Weston. Miała stalowoszarą jedwabną sukienkę, a włosy uczesała w kok w stylu Grace Kelly. Niedbale trzymała kieliszek białego wina i pogodnie gawędziła z przyjaciółkami. Arthur nie mógł oderwać od niej oczu.

– Nie patrz teraz – ostrzegła Olivie Lila. – Jakiś gruby, łysy facet gapi się na ciebie.

Olivia wolno podniosła wzrok i swobodnie rozejrzała się po sali.

– Och, to mój sąsiad.

Arthur napotkał jej spojrzenie; zdał sobie sprawę, że się w nią wpatruje, i od razu poczerwieniał.

– Cóż, nie wie, że to nieuprzejme tak się gapić? – zapytała Rosemary głośno.

– Cii... usłyszy cię – upomniała ją Olivia.

– Nie usłyszysz mnie stąd – zagrzmiała Rosemary. – Tak czy inaczej, Liv, jak mówiłam, zanim nam nieuprzejmie przerwano – spojrzała na Lilę – Jack Bellows z „Observe-ra” pytał mnie któregoś dnia, kiedy możemy się spodziewać twojej następnej książki. Wiem, że pracujesz nad nią jak szalona, więc powiedziałam: „Jack, dobre rzeczy przychodzą do tych, którzy potrafią czekać” ale tak naprawdę to nie mam pojęcia. Kiedy dostaniemy następną powieść?

Olivia wyprostowała się.

– Wkrótce. Wkrótce. Mam po prostu drobną...

– Blokadę twórczą? – zapytała Lila.

– Blokadę twórczą, tak. Ale chcę się też upewnić, że jest idealna. Kiedy pisarz popełni błąd przy drugiej książce, to może przekreślić całą swoją karierę.

– To na pewno – zgodziła się Lila. – Nie chcę, żebyś zrobiła wielką, spektakularną klapę.

– Więc nie masz wyjścia, Olivio! – zahuczała Rosemary. – Nie możemy się już doczekać. Ale wiem, że przygotujesz coś fantastycznego.

– Gdybyś potrzebowała jakiejś pomocy, chętnie przejrzymy rękopis – zaproponowała Lila.

– Dzięki.

Zbliżył się Bill Cunningham z „New York Timesa” i z zaskobioną miną podniósł aparat, żeby zrobić zdjęcie. Nigdy się nie odzywał, tylko uśmiechał, ale wszyscy wiedzieli, kim jest.

Trzy młode kobiety odstawiły kieliszki, poprawiły fryzury, nieznacznie się odwróciły i wysunęły biodra. Od dziecka szkolono je w sztuce pozowania do zdjęć z uroczystości.

– Dzięki – powiedział Cunningham i odszedł w kierunku Cordelii Vance, która właśnie weszła w towarzystwie Jerome'a de Stingola.

Po pozowaniu dla Billa Jerome zachęcił swoją towarzyszkę.

– Cóż, moja droga, musimy natychmiast iść do baru! Umieram z pragnienia, jestem pewien, że tobie też zaschło w gardle. Trzeba jakoś rozkręcić tę imprezę.

Cordelia podążyła wiernie za Jerome'em. Nie mogła sobie przypomnieć, z jakiego powodu zorganizowano taki spęd – czyż to nie okropne? Tyle się ich organizuje.

– Co dla ciebie, to co zwykle? – Jerome zdał sobie sprawę, że zeszłoroczny bal kostiumowy opuścił z barmanem.

RS

Nie ma nic lepszego niż pracownicy firmy cateringowej Glorious Food. Mogliby mu ich codziennie dostarczać.

– Wiesz co, Jerome? Chyba dziś trochę zaszaleję, a co tam. Co powiesz na Bombay Sapphire martini? – Cordelia zaskoczyła nawet samą siebie. Widziała gdzieś reklamę tego trunku i wszyscy, którzy go popijali, zdawali się tak świetnie bawić.

– Moja dziewczynka wychodzi z cienia! – Jerome zamówił drinki i dyskretnie kiwnął młodemu barmanowi.

– A więc, kochana, tylko ty i ja. Zabawmy się dziś!

– Tak!

Wiele osób popełniało błąd, nie doceniając Cordelii, ale nie Jerome. Miał świadomość, że jest powściągliwa i może się wydawać innym, w tym własnemu mężowi, roztargniona, a nawet nafaszowana prochami, ale wiedział, że pod tym pozorem kryje się bardzo inteligentna i bystra kobieta, o wielkim poczuciu humoru. Jerome towarzyszył wielu paniom, ale najbardziej lubił Cordelię. Łączyły ich bliskie więzi i jedno zwierzało się drugiemu. Choć Jerome nigdy przed nią nie odsłonił swojej ciemniejszej, perwersyjnej strony, a Cordelia nigdy o nic nie pytała, tę dwójkę łączyło uczucie i autentyczna przyjaźń.

Wendy i Joan przyglądały się tej osobliwej parze z przeciwległej strony sali.

– Ciekawe, gdzie jest Morgan. Ostatnio nie pokazuje się – zauważyła Joan.

– No, no. Jerome towarzyszy jej na piątym z rzędu przyjęciu. Będzie musiał podzelać sobie lakierki.

– To dopiero ziółko.

– Podły typ.

– Popatrz na OHwię Weston. Wygląda ślicznie.

– Oszłamiająco *comme toujours*...

– Ale jest nudnie ładna. Już takie nieraz widziałyśmy.

– Zdecydowanie masz rację – zgodziła się Wendy. – Już takie nieraz widziałam.

– Czytałaś ten artykuł w «Avenue»?

– Oczywiście.

Arthur również wrócił do popatrywania na Olivie, a kiedy pomachała mu niedbale, wypuścił z rąk szklankę.

– Arthur! Ależ ty jesteś niezdarny! – zdenerwowała się Melanie.

– Ee, przepraszam – wymamrotał.

– Słuchaj, właśnie przestudiowałam rozmieszczenie gości – wyszeptała Melanie do męża. – Wiesz, gdzie siedzimy? Kompletna druga liga. Jak myślisz, co się stało? Może nie dostali naszego czeku?

– Uważasz, że to celowe? Melanie rzuciła mu spojrzenie.

– Nie ma mowy.

Nagle Arthur zaczął się denerwować. Nie chciał, żeby Olivia zobaczyła go przy drugoligowym stoliku. Poczul się jak oferma.

– Cóż, jeżeli to afront, to po prostu chodźmy stąd. Mam dość tego smokingu. Zajdziemy po drodze do Three Guys i weźmiemy hamburgera.

Melanie sprzeciwiła się:

– Musimy stawić temu czoło. Po prostu śmieję się i udawaj, że bawisz się świetnie.

– Dobra – przytaknął. – Świetnie się bawić.

– Poza tym Guff twierdzi, że jeżeli się nachylasz i mówisz ścisłym głosem, niemal szepczesz, to ludzie myślą, że to coś naprawdę ważnego.

– Melanie, serio chcesz, żebym postępował według wskazówek naszego kamerdynera?

– Może i kamerdyner, kochanie, ale ma do czynienia z tymi ludźmi dłużej niż my. Myślę, że powinniśmy mu w tej kwestii zaufać.

Arthur już się miał nie zgodzić, kiedy zobaczył, jak Olivia nachyliła się do przyjaciółki i coś cicho mówi. Może Melanie i Guffey mają rację.

– Dobra. – Arthur nerwowo miał krawat. – Zaraz wracam.

– Dokąd idziesz?

– Do toalety.

– Nie chcę tu stać sama. Idę z tobą.

– Do męskiej?

– Do damskiej, głuptasie. Poczekaj na mnie, jak wyjdiesz.

Cordelia miała kłopoty z wczuciem się w radosny nastrój, choć postanowiła dobrze się bawić. Wyobrażała sobie rozmowę z Morganem, kiedy wróci do domu: „Jak tam przyjęcie?“, zapyta on. „Dobrze“, odpowie ona. „A jak spotkanie?“ „Dobrze“. A potem znowu zapadną w milczenie i położą się szybko spać. Jakie to przewidywalne.

Nie mogła zrozumieć, czemu przyjęcia nie sprawiają jej już przyjemności. Wszystkie te imprezy zaczęły się zlewać w jedną: ci sami ludzie, ten sam zespół, to samo jedzenie. Co napiszą w jej nekrologu? „Uczestniczyła w wielu balach charytatywnych“? W dodatku nie była nawet pewna, na co idą pieniądze. Afryka? Opera? Cukrzycy? Republikanie?

Jerome patrzył na jej twarz i widział malujące się na niej cierpienie.

– Wiesz co, skarbie? Zróbmy coś radykalnego. Może byśmy prysnęli stąd, poszli sobie do jakiejś zatłuszczonej knajpy i zjedli cheesburgera?

Cordelia spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Chodźmy!

Arthur patrzył na wychodzącą dwójkę z zazdrością. Gdyby tylko jego żona tak się nie przejmowała. Ale przynajmniej on i Olivia byli w tej samej, choć ogromnej sali.

Przez cały wieczór Joan i Wendy snuły najrozmaitsze domysły na temat tego, co spowodowało nagłe wyjście Cordelii i Jerome'a. Spekulacjom nie było końca. Olivia spędziła wieczór, słuchając uważnie osoby, koło której siedziała, i denerwując się swoją powieścią. Tylko Melanie naprawdę świetnie się bawiła, po tym jak zamieniła kartki z nazwiskami i usiadła koło Halseyów.

RS

Gdy Morgan ubierał się następnego ranka, zobaczył w lustrze swoją zmęczoną twarz. Był blady i wyglądał staro. Przypomnił sobie czasy, kiedy zwykle czuł się przystojny i pełen wigoru. Wydawało mu się, że jego świat zaatakował cyklon i wessał całe otoczenie w rozgorączkowaną udrękę, którą on sam spowodował, i nie potrafi tego zmienić. Wczoraj w nocy żona chciała go pocieszyć po męczącym dniu „spotkań” a on ją odepchnął. Biedactwo. Kim on się stał? Po dwudziestu ośmiu latach małżeństwa zdradził Cordelię, oszukiwał ją i kazał samej chodzić na przyjęcia, a w tym czasie posuwał jęczącą meksykańską kochankę. Nie było warto — te wszystkie kłamstwa, to narastające uczucie strachu w dołku, emocjonalny wrzód gryzący jego żalosne sumienie. Automatycznie zawiązał krawat Hermesa i idąc do wyjścia, pocałował żonę na do widzenia, tym razem ze szczerym: „Kocham cię” W windzie doszedł do wniosku, że chce odzyskać swoje stare życie, które teraz sunęło w dół jak ta wyłożona boazerią kabina. Musi skończyć tę farsę z Marią.

Kilka pięter niżej, do innego układu słonecznego, zbliżała się katastrofa.

— Jest „Quest”, proszę pani — powiedział pan Guffey, umieszczając ilustrowany magazyn z życia wyższych sfer na orzechowym biurku.

Melanie przypatrzyła się dokładnie okładce, którą zdobiło zdjęcie Cass Weather i nagłówek: „POGROMCZYNI GRZYBICY: CASS WEATHER I JEJ BAL ZAKOŃCZA CIERPIENIA

STÓP”.

– Och, byłam w tym Komitecie. Wiem, że robili nam wszystkim zdjęcie. Myśli pan...

Melanie za bardzo denerwowała się, żeby skończyć zdanie. Czy właśnie dziś będzie jej pierwszy raz, pojawienie się w kronice towarzyskiej? Czy to ten numer, w którym stanie do batalii o zakończenie niedoli określanej także słowem „Diandra”? Nie chciała nawet o tym myśleć, ale Guffey czekał.

– Jestem przekonany, że to może być chwila pani triumfu – powiedział z przekonaniem.

Melanie ostrożnie otworzyła magazyn i niepewnie przewracała strony.

– Och, jest Pamela, a tu Joan i Wendy. – Jej spojrzenie ślizgało się po zdjęciach.

– Sądzę, że *clou* numeru znajduje się zazwyczaj gdzieś w środku, proszę pani.

Melanie przewróciła stronę i zamarła. Na zdjęciu był komitet: Cass, Meredith Beringer, Mimi Halsey, Regina Bates i... ramię Melanie!

– O mój Boże.

Pan Guffey pochylił się.

– Wycięto panią.

– Widzę.

– To na pewno pani. Poznają po rękawie – złota lama.

– Wiem – Melanie nie wiedziała, co powiedzieć. – Jest bardzo źle?

– Będę z panią szczery. Tak.

– Och, myśli pan, że powinnam była włożyć Diora? To dlatego, iż nie włożyłam Diora?

– Bardzo wątpię.

– Może nie mieli wystarczająco dużo miejsca?

– Zdjęcie zajmuje niemal całą stronę. Mogli je dopasować tak, żeby i panią zmieścić.

Melanie zrobiło się słabo.

– Dobrze, więc, hm, proszę mi powiedzieć, czemu to takie okropne?

– Jeżeli mogę być szczery...

– Proszę!

– Cóż, proszę pani, w społeczeństwie, w którym pani funkcjonuje, zdjęcie w tego rodzaju publikacji daje wiarygodność, potwierdza istnienie. Tak to w życiu bywa, ma się swoje piętnaście minut. Kiedyś trzeba było być wyjątkowym, aby zyskać sławę, teraz trzeba być sławnym, aby zostać kimś wyjątkowym.

– I każdy, kto coś znaczy, znajduje się na nim, prawda? Melanie знаła odpowiedź na swoje pytanie. Każdy, kto

coś znaczy, czyli Diandra. Musi tam się znaleźć, jeżeli Diandra się udało! Nikt nie powinien myśleć, że Arthur tym razem ożenił się gorzej. Ktoś mu o tym w zaufaniu powie, on zacznie się nad tym zastanawiać, pojawi się jakaś seksowna młodsza kobieta i go podezwie. Melanie na samą myśl o tym zadrżała. Jest tyle powodów, dla których chce – musi – znaleźć się na zdjęciu.

– Dokładnie. Widzi pani – Guffey ciągnął z coraz większym zapalem – wykluczając panią z tych stron, eliminują panią ze społeczeństwa. Grzebią żywcem.

Melanie przełknęła ślinę. Dla społeczeństwa była martwa. Gdy tylko pan Guffey wyszedł z pokoju, załapała się łzami. A niech to! Czemu, u licha, musi się martwić takimi bzdetami? Z jednej strony

chce być wszystkim dla Arthura i dać mu powód do dumy, z drugiej – rozpaczliwie chciałyby się tym nie przejmować. Ale nie ma takiej możliwości.

Juanita, która ledwie mówiła po angielsku, przyszła zetrzeć kurz i zamiast tego musiała pocieszać Melanie. Nie bardzo rozumiała, o czym pani Korn mówi, ale wyraźnie była zdenerwowana. Coś o jakimś magazynie.

– Pani nie martwi, pani Melanie. Nie martwi. Melanie, oddychając szybko, starała się uspokoić. Juanita ma rację. Nie powinna się tym martwić. Dzięki Bogu za kogoś tak zrównoważonego i bystrego jak Juanita, kto przemówił jej do rozumu.

– Dobrze, koniec, kropka. Co zrobić? Zrobiłam wszystko, co mogłam. Jeszcze zobaczą... – zamilkła zamyślona.

– Zobaczą – zgodziła się Juanita.

– Dzięki, że mnie wysłuchałaś, Juanito.

Wzięła się w garść, postanowiła ubrać się i skończyć przeglądanie poczty. Na pewno pan Hunt wkrótce położy kres jej niedoli i Melanie poczuje wartość swoich pieniędzy. A w przyszłym tygodniu spotyka się z nowymi projektantami wnętrz, dzięki którym jej mieszkanie będzie należycie wyglądało. Punkt zwrotny już blisko.

Cordelia zaplanowała sobie wyjątkowo pracowity dzień, poprosiła więc kierowcę, żeby przyjechał godzinę wcześniej niż zwykle. „Robiła Madison”, czyli zaglądała do wszystkich stylowych butików i rzucała okiem na ich jesienne kolekcje. W przeciwieństwie do zeszłego roku, kiedy to dominowały chrom i ciemnoszary, ten sezon upodobał sobie burgundy i kobalty, Cordelia zatem była zmuszona gruntownie przemyśleć zawartość swej szafy. Niestety, Jerome nie mógł jej dziś towarzyszyć, więc sama będzie musiała sobie poradzić, co zawsze wprawiało ją w zdenerwowanie i niezdecydowanie.

– Zastanówmy się. Powinnam wziąć czarne czy białe? – zapytała sprzedawczynię u Manola Blahnika, która powiedziała jej, że srebrny też jest w modzie.

Cordelia poprosiła o katalog i przejrzawszy go, postanowiła zakupić wszystkie trzy kolory. Potem poszła do Arma-niego, Valentina, Caroliny Herrery, a nawet **Chloe** – tak z ciekawości. (Jerome wymógł na niej obietnicę, że nie pójdzie do Chanel bez niego). Miała zajrzeć do tylu sklepów, a większość z nich była obok siebie, przechodziła więc z jednego do drugiego. Kierowca jechał za nią, żeby mogła wrzucać zakupy na skórzaną kanapę, kiedy tylko poczuje na to ochotę.

– Mamusiu, to śliczne!

– Jest śliczne. Wiesz co? Byłaby idealna na ślub cioci Tiny.

– Tak! Tak!

Cordelia odwróciła się i zobaczyła elegancką, bardzo atrakcyjną trzydziestokilkuletnią kobietę z płowowłosą kilkuletnią córeczką, ubraną w wyprasowany zielony mundurek szkoły dla dziewcząt Chapin. Oglądały na wystawie Bonpoint bladoróżowo-bursztynową sukienkę z odcinającym karczkiem.

– Wejdziemy ją przymierzyć?

– Tak!

Przyglądała się im, gdy wchodziły do sklepu – dziewczynka podskakiwała z radości, a kobieta uśmiechała się z matczyną dumą. Coś w tej scenie sprawiło, że Cordelia zamarła. Zerknęła przez okno wystawowe do środka. Patrzyła, jak matka i córka rozmawiają ze sprzedawczynią i wskazują na sukienkę, i jak sprzedawczyni kiwa głową, prowadząc je do stojaka. Nie mogła oderwać oczu. Zupełnie jakby była świadkiem kłótni jakiejś pary, kraksy samochodowej albo oglądała naprawdę dobry odcinek serialu *Frasier*. Po prostu nie mogła odejść. Zawsze chciała mieć córkę.

Wsiadła do samochodu.

– Julio, jedziemy do Tiffany'ego.

– Tak, pani Vance.

Tiffany nie było miejscem, w którym Cordelia czy jej znajome często bywały, jeśli nie kupowały czegoś z listy prezentów ślubnych lub drobiazgu z okazji świąt dla pomniejszych znajomych. (Mają najwspanialsze świecidełka w rodzaju srebrnego breloczka do kluczy, klipa do banknotów czy kolczyków projektu Elsy Peretti – w sam raz dla służby czy sekretarek z firmy Morgana). Cordelia zdawała sobie sprawę, że tylko amatorzy kupują tam biżuterię (nawet pierścionki zaręczynowe były przeznaczone dla ludzi spoza miasta, którzy nie znali się na rzeczy na tyle, by kupić jakieś rodowe klejno-

ty lub pójść do handlarza diamentów i zrobić sobie porządną błyskotkę). Ale coś sprawiało, że uwielbiała to miejsce.

Kierowca Cordelii otworzył jej drzwi, kiedy dojechali do rogu Fifth Avenue i Fifty-seventh, i patrzył, jak zbliża się do obrotowych drzwi. Zerknęła za siebie, wchodząc do środka, i dojrzała, że Julio podnosi słuchawkę samochodowego telefonu. Naprawdę nie powinien dzwonić w swoich sprawach na mój koszt, pomyślała.

– Dzień dobry, pani Vance! Jak się pani miewa? – przywitała ją sprzedawczyni.

– Dziękuję, dobrze, Hilary.

– Co możemy dziś dla pani zrobić?

– Tylko się rozejrzę. Może coś dla mojej siostrzenicy albo gospodyni. Zobaczymy.

– Mamy śliczną nową kolekcję diamentowych kolczyków – powiedziała Hilary, prowadząc ją do kontuaru. – Po prostu zachwycające.

– Popatrzmy – zgodziła się Cordelia.

Kiedy Cordelia przeglądała rzeczy od stu tysięcy dolarów wzwyż, nie zauważyła, bo nie mogła zauważyć, że do sklepu weszła Maria. Przepchnęła się przez grupkę turystów z Arkansas i roztrąciła jakichś Japończyków, żeby dojść do stoiska ze srebrnymi grzechotkami. Stukała palcami w szybę, zostawiając ślady na świeżo wypolerowanej gablocie, dopóki nie znalazła idealnej grzechotki dla swojej małej Schuyler.

– Przepraszam! – krzyknęła na sprzedawczynię. – Przepraszam! – niecierpliwiła się.

– Za momencik do pani przyjdę. Pomagam w tej chwili innej klientce.

Maria rzuciła z trzaskiem torebkę z logo Louisa Vuittona na gablotkę i sprzedawczyni zmierzyła ją wzrokiem.

– Proszę uważać, proszę pani – skarciła ją.

Maria westchnęła głęboko i głośno. Wyszarpnęła nadgarstek z fałd olbrzymiego futra z lisa. Spojrzała na zegarek i ponownie westchnęła. Rozejrzała się niecierpliwie. To jakaś pieprzona farsa. Traktują ją jak śmiecia. Czy oni nie wiedzą, kim jest? Ma na sobie więcej błyszczącej biżuterii niż którykolwiek z tych wiedźmowatych babsztyli tutaj. Gdyby tylko jej brat tu był, zażądałby odpowiedniego traktowania. Patrzyła, jak sprzedawczynie cackają się z innymi klientami. W czym oni są lepsi od niej? O, na przykład ta stara, zniszczona blondynka w rogu, którą służalczo obskakują trzy ekspedientki. Nawet nie widać, jakiej marki są jej ubrania. Maria podeszła bliżej, żeby zobaczyć, co tam się dzieje.

– A to, pani Vance, mnie się osobiście najbardziej... Pani Vance? Nie. O, cholera. Niemożliwe. To ma być żona Morgana? Stara torba.

Maria patrzyła, jak Cordelia ogląda diamentowo-szafirowe kolczyki. Inny klient przywołał sprzedawczynie i te odeszły, zostawiając Cordelię z klejnotami. Maria już miała podejść, kiedy zobaczyła coś, co ją замуrowało. Cordelia dyskretnie wzięła jeden z pierścionków i włożyła go do kieszeni. Nie! Więc to taka jesteś, pomyślała Maria.

– Hilary, zostawiam je. Niczego dziś nie wezmę – powiedziała Cordelia głośniej, żeby ją usłyszano.

– W porządku, pani Vance. – Sprzedawczyni wróciła i zgarnęła biżuterię na aksamitną podkładkę, nawet na nią nie patrząc.

– Dziękuję.

Cordelia zwlekała chwilę, od niechcenia zerkając na inną gablotkę, jakby wszystko było w porządku.

– Cordelia Vance?

– Tak?

– To ja, Maria Garcia. Kiedyś pracowałam w Brown Brothers. Spotkałyśmy się na przyjęciu bożonarodzeniowym.

– Och, oczywiście. Miło cię znowu widzieć – zareagowała Cordelia, która wcale nie przypominała sobie tej kobiety.

– Bardzo miło cię spotkać. Jak tam mąż?

– W porządku, dziękuję. Jak zwykle zapracowany. A co u ciebie. Przeszłaś do...?

– Urodziłam dziecko.

– Dziecko! Wspaniale! Gratuluję. Chłopiec czy dziewczynka?

– Dziewczynka. Schuyler.

– Piękne imię. Cóż, musisz być bardzo szczęśliwa.

– Jestem.

– Zawsze chciałam mieć dziewczynkę. -Tak?

– No, tak. Oczywiście Kocham moich chłopców, ale oni wkrótce dorosną i założą własne rodziny. Dziewczynka to zupełnie co innego. Nigdy cię nie zostawi.

– Tak, masz rację.

– Naprawdę muszę już uciekać, trzymaj się.

– Dziękuję. Pozdrów ode mnie pana Vance'a.

– Dobrze.

– Do widzenia – Maria uśmiechnęła się i odwróciła do sprzedawczyń. – Przepraszam, czy ktoś mi tu pomoże?

Ekspedientka posłała jej piorunujące spojrzenie.

– Za moment do pani przyjdę. Maria grzmotnęła pięścią w szklaną ladę.

– Proszę mnie obsłużyć!

– Obsługuję kogoś innego. Pomogę pani, kiedy przyjdzie pani kolej.

– Co? Nie wyglądam wystarczająco bogato? Uważasz, że nie zapewnię ci prowizji od sprzedaży. Widziałaś *Pretty Woman*? To ja! Tylko bez tego fragmentu o byciu dziwką. Więc lepiej rusz tu swój tyłek.

– Obsłużę panią, gdy tylko będę mogła.

– Zanim ty będziesz mogła, ja już będę wydawać tysiące u Cartiera. – Maria obróciła się na pięcie i wypadła ze sklepu, kipiąc z wściekłości.

Morgan był pochłonięty arkuszami kalkulacyjnymi, kiedy sekretarka delikatnie zapukała do drzwi i weszła.

– Panie Vance, jest tu ktoś, kto się chce z panem widzieć – powiedziała zdenerwowana.

– Mówiłem, żeby mi teraz nie przeszkadzać, Lizzie.

– To chyba ta sprzątaczką, co tu kiedyś pracowała – wyszeptała Lizzie. – Bardzo natarczywa. Próbowałam...

Morgan zaczerwienił się jak burak.

– W porządku, Lizzie. Możesz ją wpuścić.

Lizzie starała się ukryć zdziwienie, ale wyraz twarzy ją zdradził.

– W porządku. To program opiekuńczy, w którym biorę udział – tłumaczył się niezdarnie.

– Rozumiem – wyszła z gabinetu. Po chwili wpadła tam Maria.

– Długo mam, cholera, czekać! Czy twoja żona musi czekać? – Cisnęła futro (kosztowało ono Morgana dwadzieścia patyków) na antracytowy fotel. Miała na sobie nieprzyzwoicie obcisły top ze spandeksu, uwidaczniający wałki jej tłuszczu, oraz czarne skórzane spodnie.

– Maria, zamknij się i usiądź.

Morgan podszedł do drzwi i upewnił się, że są dobrze zamknięte.

– Zamknąć się? Czemu? Czemu chcesz, żebym siedziała cicho? Szanuj mnie trochę! Urodziłam twoje dziecko. Cały dzień mi zajęło wyciśnięcie z siebie tego pieprzonego dzieciaka, więc lepiej okaż mi trochę pieprzonej wdzięczności.

– Maria, posłuchaj, mam dość twoich numerów. O co znowu chodzi? – zapytał z mieszaniną strachu i złości.

– Potraktowano mnie jak śmiecia u Tiffany'ego.

– I dlatego wpadasz tu jak burza? Mogłabyś się trochę dyskretniej zachowywać.

– Była tam twoja żona. – Na jej twarzy pojawił się paskudny uśmiezek.

Morgan wpadł w panikę.

– Rozmawiałaś z Cordelią?

Maria usiadła na swoim futrze i położyła nogi na biurku Morgana. Uniosła ręce i splotła je za głową.

– Całowali ją w ten stary blond tyłek, a wiesz, co ona zrobiła? OKRADŁA ich! To Winona Ryder! Złodziejka sklepowa! Może i nie jestem wykształcona, ale ZŁODZIEJA rozpoznam!

– O czym ty mówisz? Oszalałaś...

– Na własne oczy widziałam! Twoja żona kradnie biżuterię! Jak na filmach!

– Co powiedziałaś mojej żonie? Jak śmiałaś... – gniew wrzał w nim jak lawa. Nie wiedział, czy bardziej jest zły na Marię, czy na siebie, że się w to wpakował.

– Nie obchodzi cię to? Nie obchodzi cię, że twoja żona jest kleptomanką? Bo mnie tak! Traktują ją jak królową, a ona nie jest królową! – wybuchnęła Maria. – Dzwonię do Tiffany'ego i wszystko mówię!

– Już wiedzą – ustąpił Morgan. -Co?

– Mam z nimi umowę. Po prostu przysyłają mi rachunek. Płacę co miesiąc, i to nie twoja sprawa.

– CO? Jest pieprzoną złodziejką i traktują ją z większym szacunkiem niż mnie? Tylko dlatego że nazywa się Vance? Ja też chcę mieć na nazwisko Vance!

– Maria, musisz mi powiedzieć, o czym rozmawiałaś z Cordelia.

– Morgan starał się zachować spokój.

– A niby czemu?

– Bo ja tak chcę.

Maria i Morgan mierzyli się wzrokiem. Morgan gotował się ze złości. Maria nigdy go nie widziała w takim stanie. W końcu podniosła brwi i wyrzuciła ręce do góry.

– Wspomniałam, że razem pracowaliśmy.

– Trzymaj się z daleka od mojej żony! – tak podniósł głos, że aż sam siebie uspokajał, żeby nie dać Lizzie ostatecznego powodu do plotek.

– Pora, żebyś zrobił ze mnie uczciwą kobietę!

– To idiotyczne – zmienił swój gniew w ostry szept. – Daję ci wszystko, czego potrzebujesz...

Maria wstała i włożyła futro z takim samym teatralnym rozmachem, jaki widziała w wielu telenowelach.

– Zostawisz Cordelię, i to szybko, albo zamienię twoje życie w piekło – powiedziała śmiertelnie poważnie. Uśmiechnęła się groźnie i wypadła z gabinetu, trzaskając drzwiami.

– Wyobrażam sobie w tej przestrzeni... sztukę średniowieczną. I można zrobić coś na podobieństwo kościelnej nawy, i być może malowane gliniane kafle wokół tego cudownego kominka.

Vincent Delvaux, jeden z najlepszych projektantów wnętrz w mieście, szedł przez mieszkanie Kornów, przedstawiając propozycje i pokazując makiety przygotowane przez pracowników jego studia. Był zdeklarowaną ciotą, choć miał żonę i czworo dzieci. Mieszkał na szczycie wieżowca na Fifth Avenue, w nadzwyczajnym apartamencie, który opisano w każdym magazynie wnętrzarskim na kuli ziemskiej. Normalnie nigdy nie zniżyłby się do współpracy z takimi jak Melanie Korn, ale kiedy usłyszał magiczne słowa „bez ograniczeń finansowych” i „*carte blanche*”, puścił się biegiem do samochodu, jak spięty ostrogą koń wyścigowy na Kentucky Derby.

– Widzę tu rzeźbioną mahoniową boazerię na suficie. Wielkie haftowane wełniane i jedwabne draperie, i arras, a tu może malowany gips *trompe l'oeil*, imitujący górskie grzbiety i kamienną konstrukcję...

Mówił dalej, wymachując teatralnie rękoma i gładząc o gotyckich krzesłach, ale Melanie oczy zamykały się same.

Nuuuda. Chciała mieć wysmakowany, światowej klasy, powalający wszystkich na kolana apartament, ale nie zamierzała mę-

czyć się tym... decydowaniem. Pan Guffey chodził za nimi z podkładką do pisania i robił notatki, a kiedy posłała mu spojrzenie pod tytułem „Zabierz mnie stąd”, uciekł się do powszechnie stosowanej sztuczki:

– Proszę pani, przepraszam, ale przybyła osoba, z którą umówiła się pani na lunch.

– Tak, tak. Dziękuję bardzo, że pan zajrzał. – Melanie właściwie wypchnęła Delvaux do holu. Zatrzasnąwszy za nim drzwi, spojrzała ze znużeniem na Guffeya. Trzy osoby z głowy, zostały jeszcze dwie.

– Następny.

Lilly Saint-Pierre miotła się po domu jak ptak ze ściętą głową, szczebiocząc o kolorach i bogato zdobionych tkaninach. Jej koścista sylwetka spowita była w dopasowany kostium, a nogi o łydkach grubości szpilek – ograniczone wąską prostą spódnicą – poruszały się drobnymi kroczkami. Gdy tak gdak-gdak-gdakała po marmurowej posadzce w swoich spiczastych pantoflach, Melanie od razu zorientowała się, że to nie jest odpowiednia osoba.

– Widzę tę samą tkaninę na ściany, zasłony i pościel. Uwielbiam bogato zdobione brokatele. A co pani powie na mozaikę parkietową w salonie? Boska jest ta serwant-ka z początku osiemnastego wieku w palladiańskim stylu Queen Anne, ale pozbyłabym się reszty i zrobiła coś pasującego do niej. Można wypełnić miejsce licznymi detalami tego typu – może położyć wytłaczaną skórę na ścianach, i dać georgiańskie rzeźbione balustrady, żeby poprawić trochę schody.

Rzyg. Melanie miała ochotę wziąć patelnię i, jak na kreskówkach z Tomem i Jerryem, wyrzucić ją w drobną twarz tej kobiety.

– A ten pokój będzie boski, jeżeli zestawimy tradycyjne elementy z nowoczesnymi albo styl francuski z duńskim! Nie, szwedzki i angielski – powiedziała Lilly. Mówiła tak szybko, że słowa wysypywały się z jej ust jak klocki z pudełka wywróconego przez dziec-

ko. Jej nerwowa energia stała się w końcu nie do zniesienia dla Melanie i pana Guffeya, więc wyrzucili ją za drzwi.

Ostatnim kandydatem był Jerome de Stingol, również znajdujący się w setce najlepszych projektantów „Architectural Digest”, ale tak naprawdę to bardziej z powodu znajomości z ciotką naczelną niż swoich umiejętności dekoratorskich. Ci, którzy pracowali z de Stingolem, uważali go bardziej za przewodnika czy muzę, za szalenie biegłego w zwracaniu uwagi na niedociągnięcia, ale niezbyt wykwalifikowanego w urzeczywistnianiu czegokolwiek. (Jego krytycy, zazwyczaj mężowie, którzy zerkając na wystawiane przez niego rachunki, cofali się z przerażeniem, nazywali go znakomitym trzepaczem poduszek).

Jerome początkowo przeraził się, kiedy pani Korn zadzwoniła do niego i określiła swoje potrzeby. Najpierw pomyślał, że Joan Coddington stroi sobie z niego żarty, ale po chwili zdał sobie sprawę, że to była stewardesa we własnej osobie, i zaniemówił. A kiedy dotarło do niego, co ona mówi, wszystko nabrało sensu: oto kobieta, która chce znaleźć się w towarzystwie, a on jest tym człowiekiem, który może zamienić jej marzenia w rzeczywistość. Współpraca z nim pozwoli jej posmakować trochę śmietanki. Kiedy tak plotła o swojej ignorancji w kwestii urządzania wnętrz, o pilnej potrzebie zrobienia tego jak najszybciej, uśmiechał się. Już słyszał brzęk pieniędzy, a nawet poczuł małe ukłucie litości gdzieś w dolnej części ciała. Ale kiedy zasugerowała spotkanie, żeby sprawdzili, czy sobie odpowiadają, wpadł w gniew. Wolał, żeby go błagano o współpracę, jak to czyniło wiele naśladowczyń dobrego towarzystwa, wpychając mu swoje książeczki czekowe, byleby tylko zbratać się z nim i stadkiem jego opiniotwórczych znajomych.

I był gotowy odmówić stewardesie. Już w spoczonej lewej dłoni trzymał oprawiony w czerwoną skórę notes z adresami, szykował

się do odbycia kilku rozmów z przyjaciółmi i zabawienia się kosztem Melanie. Ale kiedy zerknął na swoją książeczkę czekową i pomyślał o najnowszej zdobyczy, toaletce w stylu chippendale kupionej na aukcji w Sotheby's, i o tym, że przez ostatnie kilka miesięcy nie pracował, zrozumiał, że nie ma wyboru. Toteż kiedy w deszczowe popołudnie wyruszył do Kornów, czuł rozgoryczenie, że musi iść i stręczyć się potencjalnemu klientowi.

Kiedy wszedł do mieszkania, uśmiechnął się szyderczo na widok szarpiącego wnętrzościami koszmaru, jaki ukazał się jego oczom – mieszanina bezguścia: stojące we wnękach posągi w stylu kolonialnym w połączeniu z renesansem, z odrobiną kwiecistych wiktoriańskich mebli i neojakobińskich elementów. Błee. Wszystko było schizofreniczne, kontrastowe i przeładowane. Za dużo naraz – miał uczucie, że znalazł się w pomalowanej w liście, pokrytej masą perłową piernikowej chatce z piekła rodem. Kiedy Melanie wyszła go przywitać, ledwie mógł mówić.

– Boże! Jest gorzej, niż myślałem – wyjąkał, idąc chwiejnie jak ktoś, kto zsiadł z karuzeli w wesołym miasteczku.

– Cóż, tego bym nie powiedziała. – Melanie zaskoczyła jego zachwałość. W końcu nie dostał jeszcze tej pracy.

– Panie, zmiłuj się nade mną, sufity! Katastrofa. Zupełnie jak to, co zrobiono w mieszkaniu Yasmine Guest.

Jerome rzucił kamerdynerowi spojrzenie, pewien, że on jeden zrozumie. Obrzydzenie zamigotało w oczach pana Guffeya i obaj wymruczeli coś pod nosem, jakby się modlili.

– A zatem... – Melanie poprosiła go, żeby usiadł. – Przejrzeliśmy pańskie szkice. Bardzo interesujące.

– My? – zdziwił się Jerome.

– No, ja. Poprosiłam też pana Guffeya, mojego kamerdynera...

Jerome znowu spojrział na kamerdynera.

– Och, tak. Chyba pana poznaję. Był pan za czasów Diandry.

– Tak.

– Wspaniała kobieta. Co u niej?

– Nie jestem całkiem pewny, proszę pana.

– Szkoda, że się przeprowadziła. Wspaniała, wspaniała, wspaniała kobieta. Co za klasa – dodał szyderczo.

Melanie poczuła się nieswojo i zaczęła się wiercić.

– Wracając do tematu, tak więc pańskie szkice są bardzo ciekawe.

– Cieszę się, że się pani podobały – wydusił z siebie Jerome, zdobywając się na przesłodzony uśmiech.

– A zatem proszę mi powiedzieć, jakie są pańskie plany dotyczące mojego mieszkania?

– Och, no wie pani – Jerome machnął rękoma, jakby to starczało za wyjaśnienie.

– Nie wydaje mi się, żebym wiedziała.

Czy ona naprawdę chce mu kazać coś wyjaśniać?

– Cóż, normalnie pracuję wspólnie z innymi projektantami. Lubię nadzorować.

– Więc co by pan tu nadzorował?

– O co pani chodzi?

– Chodzi mi o to, jaka jest pańska wizja tego mieszkania?

Jerome popatrzył na nią chłodno. Czy ona mówi poważnie? Już miał napluć na imitację orientального dywanu i odejść, kiedy pomyślał o grudniu i o tym, jak bardzo ma chętkę znowu wynająć dom księżniczki Małgorzaty na prywatnej wyspie Mustique. Więc z wielkim wysiłkiem i bólem postanowił schować dumę i wykazać się.

– Jestem wielbicielem stylu empire. Robiłem mieszkanie Vanceow na górze. Tu jest kilka zdjęć – cisnął jej arkusiki papieru w twarz. Jeżeli tego chce, to proszę. – I myślę o nowej sztukaterii,

może jakieś neoklasyczne kolumny, francuskie połączane konsole. Świeże kolory naprawdę potrafią otworzyć przestrzeń. — Patrzył na nią i widział, że oczekuje czegoś więcej. Ta dziwka chce, żeby się dla niej prostytuował? Wciągnął policzki i zaczerpnął głęboko powietrza. Wyobraził sobie kryształowobłękitne wody Macaroni Beach na Mustique i mówił: — Widzi pani, pani Korn, to mieszkanie aż woła o oddech. Jest naładowane stłoczoną energią i błaga, aż jęczy o jej uwolnienie. Ja będę respiratorem. Uwolnię ją, pozwolę temu domowi ochłonać w deseniach, hm, kapryfolium i mora, i wykorzystam te wysokie okna! Nie zakrywać ich! Przestrzeń! — Wstał i wymaszerował z części otwartej przez korytarz, zaglądając do sypialni. Guffey i Melanie szli za nim. — Proszę, część prywatna ma również oficjalny charakter jak część dla gości. To obrzydliwe, naprawdę. Czy to projektowała jakaś ciota z Miami Beach? Ktoś przedobrzył, te wielkie meble tutaj. Jeżeli lubicie ciemne, przytłaczające kolory głównych pomieszczeń, w porządku, ale tu powinno się czuć relaks i wygodę. Bardziej miękka, może jaśniejsza paleta. No bo naprawdę ktoś tu nie miał pojęcia o podstawowych zasadach projektowania wnętrz.

Przededefilował do kolejnego pokoju, z Melanie i Guffey-em podążającymi za nim, i wyrzucił dramatycznie ramiona, jak choreograf przekazujący tancerzom swoją wizję. Co za głupek — pomyślał Guffey. Jaki protekcyjny.

— Musi być lżej, bardziej elegancko. Portyk z naświetleniem, porządna tapeta projektu Williama Morrisa, jak u Cordelii. Zrobiłem cały salon Capucine de Mendide w takich właśnie ręcznie wytłaczanych prerafaelickich tapetach, co mi bardziej odpowiada niż te wybryki rokoko...

Wybryki? Czy on obśmiewa wystrój jej mieszkania? Melanie najpierw poczuła zakłopotanie, a potem wpadła w gniew. Kim on jest? Z jakiego powodu tak się puszy?

W końcu Jerome zdał sobie sprawę, że troszkę przeholował z krytyką i pora na służalcze pochlebstwa.

– Melanie, moja droga – zaczął szeptem. Starał się, jak umiał, przejść na coś w rodzaju: „jesteśmy przyjaciółmi, ty i ja” – Zrobimy wspaniałe rzeczy! Ludzie będą mówić! Odniesiesz sukces!

Jego słowa odbijały się echem w holu, ale nie był dość teatralny, żeby oszukać Melanie ani, przede wszystkim, pana Guffeya. Dla tego ostatniego było jasne, że Jerome stara się jak może, ale tak naprawdę mają do czynienia z naciągaczem. W dodatku jego udawana grzeczność jest zaprawiona żółcią, a Guffey wiedział to, z czego jego trochę naiwna pracodawczyni nie zdawała sobie sprawy: strumienie jadu gotującego się w tym snobistycznym człowieku zerwą tamy, jeżeli Melanie go odrzuci.

– Zróbmy to razem, Melanie. Sprawmy, żeby wszyscy zapomnieli o Diandrze. – Jerome położył małą, owłosioną dłoń na jej nadgarstku, jakby chciał ją poklepać ze zrozumieniem. Pokiwał współczująco głową i spuścił wzrok z udawanym dramatyzmem.

Cierpliwość Melanie wyczerpała się. Wolno uniosła niedawno wyregulowane brwi, a Guffey odebrał tę wiadomość.

– Dziękujemy panu za przybycie. Pańskie portfolio jest bardzo imponujące – przerwał, i po chwili Jerome czekał przed świecącym się guzikiem przywołującym windę, zanim Guffey zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

Zupełnie jakby mieli gigantyczny kij do poganiania bydła, za pomocą którego pozbyli się go w ułamku sekundy. Zanim się zorientował, już znalazł się w westybulu. Muszą być przekonani, że jestem jedyny, pomyślał. Ta namoczona w perhydrolu lala nie po-

znałaby dobrego smaku, nawet gdyby ten ją zalał z mocą wodospadu. Zastanowił się, jak zniesie konieczności widywania jej na przyjęciach i przyznawania się, że jest jego klientką. Nieważne, trumienny biznes jej męża pozwoli mu zrealizować najdziwsze fantazje; i już czuł słodką woń okładki „HG”, po tym jak sprytnie wykorzysta ich pałacowe fantazje i wydoi ich co do centa.

Wykończona Melanie zrzuciła z nóg klapki Loubotina, padła na sofę w stylu regencji i spojrzała na Guffeya, który trzymał plik szkiców i życiorysów.

– Uch, jestem wyczerpana. Po tym wszystkim czuję się, jakby mnie ekshumowano. Muszę się zdrzemnąć. Albo może masaż. Szukanie projektantów to straszna praca.

– Zatem proszę odpocząć, proszę pani. Ale musi pani dokonać wyboru, jeżeli chce prędko odnowić mieszkanie.

– Kto się panu najbardziej podobał?

– To naprawdę nie jest istotne, jakie jest moje zdanie, proszę pani. W końcu to pani dom. – Guffey zerknął w notatki. – Zatem panu Harringtonowi mam powiedzieć...?

Melanie uważnie popatrzyła na Guffeya.

– Proszę powiedzieć panu Harringtonowi... – zaczęła i odchyliła głowę. Popatrzyła na niego spod przymrużonych powiek i czekała, aż jej podpowie.

– Nie – powiedział Guffey.

– Nie. Tak. Jemu „nie”.

– A pani Saint-Pierre?

Głowa Melanie znowu wykonała pytający ruch.

– Proszę powiedzieć jej...

– Nie – powiedział Guffey.

– Tak, jej też „nie”.

– A pan de Stingol?

– A jak pan uważa?

– Uważam, że nie. Zdecydowanie nie.

– Absolutnie się z panem zgadzam. Jeju, Guff... Nie sądzi pan?

Ale mi ulżyło, że mamy to samo zdanie. Oni wszyscy byli jacyś snobowaci i pretensjonalni, nie sądzi pan?

– Sądzę, że nie pasują do tego, co pani chce osiągnąć.

– Ale kogo, u diabła, mam wziąć?

Pan Guffey z poważną miną wypiął kartkę z notatkami z podkładki i zaprezentował chlebodawczyni. Następnie zgniół ją w kulkę i wrzucił do kosza na śmieci.

– Moim zdaniem, jeżeli chce pani tego, co najlepsze, powinna pani wynająć najlepszych.

– Cóż, chcę, oczywiście. Ci byli na szczycie listy...

– Ci naprawdę najlepsi nie uciekają się do magazynów po wsparcie. Po prostu tego nie potrzebują, nieustannie muszą odmawiać klientom. Czy mogę zasugerować dwóch ulubieńców Diandry?

Po wielokrotnych telefonach z groźbami, zbombardowaniu wezwaniami na pager i tonach nieprzyjemnych e-maili Morgan nie miał innego wyjścia, jak tylko odwiedzić Marię i dziecko w ich mieszkaniu. Unikał tego od ostatniego spotkania, jednak Maria była zbyt niebezpieczna, aby ją ignorować. Dlatego wysławszy Cordelię do opery z Jeromeem, skierował się do kamienicy na Central Park South. Morgan nie znał nikogo, kto by tam mieszkał, więc nie było ryzyka, że wpadnie na jakiegoś znajomego. Zupełnie jakby śmietanka towarzyska miasta postanowiła zrzec się Fifty-ninth Street na rzecz turystów w hotelach i nienowoj orczyków w ich *pied-a-terre*. I choć na początku to miejsce wydawało się wystarczające dla Marii, w swojej przebiegłości uznała, że nie jest jednak dość dobre, i już zaczęła przebąkiwać o konieczności przeprowadzki. Cóż, wiedział, jak to załatwić.

Maria przyjęła Morgana w czerwonym jedwabnym szlafroku, z włosami upiętymi w kok; na jej nadgarstku połyskiwały diamentowe bransoletki, które dostała od niego. Zachowywała się, jakby wszystko było w porządku. Zawołała: „Kochanie!” kiedy wszedł do holu; wzięła od niego teczkę i pomogła mu zdjąć płaszcz. Mieszkanie było oświetlone setkami świec o zapachu lawendy, od którego Morganowi natychmiast zrobiło się niedobrze. Mały stół nakryła fio-

letowym obrusem, przystroiła bukietem świeżych czerwonych róż i wymyślną porcelaną, którą Morgan musiał dla niej kupić w sklepie internetowym Tiffany'ego. Wiaderko z lodem i chłodzącą się w nim butelką szampana stało obok minibarku z Crate & Barrel, na którym Maria przygotowała Morganowi jego ulubiony drink – whisky z sodą. Wręczyła mu szklanę teatralnym gestem i opadła na sofę koło niego akurat tak, żeby szlafrok rozchylił się, ukazując czarne koronkowe body i pas do pończoch. Wszystko to było tandetnie romantyczne, jako że Maria naoglądała się zbyt wiele telenowel, naczytała romansów i uważała teraz, że wreszcie sama żyje w takim świecie.

Morgan niechętnie przystał na ten wieczór, pozwalając, żeby Maria wymasowała mu stopy, wypytała, jak minął mu dzień, skarciła, że za ciężko pracuje, i polizała mu uszy. Zamówiła jego ulubiony zestaw z Le Cirque – filet wołowy w sosie koniakowym i czosnkowane ziemniaki – i pieściła stopą pod stołem podczas posiłku. Czekwała na niego, jakby był królem na zamku, i nie mogło mu to nie sprawić przyjemności. Tak właśnie było kiedyś. To były wspaniałe dni.

– Ten szampan jest najlepszy! Szczęśliwy? Tak powinno być. Ty i ja na romantycznej kolacji. – Nalała sobie jeszcze jeden kieliszek czerwonego wina (szampan już dawno się skończył).

– Bardzo miło, Maria.

Morgan rozparł się z drinkiem w dłoni na skórzanej sofie, stopy położył na białym aksamitnym podnóżku. Przypomniawszy sobie zeszłą zimą, kiedy nie mógł się doczekać, aż tu przyjdzie, zedrze z Marii ubranie i wskoczy w jedwabną pościel. Wtedy czuł się znowu młody. Teraz nie mógł się doczekać, kiedy wyjdzie.

– Widzisz, jeżeli będziesz częściej przychodził, to tak będzie. Ale ty nie przychodzisz, nie śpieszysz się, ignorujesz mnie i dziecko, myślisz, że możesz o nas zapomnieć!

Piskliwy, nie znoszący sprzeciwu głos Marii przywrócił Morgana do przykłej rzeczywistości, bagna, w jakie się wpakował. Rozejrzył się po niskim mieszkaniu z tandetnymi meblami Burlington Leather Factory i poczuł odrazę. Wyprostował się. Pora zacząć realizować plan, który opracowywał przez kilka dni.

– To miłe, Maria, ale konieczne są pewne zmiany.

– Masz cholerną rację! – Maria podniosła się i podeszła do okien. Była bezchmurna noc i wokół nich migotały światła miasta.

– Zastanwiłam się, już nie musisz być żonaty z Cordelią. Jest stara i brzydka. Twoi synowie mieszkają gdzie indziej i im nie zależy. Więc weźmiesz rozwód, a jeżeli ona powie „nie”, ty powiesz: „Wiem, że jesteś złodziejką”, mam świadków, i dostaniesz rozwód i całe pieniądze.

– Maria, tak się nie stanie. – Morgan zapiął koszulę i włożył z powrotem krawat.

– W porządku, mogę być świadkiem. Nie ma problemu.

– Nie, chodzi mi o to, że nigdy nie zostawię Cordelii. Nie ma takiej możliwości.

Maria odwróciła się natychmiast, zaskoczona.

– Co?!!!

– Ale posłuchaj, mam rozwiązanie. Dałem zaliczkę na dom w West Palm Beach i przeniosę tam ciebie i Schuyler...

– O czym ty gadasz, do cholery? – Maria podeszła do niego z obłędem w oczach. – Myślisz, że możesz nas tak po prostu odesłać?

– Posłuchaj...

– Myślisz, że jestem jakąś latynoską dziwką? – Staa tak blisko, że czuł jej oddech na twarzy.

– Maria, nie odsyłam cię. Daję ci piękny dom i będzie ci tam o wiele lepiej niż rok temu.

– Jest basen?

– Basen? Nie, nie ma...

– Myślisz, że wyślesz mnie i dziecko do domu, w którym nie ma nawet basenu? – ryknęła i głośno tupiąc, podeszła do stołu. Z wściekłością dołała sobie wina do złoconego kryształowego kieliszka projektu Versace – rozlewając trochę w gniewie – i wypła duży łyk.

Morgan zastanawiał się szybko.

– No a gdyby był basen, pojechałabyś?

– NIE! Nigdzie nie jadę!

– Ale co z basenem? Mogę znaleźć dom z basenem.

– Nie chcę basenu. Chcę tylko wiedzieć, jak mogłeś pomyśleć o mnie w domu bez basenu.

– Maria, to nie musi być ten dom. Znajdziemy coś, co ci się spodoba, i będziesz mogła się przeprowadzić.

Maria skrzyżowała ramiona i popatrzyła gniewnie.

– NIE MA MOWY. Nigdzie nie jadę. Nie zmusisz mnie. Nigdy się mnie nie pozbędziesz.

– Maria... – Morgan westchnął ciężko. Był zrozpaczony i nie miał pojęcia, co robić. – Mogę cię zmusić. Przestanę płacić.

Maria popatrzyła na niego, ważąc jego groźbę. Rzuciła się do telefonu i podniosła słuchawkę.

– Mogę zadzwonić do Cordelii. Zawsze chciała mieć córkę – aja mam, i to twoją! Założę się, że chętnie się o tym dowie.

Morgan uznał, że blefuje.

– Nie ośmielisz się.

– Nie? – posłała mu jadowite spojrzenie i zaczęła wykręcać numer. – Siedem, dwa, dwa...

Morgan szybkim krokiem podszedł do niej, wyrwał jej słuchawkę i z trzaskiem odłożył.

– Dość!

– Może teraz dość, ale wiesz, że mówię serio. Jestem biznesmenką, a ty biznesmenem, więc musimy załatwić ten biznes serio.

– Czego chcesz?

– Chcę, żebyś się pozbył Cordelii.

– Maria...

– I koniec gadania o Florydzie. Ta rozmowa jest *finto!* – Maria odwróciła się i wymaszerowała z pokoju, zatrzasnąjąc za sobą drzwi do sypialni.

Morgan wyszedł, a Schuyler zaniósła się płaczem.

RS

Pan Guffey miał rację. Jerome de Stingol wcale nie przyjął dobrze odmowy Melanie Korn. Prawdę mówiąc, był siny ze złości. Wahał się pomiędzy kompletnym szokiem wywołanym tym, że ta flądra go zlekceważyła, a wściekłością, że musiał się przed nią popisywać, jakby był jakimś pawiem, i wzgardzono nim. Najpierw czuł upokorzenie, potem obrazę, a teraz kipiał z wściekłości. I kiedy przeglądał zdjęcia ze swojego wyspiarskiego schronienia, przyobiecał sobie zemstę.

Wystarczyło mu tylko drobne śledztwo, żeby odkryć, że lista zlekceważonych znajomych pani Korn, a obecnie jej zaprzysięgłych wrogów jest długa i ciągle rośnie. Byli na niej ci, których oburzyło, że Kornowie kupili tylko dwa bilety, zamiast wziąć cały stół na ich imprezie dobroczynnej. Skoro są tacy bogaci? Z pewnością nie mają problemów z rzucaniem kasjerce karty kredytowej za te tandetne, zdobione cekinami ciuchy od Versacego. Byli tam też inni, których napawało obrzydzeniem to, jak Kornowie obnoszą się z pieniędzmi, jak z kluczem do wszystkich drzwi, starając się dostać do najlepszych klubów, na najlepsze przyjęcia i do najlepszych zarządów. Zdawali się spieszyć, nie chcieli cierpliwie zapracować sobie na uznanie i zachowywali się, jakby pieniądze dawały im prawo do wszystkiego. A jeszcze inni – głównie starszyzna, której już spe-

cialnie nie zależało na balach charytatywnych i zarządach – jeżeli się na nieokrzese Arthura i jego banalną pracę, jak i osobliwą zdolność Melanie do popełniania gaf poprzez nieustanne wygłaszanie najbardziej niestosownych komentarzy. Ostatnia grupa skupiła się na błahych nietaktach Kornów: Melanie włożyła o wiele za krótkie szorty, kiedy była gościem Beringerów w klubie sportowym; Arthur powiedział Nige-lowi Goodyearowi, że widziałby go w stalowej trumnie, i tak dalej.

Ale złoty medal w kampanii przeciw Melanie należał się Joan Coddington i Wendy Marshall, które nadal były wściekłe, że odmówiono im pokazania mieszkania. A kiedy Jérôme dowiedział się, że te plotkary są po tej samej stronie co on, często jadał z nimi późny lunch, żeby dyskredytować panią Korn.

– Po prostu nie mogłem zrobić tego mieszkania – twierdził Jerome pewnego popołudnia w Le Bilboquet. Joan i Wendy kazały opowiedzieć sobie tę historię po raz siódmy.

– Jak miałbyś to zrobić? Równie dobrze mógłbyś budować piramidę – zgodziła się Joan.

– Tyle że prawdopodobnie potrwałoby to jeszcze dłużej. A wtedy nawet nie mieli maszyn – dodała Wendy.

– Zgadza się. Łatwiej byłoby urządzić jaskinię ben La-dena niż zagospodarować ten obszar klęski żywiołowej – sarknął Jerome.

– A ona nie chciała zrozumieć, że „nie” znaczy „nie”? – zapytała Joan, znając odpowiedź.

Jerome zamieszał piankę w cappuccino i pokręcił głową z udawanym smutkiem.

– Właściwie to chyba mi jej żal. Gdyby tylko zobaczyła samą siebie, jaka była żalosna. Płaszczyła się, błagała, łzy w oczach, no, zupełnie jakby była Tybetanką, której syn staje przed chińskim plutonem egzekucyjnym. Jednakże...

– A ile ci zaoferowała?

– Cóż – Jerome się nachylił. – Otworzyła sejf i musiało tam być jakieś... pięćset tysięcy dolarów gotówką. I to na początek. Wiecie, żebym się nie zgodził.

Joan i Wendy spojrzały na siebie. W zeszłym tygodniu Jerome mówił o dwustu tysiącach dolarów. Dwa tygodnie wcześniej było sto tysięcy.

– Muszą robić jakieś lewe interesy, jeżeli mają tyle gotówki w mieszkaniu – uznała Wendy.

– Mówiłem wam, ktoś z Anglii dzwonił do mnie i wspominał coś o ustawianiu wyścigów, prostytutce i broni.

– To obrzydliwe! – Joan zakręciło się w głowie.

– Założę się, że to broń – powiedziała Wendy z przekonaniem.

– No bo ile można zarobić na trumnach? Jestem niemal pewna, iż chowa w nich broń i rozsyła po całym kraju, że niby transportuje nieboszczyków.

– Na to wygląda.

– Oczywiście.

Rozsiedli się wygodnie, rozmyślając o Komach. Wprawdzie mieli świadomość tego, iż fikcja bierze górę nad faktami, ale byli tak zapiękli w swojej nienawiści, że niewinne kłamstewka, jakie wymyślali, zaczęły brzmieć niemal wiarygodnie.

– Przynajmniej z Diandrą Arthur się pilnował – odezwała się Joan.

– Ba, to była kobieta z klasą – dodał Jerome.

– Ale sprytna, bo uciekła.

– Sandra, kochanie! – zawołał nagle Jerome, dając znak Sandrze Goodyear, która właśnie weszła do restauracji.

Zamachała w odpowiedzi i podeszła do nich. Ucałowała każdego i westchnęła teatralnie.

– Późny lunch po zakupach, moja droga? Proszę, dołącz do nas.
– Jerome dał znak kelnerowi, żeby dostawiono jeszcze jedno krzesło.

– Och, wierz mi, z miłą chęcią, ale jestem umówiona. – Sandra znowu westchnęła, tym razem głęboko i ze zmarszczonym czołem.

– Szkoda. Może razem dołączycie?

– Obawiam się, że nie. Mam spotkanie z Melanie Korn. – Niemalże niedostrzegalnie przewróciła oczami. – Przewodniczymy imprezie na rzecz kliniki Mount Sinai.

– Ojej – zareagował Jerome.

– Wiem, a to najgorszy dzień na spotkanie. Mój kustosz telefonicznie licytuje coś na aukcji w Tokio dziś wieczorem i siedzę jak na szpilkach! Nie wspominając o tym, że to tydzień pokazów mody i Oscar wyjdzie z siebie, jeżeli się nie pojawię.

Coś zaświtało Jerometowi w głowie. Czemu by nie zacząć się mścić już teraz?

– Cóż, powiedziałem „ojej” moja droga, dlatego że dopiero co widzieliśmy Melanie Korn. Wpadła tu i słyszeliśmy, jak mówiła kierownikowi sali, żeby przekazał osobie, z którą miała się spotkać – czyli jak rozumiem tobie, kochana – że bardzo żałuje, ale coś jej nagle wypadło i nie jest w stanie dotrzymać jej towarzystwa.

Joan i Wendy zrobiły wielkie oczy. Nie mogły uwierzyć w zachwałność Jerome'a. Ten to ma jaja! I nerwy ze stali! Jaka komicznie okrutna wyobraźnia! Obie zanotowały sobie w pamięci, żeby nigdy nie nadepnąć mu na odcisk.

– Naprawdę? – zapytała Sandra.

– Tak, tak mi przykro, skarbie. Co za podłość z jej strony, że do ciebie nie zadzwoniła. W erze telefonów komórkowych.

– Cóż, ja właściwie nie mam komórki. Nigel ciągle mnie pyta, kiedy sobie ją sprawię, ale, moim zdaniem, to nieuprzejme tak wszędzie trajkotać.

– Racja.

– Cóż, właściwie to mi na rękę. Naprawdę muszę pójść na pokaz Oscara. Nie powinno być teraz dużego ruchu na mieście. Całuję was. – Sandra wybiegła z restauracji.

– Jesteś okropny! – powiedziała Joan ze śmiechem.

– A jeśli ona się dowie? – Wendy była przerażona.

– No to co? Zwałę wszystko na Melanie. Ja? Ja nic nie wiem. To nie ja. Poręczycie za mnie.

Joan i Wendy zachichotały nerwowo. To było zabawne, ale czy Jerome nie posunął się za daleko?

– A teraz róbcie to, co ja, kiedy pojawi się nasza stewardesa.

– To twój show – zastrzegła Joan na wszelki wypadek. – Ja? Ja nic nie wiem. To nie ja.

Jakieś pięć minut później Melanie wkroczyła do restauracji i zlustrowała salę. Jerome spojrzął na nią i pomachał, tak samo Joan i Wendy, ale było to bardziej machnięcie o znaczeniu „o, witaj” niż „witaj, chodź się z nami przywitać” Jerome pochylił głowę i zaczął prowadzić tajemniczą i ściszoną konwersację. W rzeczywistości opowiadał o tym, jak shih tzu Powellów, czyli „tybetański piesek szczęścia”, zniszczył frędzle ich aksamitnego fotela, ale ta rozmowa w oczach Melanie wyglądała, jakby opracowywali misterny plan inwazji na Kubę.

Melanie zdjęła płaszcz, wręczyła go obsłudze i została poprowadzona do stolika przy oknie. Spojrzała na zegarek, zamówiła perriera i czekała na Sandrę. I dobrze, że nie musi iść witać się z Jerome'em i tymi plotkarami. Unikała Jerome'a za wszelką cenę, od czasu

kiedy nie zleciła mu odnowienia mieszkania. To była stresująca decyzja, ale jego bezczelne zachowanie ułatwiło ją. Nie było z jego strony zbyt uprzejme wychwalanie Diandry. Powinien przynajmniej spróbować zdobyć się na serdeczność. Prawda jest taka, że jest absolutnie niegodny zaufania i niebezpieczny. Złośliwy język tego ropucha był legendarny; na pewno czymś go uraziła i to wystawiło ją na jego gniew. Była tak zdenerwowana tym, że go odrzuciła, że zmusiła pana Guffeya, by to on do niego zadzwonił. Pan Guffey powiedział, że użył kilku nieparlamentarnych słów, a potem, sądząc z odgłosów, rzucił słuchawką o ścianę. Lepiej nie podchodzić.

Mijały minuty. Melanie rozejrzała się. Jerome bezczelnie . zerkał na nią i uśmiechał się, podczas gdy Joan i Wendy prawie w ogóle nie patrzyły w jej stronę. Zaczynała czuć się nieswojo. Restauracja pustoszała i wkrótce zostali tylko ona oraz Jerome i jego mała klika. Melanie ciągle sprawdzała komórkę; próbowała dodzwonić się do domu Sandry, bez skutku.

W końcu Jerome podniósł głowę i zwrócił się do niej:

– Wystawiona do wiatru?

– Nie... nie wiem. Chyba musiałyśmy się minąć. Umówiłam się z Sandrą Goodyear – wymówiła to nazwisko z dumą. – Widzieliście ją?

Jerome pokręcił głową.

– Przykro mi, moja droga, nie.

– Och – Melanie wzruszyła ramionami.

– Chodź, dołącz do nas – powiedział Jerome.

– Och, nie, dzięki – odparła szybko. To ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę. Gorączkowo szukała wymówki.

– Dosiądź się, dopóki Sandra się nie pojawi – zapraszał Jerome z tym udawanym brytyjskim akcentem.

– Nie, naprawdę... Jerome machnął na kelnera.

– Proszę tu przynieść drinka pani Korn i jeszcze jedno krzesło. Chwilę później Melanie siedziała pomiędzy Joan i Wendy.

– Więc miałaś spotkać się i pogadać z przyjaciółką, a jej to kompletnie wyleciało z głowy! To okropne – zaczął Jerome.

– Tak. – Nie poprawiła go i nie dodała, że chodzi o sprawy oficjalne, ale czemu miałyby mu wszystko mówić?

– A jak tam mieszkanie? – zapytał. Melanie poruszyła się nerwowo na krześle.

– Naprawdę dobrze, dziękuję.

– Słyszałam, że wynajęłaś ekipę, która pracowała z Dian-drą? – odezwała się Wendy.

– Tak – Melanie bardzo uważała na to, co mówi. Czowała, jak przeszywa ją uważne spojrzenie Joan, dokładnie lustrujące każdy centymetr jej ciała, makijaż i biżuterię. Nerwy miała napięte jak postronki.

– To fantastycznie – zahuczał Jerome. – Bo oczywiście każdy wie, że Diandra miała najbardziej wyszukany smak.

– Tak słyszałam. – Melanie zacisnęła szczęki.

– Nie powinnaś była eksperymentować – pouczyła ją Wendy.

– Należało zostawić wszystko, jak było.

– No, to niemożliwe. Zabrała wszystkie meble.

– Ale chyba zostawiła zasłony i tapetę? – zapytała Wendy.

– Tak, ale... wydawały się takie ponure.

– To dlaczego wynajęłaś tę samą ekipę projektantów? – dociekała Joan.

– Cóż... wydawali mi się najbardziej odpowiedni.

– Ale jeżeli to nie jest twój styl? – naciskała Wendy.

– Cóż, wiem, że mają dobry gust. Ufam im.

– I słusznie! – odezwał się Jerome. – Ta sprytna zaczęła się wreszcie uczyć. Idzie za przykładem pierwszej pani Korn. Miejsmy

nadzieję, że wkrótce wydasz przyjęcie kostiumowe. Pamiętacie, moje panie, to bajeczne przyjęcie, które Diandra zrobiła trzy lata temu? Kapitalne. Moim zdaniem spokojnie mieści się w pięćdziesiątce największych przyjęć wszechczasów.

– Było pięknie. Chyba nawet lepiej niż u Malcolma w Morocco.

– Zdecydowanie lepiej. Diandra naprawdę potrafiła wydawać przyjęcia. To zabawne, moja droga, bo, jak sobie przypominam, twój mąż, wtedy mąż Diandry, nie mógł być obecny – uśmiechnął się Jerome.

– Tak... mówił mi. Dzień wcześniej miał zatrucie pokarmowe.

– A tak! – Jerome pacnął się w czoło pulchną dłonią.

– Zatrucie pokarmowe.

– Tak – dodała Wendy. – Zjadł, zdaje się, jakieś zainfekowane mięso – szalona krowa czy coś. Na szczęście Diandra czuła się dobrze. Ale zdaje się, że Arthur akurat tego dnia musiał iść do szpitala.

– Nie można już było na tym etapie odwołać przyjęcia – informowała Joan. – Diandra włożyła w nie zbyt wiele wysiłku.

– Jestem przekonany, że Arthur nalegał, żeby tego nie robiła – powiedział Jerome. – Mimo to szkoda. Ominęła go wspaniała zabawa. Ach, Diandra! – rozmarzył się. – Co za kobieta.

Melanie czuła, że burzy się w niej krew. Za kogo ten ro-puchowaty człowieczek się uważa? Myśli, że ona tu będzie siedziała i tego wysłuchiwała?

– To zabawne, że uważasz Diandrę za taką wspaniałą, Jerome – Melanie starała się przyjąć oziębły ton. – Zdaniem naszych wspólnych znajomych Diandra nie znosiła cię. Nie mogła uwierzyć, że naciągnąłeś ją na tyle pieniędzy za kilka poduszek i jakieś śmieszne rady co do oświetlenia. A teraz naprawdę muszę lecieć, w razie gdyby Sandra do mnie dzwoniła. Miło było was widzieć.

Zanim Jerome zdołał się odgryźć, Melanie wstała, z prędkością światła odszukała swój płaszcz i wyszła. Jerome został jeszcze bardziej upokorzony i rozwścieczony, a Joan i Wendy osłupiały. Tych, co się znęcają nad innymi, nie należy dręczyć. Bo wtedy oni stają się jeszcze gorsi.

Skąd mi się to, u licha, wzięło? – zastanawiała się Melanie, wchodząc do domu. Zawsze była zuchwała, ale tym razem zaskoczyła samą siebie. Zupełnie jakby znowu znalazła się w szkole średniej i po prostu nie mogła już znieść szyderstw bogatych dzieciaków. Musiała się czasem bronić.

Weszła do sypialni i zastała tam pana Guffeya wyglądającego ostatnią zmarszczkę na starannie ułożonej na łóżku kołdrze. Pod jego strażą żadna zmarszczka nie ma prawa istnieć.

– Dzień dobry. Były jakieś telefony?

– Nie, proszę pani.

– Naprawdę? Sandra Goodyear nie dzwoniła?

– Nie, proszę pani – odpowiedział krótko. Czy ona nie rozumie, że nie znaczy nie?

– Dziwne.

Gdy Melanie poszła do garderoby odwiesić marynarkę, pan Guffey przelał wodę z butelki do kryształowych karafek stojących po obu stronach łóżka.

Wróciła i rzuciła się na świeżo zaścielone łóżko. Pan Guffey pohamował frustrację, że jego pani nie jest w stanie nawet poczekać, aż on wyjdzie, zanim zrobi bałagan, i ruszył do drzwi.

– Jedno pytanie. – Melanie zrzuciła pantofle od Blah-nika.

– Tak, proszę pani.

– Czy Diandra naprawdę miała... no wie pan, wyjątkowy, fantastyczny i tak dalej gust? – zapytała śmiało, z przechyloną głową.

– Tak, proszę pani.

Co? Płaci mu, a on nawet nie potrafi jej okłamać?

– Hm, dobrze, dzięki – powiedziała zaskoczona. – To wszystko.

Pan Guffey opuścił pokój, a Melanie leżała na plecach i wpatrywała się w sufit. Świetnie. Właśnie kiedy myślała, że wszystko zaczyna się jej układać z tymi typami z socjety i panem Guffeyem, znowu się pogorszyło. Dlaczego wszyscy muszą jej tak utrudniać? Melanie była przygnębiona przez cały wieczór, a potem zapadła w niespokojny sen.

RS

Trzeba być sprytną, tak jak Melanie, żeby wyrwać się z życia, w którym taniec przy rurze jest całkiem realną perspektywą. Ale co jakiś czas jej żelazna determinacja słabła. Chociaż wiedziała, że nie może rywalizować z cieniem poprzedniej żony Arthura, która była niezwykle piękna, niewyobrażalnie wytworna i emanowała smakiem, to również zdawała sobie sprawę, że w tej kobiecie musi być coś cholernie magicznego. Jaki to złoty pierścień przydawał Dianrze tej trwałej aury doskonałości? Melanie musiała się tego dowiedzieć. Przypomniała sobie, jak Joan i Wendy powiedziały, że Arthur był zdruzgotany jej odlotem na południe, a kiedy tylko próbowała z nim o tym porozmawiać, robił wszystko, żeby uciąć temat, co Melanie tłumaczyła nieustannie trawiącą go rozpaczą po jej stracie.

Co było tak fascynującego w tej damulce? To, jak ludzie rozplýwali się nad nią. Melanie starała się zignorować słowa uwielbienia, jeśli padały z ust pozerów typu Jerome'a de Stingola, lecz i tak wisiały nad jej głową niczym dokuczliwy opar. Chciała dowiedzieć się więcej o tej tajemniczej kobiecie, która z taką łatwością zniewoliła Arthura.

Pewnego deszczowego poniedziałkowego ranka ciekawość zaprowadziła Melanie do New York Society Library na Seventyninth Street, nieopodal Madison Avenue. Było to idealne miejsce na jej

poufną misję, usytuowane właściwie w centrum dzielnicy, której większość mieszkańców miała własne biblioteki, a nawet jeśli nie, to nigdy nie zniżyliby się do wypożyczenia książki. Kiedy Melanie weszła do czytelnicy z wysokim sufitem, kunsztownie wyglądającymi krzesłami i wielkimi oprawionymi rocznikami czasopism, była pewna, że nie wpadnie na nikogo znajomego. Co nie powstrzymało jej od rozejrzenia się ukradkiem po sali, zanim przystąpiła do poszukiwań.

Wstukała nazwisko Diandra Korn (z domu Diandra Chrysler) i komputer szybko wypluwał jedną stronę za drugą z opisanymi zdjęciami z przyjęć, zamieszczonymi w „WWD” i „Harper's Bazaar”. A na nich: Diandra bawi się na jachtach z Lee Radziwiłł na południu Francji; pojawia się w Paryżu z Susan Gutfreund; ze swoją serdeczną przyjaciółką Carlyne Roehm bryluje na Zimowych Targach Antyków. Przyjęcie za przyjęciem i wszędzie ta kobieta. Były też inne strony z czasopism, przedstawiające Diandrę od stóp do głowy w strojach najlepszych projektantów i fotoreportaże dokumentujące jej zamiłowanie do projektowania ogrodów oraz stylowych małych przyjęć tematycznych dla trzydziestu osób. Zamieszczono nawet artykuł, który sama napisała dla „Town & Country” na temat wycieczek szlakiem tkanin całego świata. Ale tym, co naprawdę zainteresowało drugą panią Korn, był wywiad zamieszczony, paradoksalnie, w „Palm Beacher”. Diandra udzielała odpowiedzi w pozycji półleżącej, na szeszlunku, popijając kir royale i omawiając kwestię potomstwa z niejaką Goodie Tattinger.

Tak, to zdecydowanie ta perełka, dla której Melanie otwierała ostrygi. Szczera rozmowa o maluchach. A to było dużo wcześniej, zanim pisma takie jak „Vogue” zrobiły numer na temat macierzyństwa, gdzie na okładce Amber Valetta taszczy swoje gigantyczne *putti*, a którego lśniące strony zapełniają opowieści o stylowych

mamach. Nie, to lata osiemdziesiąte, a dzieci nie były jeszcze modnym dodatkiem. W tym spektakularnym znalezisku Diandra, chuda jak chart, otwarcie potępia maluchy: „My, kobiety, spełniłyśmy swój obowiązek wobec natury! Na tej planecie jest zbyt wielu ludzi” – tak brzmiał cytat. Melanie uniosła brwi. Hm.

„Moim zdaniem albo jesteś najważniejsza w życiu swojego męża, albo musisz się nim dzielić”, ciągnęła Diandra. „Ja wolę mieć całą uwagę dla siebie. Dzieci wprowadzają po prostu za duży bałagan. O wiele bardziej cenię spokój, ciszę i czystość niż piski i lepkie palce”. Goodie dociskała Dian-drę, ale ta obstawała przy swoim. „Mam psy. To są moje dzieci”.

Kiedy Melanie przewróciła stronę, zobaczyła zbliżenie pudełków Diandry, ubranych w sukienki od Lilly Pulitzer. Melanie czytała dopóty, dopóki nie nauczyła się tekstu na pamięć. Nadal miała nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej o tej nieuchwytniej ulubienicy socjety, ale wywiad liczył sobie niewiele ponad osiemset słów. Zmrużyła oczy i przyjrzała się uważnie zdjęciu Diandry. Aż tak piękna to ona nie jest. Nic specjalnie efektownego ani zniewalającego. No i starzeje się. Przynajmniej tu Melanie jest lepsza.

Kiedy wracała do domu, odtwarzając w pamięci treść tego, co znalazła w efekcie zaspokajania głodu wiedzy, doszła do wniosku, że Arthur i Diandra rozmawiali o dzieciach i najwyraźniej on ich nie chciał. To zabawne, ale ona i Arthur nigdy nie poruszali tego tematu, nie w sensie planowania rodziny. Powiedział kiedyś, że kocha dzieci, ale Melanie nigdy nie widziała, żeby się rozczulił na widok jakiegoś ślicznego maleństwa, a teraz już wiadomo dlaczego – musiał dzielić lęk swojej byłej przed małymi, wnerwiającymi smarkaczami. Przypomniała sobie rozmowę z Arthurem, podczas której zapytała, dlaczego on i Diandra nie mieli dzieci, a on odpowiedział, że to było wykluczone. Może mieli rację, to by wywróciło ich życie

do góry nogami i z całą pewnością doprowadziło do wykolejenia elitarnego ekspresu, do którego Melanie miała nadzieję wskoczyć. Ale zawsze lubiła dzieci i wyobrażała sobie, że będzie mieć własne. Najchętniej córkę. Chociaż i synek by jej nie zmartwił. Wszystko jedno. Kiedy jednak wyobrażała sobie małe buciki i pulchne policzki, nagle do niej dotarło: Diandra miała rację – gdyby urodziła dziecko, nie mogłaby już być tą jedyną, którą trzeba chronić i należy się nią opiekować.

Melanie wróciła do domu i trafiła w wir stukania, piłowania i wiercenia, czyli trwający remont. Namiastkę dziecka, innymi słowy. Dzięki wysiłkom nowych projektantów mieszkanie Kornów przechodziło niezbędny lifting i było całkiem wybebeszone. Wszędzie odsłonięte belki konstrukcyjne, przewody wentylacyjne, resztki sztukaterii i aż za dużo robotników. Schroniła się przed hałasem w swoim pokoju, chcąc sprawdzić harmonogram i zacząć przygotowywać się na wieczór. Wiedziała, że czeka ją jakiś męczący obiad ze znajomymi męża, ale nie mogła sobie przypomnieć z kim.

Przerzuciła kartki terminarza od Hermesa. Fuj. To Milo i Roberta Tupelowie, dystrybutorzy trumien. Przypomniała sobie, jak Arthur zaciągnął ją do ich posiadłości w Bayonne w New Jersey. Ogromne złote bramy i fontanny w kształcie łabędzi, które wyglądały, jakby rzygały. Błe. Kiedy ostatnim razem spotkali się z nimi w mieście, w Sette Mezzo, państwo Tupelowie zachowywali się tak niewiarygodnie hałaśliwie, aż Melanie żałowała, że z tyłu głowy Milo nie ma pokrętła do regulacji głośności. Przypadkiem usłyszała nawet, jak ktoś szepcze: „To muszą być jacyś okropni znajomi Melanie spoza wyspy – Diandra nigdy by nie jadła kolacji z takimi... barwnymi postaciami”.

Melanie wstrzymała oddech na widok faksu od Arthura, leżącego na jej łóżku. „Coco Pazzo, 20:30, kolacja z Milo i Robertą Tupela-

mi" Nigdy w życiu. Zadzwoiła na komórkę męża. Jechał już do domu.

– Arthur, nie ma mowy, żebyśmy poszli do Coco Pazzo z Milo i Robertą.

– Kotku, w czym problem? Musimy wyjść. W mieszkaniu jest remont. Albo jakieś tornado.

– Nie czuję się swobodnie w ich towarzystwie, jeżeli chcesz wiedzieć. Ona wygląda jak Carmela Soprano.

– Ładnie.

– Daj spokój. Ja nie jestem snobką, ale inni są. Ja po prostu... nie chcę, żeby ktoś mógł mi znowu coś zarzucić. Tu-pelowie są tak krzykliwi, jakby mieli w krtaniach głośniki. Proszę, posiedzmy spokojnie w domu. Jest tu Wayne i wszystko, czego potrzebujemy.

– Wydaje mi się, że mówiłaś, że Wayne nie jest prawdziwym mistrzem kucharskim. Że to zwykły kucharz i wcale nie taki najlepszy.

– Milo i Roberta tego nie rozróżniają! Uwielbiają jeść. Nooo... prooszę...

– Dobrze, dobrze. Już dzwonię do Milo.

I tyle ze spokojnego wieczoru. Kiedy Arthur wyszedł z windy do holu, powitali go pokryci trocinami robotnicy dźwigający płyty oraz piły tarczowe, robiące ogłuszający, nieustanny hałas. Kiedy stawiał swoją ciężką teczkę na ławie w przedpokoju, na wpół wykończona i poirytowana Melanie wypadła zza rogu.

– Uważaj na moje poduszki, kochanie – upomniała go. – Dopiero co je ułożyłam. Podobno Brooke Astor ma taką samą tkaninę u siebie w salonie!

Arthur wziął teczkę i rozejrzał się za bezpiecznym miejscem, w którym mógłby ją postawić. Ostatnio czuł się trochę nieswojo we własnym mieszkaniu. Wszystko było w nim jakieś dziwne. Wiedział, że żona bardzo chce, aby wyglądało „należycie”. Krzesło w

holu, na którym zazwyczaj stawiał teczkę, obecnie było odgrodzone sznurkiem, żeby nie można było na nim usiąść ani niczego położyć. Stało się to po tym, gdy kustosz z jakiegoś muzeum w Filadelfii przyszedł oszacować ich meble i przeraził się na widok siedzącej na krześle dość pulchnej (dobra, bardzo pulchnej, ale starała się) siostry Arthura, Elaine. Najwyraźniej mebel pochodził z jakiegoś ważnego okresu – Ludwik jakiś tam – i na świecie zostały tylko takie dwa. Po tym incydencie Melanie zakazała mu kładzenia na nim teczek. I zabrała z holu tę ławkę obitą tkaniną w wąskie prążki, żeby ją odnowić czy coś, i nie pozwoliła mu stawiać swoich rzeczy na podłodze, bo przecież nie są rodziną Bunkerów z tego serialu telewizyjnego. Obecnie nie bardzo wiedział, co ma robić po wejściu do domu. W końcu stał tak w holu, ściskając teczkę i patrząc bezradnie na żonę.

– Melanie, musisz wydzielić mi jakieś miejsce, abym odkładał moje rzeczy – prosił.

– Mam idealne, kochanie. Chodź za mną.

Melanie poprowadziła go po plastikowej ścieżce chroniącej dywan w korytarzu przed przypadkowym chlapnięciem farbą. Minęli serię zabezpieczonych folią kolaży Matisse'a, rozwieszonych symetrycznie na beżowych ścianach, przeszli przez kilka łukowatych drzwi prowadzących do gabinetu Melanie, gabinetu Arthura, pokoju śniadaniowego i jadalni. W końcu doszli do części mieszkania, którą Melanie teraz określała jako pomieszczenia dla służby (słyszała to określenie w serialu BBC i myślała, że bogaci ludzie go używają), gdzie znajdowała się kuchnia, pokoje kucharza, pokojówki i oczywiście pana Guffeya. Tuż przed pokojem kredensowym mieścił się mały schowek, który Melanie otworzyła rozpromieniona. Po jednej stronie stały niedawno wyciśnięte mopy, szczotki i wiadra, żeby druga strona wyglądała na nie używaną.

– Możesz zostawić swoje rzeczy tutaj, dopóki remont się nie skończy, kochanie.

Arthur westchnął głęboko, dobrze wiedząc, że nie ma sensu się z nią spierać w kwestii odnawiania mieszkania.

– Dzięki, ale jeśli mam iść tak daleko, to równie dobrze mogę zostawiać teczkę w gabinecie.

Jego gabinet był jedynym pomieszczeniem, nad którym Melanie nie miała kontroli. Próbowwała, ale twardo bronił swojego terytorium. Arthur zawrócił, żeby rzucić teczkę i szybko zapalić cygaro przed przyjściem gości, ale po kilku minutach zadzwonił dzwonek.

– Wiiiitam – zapiszczała w drzwiach Roberta i uściśnęła Kornów.

– Chodźcie – zaprosiła Melanie. – Przepraszam za ten chaos. Robimy remont.

– Aha! – skomentował Milo. – Spory ten remoncik, co? – dodał, klepiąc swojego starego kumpla.

Oczywiście Tupelowie nalegali, żeby pokazać im mieszkanie, i choć nic nie było jeszcze gotowe, Melanie chętnie spełniła ich prośbę. Przyda się poćwiczyć przed przyjściem ważniejszych osób. Gdy więc oprowadzała ich po domu, nie omieszkała wskazać każdego bezcennego przedmiotu i wspomnieć o tym, ile kosztował albo do jakiej wybitnej osobistości wcześniej należał. Milo i Roberta kiwali głowami, nie bardzo pewni, kim są Steinbergowie, Paleyowie ani Jayne Wrihstman, ale sądząc po emfazie, z jaką Melanie wymawiała ich nazwiska, nabrali przekonania, że muszą to być jakieś ważne osoby.

Kiedy towarzystwo zasiadło do obiadu i zaczęło rozmawiać o „przemysle” (czyli biznesie związanym z umieraniem), Melanie straciła całą energię, a jej wzrok stał się szklany. Te nieokrzesane stwory zza rzeki przeszkadzały jej swoim akcentem i wielkimi zło-

tymi zegarkami. Dużo się nauczyła w Nowym Jorku i wiedziała teraz, że ich przesadzony, krzykliwy styl to nic wytwornego. I że Diandra faktycznie nigdy by się nie spotykała z takimi ludźmi. Melanie czuła się źle, że ma takie snobistyczne, brzydkie myśli – w końcu sama pochodziła z zadupia – ale w jakiś sposób ci barbarzyńcy jej zagrażali. Byli jak otwarta kapsuła czasu, która w mgnieniu oka przeniosła ją do jej własnej tandetnej przeszłości, i nie podobało jej się to, co tam zobaczyła.

– Ten Bobby Silverstein to dopiero powalony typ – Milo niemal wrzeszczał, waląc pięścią w stół.

Pan Guffey podał każdemu *filet mignon* i Melanie widziała, że jest wyraźnie zniesmaczony jej prostackimi gośćmi.

– Ten pieprzony koleś! Zabójczy jest – darł się dalej Milo.

Melanie poruszyła się na krześle, gdy Guffey, jak zwykle subtelnie, nastroszył się. Zastanawiała się, czemu Milo jest taki głośny.

– Bo wiesz, Bobby Silverstein prowadzi ten wielki interes, sieć domów pogrzebowych w South Jersey. A jego brat, Gordy Silverstein, ma firmę, która robi place zabaw. No wiesz, karuzele i te gówna. No to ja mówię do Roberta: „Hej, z tymi Silversteinami to, tak czy inaczej, idziesz do piachu!”

Arthur zaśmiał się serdecznie, a Roberta zanosła się śmiechem. W ustach miała pełno zapiekanych ziemniaków, których kawałeczki rozsiewała tym dalej, im bardziej ryczała. Melanie wypła łyk szampana i aż się skręciła, gdy Guffey wyszedł do kuchni, wyraźnie zde gustowany. Miała desperacką nadzieję, iż rozumie, że to znajomi jej męża, nie jej.

– Mel! – zakwicziała Roberta tubalnie i nosowo *a la* Fran Drescher. – Co z dziećmi? To już dwa lata! Och, muszę ci pokazać zdjęcia naszej bandy. Mike jest oghomny!

Melanie nienawidziła, kiedy ludzie nie wymawiali „r”.

– A mały Johdan ma już dwanaście lat, uwierzysz? Najlepszy w klasie Jahed – dziesięć... Mała Madison jest taka słodka, mój aniołek, ma tehas siedem, a mały Hudson – cztehy! Czas leci, nie? No to kiedy wy będziecie mieć swoje?

– Och, cóż... nie chcemy dzieci.

Arthur drgnął, zdziwiony zdecydowaną odpowiedzią żony.

– Uważamy, że, no wiecie, nasze życie jest bardzo uporzędkowane – dodała spokojnie. – Wolę spokój i czystość niż piski i lepkie od cukierków palce.

To było coś nowego dla Arthura. Wzruszył ramionami i popatrzył na Melanie, nagle czując się obco.

– Naphawdę? – zdumiała się Roberta.

– No. Wolimy białe kanapy niż poduchy w kształcie misia.

– Ale to małe aniołki – Roberta już chciała się spierać, ale Milo był na tyle przytomny, że uciszył ją wzrokiem.

– Koniec, kropka! – powiedziała Melanie radośnie, tłumiąc prawdę o swoich uczuciach wobec słodkich twarzączek z szeroko otwartymi oczami i tłustych nóżek. Krzyżująca gromada jednak zdecydowanie nie jest czarująca. Dowód rzeczowy: rodzina Tupelów. Kolej na nowy temat: – Milo – starała się zabrzmieć entuzjastycznie – opowiedz nam o waszej wycieczce na Tajwan! – Nie żeby ją to naprawdę interesowało; zastanawiała się, po co ktokolwiek w ogóle chciałby jechać do Azji.

Milo ochoczo zagłębił się w szczegóły ich odysei po krajach Orientu, a Melanie, kiwając głową i udając zainteresowanie, wyobrażała sobie biegającą po centrach handlowych matkę, która przed chwilą siedziała naprzeciwko niej. Roberta słuchała swojego Milo z nabożnym skupieniem i wbijała w niego spojrzenie pełne miłości. Melanie nagle zdała sobie sprawę z tego, że są cudowni i naturalni. Tak, Roberta to głośna, okropna i krzykliwie ubrana kobieta, ale jest

w niej ciepło. Jej ciało rozmiaru czterdzieści dwa rozpira duma i miłość – do męża, do dzieci. To naprawdę imponujące, myślała Melanie. I dziwne. Oto Roberta jest we wspaniałym pałacu Kornów na Park Avenue i zupełnie oczywiste jest, że Arthur stanowi o wiele lepszą partię niż jej mąż. A ona ciągle jest zadowolona ze swojego życia. Nie widuje się tego często.

Nagle Melanie poczuła się dojmująco winna z powodu swojej ukrywanej protekcyjności. No są tandetni i wygraliby casting na główne postacie do następnego filmu Scorsesego w tych ich dziwacznych ciuchach rodem z *Rodziny Soprano*, ale to dobrzy, kochający ludzie.

– Wasze zdrowie! – powiedziała Melanie, która tak się zamyśliła, że nawet nie zdawała sobie sprawy, że przerywa Milo.

RS

Wszyscy przy stole znieruchomieli i spojrzeli na nią.

– Kochanie? – zapytał Arthur.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Chciałam tylko wznieść toast za Milo i Robertę. Wyglądacie na tak szczęśliwych... i, no, jesteście miłymi ludźmi – w jej głosie było autentyczne ciepło.

Roberta i Milo wydawali się zaskoczeni, ale zadowoleni. Arthur się rozpromienił.

–

Tak, za was – dodał i uśmiechnął się do żony. Melanie ma klasę, pomyślał. A on jest szczęściarzem.

RS

Joan nigdy w życiu nie szła szybciej. Pot spływał jej spod pach i zbierał się między piersiami. Zaczynała już dyszeć. Czuła pękające pęcherze na piętach. Z każdym gorączkowym krokiem jej masywny złoty naszyjnik i bransoletki po-dzwaniały w tym samym tempie co łańcuchy rapera podczas koncertu. Nigdy nie musiała tak spieszyć się do Orsay na Seventy-fifth Street na spotkanie z Wendy. Nigdy.

Wpadła do restauracji, niemal rzuciła szatniarce płaszcz z wielbłądziej wełny i ruszyła prosto do przyjaciółki, która niewinnie popijała perriera przy frontowym stoliku.

– OCH! Nie mogę! Ależ mam dla ciebie pyszną nowinę! – Joan rozplatała apaszkę od Hermesa i teatralnie opadła na krzesło.

Wendy natychmiast oceniła wagę sprawy po błysku w oku Joan i błagała przyjaciółkę, żeby od razu przeszła do rzeczy.

– Nie każ mi czekać! Mów!

– Nie uwierzysz. – Joan skinęła kelnerowi, który nalał jej perriera. – Poproszę też kieliszek chardonnay i cytrynę do wody mineralnej, nie limonkę. Jeżeli na krawędzi szklanki będzie choć kropla limonki, zrobię się fioletowa, więc proszę, tylko cytryna. – Odwróciła się do Wendy.

– O co chodzi? – Wendy niemal dyszała z niecierpliwości.

Joan, która od dawna czekała na tę chwilę, kiedy to podzieli się z przyjaciółką najświeższą ploteczką, nagle zamilkła, zdając sobie

sprawę, iż to już nie będzie sekret. A sekrety były dla Joan jak waluta – tym cenniejsze, im mniej osób miało do nich dostęp. Ale nie byłyby nic warte, gdyby inni nie wiedzieli, że je znasz.

– Chyba chcę dłużej rozkoszować się tym kąskiem – przeciągała sprawę Joan.

– No, wyduś wreszcie!

– A więc. Wczoraj wieczorem moja córka spotkała się ze znajomymi, w tym z jednym z chłopaków Vance'w...

– Drew czy Johnem?

– Drew. Poszli do jakiegoś modnego klubu w śródmieściu.

– Niedobrze mi się robi, jeśli znajdę się poniżej Fityseventh Street.

– A komu nie? Ale oni są młodzi...

– Ico?

– No to, jak myślisz, kto siedzi przy barze w towarzystwie jakiejś egzotycznej kobiety?

– Ted Wingate?

– Nie.

– Gustave Strauss? -Nie.

– Ten facet od Goodyearów?

– Morgan Vance. – Joan rozparła się na krześle z taką miną, jakby obdarzyła swoją najlepszą przyjaciółkę czymś o wiele ważniejszym niż nerka.

– NIE!

– Tak. I najwyraźniej byli razem.

– I co ona zrobiła?

– Cóż, oczywiście Whitney to wcielenie dyskrecji – niedaleko pada jabłko od jabłoni, jeżeli mogę tak sama powiedzieć. Odciągnęła grupę w inną stronę, żeby Drew nie zobaczył ojca z jakąś dziwką z południowej granicy. Wyobrażasz to sobie?

– Jestem w szoku. – Wendy wyliczała po cichu ludzi, do których może dotrzeć z tą informacją szybciej niż Joan.

– Whitney zawsze umie się znaleźć.

– Dzięki Bogu. Drew nie wie, jaki z niego szczęściarz.

– Jestem ciekawa, co Morgan sobie myśli.

– Dał się ponieść.

– Włóczy się z jakąś lafiryndą...

– Wiemy, co to za kobieta?

– Egzotyczna, to wszystko, co powiedziała Whitney. Ubrana jak ładacznicą.

– Ciekawe. Zastanawiam się, kto to może być.

– Trzeba się dowiedzieć, żeby się przygotować, tak na wszelki wypadek.

– Oczywiście. Jeżeli ją znamy, musimy dać jej wyraźnie do zrozumienia, że nie pochwalamy takiego zachowania.

– W złym guście.

– Obrzydliwe.

– Biedna Cordelia.

– Biedna Cordelia.

Tak naprawdę było im to obojętne.

Morgan zadał sobie wiele trudu, żeby oszukać Cordelię zeszłego wieczoru, kiedy Maria odstawiła atak złości, zmuszając go do odwrotu w ostatniej chwili wizyty u Powel-lów, co wytłumaczył sytuacją kryzysową w pracy. Kiedy wreszcie zgodził się na wyjście z nią na miasto, nalegał, żeby poszli w jakieś mało znane miejsce z listy „Village Voice”, gdzie nie chodził nikt z jego znajomych. Maria triumfowała, kiedy prowadził ją do baru, co tylko zwiększyło jego gniew.

– Mój pierwszy wieczór na tańcach, od kiedy mam dziecko. Ona nic, tylko płacze. To prawdziwe utrapienie. W ogóle nie śpię! – jęczała.

– Cóż, to ty chciałaś ją urodzić. – Morgan wypił szybko dwa drinki.

– Jestem katoliczką. Czego się po mnie spodziewałeś?

– Nie wiem.

– Mam już dość twojego narzekania. Uważasz, że robisz mi łaskę! Jesteś szczęściarzem, że mnie masz! Dostajesz tyle seksu, ile chcesz!

Morgan zignorował ją i rozejrzał się po barze. Lokal był ciemny, wilgotny i wyglądał na miejsce, w którym szczury rozbiłyby obóz. Jakiś zespół potargańców rozstawiał instrumenty na małej, brudnej scenie, a smarkato wyglądające dwudziestolatki żłopały piwo. Cuchnęło piwnicą bractwa studenckiego i kocią kuwetą. Właściwie to zespół nazywał się Kocia Kuweta. Morgan nie mógł się doczekać, kiedy się stąd urwie. W tym momencie krew odpłynęła mu z twarzy. Akurat tu! Jego syn Drew, dziewczyna Coddingtonów i dwójka jakichś innych, znajomo wyglądających dzieciaków.

– O mój Boże, Maria, musimy stąd wyjść. – Z trzaskiem odstaawił szklankę na bar i chwycił ją za łokieć, żeby popchnąć w stronę drzwi.

Wyrwała się z jego uścisku.

– Dopiero tu przyszedliśmy! Nigdzie nie idę!

– Maria – Morgan prosił z niecierpliwością i zaniepokojeniem.

– Są tu ludzie, których znam. Musimy iść.

– Jeżeli widzisz tu ludzi, których znasz, musisz mnie przedstawić. Przedstawiasz swoją żonę. Jestem równie ważna – mam twoje dziecko!

Morganowi zaczęły się pocić dłonie. Spoglądał na Drew, który ulokował się z przyjaciółmi w brudnym boksie obitym podartą czerwoną skórą i robił zdjęcia. Morgan pociągnął Marię za kolumnę.

– Maria, proszę. Chodźmy. Zabiorę cię do Petera Luge-ra – błagał.

Maria znajdowała przyjemność w dręczeniu Morgana. Skrzyżowała ramiona.

– Nie pójdę. Przedstaw mnie!

– Maria, kupię ci tę brylantową bransoletkę, którą chciałaś.

– Jeżeli wkrótce nie powiesz ludziom prawdy, to wyślę zawiadomienie o dziecku do wszystkich, których znasz! – Odwróciła się na pięcie i jak burza wybiegła do toalety.

Morgan odetchnął głęboko, zerknął na Drew, który był całkiem pochłonięty występującym zespołem, i usiadł na stołku barowym w rogu za kolumną. Nagle zauważył jakiegoś mężczyznę siedzącego dwa stołki dalej, który się lekko uśmiechał i najwyraźniej słyszał całą rozmowę Morgana z Marią. Krępująca sytuacja. Dyskrecja zawsze stanowiła jedną z jego naczelnych zasad, a Maria powoli to niszczyła. Ten człowiek, na oko czterdziestopięcioletni, z przylizanymi włosami zaczesanymi do tyłu, w czarnej skórzanej marynarce, spojrział na niego i kiwnął głową. Morgan odkłonił się, biorąc kieliszek, który postawił przed nim barman. Rozejrzał się ponownie, by się upewnić, że Drew go nie widzi.

– Widzę, że ma pan mały problem – odezwał się facet, zapalając papierosa.

– W porządku.

– Nie wygląda w porządku. – Nieznajomy odchylił się na stołku. – Wygląda raczej kiepsko.

Zwykle Morgan unikał rozmów z obcymi, które by zdradzały jego stan emocjonalny, ale z jakiegoś powodu – może dlatego, że Maria go wykończyła – postanowił się odsłonić:

– Jest kiepsko.

– Wie pan, taki facet jak ja może pomóc facetowi takiemu jak pan w sytuacji takiej jak ta.

– To brzmi bardzo tajemniczo. – Morgan pociągnął kolejny łyk whisky. Miał ochotę wypić wszystko, co było w barze, i zapomnieć o swojej koszmarnej pomyłce.

Mężczyzna przesunął się na stółek pomiędzy nimi. Morgan zauważył, że ma bardzo duże dłonie i wielki niebiesko--złoty sygnet na małym palcu.

– Nie ma w tym nic tajemniczego. Widzi pan, zajmuję się rozwiązywaniem problemów. Pan ma problem, ja mogę panu pomóc.

– Co pan sugeruje?

– Pan wie, co sugeruję.

Nastąpiła pauza. Morgan nie był pewien, czy mężczyzna rzeczywiście mówi o tym, o czym on myśli. Może to alkohol już działa. Tak czy inaczej, czuł się jak Tony Soprano.

Nieznajomy zmierzył wzrokiem Morgana od stóp do głów. Drogi garnitur w prążki, srebrne spinki do mankietów z monogramem, okulary w rogowej oprawie, stalowo-szare gęste włosy. Ten koleś prawdopodobnie nigdy wcześniej nie był w takim miejscu jak to. Zdał sobie sprawę, że musi mu wyjaśnić, o co chodzi.

– Wymagająca kochanka nie popuszcza. Chce wszystkiego. Wiadać, że pan odniósł sukces. Nie potrzebuje pan tego bałaganu.

– O co panu chodzi?

– Daj pan spokój, proszę mnie nie obrażać. Nie urodziłem się wczoraj. Coś panu powiem, nie obwiniaj się tak, człowieku. Widziałem wielu facetów takich jak pan – czują się staro, nic nie mają z życia, trafia się jakaś dziwka, trzęsie tyłkiem i nie potrafią się jej oprzeć. I Sanim się obejrzą, już mają przechlapane. Złapała ich i trzyma mocno za jaja.

Morgan zachichotał.

– Czyż nie każdy ma przechlapane w życiu?

Facet zerknął w stronę łazienki i zobaczył, że Maria z trzaskiem otwiera drzwi wahadłowe. Wstał.

– Nie musi tak być – powiedział, wręczając Morganowi kartonik. – Oto moja wizytówka. Proszę zadzwonić, a sprawię, że pana życie stanie się o wiele łatwiejsze.

Odszedł.

Maria podeszła i szarpnęła Morgana za garnitur.

– Dobra, ruszajmy, jak mamy iść! Ta łazienka jest brudna. Gdzie ty mnie przyprowadziłeś? Zabierz mnie do Pierre'a. Chcę kawioru.

– Nawet byś go nie lubiła, gdyby nie był drogi.

– Co? – Maria wygładziła satynową spódnicę. – Powiedziałeś coś niemiłego? Lepiej, żeby nie!

– Wiesz co, kochanie? – Morgan wziął ją pod ramię. – Mam cię dość. Idziemy do domu.

– Hm. Panie Guffey, czy... ee... Diandra nosiła torebkę Kelly, czy Birkin? – zapytała Melanie z udawaną swobodą. Nawet nie podniosła oczu znad korespondencji.

– Ani tę, ani tę. – Guffey wyciągnął wędną łydę z kompozycji kwiatowej na stoliku w holu.

– Naprawdę? – Melanie była zaskoczona.

– Cóż, właściwie, jeśli mnie pamięć nie myli, to miała Kelly z krokodylowej skóry w kilku odcieniach, ale tylko stały i się kurzyły.

– Och. – Melanie polizała znaczek z teatralną nonszalancją. – Więc jakiej używała?

– Pan Delia-Valle robił dla niej jedyną w swoim rodzaju torebkę na każdy sezon.

– Och.

Trwało to już od tygodni i było coraz gorzej. Melanie ciągle nawiązywała do zwyczajów Diandry, starając się ustalić, jak się tamta zachowywała, co kupowała i kto co dla niej robił – właściwie marzyła o podręczniku, który by mówił, jak postępować. Pan Guffey zaspokajał jej ciekawość – naprawdę chciał jej pomóc w doskonaleniu się, ale zaczynał tracić nad tym kontrolę. W końcu podjął decyzję i odwrócił się do swojej chlebodawczyni, zastanawiając się, czy mo-

że pozwolić sobie na bezczelność. Zobaczył przejęcie malujące się na jej twarzy i stwierdził, że owszem.

– Pani Korn, mogę być z panią szczery?

– Tak, oczywiście – odpowiedziała nerwowo. Jeszcze jedna zniewaga i nie wytrzyma. Już dziś widziała, jak Meredith Beringer przewracała oczami do Joan Coddington, kiedy ona wchodziła do Lowell na herbatę.

– Zauważyłem, że ostatnio dość często pyta pani o pierwszą panią Korn.

– Cóż, ja...

– I proszę o wybaczenie, ale rozumiem to. Ona... wiedziała, co jest właściwe. I to całkiem zrozumiałe, że pyta pani o nią w związku z problemami życia towarzyskiego, ale ja również mógłbym się na coś przydać, jeżeli pani pozwoli.

– Co masz na myśli?

Dziesięć minut później byli w gabinecie Melanie. Guffey chodził tam i z powrotem, intensywnie myśląc, a Melanie robiła obszerne notatki w oprawionym w skórę notatniku.

– Dobrze, kilka rzeczy.

– Gotowa – powiedziała Melanie.

– Musi pani przestać mówić: „Jadę do Hamptons”. Proszę mówić: „Jadę poza miasto”. Jeżeli będą się dopytywać, proszę odpowiadać: «Southampton». Zawsze precyzować. To nie jest jakiś domek wakacyjny kupiony na spółkę i używany na zmianę, w którym upierdliwe dzieciaki tańczą na stołach. A nie chce pani, żeby ktokolwiek pomyślał, że wyjeżdża pani do Westhampton. Broń Boże.

– Racja. – Melanie naszkicowała malutkiego diabełka koło słowa „Westhampton”.

– Również proszę nigdy nie mówić: „Spotkajmy się w Union Club” ani „Idę do Ladies' Club”. Tylko tyle, że idzie pani do klubu, a jeżeli nie wiedzą do którego, ich problem.

– Jest pan pewien? Tak ich wiele!

– Proszę mi wierzyć. Czy ja kiedykolwiek panią zawiodłem?

– Nie – potwierdziła z absolutnym zaufaniem.

– Nawiasem mówiąc, Ladies' Club to ostatni bastion anglosaskiego establishmentu i dobrych manier. A z tych jego członkiń są już takie damy, że zupełnie nie czują ironii tego gigantycznego bobra na fladze klubu. – Guffey uniósł brwi.

Melanie była tak zajęta notowaniem, że niemal nie zorientowała się, że kamerdyner pozwolił sobie na żart. Podniosła wzrok i zaśmiała się. On natychmiast wrócił do meritum:

– To ważne: jeżeli chce pani zostać sfotografowana, kiedy wchodzi pani na bal, proszę nie krzyczeć do fotografów. A już zwłaszcza do Bilia Cunninghama, który nie lubi pogawędek, kiedy jest w pracy.

– Ale co ja mam robić? Oni mnie kompletnie ignorują!

– Etykieta nakazuje przystanąć od niechcienia przy rzeszy fotografów, żeby porozmawiać z przyjaciółką lub znajomą. Komplementuje pani jej strój. Ona rewanżuje się tym samym. Następnie odrobinię unosi pani suknię, dziękując za pochwałę, może nawet ją wygładza. Fotografowie zauważą. Proszę pozwolić im samym podejść.

– Nie wiem, czemu jeszcze tego nie robią. Arty i ja wydajemy mnóstwo na te imprezy. Mogliby przynajmniej to docenić.

– Cóż, to kolejna kwestia, proszę pani. – Guffey zamilkł na chwilę. – Jeżeli chce pani być znana jako filantropka, proszę przekazywać duże darowizny na rzecz organizacji charytatywnych anonimowo. Zyska pani więcej zainteresowania, niż rozpowiadając o

tym na prawo i lewo. I, proszę mi zaufać, pani nazwisko nie pozostanie długo anonimowe.

– Naprawdę?

– Bez wątpienia. Każdy stara się dowiedzieć, kto się za tym kryje, i nie jest w stanie utrzymać tego w tajemnicy.

Melanie zastanowiła się przez chwilę i w końcu przyznała mu rację.

– Jeżeli już przy tym jesteśmy, to muszę dodać, że dyskrecja ma kapitalne znaczenie – powiedział Guffey śmiertelnie poważnym tonem. – Proszę nie mówić: „Podwieźć cię moim bentleyem?” – wzdrygnął się. – To jest uważane za nietakt. Bogaci ludzie nie potrzebują się afiszować. Może ujmę to tak: ludzie z klasą nie potrzebują się chwalić. „Czy mogę cię podwieźć?” – jest bardziej odpowiednie.

– Och, to dobre, Guff – Melanie pisała jak szalona. – Naprawdę dobre. Jeszcze, jeszcze.

Guffey mówił szybko i jak na Brytyjczyka przystało, lakonicznie. Melanie bolała już ręka od pisania.

– Proszę zdjąć ten okropny pani portret w bibliotece – nakazał.

– Ale Arthur go uwielbia!

Guffey fuknął. Niektórzy ludzie po prostu nie znają się na sztuce. Jak by to ująć?

– Proszę pani – odchrząknął. – On pasuje do pizzerii. Nigdy nie należy wieszać portretu, jeśli Francesco Clemente nie jest przyjacielem domu i nie daje go w prezencie.

– Co jeszcze?

– Proszę pisać tysiące liścików z podziękowaniami. Przy każdej okazji.

– Każdej?

– Są sprawy oczywiste – jeżeli była pani na przyjęciu czy imprezie dobroczynnej u kogoś. Ale także jeżeli ktoś przekaże datek na pani działalność charytatywną, zarekomenduje doskonałemu krawcowi czy nawet zwymiotuje na dywan! Proszę napisać z podziękowaniami.

– Okay. Dobrze wiedzieć. Co jeszcze?

– Pomyślmy... Ubrania. Tak, w tej kwestii potrzebuje pani rady.

– Dlaczego?

– Łamie pani naczelną zasadę.

– Jaką?

– Tylko jedna część stroju – przez to rozumiem i akcesoria – ewentualnie może pozwalać na identyfikację projektanta. Nikt pani nie płaci za reklamowanie marek, nie jest pani jakimś ludzkim billboardem. Nie ma powodu, żeby mieć cztery miliony rzeczy sygnowanych przez Louisa Vuittona. Ma pani torebkę Chanel, to wystarczy. Jeżeli widać po napisie, że torebka to Prada, to proszę ją zostawić hołocie z Europy – nigdy nie należy przesadzać, bo będzie pani wyglądać jak te ze Spice Girls.

– A co ze strojami? Usłyszałam, jak ktoś kiedyś powiedział, że noszę za krótkie spódnice.

– Katastrofa, proszę pani! – Guffeyowi zakręciło się w głowie, że pozwala sobie na taką szczerość.

– Tak źle? Ale ja mam dobre nogi! Czemu mam je chować w tych babcinych spódnicach?

– Mogę zasugerować wycieczkę, proszę pani? Dwadzieścia minut później jechali Madison, a Guffey

wskazywał na rozmaite butik i wygłaszał zalecenia:

– Versace zazwyczaj nie, chyba że mają konserwatywne, jak na nich, pastele. I należy je mądrze nosić – na przyjęcie tematyczne na przykład, a nie na spotkanie w klubie sportowym.

– Rozumiem – kiwnęła głową.

– Valentino zawsze. Proszę uważać z Armanim – ostatnio ma skłonności do upodabniania się do Talbotsa. A przecież nie chce pani wyglądać jak własna sprzątaczką.

– Dzięki, nie.

– Carolina Herrera, bezbłędna. Gianfranco Ferré jest wielki, jak sądzę, mimo to nie znam jeszcze ani jednej osoby, która by tu robiła zakupy.

– To może działać na moją korzyść.

– Albo niekorzyść, jeżeli wpadnie pani na jakąś babcie w takiej samej sukience. Michael Kors, ideał. Stella McCartney...

– Uwielbiam ją!

– Obawiam się, że jest pani za stara.

– Mam trzydzieści pięć lat.

– Przykro mi. La Perla to obrzydliwość. Coś dla roznieglizowanych kociaków. Victorias Secret dla bogatych.

– Jest pan pewny?

– Wszystko na to wskazuje, że jeżeli ogół społeczeństwa zna tę firmę, to i kobiety lekkich obyczajów również.

Melanie zanotowała sobie w pamięci, żeby wyrzucić całą górną szufladę.

– Prada! Nie powie mi pan, że są źli.

– Bujda lat dziewięćdziesiątych.

– Naprawdę? – Melanie posmutniała.

– Yves Saint Laurent jest wspaniały, ale proszę postarać się nie nosić czegoś, w czym sfotografowano jakąś gwiazdeczkę. Stać panią na to, żeby domagać się ekskluzywnych strojów.

– Tak, zdecydowanie – przytaknęła żarliwie.

– Biżuteria tylko znana, żadnej konfekcji. Przecież to się nie zużywa, przeciwnie – zyskuje na wartości. Srebrne ramki do zdjęć z

monogramem od Tiffany'ego – jako drobne podarunki. Nie kupować prezentów ślubnych z listy, tylko coś kosztowniejszego. Asprey i Garrard są w porządku. W razie kłopotów – srebrna taca. Prezenty dla dzieci z Au Chat Botté. A w razie konieczności ubrania ciążowe z Véronique.

– Och, takiej potrzeby nie będzie – powiedziała pewnie.

– Pan Korn nie powinien pojawiać się na plaży w kąpielówkach innej firmy niż Villbrequin. Są bardzo eleganckie.

– Tak, eleganckie, owszem...

– Frette nie – za rogiem jest Porthault. Smythson jest zawsze znakomity. Może pani tam kupić cokolwiek i nie popełni pani błędu, ale jeżeli chodzi o materiały piśmiennicze z monogramem, to Mrs. John L. Strong.

– Dobrze.

Guffey odwrócił się, żeby spojrzeć na swoją pojętną uczennicę. Był podekscytowany. Ona naprawdę łapie, o co chodzi.

– Świetnie pani sobie poradzi.

Melanie odwróciła się i popatrzyła na niego z wdzięcznością.

– Dzięki, Guffey.

Jerome wpadł na Joan i Wendy w Nello's i odprowadzał je do domu. Było piękne popołudnie i nie miał nic specjalnego do roboty.

– Słyszałyście, że pani Korn wykupuje wszystko, co jest w domach aukcyjnych?

– Nie dziwi mnie to – stwierdziła Joan.

– Zabawne, że otwarcie kupuje kolekcje. Ma zbiór grzechotek Penelope Mayhew, miniatutki schodów Bilia Blassa i puszki na herbatę Monique Burden. Tak się jej śpieszy, że nawet nie potrafi sama czegoś skompletować. Zajmuje się kupowaniem tego, co inni z pasją zbierali całe życie.

– Żałosne – skomentowała Wendy.

– Beznadziejne – wtórowała jej Joan.

Szli, kręcąc głowami z powodu idiotycznego postępowania Melanie. Kiedy przechodzili przez Seventy-second Street, starszy bezdomny wyciągnął do nich poplamiony kawą papierowy kubek.

– Dobry wieczór paniom i panu. Jaka jest najbogatsza nacja? Donacja. Jaki jest najbogatszy stan? Dobrostan. Nie, że chcę na drogie pantalone, tylko trochę niedożywiony. Nie musisz mieć dużo dolców, żeby wspomóc golców! – wyrecytował zwyczajową formułę.

Jerome zwrócił się do Joan i Wendy:

– Oto mój dobry uczynek na ten tydzień – wyszeptał. Przyklęknął i uśmiechnął się łagodnie do biedaka, który wybałuszył oczy, oszołomiony wodą kolońską Jeromea i widokiem jego błyszczących białych zębów ułożonych w idealny uśmiech. – Wszyscy przechodzą kryzys, w takich chwilach potrzebujemy małej pomocy – zaczął Jerome.

Twarz mężczyzny rozjaśniła się nadzieją. Czy ten facet da mu zaraz szeleszczącą dwudziestkę? Pięćdziesiątkę? Zdobył raz pięćdziesiąt dolarów w Wigilię przed kościołem Świętego Jakuba.

– Ale nie możesz się poddawać. Rusz tyłek i zrób coś. – Jerome wręczył mężczyźnie kopertę. Pogroził mu palcem i skinął na Joan i Wendy, chcąc iść dalej.

– No, no, Jerome, jestem zdumiona. Aleś ty wspaniałomyślny. – Wendy położyła na sercu dłoń w rękawiczce.

– Ile mu dałeś? – zapytała Joan.

– Pieniędzy? Nie, nie, nie, moje panie – zaśmiał się Jerome.

– Co? – Joan i Wendy były zdezorientowane.

– To formularz zgłoszeniowy do McDonalda – powiedział z taką emfazą, jakby chodziło o torbę sztabek złota. – Praca to lepszy początek niż forsa, którą przepuści w najbliższej melinie, chyba zgodzicie się ze mną.

– Co? – Wendy była zbita z tropu.

– Musi wstać i wziąć się w garść! To nie ten paralytyk, co siedzi przed DKNY. Ma ręce i nogi. Może pracować.

– Ale, Jerome... jest strasznie zimno, a on jest bezdomny! – zaproponowała Wendy.

– Miał całe lato, żeby dojść na Florydę. Poza tym nie widziałem, żebyście wyciągnęły swoje portfele – uśmiechnął się szyderczo. – A teraz chodźmy. Robi się mroźno.

– Tak! – Melanie zapiszczała z zachwytu, odłożywszy słuchawkę telefonu.

– Co? – Arthur siedział rozparty w skórzanym fotelu klubowym, całkowicie pochłonięty oglądaniem *Miodowych lat*.

– Właśnie zaproszono nas do komitetu Stowarzyszenia na rzecz Dysmorfii.

– A to ty już w nim nie jesteś?

– Nie, głuptasie. Pomyliło ci się z dyzenterią.

– O rany. Co musimy robić?

– Tylko kupić kilka stolików.

– Za ile?

– Nie wiem, Arthur – zirytowała się. – Dlaczego ty zawsze o to pytasz?

– Z ciekawości.

– A co cię to obchodzi? Jesteśmy bogaci.

– Tak, wiem. Nawet nie mam pojęcia, co to, u licha, jest ta dysmorfia, i dlatego zastanawiam się, ile będę musiał zapłacić, żeby pomóc ją leczyć.

– Jestem przekonana, że to coś straszego. Chyba to coś takiego, że widzisz swoje ciało inaczej niż wszyscy inni.

– Co? Chodzi ci o grubasów, którzy noszą kuse stroje, bo myślą, że dobrze wyglądają?

– Nie, głuptasie, przeciwnie! To anorektycy patrzą w lustro i widzą w nim Roseanne Barr.

– Ja cię! – Arthur pokręcił głową. – Kto by się spodziewał takich dziwacznych chorób. Uwielbiam to – im masz więcej pieniędzy, tym więcej chorób cię otacza.

– To prawda – zaśmiała się Melanie. – I co dziwne, niektóre są modne. Nie miałam pojęcia, że Stowarzyszenie na rzecz Miopii jest prestiżowe, ale już Towarzystwo Przyjaciół Miopii zrzesza kompletnych nieudaczników. To wszystko zależy od tego, kto ma tę miopię i na jakie cele dają pieniądze, i kogo wrabiają w ich finansowanie. Skomplikowane.

– Tak, cóż, wszystko zależy od tego, kto ze znanych osób na to choruje. Założę się, że kolejka dotujących Związek Syfilityków nie jest zbyt długa.

– Racja.

– Słuchaj, kochanie, tak przy okazji, jak rozmawiamy o pieniądzach...

– Tak?

– Tak tylko pytam, więc się nie denerwuj. Ale jak to możliwe, że w tym miesiącu wydałaś sześćdziesiąt patyków?

– Ach, to. – Wstała, żeby się przeciągnąć. – Musiałam kupić nowe ubrania.

– Wyglądasz świetnie! Po co ci nowe?

– Wszystkie były niewłaściwe – odpowiedziała z czułym politowaniem. Mężczyźni nigdy nie rozumieją, ile kosztuje dobry wygląd w tym mieście.

– Moim zdaniem prezentowały się dobrze – potarł kolano.

Melanie cmoknęła go w czoło.

– Kochany jesteś, że tak mówisz. Ale, słonko, to ciężka praca być na bieżąco z tym, co się nosi. Podobno moje ubrania były trochę... tandetne, jak sądzę. A długość spódnic zupełnie niestosowna.

– Kto tak powiedział?

– Słyszałam to i owo, a potem Guffey potwierdził.

– Słuchasz rad kamerdynera? – Arthur wreszcie oderwał wzrok od ekranu.

– Tak. – Melanie przetrzepała poduszki, na których przed chwilą siedziała.

– Czy to nie jest trochę dziwne?

– Nie. Nawet wyjaśnił mi kilka ważnych rzeczy.

– No nie wiem, Mel. Wydawało mi się, że świetnie sobie radzisz.

– Ja też tak myślałam. Ale zwrócił mi uwagę na parę istotnych spraw.

– Na przykład?

– No wiesz, choćby to, że jedwab jest na zasłony i suknie ślubne, a nie na pościel.

– Co jest złego w jedwabnej pościeli? Lubię ją.

– Tylko mafiosi takiej używają.

– No nie wiem, Mel. Wszystko, co „elytarne”, jest tak cholernie niewygodne! Mój tłusty tyłek ledwo mieści się na tych nowych krzesłach w jadalni!

– Daj spokój.

– I chyba o to chodzi – drażnił się Arthur – żeby nie siedzieć za długo przy stole. Broń Boże obżerać się.

– Myślałam, że podoba ci się to, co pozmieniałam.

– Ufam ci. Jeżeli dzięki temu jesteś szczęśliwa i tak to powinno wyglądać, to mi się podoba.

– Dzięki, kochanie.

– Tylko nie wariuj i nie słuchaj wszystkiego, co mówi ten kamerdyner. Zupełnie jak Jetsonowie, tylko na odwrót – ty jesteś tym robotem.

– Dobra – uśmiechnęła się Melanie. – Nie będę.

– No bo jeśli z niego taki mądrała, to czemu jeszcze jest kamerdynerem?

Arthur ma rację. To przecież prosty służący. Owszem, dał jej kilka wskazówek, ale to ona wychodzi z domu i działa. Pora zdać się na własną intuicję. Psiakrew, to ona ją tu doprowadziła. Przysięgła sobie, że będzie miała do siebie zaufanie i przestanie się wahać. W końcu jej instynkt zawsze był najlepszym doradcą.

RS

O dziesiątej trzydzieści kolejka przed Dorrians zakręcała za rogiem i wiła się wzdłuż Eighty-fourth Street, ale Drew i John Van-
cebwie zignorowali ją i podeszli prosto do wejścia.

– Cześć, stary – Drew przybił piątkę ze stutrzydziesto-kilowym
czarnym bramkarzem.

– Heja, co tam, Drew? – przywitał się Steve. – Z kim jesteś?

– Z nim, nim, nią i nią – wskazał na swojego brata, Chestera
Winthropa, Whitney Coddington i Cynthię Whi-taker.

– Wchodźcie. – Steve otworzył przed nimi drzwi, a zmarznięta i
zazdrosna młodzież z New Jersey patrzyła, jak inni beztrąsko
wchodzą do środka.

– Opłaca się wpisać Steve'a na listę świąteczną – powiedział
Drew przez ramię do Cynthii. – Dałem mu szalik Burberry.

– Przyjaźnię się z Jimmym Dorrianem, więc nigdy nie muszę
czekać. – Cynthia momentalnie zaczęła rozglądać się na lewo i
prawo, żeby sprawdzić, kto jest w środku.

Z tego, co się działo, można by sądzić, że prywatne szkoły z in-
ternatem i małe college'e humanistyczne wysłały na ten wieczór
swoich najbogatszych studentów z najlepszych rodzin. Blond chu-
dziny – dzinsy Seven, małe torebki od Gucciego przewieszane
przez ramię i tkwiące pod pachami – mieszały się z chłopcami o

dziecinnych buziach – ciuchy z Brooks Brothers, w ręku duże piwo. Grupki przyjaciół siedziały przy nielicznych stołach ozdobionych obrusami w czerwoną kratkę i zajadały się frytkami „na ssanie w żołądku”. Głośna muzyka, atrakcyjny tłum, a piwo lało się strumieniami. Wakacyjny weekend.

– Patrz, Whitney dorwała stolik – Cynthia wskazała róg, gdzie przyjaciółka już się zainstalowała w najlepszym miejscu przy oknie. Machnęła, ponaglając ich, żeby podeszli, nie chcąc wyglądać jak samotny nieudacznik.

– Ta dziewczyna potrafi załatwić stolik w rekordowym tempie.

– Drew był pod wrażeniem.

– Dzięki Bogu – powiedziała Cynthia. – Przynies mi chardonnay, proszę.

– Chardonnay? – powtórzył Drew. – Ile ty masz lat, czterdzieści?

– Cha, cha, bardzo śmieszne. – Cynthia odwróciła się i próbowała precyzyjnie do Whitney.

– Stary, popatrz no tylko. – Chester opierał się o bar i machał trzymaną w wyciągniętej ręce dwudziestodola-rówką, starając się przyciągnąć uwagę barmana. – Pamiętasz tę laskę, o której ci mówiłem w zeszłym tygodniu? Znowu tu jest.

– Gdzie?

– Przy końcu baru. – Chester wskazał głową w prawo. Drew zerknął tam i zobaczył Latynoskę popijającą przez słomkę jakąś różową miksturę. Wyglądało na to, że jest sama. I trochę starsza niż tu obecni. Rozglądała się dookoła.

– Okropna!

– Co ty gadasz? Niezła jest.

John stanął za Drew.

– Kto jest niezły?

– Ta lala, tam na końcu. To Chester uważa, że ona jest niezła.

– Nie zaprzeczysz, że ma w sobie coś z Salmy Hayek – bronił się Chester.

– No to co? Nie uważam, żeby Salma Hayek była niezła.

– Porąbało cię.

– Och, daj spokój. Ja wiem, że to politycznie poprawne udawać, że takie laski jak Salma Hayek czy Penelope Cruz są niezłe. Ale są brzydkie jak noc.

– To superlaska.

– Ohyda, stary. Nie wiadomo, kto tam ją bzykał. Wygląda na puszczałską – uznał Drew.

– Nie, stary. Jest seksowna – upierał się Chester. – Jak myślisz, Johno?

John przyjrzał się jej uważnie. I tak, i nie. Zdecydowanie egzotyczna uroda – ciemne, spływające kaskadą włosy, gęste rzęsy – i rzeczywiście przypomina trochę Salmę Hayek. Ale też wygląda na nieco sfatygowaną.

– Nieee, nie mój typ. – Chwycił swoją szklanke.

– Mylicie się, chłopaki.

– Jeżeli uważasz, że jest taka świetna, to ją poderwij.

– Dobra, stary. – Chester złapał dwa dzbanki piwa. – O tak, będzie moja.

–

Godziny mijały, jak zwykle u Dorriana. Przez całą noc różne osoby przysiadły się na chwilę do stolika Vance'ów i szły dalej. Kiedy ktoś odchodził, całe towarzystwo cmokało się na pożegnanie. Było to subtelne parodiowanie towarzyskich zachowań rodziców. Przed wpół do czwartej Drew wyszedł ze Stephanie Morissey, Whitney

poszła do domu, Chesterowi nie powiodło się z Latynoską i przy-
stawiał się

RS

do siedemnastoletniej studentki z college'u w Nightingale, a John siedział przy stoliku z Cynthią i jakimś głupkiem o imieniu Mike, który ją podrywał.

– Znam undergroundowy klub, strasznie popularny. Zainteresowani? – Mike zwracał się bardziej do Cynthii niż do Johna.

– Gdzie to jest?

– Dzielnica rzeźników.

– Dzielnica rzeźników? Nie chcę jechać tak daleko.

– Czemu nie? Tam jest fajnie.

– Fajnie z kim? Metalowcy z trzema kolczykami w uchu i dzieciaki, które uciekły z domu? Nie, dziękuję.

– No a może chcesz pójść do mnie? Rodzice są poza miastem – zaproponował Mike.

– Nie wiem... – Cynthia spojrzała na Johna, nie chcąc się przy nim deklarować.

John złapał, o co chodzi.

– Idę po drinka, ktoś coś chce? – zapytał, wstając.

– Nie, dzięki – odpowiedzieli zgodnie.

John podszedł do baru. Lokal był zapełniony tylko w jednej czwartej, ale wciąż byli tu ludzie gotowi siedzieć do zamknięcia. Chester grał teraz w tryktraka z dziewczyną, do której się przystawiał, ale ona nieustannie zerkała na swoją przyjaciółkę, błagając, by ta odebrała jej telepatyczne sygnały SOS.

– Co będzie? – zapytał barman.

– Sam Adams. – John położył pieniądze na kontuarze i rozejrzał się dookoła.

– Cześć – powiedziała Latynoska, która nagle pojawiła się obok niego.

– Cześć – odpowiedział zaskoczony.

– Miałam nadzieję, że uda mi się z tobą porozmawiać. – Spuściła wzrok i pociągnęła łyk przez słomkę.

– Ze mną? – zdziwił się John.

– Tak, z tobą.

– Czy ja... znamy się?

– Jeszcze nie. Ale miałam nadzieję.

– Och, jestem John.

– Tylko John? – prowokowała go swoim akcentem.

– John Vance.

– John Vance. Ładnie. Mogę się przysiąc? – Wśliznęła się na stół koło niego.

– Jasne. Postawić ci drinka?

– A chcesz? – zatrzepotała rzęsami.

Dziwne. Ta laska na niego leci. Przynajmniej tak to wygląda. Ale ponieważ wypił jakieś sześć piw, uznał, że się mylił co do niej. Jest w jego typie. Z takimi balonami jest w typie każdego faceta.

– Oczywiście, że chcę – obniżył tembr głosu. To podniecające, kiedy laski robią pierwszy krok.

– To napijmy się szampana. Uczcijmy to.

Założyła nogę na nogę i dostrzegł rąbek pasa do pończoch. Musi być jej zimno.

– Co świętujemy? – Machnął na barmana: – Butelkę szampana proszę. – Obrócił się z powrotem do Latynoski.

Pochyliła się, aż musnęła jego dłoń wielkim biustem, i wyszeptała mu do ucha:

– To tajemnica.

– Tajemnica. Lubię tajemnice.

– Tak? – Kokieteryjnie mieszała słomką w kieliszku. – Tak.

– Cóż, powinniśmy mieć jakąś wspólną tajemnicę, nie?

– Moim zdaniem to dobry pomysł. – Wypił duszkiem butelkę piwa Sam Adams, podczas gdy barman otwierał szampana.

– Nawet nie zapytałeś, jak mam na imię – nadała się.

– A muszę je znać? – uśmiechnął się krzywo. Wiedział, że podoba się laskom. A ta była zdecydowanie napalona.

– Nie, jeżeli nie chcesz... – Odwróciła się, biorąc kieliszek z szampanem.

– Żartowałem tylko, oczywiście, że chcę. Jak masz na imię?

– Teraz nie powiem.

– Daj spokój, tylko się droczyłem.

– Nie – naburmuszyła się. Upiła łyk szampana i przesunęła językiem po wargach.

– Proszę... – uśmiechnął się. Fajna jest. Najpierw chętna, teraz trudna do zdobycia. Znał to. Laski zawsze chcą, żeby o nie zabiegać, nieważne, ile mają lat.

– A czemu mam ci powiedzieć? Nie zależy ci.

– Przeciwnie. – Przechylił się tak, że poczuł jej oddech na twarzy. – Przeciwnie.

Kiedy skończyła butelkę szampana i zrobiła mu loda w męskiej łazience, nadal nie znał jej imienia. John patrzył, jak wprawnie zapięła podwiązki i ponownie nakłada jaskrawoczerwoną szminę.

– Więc, Johnie Vance, dobrze się bawiłeś?

– Było niesamowicie, kochanie. – Miał kłopoty z zapięciem rozporka. Zatoczył się trochę i musiał się przytrzymać umywalki. – Zobaczę cię jeszcze? – zapytał.

– Nie wiem, Johnie Vance.

– Dlaczego cały czas mówisz do mnie „John Vance”? Uśmiechnęła się.

– Nie wiem... Może dlatego, że znam jednego Vance'a. Pracowałam z Morganem Vance'em.

– Kurde, to mój ojciec.

– Nie!

– No. – John niemal zsunął się po ścianie łazienki. Miał straszne mdłości.

– Lepiej idź do domu. Wyglądasz, jakbyś miał zaraz zemdleć. – Nałożyła jeszcze więcej czerwonej szminki.

– No.

Odwróciła się do niego ze złośliwym uśmiechem.

– Do widzenia, Johnie Vance – pochyliła się i pocałowała go w czoło. Czuł, jak luźne kosmyki włosów przyklejają mu się do lepkiego śladu po szmince. – Pozdrów ode mnie swojego ojca.

– Jasne. – Ześliznął się na podłogę. Leżał na stercie zużytych, mokrych ręczników papierowych. – Hej, jak masz na imię? – zmobilizował się.

Odwróciła się z ręką na kłamce i z uśmiechem odrzekła:

– Maria.

Gdy auto Arthura zatrzymało się przed księgarnią Barnes & Noble na Lexington Avenue, czuł, że ma przyśpieszone tętno. Jakiś setny raz spojrzał na trzymaną w dłoni kartkę. Znajdowała się na niej idealna reprodukcja wizerunku Olivii i napis: «Olivia Weston czyta swoją powieść *Rytmy Fisher's*, środa, 21 października, godz. 18".

– W porządku, Charles – powiedział, wysiadając z samochodu.

– Nie ma potrzeby, żebyś czekał. Wróć na piechotę.

Wszedł przez olbrzymie zielone drzwi obrotowe i rozejrzał się po księgarni. Rzędy krzeseł były już wypełnione ludźmi, kilka osób nawet stało z tyłu. Na stojaku ustawiono wielki plakat z reprodukcją okładki książki Olivii, opatrzony hasłem: „NA ŻYCZENIE CZYTELNIKÓW"

Naprawdę musi być popularna. Arthur popatrzył na zgromadzony tłum i zauważył, że na sali są głównie mężczyźni. Wytarł chusteczką pot z czoła i zerknął na zegarek. Lada moment.

Kierownik do spraw wydarzeń specjalnych sieci B & N wszedł na podium, żeby przedstawić stojącą za nim Olivie. Wyglądała jak zwykle olśniewająco, tym razem w kremowym kaszmirowym bliźniaku, popielatej apaszce i wąskiej czarnej spódnicy. Gdy Arthur tak się upajał jej widokiem, pomyślał przez sekundę, że bardzo kocha swoją żonę. Niestety, Melanie tak rozpaczliwie pragnie mieć klasę i obycie, z którymi Olivia się urodziła. Olivia jest prawdziwa. Z takiej

rodziny, i co za ślicznotka. Odwrócił wzrok niemalże zawstydzony – nigdy jej nie zainteresuje taki jełop jak on.

Olivia przywitała się cicho, otworzyła swój podniszczony egzemplarz książki na stronie założonej szkarłatną aksamitną wstążką. Lekko odchrząknęła i napiła się wody ze stojącej obok szklanki. Podniosła wzrok, kąciki ust uniosły się na sekundę w półuśmiechu i zaczęła:

– „Łód pobrażkuje w szklance na corocznym wieczorku z okazji czwartego lipca u Goodrichów, i wiem, że nie ma ucieczki od monotonii kolejnego przyjęcia. W innych pokojach kobiety wchodzą i wychodzą, brzęcząc melodyjnie jak muchy przy lampionie...”

Gdy słowa płynęły z jej ust, słuchający jej w nabożnym skupieniu mężczyźni patrzyli na nią z miłością. Arthur był urzeczony.

– „...Szklanki do brandy ze śladami szminki stoją przy oklapniętym zapiekany brie. Siadam na pasiastym szez-longu koło Prestona, który nie odstępuje mnie od Dnia Pamięci...”

Preston? Kim, do cholery, jest ten Preston? Brwi Arthura nie były jedynymi, które się uniosły. Olivia zerknęła na bok – podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczył gościa, który był z nią w restauracji, i jeszcze jakąś dziewczynę, zupełnie mu obcą. Prawdopodobnie ta dziewczyna obok niego to jego sympatia. Nie złapałby takiej babki jak Olivia. Ciekawe jednak – ci dwoje to nie jakieś nadęte typy z Upper East Side, są... szałowi, odjazdowi, odlotowi. Ona nie zwraca uwagi na podziały społeczne. Tak, nie dba o taki nonsens jak pochodzenie, wystarczy popatrzeć na te typy z East Village! Trybunka ludu. I to naprawdę, bo ci jej przyjaciele wyglądają, jakby wzięli się z rynsztoka.

Kiedy Olivia skończyła czytać, zamknęła książkę i kiwnęła uprzejmie głową zgromadzonym, wyrażając wdzięczność za entuzjastyczne brawa. Arthur postanowił zostać chwilę dłużej i stanął za

działem podróżniczym. Kiedy udawał, że przegląda pełne kolorowych zdjęć „Let's Go India!”, usłyszał miękki głos Olivii witającej się z przyjaciółmi, Robetti i Holland.

– Dobra robota, złotko – powiedział Rob.

Arthur wyjrzał za regału i zobaczył, jak się przytulają.

– Dzięki, Robbie. Cześć, Holi...

– Cześć, Liv – odpowiedziała chłodno ubrana na czarno dziewczyna.

– Słuchajcie, muszę lecieć – przeprosił Rob. – Mam wykład w Cooper Hewitt za jakieś dwadzieścia minut.

– Nie ma sprawy, dzięki, że przyszedłeś – odpowiedziała Olivia.

– Pa, kochanie, na razie – powiedziała ciepło Holland i pożegnała się z nim jakimś dziwnym uściskiem ręki na wysokości bioder. Popędził do drzwi.

– Holi, słuchaj...

– Nie sędzę – Holland z powrotem przyjęła chłodny ton.

– Ja tylko... chciałam porozmawiać...

– Właściwie to nie ma o czym. -Ale...

– Ale co? To zaczyna być śmieszne... słuchaj, muszę iść.

– Nie – prosiła Olivia. – Nie możemy się napić kawy?

– Kawa nie rozwiąże problemu. Cześć.

Arthur wyjrzał ponownie i zobaczył, jak Holland przekłada torbę przez ramię i wychodzi. Olivia przesunęła ręką po włosach i przyjęła komplementy od czekających na nią fanów. Arthur słuchał zza regału, potem spojrzął na zegarek i zdał sobie sprawę, że powinien już wracać do domu. Ruszył do wyjścia, a wtedy Olivia odwróciła się i niemal na niego wpadła.

– Och... witam... dzięki za przyście – odezwała się do Arthura, który aż zeszywniał, zaskoczony tak nagłym bliskim kontaktem.

– Świetny odczyt! To znaczy, ładny... ee... fragment. No, cała książka jest cudowna. – Z poczuciem winy podniósł swój egzemplarz. – Jestem w połowie...

– Cieszę się, że na razie się podoba – uśmiechnęła się.

– Podpisać?

Arthur upodobił się do buraka.

– Oczywiście, tak. – Nerwowo podał jej cenny wolumin, który ścisnął tak mocno, jakby to była Biblia Gutenberga.

Wyjęła eleganckie srebrne wieczne pióro i napisała: „Miłego dalszego ciągu – Do zobaczenia w windzie. O. W”.

– Panno Weston – przeszkodził pracownik księgarni.

– Muszę panią porwać na momencik.

– Oczywiście. – Zamknęła z trzaskiem książkę i wręczyła Arthurowi. – Do zobaczenia – rzuciła przez ramię, odchodząc.

Kiedy Arthur szedł do domu w ten chłodny wieczór, buty marki John Lobb nie dotykały chodnika. Każdy jego gorączkowy krok był pełen tęsknoty i zachwytu. Jej książka była tak wciągająca, pełna napięcia i olśniewająca, jej elitarny świat tak bliski dzięki doskonałym opisom i subtelnym przymiotnikom. Ale zaraz – co oznaczała dziwna rozmowa z tą dziewczyną? Zaczął obsesyjnie zastanawiać się nad jej problemem z Holi. Co tu może być nie tak? W jej melodyjnym głosie słychać było cierpienie zadane przez dziewczynę z kolczykami, która tak szorstko odzywała się do jego anioła. Cokolwiek ją martwiło, chciał to naprawić.

Tej nocy Arthur leżał koło żony na gigantycznym łóżu z baldachimem i oboje pochłonięci byli lekturą. Arthur trzymał „Newsweeka”, którym zasłaniał to, co naprawdę czytał, czyli *Rytmy Fisher's*, od czasu do czasu wracając do dedykacji.

Melanie była zbyt zatopiona w lekturze „Spisu Towarzyskiego”, żeby to zauważyć. Arthur przesunął palcem po błękitnym atramen-

cie cudownego pisma Olivii. Poczul podniecenie na samo wspomnienie jej zapachu i uśmiechu. „W windzie”... Co to oznacza? Może chce, żeby ją tam wziął na stojąco. Mogliby się namiętnie kochać, jadąc w górę, jak w *Fatalnym zauroczeniu*; ich gorący tajemny romans minus gotujący się króliczek. Oczywiście ona jest przy zdrowych zmysłach. Jest uczciwa i dobra, cudowny kwiat, którego zapach wypełnił jego płuca nowym życiem.

Przymknął oczy, przypominając sobie zapach apaszki ogrzewającej jej delikatną szyję, kiedy wstrząsnął nim oburzony głos Melanie i ukrocił jego fantazje.

– McFaddenowie! Nie było ich tu w zeszłym roku! Kompletna bzdura.

Arthur próbował uspokoić żonę, ale była zbyt przygnębiona.

– Już nie wiem. Zawsze, kiedy myślę, że idę do przodu, dostaję w tyłek.

– Nie bierz tego do siebie, skarbie.

– Wiem – westchnęła. – Muszę po prostu zaufać radom Guffeya.

– Jeżeli tylko ci pomagają.

– I muszę zadzwonić do tego specjalisty do spraw wizerunku i powiedzieć mu, żeby ruszył swój chudziutki tyłek. Wygląda na to, że chyba nie były to dobrze wydane pieniądze.

– Nie martw się o to.

Usiadła i włożyła nowy szlafrok na koronkową koszulę nocną.

– Ten magazyn to straszne bzdury.

Rzuciła nim w stronę Arthura i poszła do swojej łazienki. Arthur spojrzął na periodyk. Niemal widział, jak wycieka z niego błękitna krew. Przejrzał kilka stron. Już wcześniej przeczytał notatkę na temat Olivii, teraz szukał kogoś innego. Przebiegł wzrokiem spis pod literą P. Cholera, tylko nazwiska.

– Kochanie! – zawołał w stronę łazienki. – Czy to ma indeks imienny?

Melanie otworzyła drzwi i wskoczyła do łóżka.

– Nie. Ale podaj imię, a prawdopodobnie będę wiedziała.

– Och, nikt, tylko jakiś dzieciak, Preston, stara się o przyjęcie do Racquet Club...

– Preston Bates? Syn Reginy i Carla? Jakies dwadzieścia dziewięć, trzydzieści lat?

Arthur przełknął ślinę.

– Taa, to musi być on. – Mały skurwiel.

– Już po kłopotach z narkotykami?

– Ma takie problemy?

– Był na „wakacjach” w Minnesocie przez trzy miesiące, więc jak myślisz?

– Och – powiedział z ulgą Arthur. Ćpun! Ha. Jakby ona mogła w ogóle zadawać się z maniakiem uzbrojonym w igłę. – Może to nie on. Nieważne.

Pan i pani Korn pocałowali się na dobranoc, wyłączyli światło i ułożyli się do snu, a każde śniło o czymś innym.

Cordelia i Jerome, trzymając się pod rękę, przeszli zwawym krokiem Madison Avenue od Fifty-seventh do Seventy-second w ponad trzy godziny, rozkoszując się chłodem, podczas gdy kierowca Vance'ow jechał wolno koło nich, wioząc zakupy. Było to ulubione zajęcie tego duetu – specyficzna randka, na której oboje spotykali się co sezon, kombinacja jej pieniędzy i jego smaku, platynowej karty płatniczej i toreb z ubraniami.

Ale tego dnia, chociaż okazało się, że seryjna suknia pasuje tak, jakby została uszyta specjalnie dla niej przez najlepszego projektanta, i akurat trafili na rozpakowywanie najnowszej kolekcji Cruise, Cordelia była przygaszona. Kiedy Jerome trafił w Valentino na najnowszy wyszywany paciorkami top, zamiast okrzyku radości było tylko kiwnięcie głową i wymuszony uśmiech, który szybko znikł, a oczy zdradzały smutek. Jerome nic nie mówił. Rozumiał. Dzień wcześniej słyszał w Swifty's pogłoski, że mąż jego biednej przyjaciółki ma kochankę.

Gdy przechodzili na drugą stronę ulicy do Armaniego, Cordelia spojrzała na swojego powiernika, wiedząc, że bardzo chciałaby jej jakoś pomóc. Miała świadomość, że nie jest najweselszą towarzyszką, ale nie mogła się nawet zmusić do udawania entuzjazmu z powodu

kupna nowych rzeczy, skoro tak naprawdę chciała czegoś zupełnie innego.

– Jerome, ja...

– Tak, moja droga?

– Ja... czuję, że... czegoś w moim życiu brakuje. Wiem to już od dłuższego czasu, ale teraz dopiero zrozumiałam, co to jest.

– Nowe świecidełko od Freda Leightona?

– Nie. Córka.

– Rewelacyjnie! To najlepsza wiadomość, jaką słyszałem od czasu śmierci Jerry'ego Zipkina!

Cordelia po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się szczerze – poczuła ulgę, że jej marzenie nie zostało uznane za niemądre.

– To nie dlatego, że nie jestem zadowolona z synów. Są cudowni, ale już dorośli. A ja nadal czuję, że mam tyle do zaoferowania. Jakby była we mnie uwięziona wielka fala energii. Naprawdę chciałabym adoptować małą dziewczynkę.

– To rewelacyjnie. Rewelacyjnie! Wiesz, jest tyle biednych dzieci na świecie, które marzą o domu. Mogłabyś jedno wziąć.

– Mamy mnóstwo miejsca, żaden problem urządzić pokój dziecienny. – Oczyma wyobraźni widziała już różowy perkal i białe łóżeczko z szytą na zamówienie pościelą. Może powinna wpaść rano do D & D. Samo wypowiedzenie tych słów ponownie natchnęło ją nadzieją.

– Moim zdaniem powinnaś wziąć Mulatkę – zaopiniował Jerome. – Mieszanka ras to przyszłość. Bardzo nowoczesne. Dobrze jest mieć takie małe genetyczne *bouillabaisse*.

– Masz rację! Tak się cieszę, że się ze mną zgadzasz. – Cordelia teraz promieniała.

– Jestem z ciebie bardzo dumny, Cord. Niewiele osób przyjęłoby ubogie dziecko. To wymaga prawdziwego człowieczeństwa i wraź-

liwości, żeby dbać o zapomniane dzieci i pozwolić im stać się częścią siebie.

– Och, Jerome, dziękuję ci – objęła go. – Ty zawsze wiesz, co powiedzieć.

Kiedy znaleźli się pod markizą budynku przy Park Avenue numer 741, portierzy natychmiast podeszli i zaczęli wyładowywać samochód. Cordelia uścisnęła mocno Jerome'a, a kiedy spojrzała mu w oczy, zanim zniknęła w westybulu, czuła, że ją doskonale rozumie.

Cordelia weszła do mieszkania i zaczęła wyobrażać sobie nowy pokój dziecienny. Jerome również myślał o dzieciach. Po południu wybrał się własnym samochodem do Harlemu, gdzie gwizdnął przez okno na portorykańskiego chłopca i pomachał plikiem banknotów. Chłopiec, najwyżej piętnastoletni, podszedł dumnie do samochodu i wsiadł do środka.

W centrum Morgan Vance choć raz pracował w spokoju przy swoim biurku, kiedy weszła jego asystentka.

– Panie Vance, dzwoni John Vance.

Morgan podniósł słuchawkę, szczęśliwy, że jego syn odzywa się.

– Cześć, John.

– Cześć, tato. Chciałem tylko sprawdzić, czy squash dziś po południu aktualny.

– Nie mogę się doczekać.

– Świetnie, do zobaczenia o piątej. A przy okazji, spotkałem pewną laskę któregoś wieczoru u Doriana. Powiedziała, że cię zna. Maria? Ta Latynoska.

Morgan zbladł jak prześcieradło.

– Nie przypominam sobie żadnej Marii.

– Och, całkiem niezła. Chester Winthrop na nią leciał.

– Dziwne. Nie znam żadnej Marii. Do zobaczenia, synu.

Morgan rozłączył się i sięgnął po chusteczkę, żeby wytrzeć zimny pot z czoła. Spanikowany przerzucił całe biurko, żeby znaleźć małą wizytówkę, którą wręczył mu ubrany w skórę mężczyzna „rozwiązujący problemy”.

RS

Była to gala sezonu: jak zawsze wyprzedane premierowe przedstawienie New York City Ballet. Kolację i tańce poprzedzał trzyaktowy występ, podczas którego kobiety rozglądały się po sali, lustrując stroje innych, a ich mężowie wierzili się na krzesłach, podczas gdy z ich brzuchów dobiegało burczenie. Następnie, po zwiewnych furkotach szyfonu i tiulu, kiedy już ostatnia primabalerina dygnęła przed kurtyną i dostała róże, tabuny ludzi spływały do olbrzymiego westybulu New York State Theater. Dzisiejsze widowisko chlubiło się kiczowatą oprawą w stylu hawajskim, mnóstwem kwiatów, teatralnym oświetleniem, seksowną muzyką i jedzeniem przygotowanym przez Glorious Food. Gdy paparazzi robili zdjęcia siostrom Miller, siostrom Hilton i siostrom Boardman, zaciekawiona Melanie Korn przyglądała się temu z boku, a Arthur podlizywał się jakiemuś zombi z Wall Street.

Szkoda, że nie ma siostry. Te babki wcale nie są takie super, pomysłała. Miała takie same łydki i identyczne zabójcze ciuchy. Ale fenomen sióstr wziął się z kampanii reklamowej Doublemint – jedna jest tylko okay, ale kiedy masz dwie lub trzy, spojrzenie ślizga się od jednej do drugiej, a one łączą się w ponętną, zniewalającą całość.

Dostali plan rozmieszczenia gości, a Melanie była zawiedziona tym, że ich stolik, jeden z najdroższych, nie stoi koło parkietu. W dodatku z dala od tych łabędzic, które chciała olśnić.

– Arthur, jak myślisz, co to znaczy? Nasz stolik równie dobrze mógłby znaleźć się w Botswanie.

– Kochanie, jest dobrze. Przynajmniej się nawzajem słyszymy. Przy parkiecie czulibyśmy się jak w zoo.

– Zoo z najlepszymi zwierzętami. A my to jakieś skunksy.

Kornowie podeszli do swojego stolika, mijając wycekino-wanych i wybrokatowanych gości wypełniających ogromną aulę. Mieszanka perfum wypełniała powietrze i splendor nigdzie nie był bardziej namacalny niż w tym lśniącym miejscu. Melanie rozczarowała się bardzo, że nie może wykorzystać w praktyce tego, czego nauczył ją Guffey. Ćwiczyli towarzyskie pogawędki, zanim odesłała go, żeby się przygotować. Miała już dość odgrywania Julii Roberts z *Pret-ty Woman*, pouczanej przez gońca hotelowego. Czowała, że jest gotowa do wejścia na czerwony dywan.

Kiedy Arthur i Melanie mieli już usiąść, Pamela Baldwin odciągnęła ją na bok.

– Hm, Melanie, mogę cię na chwilę prosić? – powiedziała poważnym tonem.

– Jasne, Pamela. Coś się stało? – zaniepokoiła się Melanie.

– Słuchaj, pewnie już znalazłaś swój stolik i nie jesteś zbyt zadowolona...

– Cóż... – Melanie nie była pewna, jak się zachować. – Jestem trochę zaskoczona. No bo byliśmy bardzo hojni i uważam, że powinniśmy dostać stolik przy parkiecie.

– Zgadza się. Więc właśnie chciałam cię zapewnić, że to nie ja. – Pamela pokiwała głową.

– Co masz na myśli?

– Ja cię tu nie posadziłam.

– A kto? – Melanie czuła, jak w żołądku rośnie jej kula. Kiedy Pamela miała jej odpowiedzieć, kelner ubrany

w krzykliwie tandetną hawajską koszulę i cztery plastikowe girlandy, zawieszane na szyi, przyszedł z koktajlami.

– O, te wyglądają interesująco... Och, spójrz na te kokosy. A ta parasoleczka jest urocza. Co to jest? – zapytała Pamela.

– *Kokosowa bryza*. Nasza specjalność. Melanie zaczynała się niecierpliwić.

– Weź jeden, są świetne. – Chwyciła dwa i podetkała jeden Pameli, chcąc się pozbyć kelnera. – Mówiłaś, że... – zachęciła ją.

Pamela podniosła palec, żeby Melanie poczekała, aż ona spróbuje drinka.

– Fuj. To nie jest dobre. Powinien był powiedzieć, że tu jest kah-lua. Zawsze dostaję od tego wysypki.

Na litość boską, czy ona nie może przejść do rzeczy?

– To nie powinnaś tego pić. – Melanie zabrała jej drinka z ręki i wlała go w siebie. Potem pociągnęła duży łyk ze swojego kokosa. Rzadko piła na takich imprezach, ale jeżeli to zakończy szybciej jej tortury, nie ma problemu.

– Uwważaj, koktajle bywają zdradliwe!

– Zaryzykuję. Więc ktoś nie chciał, żebym była blisko parkietu?

Pamela westchnęła głęboko. Melanie spojrzała w jej niebieskie oczy potłuczonej porcelanowej lalki i zdała sobie sprawę, że stoi przed najgłupszą z żyjących kobiet. Całe to krzyżowanie się białej anglosaskiej elity wyprodukowało tę istotę wyrzuconą z college'u Pine Manor, która nie jest w stanie zatankować samochodu ani prowadzić normalnej konwersacji.

– Tak, Melanie. Bo wiesz... no, Chauncey Goodchild, która ze mną współorganizuje tę imprezę, jest bardzo blisko z niektórymi kobietami, i nie wiem czemu, ale one cię po prostu nie lubią.

Melanie sparaliżowało. Musiała pociągnąć kolejny łyk *Kokosowej bryzy*, zanim zdołała odpowiedzieć:

– Ach, i to one dopilnowały, żebym siedziała na Uralu?

– Jakim Uralu?

– No wiesz, one zadbały o to, żebym dostała najgorszy stolik?

– Och – Pamela nadal nie kojarzyła. – Tak. Mam im powiedzieć, że cię to zdenerwowało?

– Nie, proszę, absolutnie tego nie rób. – Melanie znowu się napiła i oznajmiła z determinacją: – Jestem tu, żeby się dobrze bawić, i będę się dobrze bawić.

– Masz takie fantastyczne podejście! – Pamela pomachała komuś po drugiej stronie sali. – Muszę lecieć. Ale jestem pod wrażeniem, że potrafisz przyjmować porażki z taką klasą.

– Tak, może dzięki temu kiedyś coś wygram. Pamela w okamgnieniu zniknęła, a Melanie siadła koło Arthura.

– O co chodziło?

– Jakieś bzdury – kipiała w niej mieszanina gniewu, upokorzenia i frustracji.

Czasami te towarzyskie korowody były tak męczące i dziecinne, że miała ochotę się z tego wycofać. Wbrew jej wszystkim ambicjom, pragnieniu, by dorównać pierwszej żonie Arthura, a nawet ją przewyższyć, takie właśnie chwile, w których aż robiło się jej niedobrze z powodu doznanego upokorzenia, sprawiały, że miała ochotę poddać się i pociągnąć za linkę otwierającą spadochron. Chciała uciec i odlecieć do rzeczywistego świata, wylądować gdzieś w środku kontynentu, w jakimś nie kwestionującym wszystkiego prostokątnym stanie o nazwie zaczynającej się na literę M. Ale jeżeli życie w małym miasteczku czegoś ją nauczyło, to tego, że pnącza społecznej dżungli są wszędzie. Plemiona Pigmejów o pomalowanych twarzach też są pewnie zhierarchizowane. Wszędzie tak jest. Nawet w środkowych prostokątnych stanach. „Spójrz na Nellie Olsen i jej bo-

gata rodzinę, która prowadzi sklep, jak rządzi naszym miasteczkiem", przypomniła sobie serial *Domek na prerii*. Warstwa społeczna, próba przejścia do wyższej i rozpaczliwe pragnienie bycia akceptowanym to ogólnoswiatowe zjawisko. Ale, jak śpiewał Sinatra, jeżeli uda ci się tu...

– Bardzo ci dziękuję, że nas zaprosiliście. Co za impreza! – piśnęła Lii Broady, żona jednego z przyjaciół Arthura, podobna do członka rodziny Addamsów. – Widziałas, kto tu jest? To Sarah Parker!

Melanie zdała sobie sprawę, że wyłączyła się, rozmyślając o perypetiach biednej Laury Ingalls i jej osadniczym życiu. Nadal ma gości, którym powinna poświęcić czas, i musi przynajmniej udawać, że bawi się dobrze. Ale jest tak zdruzgotana, iż tylko mnóstwo alkoholu pomoże jej tu wysiedzieć. Już szumiało jej w głowie, kiedy pociągnęła następny łyk.

– Kto? – zapytała.

– Sarah Parker! Z tego filmu na HBO *Seks w wielkim mieście* Uwielbiamy go. Prawda, Bob?

– Uwielbiamy go – powtórzył jej zdalnie sterowany mąż, wpatrując się w naprężone udo tancerki jak głodujący Etiopczyk w kubek pełen udek kurczaka z KFC.

– Sarah Jessica Parker – poprawiła ją wzburzona Melanie. Czy ci ludzie mają o czymkolwiek pojęcie? – To tak, jakbyś powiedziała „Michael Fox”.

– A kto to? – zapytała Lii.

– Dokładnie. Najważniejsze jest to „J.” – Michael J. Fox.

Właśnie w tym momencie organizatorki wzięły mikrofon, żeby wyrecytować nie kończącą się listę podziękowań – sponsorującym korporacjom, fantastycznym tancerzom, salonom florystycznym, reżyserowi Peterowi Martinsowi i tak dalej. Melanie przyjrzała się

uważnie Swojej świeżo odkrytej nemezis. Chauncey Goodchild była asek-sualną, bezbarwną kobietą w średnim wieku. Przygotowała sobie karteczki z tekstem przemówienia — taka jest pedantyczna i idealna. Jakim cudem ona organizuje tę galę? — zastanawiała się Melanie. Sama potrafiła sobie odpowiedzieć: ponieważ co rano pożerała babeczki w Payard z tą jędzowatą kliką, w której skład wchodziły między innymi Joan i Wendy. Wszystkie miały za dużo wolnego czasu i zbyt wielu wrogów. Po dziesiątym i ostatnim wybuchu automatycznych oklasków dla bezgranicznej szczodrości tego i tamtego Melanie wygłosiła mowę do swojego stolika:

— Niedobrze mi się robi na widok tej Chauncey Goodchild.

— Hm, kochanie... — Arthur próbował uspokoić wyraźnie urażoną żonę.

Melanie wiedziała, że jest wstawiona i prawdopodobnie nie powinna więcej się odzywać, ale nie potrafiła zdobyć się na odrobinę miłosierdzia.

— Nie, Arty, nie strofuj mnie. Ta kobieta jest do chrzanu.

— Dlaczego? — zapytała siedząca naprzeciwko Polly Puccini. — Wygląda na miłą.

— Miła? MIŁA? To ja ci coś opowiem. Kuzyn jej męża, który zerwał z rodziną i żył z funduszu powierniczego, zmarł podczas jakiejś dziwacznej wyprawy na Hawaje i Arty zaoferował, że jedna z jego filii zajmie się wszystkimi tymi nieprzyjemnymi sprawami, całkowicie pokrywając koszt trumny, pogrzebu, przetransportowania ciała i w ogóle. A te dupki ledwie mu podziękowały.

— Jej, to miłe, Arthur — zareagowała Lii.

— Czekaj — Melanie uciszyła ją upierścienioną dłonią.

— Potem, kiedy postanowiliśmy się pobrać, zdecydowaliśmy się na kameralne wesele w Doubles.

– Och, to był taki uroczy wieczór! A twoja suknia była wspaniała
– Lii niemal omdlewała z zachwytu.

– Chciałam taką, jaką miała Stephanie Seymour w wi-deoklipie do *November Rain*. Tak czy inaczej, zgadnijcie, co Goodchildowie dali nam w prezencie ślubnym? No, jak myślicie? I pamiętajcie, że są na-dziani.

– Melanie... – Arthur poruszył się nerwowo na krześle. Jego żo-nę tym razem naprawdę poniosło.

– Kotku, nie melaniuj mnie tutaj. Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, jakie z tych Goodchildów dziady.

– No to co wam dali? – zapytała Polly.

– Dostaliśmy e-mail z następującym tekstem: „Drodzy Melanio i Arthurze, dla uhonorowania doniosłej okazji, jaką jest wasz ślub, w prezencie ślubnym dla was Chaun-cey i Frick Goodchild adoptowali kożę rzadkiej południowoamerykańskiej, zagrożonej wymarciem ra-sy. Pieniądze na ten cel pozwolą na odchowanie kozy w Hacienda Las Cabras na wzgórzach Peru, a ona któregoś dnia wyda na świat...”.

– Nie – zareagowała Lii.

– Tak. I czy to nie oznacza: „Mamy was gdzieś”?

– Taki prezent dajesz chyba komuś, kogo nienawidzisz – zasta-nawiała się Polly na głos.

– Serio? Zapraszamy ich na obiad z kawiozem za pięćset dolców od łebka, a oni dają nam kożę spod Limy, której nie zobaczymy na oczy!

– No, kochanie, wolałabyś, żeby nam ją przysłali do mieszkania?

– drażnił się Arthur. Wiedział, że Melanie jest wstawiona, i chciał rozładować atmosferę, ale żona rzuciła mu spojrzenie, którego użyła w samolocie, kiedy jakiś podpity sprzedawca zasłon prysznicowych uszczypnął ją w tyłek.

– Oczywiście, że nie. Ale mam to gdzieś, że jakaś koza gdzieś tam wykituje. W dodatku nie o to chodzi. Chodzi o to, że ty pomogłeś im w potrzebie, wybuliłeś tysiące dolarów na tego idiotę, który umarł, bo mu się zachciało pływać z rekinami.

– Pływał z rekinami? – zapytał Bob Broady, który nagle ode-
rwał się od łososia podanego na przystawkę.

– Tak. Sam się prosił o śmierć. Typowe dla Greenwich.

– Greenwich w... Connecticut? – nie zrozumiała Lii.

– Tak. Wiesz, te wszystkie uprzywilejowane dzieciaki, które od-
walały kitę przez idiotyczny sport dla bogaczy. Jakby na świecie nie
było wystarczająco dużo problemów i niebezpieczeństw, one płacą
dziesięć tysięcy dolarów, żeby sobie uprawiać akrobacje spadochro-
nowe.

– Jak to, dużo jest takich zgonów, no wiesz, ekstremalnych?

– Polly, gdzieś ty była? – zirytowała się Melanie. – Ten kuzyn
Goodchildów trzy lata temu o mało nie zginął w potężnej lawinie
śnieżnej, która załatwiła chyba z połowę Ro-und Hill Road – wie-
cie, helikopter zabiera narciarzy na górę i stamtąd zjeżdżają. I po
tym, spojrzawszy śmierci prosto w twarz, pokazuje jej środkowy pa-
lec i idzie pływać z rekinami!

– Śmierć nie ma twarzy – wtrącił się Arthur. – Spod czarnej
peleryny widać tylko kosę.

Tym razem Melanie nie zaszczyliła go nawet spojrzeniem.

– No bo tam dosłownie wszędzie toczył się śnieg, z którego wy-
stawały ręce i nogi jego kumpli z college'u, a on sobie nadal jeździł
na nartach, dopóki nie schrupał go lu-dojad. Nonszalancki stosunek
do życia, zupełnie jakby oni wszyscy byli nietykalni.

– Zadziwiająca. To okropne, że jest taka moda – powiedziała
Lii.

– A niech sobie będzie. Nie zamierzam po nich płakać. Żal mi ludzi, którzy chorują, a nie tych, co spadają z mostów na bungee. Moim zdaniem coś jest mocno nie tak z feng shui w Greenwich, bo tam nikt nie jest szczęśliwy. Dlatego wszyscy potrzebują tej pieprzonej adrenaliny, żeby obudzić się z tej śpiączki, tak ich rozpuszczono. Ale w sumie to bardzo darwinowskie. Te dzieciaki z dynastii i tak nic by w życiu nie zrobiły.

– Kochanie, może zatańczymy? – zaproponował Arthur, chcąc położyć kres szalonym teoriom i płomiennym tyradom żony. Zdziałało.

– Kocham taniec! Świetny pomysł.

Melanie uwielbiała parkiet. I potrafiła się na nim ruszać. Kiedyś ćwiczyła przed lustrem i wiedziała, że jeżeli chodzi o shimmy, to pobije każdego uczestnika konkursu tańca. Arthur wziął ją za rękę i poprowadził na zatłoczony parkiet, gdzie owinęła się kokieteryjnie wokół niego i śmiejąc się beztrosko, odrzuciła do tyłu głowę.

– Kotku, czy ty przypadkiem nie wypileś troszkę za dużo? – zapytał Arthur.

– Może – zachichotała.

– Uważaj. Nie chcesz chyba powiedzieć niczego, czego byś potem żałowała.

– Nie mam czego żałować! Ale jeżeli chcesz, mogę ten alkohol wytańczyć.

Arthur i Melanie szaleli na parkiecie, dopóki on nie musiał siusiu.

– Och, nie, uwielbiam tę piosenkę – zaprotestowała.

– Muszę iść, Mel...

Właśnie w tym momencie olśniewająca gwiazda towarzystwa, Albert Evans, przechodził obok i usłyszał ich rozmowę.

– Cóż, z przyjemnością pana zastąpię – zaproponował. Melanie zarumieniła się – toż to sława. I chce z nią tańczyć!

– Będę zaszczycona.

Evans z wdziękiem zajął miejsce Arthura i zaczęli wirować, a dookoła zbierali się obserwatorzy. Fotograf z Party-PicturesOnline zrobił im zdjęcie i coraz więcej głów zaczęło obracać się w ich kierunku. Kiedy Melanie zdała sobie sprawę, że patrzy na nią tyle oczu, zaczęła się popisywać – kręciła pupą, seksownie zsuwając się przed Evansem.

Rzecz jasna, Joan i Wendy osłupiały.

– No, no, co my tu mamy. – Jerome de Stingol uniósł brwi na widok Melanie i posągowego tancerza. – Ona się rzuca na tego seksownego czarnego dżentelmena. Wije się z rozkoszy! Spójrzcie na nią.

– Jerome, on jest gejem – zauważyła Wendy.

– Wiem. Ale najwyraźniej jej się podoba.

– Jej się podoba to, że wszyscy na nią patrzą – stwierdziła Joan.

– Nie wystarczyło, że kazałyśmy Chauncey posadzić ją na Antarktydzie. Musiała znaleźć się w centrum uwagi.

– Cóż, z pewnością bawi się jak nigdy w życiu – Jerome umierał z zazdrości.

Tak. Melanie czuła się wyśmienicie. A to doprowadzało innych do szału.

Następnego dnia obudziła się z bólem głowy i od razu poczuła wszechogarniającą panikę, co też takiego wczoraj mówiła. Potrzebowała sześciu telefonów do Arthura, żeby załagodzić strach, i siedmiu tabletek przeciwbólowych ad-vil, żeby przestała boleć ją głowa. Przysięgła sobie, że więcej nie będzie pić.

Kolejka w Clyde's Pharmacy była koszmarem, a Joan nie miała ochoty czekać. Dotknął ją kryzys, prawdziwy kryzys, a te wszystkie panie z Upper East Side wykupujące kolejną receptę na valium i vicodin powinny się odsunąć i ją przepuścić. Było tak źle, że nawet ściągnęła Wendy, żeby mieć towarzystwo, zanim zemdleje ze zniecierpliwienia.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze – Wendy uspokajająco poklepała ją po ramieniu.

– Umieram, Wen. Umieram – jęczała Joan.

– No to może ja poczekam? Ty idź do domu – zaproponowała Wendy.

– Nie, dziękuję ci, kochana, ale gdy zrealizują mi tę cholerną receptę, nie będę czekać nawet sekundy, tylko wrzucę te cukiereczki do buzi i rozsmaruję kremik na twarzy.

Joan, jak w każdy poniedziałkowy rano, poszła na basen do Colony Club. Zabieg kosmetyczny – peeling kwasem – miała w piątek i była pewna, że przez te trzy dni złuszczonej skóry już się zagoiła. Myliła się. Między kwasem a chlorem zaszła jakaś reakcja rodem z laboratorium chemicznego szóstej klasy szkoły podstawowej, a jej efektem była strasznie czerwona, pokryta pęcherzami i łuszcząca się skóra. Katastrofa – i to bardzo bolesna. Maść i środki przeciwbólowe są niezbędne. Natychmiast.

Wendy postanowiła zabawić przyjaciółkę. Porządna dawka czystych plotek to zawsze najlepsze lekarstwo.

– To z trzeciej ręki... – zaczęła.

– Co? – Joan natychmiast zsunęła ciemne okulary i zerknęła znad nich na przyjaciółkę. – Co się stało?

– Nic się nie stało. To... to tylko, jak mówię, bardzo „ona powiedziała, że on powiedział”.

– Wendy – zganiała ją Joan śpiewnym głosem i poluzowała apaszkę od Hermesa.

– Słyszałam trochę o... – Wendy hachyliła się i wyszeptała: – ...tej Latynosce, z którą spotyka się Morgan Vance.

– Naprawdę? Od kogo?

– Meredith Beringer mówiła, że jej mąż powiedział, że zdawało mu się, iż widział Morgana z, jak to nazwał, „pikantną czerwoną papryczką”. Sama widzisz, to mało wiarygodne.

– Mało. A poza tym to byłoby zbyt pieprzne. Jak z jakiegoś filmu, nikt by w to nie uwierzył. W dodatku wszyscy by już o tym teraz mówili.

– Wiesz, osobom z naszego światka przytrafiło się mnóstwo takich sytuacji, w które nikt by nie uwierzył, gdyby to nie była prawda.

– Masz rację – zastanawiała się Joan. – Jak wtedy, kiedy wiesz czyj mąż przyłapał ją na zdradzie z czarnym gubernatorem.

– Albo kiedy wiesz kto ożenił się z byłą prostytutką – dodała Wendy.

– A jak wiesz kto został przyłapany w Pierre z wiesz kim? – pokkiwała głową Joan.

– Nie zapomnij o wiesz kim, włóczącym się po całej Europie z tą bardzo zameźną kobietą.

– No i jak wiesz czyj mąż ożenił się z nianią własnych dzieci – ciągnęła Joan.

Wendy zamarła.

– Joan, to mój mąż.

Joan zamarła. Racja. To mąż Wendy. Oj.

– Ach, Wendy, nie bądź głupia. Mówię o Cosgrove'ach z Chicago.

– Och – powiedziała Wendy cicho. – Nie znam ich. Twarz Joan była obolała i poraniona od splukania peelingu chlorem, ale uczucia Wendy, związane z opuszczeniem jej przez męża kilka lat temu, były źródłem silniejszego bólu.

– Wendy, poważnie, nie mówiłam o nim. – Wendy nie znosiła nawet, kiedy wspomniano przy niej imię byłego. – On nawet nie jest na tyle ważny, żeby być wiesz kim.

Wendy milczała. To takie przygnębiające! Nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłoby się tak stać – rozwiedziona, mieszkająca samotnie i zależna od przyjaciółek w kwestii życia towarzyskiego. Jakie to żalosne. A jej biedne dzieci musiały żyć ze świadomością, że ich śmierdzielowaty ojciec ożenił się z tą ladacznicą o imieniu Tracey. I rozmnaża się z nią! A ona wydaje jego pieniądze na kupowanie domów na Quogue Road! I wyjazdy na Bali!

– Chyba jesteś następna – zmieniła temat Wendy.

– Wendy, to cudowne, że przyszłaś postać ze mną w kolejce – Joan miała nadzieję ją pocieszyć. – Jesteś wspaniałą przyjaciółką.

Wendy udała, że się uśmiecha.

– Dzięki, Joan.

Wendy poczekała, aż Joan wykupi receptę. Świetna z niej przyjaciółka. I świetna mama. Więc pieprzyć Tracey. Joan odwróciła się do niej.

– Lunch u Daniela? Ja stawiam – zaproponowała.

– Zgoda.

RS

– Guffey! – rozgorączkowana Melanie zatrzęsła za sobą drzwi wejściowe. – Guffey?

Jej wierny sługa pojawił się znikąd.

– Tak, proszę pani?

– Och, Guffey, nie uwierzy pan. Jestem wniebowzięta. Proszę zgadnąć, co się stało.

– Nie mam pojęcia, proszę pani.

– Proszę zgadywać!

– Nie jestem... w stanie. Zdaje się, że coś dobrego...

– Najlepszego. – Melanie odchrząknęła dramatycznie, jakby przygotowywała swojego kamerdynera na przekazanie błogosławieństwa zesłanego przez samego Boga w błysku piorunów. – Moje zdjęcie jest w „WWD”! – Melanie podstawiła mu magazyn branżowy pod nos. – JA! W tańcu z Albertem Evansem!

Pan Guffey zdjął rękawiczki, które włożył do ścierania kurzu, i uważnie przyjrzał się zdjęciu.

– Wspaniale, proszę pani. Krok we właściwym kierunku. W górę.

– A to nie wszystko. Akurat dziś rano dostałam odręczny list od Meredith Beringer, w którym prosi mnie o wstąpienie do Komitetu

Zwalczania Zespołu Nadwrażliwości Jelita. Uwierzy pan? Jestem w jednym z najbardziej prestiżowych komitetów w mieście.

– Wszystko się układa po pani myśli.

– Prawda? – Melanie nie posiadała się z radości.

Jej imię będzie na zaproszeniu obok imion modniś i sław pojawiających się w najważniejszych gazetach. Najbardziej rozchwytywani dekoratorzy świata mają wolną rękę w udoskonaleniu jej apartamentu, najlepsze organizacje charytatywne dopraszają się o jej szmal, a dzięki specjalście od wizerunku wkrótce wedrze się na scenę i wszystkie chirurgicznie poprawione twarze o wystających kościach policzkowych będą musiały ją uznać. Ale odlot.

– No i potrzebuję pana rady. Idę dziś po południu na spotkanie do Olivii Weston. Młodsze towarzystwo. Łabędzice, jak je pan nazywa. Jakież rady?

– Może mógłbym pójść po coś dla panny Weston do Mason du Chocolat albo Neuhaus...

– Zgadzam się, powinnam jej coś zanieść, ale przypadkiem wiem, że Olivia Weston i jej anorektyczne koleżaneczki nawet by nie tknęły czekolady ze strachu, że kakao osiadzie na ich wymanikiurowanych paznokciach, a masło i cukier w ich kościstych tyłkach.

– Słusznie.

– A może *potpourri*?

– Zbyttnio w stylu lat osiemdziesiątych.

– Świeczki z Votivo?

– To dają ludzie z West Village.

– Cóż, jakieś pomysły?

– Kupię trochę złotych migdałów.

– Doskonale. – Melanie wygładziła spódnice. – A, hm... co do samego spotkania?

– Młodzi bogaci próżniacy są bardzo dumni z zaczątków kolekcji sztuki i wystroju wnętrza. Na ogół korzystają z usług konsultanta i nie do końca są pewni, czy kupują dobre rzeczy. Komplementy zawsze są na miejscu.

– To potrafię. Zupełnie tak samo jak ze starymi bogatymi próżniakami – uśmiechnęła się Melanie. – Dziękuję panu, Guff.

– Powodzenia, proszę pani.

RS

33

Olivia otworzyła drzwi wejściowe i choć na jej twarzy nie pojawiły się żadne emocje, była niezwykle zaskoczona, widząc na progu Melanie Korn.

– Cześć, jak się masz? Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę twoje mieszkanie. Koniecznie musisz mi je pokazać, szybko. Kto je robił? – Melanie wparadowała do słodko pachnącego wnętrza i rozejrzała się po przedpokoju. Chciała być radośnie pewna siebie.

– Ee, przyjaciel... – Olivia nie była pewna, co, u licha, robi tu Melanie.

– Bardzo oryginalnie. Och, widzę, że masz ten obraz Twombly'ego – kreda na czarnej tablicy! Jest fantastyczny! Chciałam kiedyś taki, ale Arthur stanowczo zaprotestował. Za bardzo przypomina mu szkołę i o tym, jakim okropnym był uczniem. Choć to przecież nie ma żadnego znaczenia – odniósł większy sukces niż wszyscy od góry do dołu prymusi, których kiedykolwiek spotkałam.

Przesunęła dłonią po biedermeierowskiej komodzie i pieśczołliwie dotknęła srebrnego noża do otwierania listów, muskając palcem ostre krawędzie. Olivia przyglądała się zaciekawiona, kiedy Melanie spojrzała na starannie ułożony stosik listów na srebrnej tacy.

– Jak widzę, też jesteś zaproszona na herbatkę do Joan Coddington. Konkurs szybkości w zasypianiu, ale pewnie musisz chodzić na takie rzeczy. Powiem Joan, żeby posadziła nas koło siebie, to nie zaudzimy się na śmierć.

Wreszcie, wykorzystawszy wszystkie zasoby fotograficznej pamięci, żeby zarejestrować wystrój holu (ściany w tonacji toffi, szalowa wykładzina w kolorze grzybów, stojak na parasole w kształcie puszki zupy Campbell's, sygnowany przez Andyego Warhola), odwróciła się do gospodyni. Olivia miała na sobie spodnie w odcieniu wielbłądziej sierści, bluzkę koloru kości słoniowej i kwiatowy naszyjnik Van Cleefa. Stała naprzeciw Melanie ubranej w krótką czarną spódnicę, marynarkę i sznur masywnych turmalinów, który kupiła na aukcji.

– Melanie, właśnie... spodziewam się lada moment młodzieżowego Komitetu do Walki ze Świnką i Odrą – odezwała się Olivia.

– Wiem! Właśnie dlatego tu jestem! Wiesz, ja chcę walczyć ze świnką i odrą! Powiedziałam mojemu kamerdynerowi, jasne, zwalczyliśmy je wszędzie, poza Kongo, lata temu, ale bał był tak wspańiały, że trzeba działać dalej. Jestem podekscytowana, że mogę uczestniczyć w tak fantastycznej gali. Postanowiłam przyjść trochę wcześniej, żebyśmy mogły pogadać. W dodatku mieszkam w tym samym budynku, więc mam blisko, nie tak jak inni. Naprawdę nie nawidzę, kiedy ludzie się spóźniają, wyjątkowo tego nie znoszę. Najważniejsze to szanować czas innych. Tak czy inaczej, ty i ja właściwie się nie znamy i pomyślałam sobie wczoraj wieczorem: dlaczego? Obie poświęciłyśmy się filantropii... Przecież żadne inne nazwiska nie pojawiają się tak często na zaproszeniach jak nasze, więc jesteśmy jak dwie krople wody. Pora, żebyśmy się zaprzyjaźniły.

Klasa i elegancja Olivii nigdy by jej nie pozwoliły pokazać, jak bardzo uraziło ją to oświadczenie, więc postanowiła je zignorować i dała mu zawisnąć w powietrzu, jakby było magicznym pyłem.

– Ale wydawało mi się, że jesteś w głównym, nie młodzieżowym Komitecie do Walki ze Świnką i Odrą.

– Nie, jestem w młodzieżowym.

– Ale... przecież on jest dla...

Melanie wpatrywała się w Olivie, czekając, aż ta skończy dukać.

– Tak?

– No, sądzę, że dla... tych, którzy odpowiadają za przyciąganie młodzieży.

– Och, wiem, że ludzie myślą, że jestem starsza, bo mój Arty jest po czterdziestce, ale wiekowo bliżej mi do ciebie niż do Cordelii Vance. I nie lubię siedzieć z tymi starymi piernikami. Są szalenie nudni. Chcę być z dziewczynami!

Na szczęście dla Olivii zadzwonił dzwonek.

– Cóż, to usiądź w salonie, a ja otworzę. Nalej sobie kawy lub herbaty.

– Świetnie.

Apartament miał niemal identyczny układ, jak ten należący do Kornów, choć przesunięto niektóre ściany. Melanie zastanawiała się, po co, do licha, niezamężnej Olivii potrzeba tyle przestrzeni. Naprawdę, pięć sypialni?

Melanie weszła do przestronnego, salonu i od razu poznała styl, wystrój bardzo modny wśród młodszych, stanowiący połączenie minimalistycznego wyposażenia westybulu hoteli Ian Schrager z tkaninami projektu Calvina Kleina. Meble grały tu oczywiście ważniejszą rolę, ale generalnie wyglądało to podobnie: stonowane kolory, krzesła Eames, sofy Dunbar, kryształowe wazony ze świeżymi kalamami i tak dalej. Plisowane jedwabne zasłony w kolorze szampa-

na, z białymi lamówkami, przystrajały okna wychodzące na północ, na Park Avenue i krzyżujące się z nią ulice. Dywan projektu Starcka – beż i kawa – przykrywał parkiet czekoladowej barwy. Kilka oprawionych w złote ramki rysunków węglem, przedstawiających odpoczywające w różnych pozach kobiety, znajdowało się nad szynfonia-rą z laki, a parę ciekawych statuetek z brązu stało na komodzie. Ale wzrok Melanie natychmiast przyciągnął wiszący nad kominkiem obraz Jaspera Johnsa, przedstawiający amerykańską flagę – jedyna eksplozja koloru w pokoju. Zawsze potrafiła wywęszyć rzeczy o dużej wartości.

– Dzień dobry, pani Korn – powiedziała Brooke Lutz, dziedziczka firmy produkującej artykuły gospodarstwa domowego (a dokładnie garnki i rondle), wchodząc do salonu w garniturze od Gucciego i pantoflach od Jimmy'ego Choo.

– Och, proszę, mów mi Melanie! Jestem w twoim wieku. Nie chcę się czuć jak starucha.

– Jasne, Melanie. Podobało ci się przyjęcie w ogrodzie botanicznym? Nie było tak dobre jak to zeszłoroczne. – Klapnęła na sofie.

– To dlatego że przewodniczącą była Fernanda Win-gate. Tej organizacji przydałoby się trochę świeżej krwi, jakichś zmian. Nudy na pudy!

– Czemu nie spróbujesz zostać przewodniczącą?

– Naprawdę potrafiłabym tchnąć w nią nieco życia.

– Powinnaś zadzwonić do Roytona Carlsona. To on wszystkim rządzi.

Zanim Melanie zdążyła odpowiedzieć, Olivia weszła w towarzystwie ciężarnej Charlotte von Peltz (wszyscy wiedzieli, że zmusiła swojego męża do dodania „von” kiedy za niego wychodziła). Po chwili pojawiły się Adriana Pierce (wzięła się znikąd, a jej pozycja społeczna szybko rosła – masa kasy) oraz Jenny Grossberg

(straszna brzydula, biedactwo – jej siostra była o wiele ładniejsza – ale przynajmniej na koncie ma więcej niż Rothschildowie). Zrobiły wielkie oczy na widok Melanie, ale nic nie powiedziały. Melanie gawędziła przez chwilę z Charlotte i Adriana, dowiedziała się o zbliżającej się przeprowadzce Adriana do Londynu („Angole są bardziej kulturalni. Poza tym Nowy Jork już podbiliśmy”) oraz o decyzji Charlotte, żeby wysłać córkę do Sacred Heart, a nie do Spence („Dziewczęta w szkole prowadzonej przez zakonnice prezentują inny poziom moralności... Tak, to prawda, że siostry Hilton tam uczęszczały, nam przede wszystkim zależy na tym, żeby Serena uczyła się z różnymi dziewczynkami, a nie tylko z córkami miliarderów”). Melanie zanotowała sobie w pamięci każdy dodatek, biżuterię, a nawet metki. Przyjrzała się również starannie Rosemary Peniston i Liii Meyer. Krowa i dżdżownica. Na miejscu Liii Melanie bałaby się, że Rosemary zje ją na obiad.

Pokojówka – w fartuszkach i czepeczkach – pojawiała się co jakiś czas, żeby dopełnić filiżanki i sprawdzić, czy kawa jest nadal gorąca. Na półmiskach leżało mnóstwo kanapek z odkrojoną skórką (bo, no naprawdę, kto by tam, jedząc kanapkę, chciał sobie zepsuć doznania smakowe, natykając się na coś chrupiącego?), ciasteczka firmy Greenberg i herbatniczki Payarda, ale żadna z pań niczego nie tknęła.

Wreszcie pojawiła się Jane Roberts, na którą, jak uznała Melanie, wszystkie czekały. Jane wpełzała się do wszystkich komitetów dzięki potędze mamony. Była najgłupsza w Chapin i żeby zrekomensować sobie odrzucenie przez odlotowe dziewczyny, każdy weekend poświęcała na hodowlę i wystawianie swoich terierów rasy airedale. Kiedy trochę podrosła i zorientowała się, że pieniądze mają o wiele większe znaczenie niż randka z najprzystojniejszym studentem, zaczęła nimi szastać i wynajęła specjalistę od wizerunku,

żeby fotografował jej wystawne przyjęcia. I zaczęła przewodzić rojowi.

– Charlotte, muszę z tobą porozmawiać – powiedziała nagłaco. Skinęła Melanie i Adrianie, ale całą uwagę skoncentrowała na Charlotte.

– Dobrze... – zgodziła się zakłopotana Charlotte, świadoma nieuprzejmości Jane.

– To zajmie tylko chwilę. To bardzo ważne.

Melanie patrzyła, jak Jane prowadzi Charlotte w kąt pokoju. Obie były mniej więcej w szóstym miesiącu ciąży, ale przyglądając się im z boku, trzeba było wyteńczyć wzrok, by to stwierdzić. Melanie odchyliła się na sofie, zaciekawiona, co jest takie ważne.

– Słuchaj. Właśnie wróciłam ze Schweitzer Linens i byłam w kompletnym szoku, bo okazało się, że na pościel z monogramem do łóżeczka dziecinnego trzeba czekać szesnaście tygodni! Nie mogłam w to uwierzyć. Tyle mają zamówień. Musisz więc biec do słowni zaraz, jak stąd wyjdiesz, i wpisać się na listę. Straszny bałagan. Koniecznie idź tam, zanim będzie za późno.

– Jane, mój Boże! Dzięki! Uratowałaś mnie!

– Serio, jeśli nie chcesz tego przegapić. A już niedużo zostało.

Melanie przewróciła oczami. Straszne idiotki. Te dziewczuchy mają zdecydowanie za dużo wolnego czasu. Ale to się zmieni, kiedy za kilka miesięcy pojawią się w ich życiu wrzeszczące brzdące. Melanie wiedziała, że takie kobiety pragną kolejnej nagrody, laleczki, która urozmaiciłaby trochę ich życie, bo ich mężowie to koszmarni nudziarze.

Rozmowy toczyły się kolejne dziesięć minut i wypito więcej herbaty. Melanie, słuchając strzępów tej paplaniny, zdała sobie sprawę, że jest równie znudzona jak w starszym towarzystwie. Zawiodła się. No, wyszły z łona matki trochę później – i co z tego? To nadal

sztywniary, gładzące o tych samych nieistotnych bzdurach. Ale ta gromadka irytowała ją jeszcze bardziej swoją fałszywą powagą. Jane zdominowała rozmowę, rozwodząc się nad robionym przez siebie albumem na temat bibliotek w ich dzielnicy, Upper East Side. W zasadzie każda dziewczyna znajdująca się w tym salonie ma w nim wystąpić. Kiedy Charlotte wyszła, wszystkie szeptały o tym, że jej córki nie przyjęto do Spence i dlatego wybiera się do Sacred Heart. W dodatku kwalifikacje umysłowe małej Sereny wywołały konsternację (biedne maleństwo próbowało podobno wcisnąć kwadratowy klocek do trójkątnej dziury). Brooke opowiadała o tym, jak ciężko pracuje, podczas gdy wszyscy wiedzieli, że chociaż ma „gabinet” w rodzinnej firmie, nie robi nic. Rosemary mówiła, że jej rasowa pudliczka ma małe, a ona nie wie, co z nimi zrobić. Lila jęczała, że w Nowym Jorku nie ma żadnych kawalerów. Adriana narzekała, że nie może znaleźć kostiumu na urządzone przez Jane przyjęcie w stylu Markizy de Pompadour. Były zwyczajowe żarciki, lecz każdą uszczypliwą uwagę formułowano z rozwagą, a po każdym przytyku następowało: „Tylko żartowałam”. Jediną osobą, która tak naprawdę nie brała udziału w rozmowie, jak zauważyła Melanie, była Olivia. Spryčiuła. To pewnie dlatego nikt nie mówi o niej źle.

– Dobrze, to kiedy przejdziemy do rzeczy? – zapytała wreszcie Melanie. Musi wyjść stąd jak najszybciej albo zapadnie w śpiączkę.

– Co masz na myśli? – Rosemary była zaskoczona.

– No, to jest spotkanie komitetu. Kiedy porozmawiamy o gali? Kobiety spojrzały po sobie. Lila uśmiechnęła się chytrze.

– Och, a o czym tu rozmawiać? – zdziwiła się Olivia.

– A nie organizujemy niczego?

– Właściwie to nie – odpowiedziała Adriana.

– To po co jest spotkanie? Spojrzały na siebie.

– No, żeby się zobaczyć, pogadać – poinformowała ją Charlotte.

– To wszystko? – zdziwiła się Melanie.

– Tak – powiedziały niemal jednym głosem. Dziwaczne, pomyślała Melanie. Szkoda. Wyglądało na

to, że ta grupa mogłaby wykorzystać nie tylko swoje portfele, ale też głowy i zrobić jakieś pomysłowe imprezy charytatywne. Coś radykalnego jak dla nich, na przykład odwiedziny u tych chorych albo biednych dzieci, na które zbierały pieniądze.

– No cóż, muszę już iść. – Melanie podniosła się. – Cudownie było was widzieć.

Olivia wyszła z nią na korytarz.

– Mogę skorzystać z twojej łazienki?

– Oczywiście. – Olivia w duchu zastanawiała się, czemu nie może skorzystać z własnej. – Musisz przejść przez mój gabinet – wskazała drzwi w głębi korytarza.

– Dzięki i wracaj do dziewczyn. Trafię do wyjścia. – Poszła we wskazanym kierunku. – Och, i koniecznie spotkajmy się wkrótce na lunchu.

Melanie weszła do gabinetu Olivii i rozejrzała się. Pokój o ścianach w kolorze masła orzechowego był zdecydowanie wymarzonym miejscem dla pisarza – rzadkie wydania oprawione w skórę stały rzędami na półkach, kolekcja zabytkowych globusów (jak gdyby do celów badawczych) na olbrzymiej komodzie, a w rogu odchylany fotel z podnóżkiem. Na dużym biurku mieściły się laptop, lampa od Tiffany'ego, srebrny kubek ze stalówkami i kalendarz. Melanie podeszła do biurka i dostrzegła jaskrawy kawałek celofanu wystający z lekko uchylonej górnej szuflady. Hmm, a to co? Chwyliła cynową rączkę i pociągnęła. No, no. Nie perco-set, nie demerol, nie valium. Jej lekarstwami były pianki Ding Dongs, orzeszki w cze-

koladzie Reese's Pieces i biszkoptowe ciasteczka z kremem Twinkies. Uśmiechnięta i zaskoczona Melanie przesunęła dłońmi po mo-
rzu produktów firmy Entenmann's – oblane czekoladą pączki oraz
na wpół zjedzone ciasteczka koło rozdłubanego ciasta biszkoptowe-
go i cynamonowo-orzechowej rolady. Melanie mało oczy nie wyszły
na wierzch na widok tej szuflady pełnej kalorii. A laska jest chuda
jak patyk. Ciekawe, bardzo ciekawe. Bulimia? Najwyraźniej. Więc to
cała tajemnica Olivii Weston. Kto by w to uwierzył? Na zewnątrz
taka pełna wdzięku i idealna, ale gdyby zrobić jej sekcję, to ze środ-
ka wysypałyby się M & M'y i Ho-Hosy. Wytworna i czczona Olivia
w kremowo-brązowych ciuszkach okazała się uzależniona od czeko-
ladowych batoników. A ją nazywają białym śmieciem?

RS

Eddie i Tom, portierzy w budynku przy Park Avenue 741, stali obok siebie i zerkali w prawo i w lewo, jakby śledzili piłkę tenisową na turnieju US Open. Ale nie takie krągłości tak uważnie obserwowali. Chodziło o piersi. Przyglądanie się eleganckim kobietom z wysadzanej drzewami alei, balansującym na wysokich pantoflach o szpiczastych noskach, otulonym w miękkie tkaniny i przystrojonym w kosztowności, o zdobyciu których nie mogliby marzyć, nawet gdyby się złożyli, było nigdy nie przestającym działać środkiem odurzającym. Spacerowym krokiem przeszła koło nich licealistka z papierosem i w plisowanej spódniczce podwiniętej w talii, żeby skrócić ten okropny, narzucony przez szkołę mundurek i odsłonić strzeliste uda.

– Spójrz na tę nimfetkę – Tom ślinił się niemal. – Mógłbym nauczyć tę małą kilku rzeczy.

– Chodź do tatusia – wymamrotał Eddie.

Z budynku wolnym krokiem wyszła Olivia Weston – każdy jedwabisty włos pod kontrolą, krótka, ściągana w talii kurteczka od Prady i rozszerzana spódnica od Marca Jacobsa.

– Dzień dobry, panno Weston!

– Dzień dobry. – Nigdy nie nauczyła się ich imion.

Po jej wyjściu nadal przyglądali się dziewczynom, potem pomogli wysiąść z samochodu szurniętej pani Cockpurse. Drew Vance w

tweedowej marynarce wparadował do środka. Po prostu codzienny ruch w najwytworniejszym apartamentowcu w mieście.

– Niech mnie – Eddie pożerał wzrokiem młodą żonę z platynowymi włosami *a la* Donatella i tuningowanym biustem. Nie odrywał od niej pożądanego spojrzenia, dopóki nie zniknęła za rogiem.

– Dzień dobry, mademoiselle. – Tom wyprężył się z szacunkiem.

Mały piesek w ubranku Burberry wszedł do westybulu. Suczka, mademoiselle Oeuf była wyłączną dziedziczką ogromnej fortuny – przebierała łapkami po marmurowej posadzce, prowadzona do windy przez opiekunkę.

– Ta suka jest taka nieuprzejma – powiedział Eddie.

– Która? Kundel czy jej treserka lesba?

Śmiali się rubasznie, dopóki nie podszedł do nich dystyngowany czarnoskóry dżentelmen.

– Wejście dla dostawców z tyłu – poinformował go Tom, zanim mężczyzna zdążył powiedzieć choć słowo.

– Słucham?

– Tuż za rogiem. Zobaczysz drzwi – dodał Eddie.

– Umówiłem się z panią Korn. Nie jestem dostawcą.

– Och, ee... chwila. Nazwisko? – Gdy tylko mężczyzna przedstawił się, Eddie podniósł stanowczo rękę. – Proszę tu poczekać – nakazał i wszedł do środka, aby skontaktować się z Melanie przez domofon. Wrócił, przekazał nieme „ojej” pełnym skruchy, głupkowskim uśmiechem, a potem powiedział: – Proszę na górę.

Melanie poprawiała poduszki, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi.

– JUANITA! Możesz otworzyć drzwi? JUANITAAA!

Nie usłyszała własnego głosu w hałasie odkurzacza. Melanie przewróciła oczami i sama podeszła do drzwi. Co za pech, że akurat dziś Guffey ma wychodne. Wpadła w panikę, że będzie musiała udzielić wywiadu dla «Observera» bez niego, ale Arthur ją uspokoił. Przypomniał jej, że Guffey to w końcu kamerdyner, a nie Emily Post czy Albert Einstein. On sam wróci do odkurzania i nalewania, a ona potrafi się zająć resztą. Melanie nie była tego taka pewna, ale nie miała wyjścia.

– Cześć, witam! – błysnęła świeżo wybielonymi zębami.

– Dzień dobry. Jestem Billy Crispin z „New York Observer”.

– Miło cię poznać, wejdź. Przygotowałam dla ciebie lunch. Od Feasts and Fêtes. Firma Daniela Bouluda...

– Wspaniale. – Rozejrzył się z ciekawością.

– Ale może najpierw oprowadzę cię po mieszkaniu? Będzie we wszystkich magazynach.

– Jestem przekonany, że będzie fotografowane tak często jak siostry Boardman.

Zaśmiała się, w nadziei, że ma rację. Co za komplement! Poprowadziła go korytarzem do głównego salonu, urządzonego przez Ann LeConey, ulubienicę Diandry. Była taka dumna z kapitalnego remontu, który zajął jej niecałe dwa miesiące; wprawdzie zapłaciła trzy razy tyle, żeby wszystko przyspieszyć, ale od czego są pieniądze, jeżeli nie od wydawania? Gdy armie dekoratorów urządzały wnętrza, ona biegała po całym mieście i nieustannie podnosiła swoją tabliczkę we wszystkich domach aukcyjnych, gromadząc nową kolekcję dzieł sztuki, na których widok wszyscy będą się pieniść z zawiści. Z dumą oprowadzała swojego gościa, jak hostessy w teleturynieju *Dobra cena* prowadzą zawodników na miejsce wielkiego finału. Minęli mahoniową balustradę olbrzymich schodów i weszli do ogromnego salonu skąpanego w jedwabiach i atłasach.

– Oczywiście mogłeś przeczytać, że kupiliśmy to krzesło na aukcji rzeczy należących do JFK. To taka tragedia – mówię o jego synu. A żona! Caroline Bessette!

– Carolyn.

– Tak. Coś okropnego. Ludzie, którzy mają taką klasę, prawdziwą klasę, są jak gatunek na wymarciu. Zostało już niewiele kobiet obdarzonych smakiem. – Nieświadomie zaczęła je liczyć na palcach.

– Pani oczywiście zalicza siebie do tego wspaniałego panteonu – drażnił się Crispin.

– Och, ty! – pochlebiło jej to, co usłyszała, ale nie była pewna, jak zareagować. Crispin wpatrywał się w nią, oczekując odpowiedzi.

– Cóż, każdy aspiruje do tego, by być najlepszym.

– Ma pani absolutną rację – Crispin był rozbawiony.

– I jak mniemam, Olivia Weston przejmie po niej pałeczkę. Czyż ona nie mieszka w tym budynku?

– Tak. Jest taka słodziutka. Byłam u niej któregoś dnia.

– Och, przyjaźnicie się?

– Nie, hm... nie.

– Ale znają się panie dobrze?

– Bardzo ją lubię.

– Wydaje się pani jej zupełnym przeciwieństwem.

– Cóż, sądzę...

– Przypuszczam, że ludzie są do siebie bardziej podobni, niż nam się wydaje – zasugerował Crispin.

– Tak, to prawda! – przytaknęła Melanie skwapliwie.

Crispin zmrużył oczy i nabazgrał coś w notatniku. Melanie postanowiła poprowadzić go dalej, zwracając uwagę na pochodzenie różnych ozdób (ten barek na kółkach należał do Pameli Harriman. A ta popielniczka do Babe Pa-ley!). Skierowała go do biblioteki, wy-

pełnionej oprawionymi w skórę grzbietami pierwszych edycji – marzenia każdego bibliofila.

– A to papierośnica Slima Keitha. – Uśmiechnięta podniosła przedmiot, z nadzieją, że go pochwalą, zupełnie jakby mówiła: „Kochaj mnie, tatusiu!”.

– Pali pani?

– Nie. Cisza.

– Hmm, chodźmy do mojego gabinetu! Poprowadziła go na górę koło olbrzymiego płótna w pozłacanych ramach.

– To Claude Monet. Taki jak ten wisi w Met, ale nasz jest lepszy, tak powiedzieli specjaliści.

– Znakomicie. Jacy specjaliści?

– Hmm... – spieszyła się Melanie. – Będę musiała to sprawdzić i do ciebie zadzwonić.

Minęli dwie śliczne (ale nie aż tak śliczne) dwudziestolatki trzymające rozmaite notatniki i zaproszenia.

– Och, Billy, to jest Susie, moja asystentka. Susie kiwnęła grzecznie głową.

– A to jest Emma, asystentka Susie.

Schody wychodziły na kolejny wielki hol z kinkietami w kształcie orłów, które kupili z Arthurem na aukcji za cztery tysiące dolarów. Zaprezentowała je Bilh/emu, któremu nasunęło się skojarzenie, że wskazuje je w taki sam sposób, jak stewardesa wyjścia awaryjne.

Zatrzymała się przy dwu maluteńkich stolikach ozdobionych mozaiką.

– Te były w wiejskiej posiadłości Rothschildów w Anglii. Nie tych o samobójczych zapędach, oczywiście, inna gałąź rodziny. Pochodzenie jest dla nas bardzo ważne.

– Rodowód to podstawa.

– To się rozumie samo przez się. Mamy podobny w naszym domu w Ham... – ugryzła się w język, dzięki Bogu – ...nad oceanem. Niemądrze planowaliśmy, że zamieszkamy tam na stałe. No bo tysiąc osiemset pięćdziesiąt metrów kwadratowych, szesnaście hektarów – w sam raz! Ale zrezygnowaliśmy z tego.

– Rozumiem.

– Kiedyś sądziłam, że lubię wieś, ale szybko zrozumiałam, że lubię tylko wiejskie rezydencje.

Wrócili na dół, zatrzymując się na chwilę przy posągu samotnej Degasowskiej tancerki w starej żółtej spódnicy. Melanie prowadziła go do jadalni, kiedy Billy się zatrzymał.

– A te drzwi? – zapytał, sięgając do filigranowej, stylowej gałki.

– Och, to...

Zanim zdążyła odpowiedzieć, przekręcił gałkę i otworzył drzwi.

– NIEEEEEEE! – wrzasnęła Melanie, jakby rzucił się na nią dzierzący maczetę szaleniec.

Billy'ego przestraszył jej przenikliwy krzyk. Ale stało się: jego oczom ukazał się prywatny gabinet Arthura, łącznie z czarnymi skórzanymi meblami od Jennifer Convertibles, jeszcze z czasów, kiedy mieszkał za rzeką. Pamiątki związane z drużyną Yankees zapełniały ściany, a piłki i bluzy sportowe z autografami znajdowały się w podświetlonych szklanych gablotkach. Melanie, którą na moment sparaliżował szok, że przedstawiciel prasy widzi te sportowe śmieci jej męża, złapała oddech i prędko zamknęła drzwi.

– Och, te rupiecie to łupy Arthura. Jego kryjówka, wiesz.

Starając się zatrzeć to wizualne *faux pas*, jakim była jaskinia męża, szybko poprowadziła gościa do oszałamiającego pokoju z rokokowym paneau i biurkiem w stylu Jerzego V.

– *Voilà* Oto mój gabinet.

Billy rozejrzał się po pomieszczeniu. Bez wątpienia jest pod wrażeniem, pomyślała Melanie.

– A czym pani się tak właściwie zajmuje, pani Korn?

– Jestem filantropką – odpowiedziała takim tonem, jakby mówiła: „Przynoszę wodę cierpiącym duszom w hospicjum”. – Jestem całkowicie oddana pracy na rzecz ludzi, którzy mają mniej szczęścia niż Arty i ja.

– Jak się ma pani praca do tego, co robią, powiedzmy, Joan Coddington albo Blaine Trump?

– Cóż, Joan Coddington pracuje z budki telefonicznej w Colony Club. Nie jest tak zorganizowana jak ja. – Melanie machnęła ręką na gabinet.

– Czy istnieje jakaś... rywalizacja pomiędzy paniami, które również zajmują się filantropią?

– Nie, nie, nie... To znaczy, nie z mojej strony. Większość tych bywalczyń salonów tylko gada i właściwie nic nie robi. Pozwala wykorzystywać rzymskie cyfry po nazwiskach swoich mężów.

– Więc uważa się pani za kogoś innego.

Innego od kogo? Chodzi mi o to, że ja nie chcę tak po prostu szastać pieniędzmi, żeby dostawać dobre stoliki na balach charytatywnych. No, będę uczciwa – to też, ale prawdę powiedziawszy, dla mnie jest ważne, żeby dzięki mojej działalności ludziom żyło się lepiej. Bo jeżeli się tego nie robi, to jaki byłby jej sens?

– Więc do kogo by się pani porównała?

– Cóż, podziwiam Brooke Astor. Wszystko, co zrobiła, jest tak niesamowite.

– Więc uważa się pani za następną Brooke Astor?

– W kwestii ambicji charytatywnych.

– Więc tak?

– Jeżeli tak to postrzegać, to owszem. Jestem następną Bro-
oke Astor.

Gdy kąciki ust Billy'ego wolno unosiły się w zuchwałym uśmie-
chu, mały magnetofon w górnej kieszeni marynarki pieczołowicie
nawijał cienką brązową taśmę, rejestrując każde słowo. Zamieniał
wypowiedane przez nią ostrym, pewnym siebie głosem kąśliwe
uwagi na fale dźwiękowe, gotowe do odtworzenia i spisania w re-
dakcji «Observera» na East Sixty-fourth Street, żeby wszyscy mogli
się nimi delektować. A Crispin przeczuwał, że to materiał na głów-
ny artykuł numeru.

RS

Jerome de Stingol spędził bardzo pracowicie przedpołudnie, bo przez kilka godzin – godzin! – ponownie ustawiał kolekcję skarbonek Batesów w ich nowym apartamencie obok Carnegie Hall, z fantastycznym widokiem na Jackie Onassis Reservoir. Kiedy wreszcie skończył, bardzo się ochłodziło i zaczął marznąć w lekkiej kurtce marki Barbour. Ponieważ do Bergdorfa miał kawał drogi, o butik Paula Smitha nie wspominając, zmuszony był skręcić* i pchnąć niebieskie drzwi sklepu J. McLaughlin. Niemal się zachłysnął, ponieważ poczuł mdłości na widok czerwieni w pastelowym odcieniu o nazwie Nantucket, haftowanej w wieloryby, i nawet położył uspokajająco dłoń na gardle, lecz w pobliżu nie było żadnej z jego przyjaciółek, która by się uśmiechnęła na widok tego teatralnego gestu sugerującego natychmiastową potrzebę zażycia leku przeciw chorobie morskiej.

– Przepraszam, szaliki?! – zawołał do szczupłej dziewczyny w spodniach z zaszewkami, która czytała *Projektowanie torebek dla każdego*.

Phi. Teraz każdy uważa, że może być następną Kate Spade. Pewnie ma na imię Penelope – pomyślał.

– Tu na tej półce – wskazała ręką, na moment odrywając się od marzeń o torebkowym imperium, by poprowadzić nienagannie ubranego de Stingola do kaszmirów.

Wybrał gładki szalik w kolorze żurawiny i obejrzał odcień w sklepowym oświetleniu, a następnie przy oknie.

– Nie ma potrzeby pakować – powiedział.

Wyłonił się spowity w nowy nabytek, chroniący jego delikatne gardło przed zimnem. Kiedy w drodze na lunch z dziewczętami mijął perfekcyjnie umyte okna Carnegie Hall, zerknął na swoje sztywne odbicie w błyszczącej szybie kawiarni Island. Dostrzegł, że Melanie Korn wstaje od stolika i kieruje się do wyjścia. W ciągu dnia nie powinna nosić tyle biżuterii.

Jerome zasuwał na piechotę w mokasynach firmy Stubbs & Wootton prawie dwadzieścia przecznic, zanim wpadł do RSVP, gdzie Olivia Weston i Brooke Lutz czekały na niego przy uroczym stoliku pod oknem wychodzącym na Lexington Avenue. A co ważniejsze, z tego miejsca widać było wszystkich, którzy po drugiej stronie ulicy wchodzili na lunch do Swifty'ego – Dominick, Mimi, Pat, Mario – i dziewczęta tak się cieszyły z tej boskiej zabawy przyglądania się ludziom, że prawie nie zauważyły dziesięciominutowego spóźnienia oczekiwanego przyjaciela.

– Och, jestem zawstydzony, że kazałem wam na siebie tyle czekać, urocze gołąbki!

– Geróme – powiedziała Brooke z idealnym francuskim akcentem. – Nie martw się, kochany. Rozkosznie się bawiłyśmy, szpiegując.

Uścisnął Brooke, a potem jej delikatną towarzyszkę, pannę Weston.

– Liv, kochana – ucałował podsuniętą bladą dłoń – jak się miewasz? Uch, zgadnijcie, kogo przed chwilą widziałem?

Jerome usiadł, gotowy do ploteczek. Kelner nietaktownie zbliżył się, aby przyjąć zamówienia, co zirytowało siedzących.

– Woda mineralna naturalnie gazowana i gazpacho – powiedział Jerome, nieomal odganiając młodego mężczyznę.

Dziewczęta wzięły sałatki i Jerome zaczął:

– Twoją sąsiadkę, panią Korn. Ależ bezguście. Ale mam wieści godne Pentagonu: słyszałem, że Billy Crispin pisze o niej dla «Observera».

– Nie! On ma taki złośliwy język!

– Nie wyraziłam chęci na rozmowę z nim. Okropnie niedyskretny.

– Oczywiście, to miasto jest pełne niedyskrecji. Jako dekorator wiem o wszystkich – mam na myśli instalacje w Greenwich, gdzie mąż posuwał niańkę! I robiłem *maison* w Sagaponack, musiałem zmierzyć teren pod kamienny mur i natknąłem się na panią domu całującą się z chłopakiem sprzątającym basen. No, nic mnie już nie zaskoczy!

– Wulgarne – skrzywiła się Olivia.

– Cóż, nie mogę się już doczekać tego artykułu. – Brooke uśmiechnęła się szeroko. – Muszę powiedzieć ma-muni, żeby go nie przegapiła. Jest dosłownie prześladowana przez Melanie! Ona tak bardzo chce się zaprzyjaźnić z moimi rodzicami, że to aż przerażające.

– To moja sąsiadka – dodała Olivia, upijając łyczek wody. – Ona i jej mąż mieszkają tuż nade mną.

– Biedactwo – zaśmiał się Jerome. Spojrzał na Brooke, która wyglądała prześlicznie w doskonałym kostiumie z futrzanym kołnierzem – idealne trzydzieści dwa. – Wyglądasz *ravissante*, moja droga Brooke. Drobniutka jak zwykle.

– Cóż, to dobra strona tych nudności, które miałam przez całą ciążę. Wszyscy mi okropnie współczuli, kiedy wybiegłam z samochodu zwymiotować do kosza na śmieci na Madison Avenue, ale przynajmniej cały czas byłam chuda!

– Miałaś cesarkę, prawda? – zapytał Jerome. – Czy rekonwalescencja po tym trwa dłużej?

– Podobno, ale co z tego? Z góry umówiłam się na cesarkę. Zawsze wiedziałam, że to jedyna opcja. Dostałam demerol, więc goiło się bezboleśnie, i wierz mi, mój mąż jest mi za to wdzięczny!

– Cóż – Jerome ściszył głos – wagina rozmiaru Midtown Tunnel to ostatnie, czego ci potrzeba.

Dziewczęta zarumieniły się i zachichotały.

– Prawda. W dodatku dzieci po cesaree są zawsze o wiele ładniejsze – oznajmiła Brooke, zupełnie jakby naturalnie urodzone dzieci były odrażającymi dziwolągami o stożkowatych głowach. – Jedyne, co ma sens. Ten Cezar to wiedział, co robił.

– I bardzo dobrze! Wyglądasz po prostu fantastycznie – powiedział Jerome z dumą. – Biedna Amy Freston, nie da się ukryć, że jej to naprawdę przybyło kilogramów.

– Wiem. – Olivia spuściła wzrok.

– Wszyscy się spodziewali, że urodzi co najmniej sied-mioraczki, a tu wyskoczyło tylko jedno odrażające stworzenie! Wyglądała, jakby zjadła całą Kanadę. – Jerome był zde gustowany.

– To takie przykre – powiedziała Brooke.

Trio uczciło chwilą zadumy los Amy, zupełnie jakby się dowiedziało, że zdiagnozowano u niej stwardnienie rozsiane.

– Jak ona nazwała swojego syna? – zapytał Jerome.

– MacAllister. Ale wołają na niego Ster.

– Tak czy inaczej, Brooke, chwała Bogu, że nie ważysz tyle co ona. Nikt by nie powiedział, że dopiero co urodziłaś potomka.

– Uch. Ten potomek doprowadza mnie do szału. Dziękuję niebiosom za moje islandzkie nianie. Słuchajcie, teraz tylko Islandia. Nigdy bym nie dopuściła jakiejś głupiej wyspiarki do mojego małego Carringtona. Mówię wam, te dziewczyny to prawdziwe wybawienie. Nie wiem, co bym bez nich zrobiła. To dziecko płacze i płacze.

– Cóż, to normalne – stwierdził Jerome. – To przecież maleństwo.

– Wiem, wiem – zaśmiała się Brooke. – Tylko to denerwujące, bo kiedy Montague wraca do domu, nic, tylko dziecko, zupełnie jakbym była niewidzialna.

– I dlatego ja nie chcę mieć dzieci – powiedziała Olivia rzeczowo. – Nie nadaję się do tego. A poza tym nie przepadam za nimi.

– Albo za bardzo kochają nianię – ciągnęła Brooke. – No bo czasem to muszę wyrywać Carringtona z ramion Gròotie.

– Cóż, może już jest kobieciarzem. Z pewnością nie wziął tego powujku Jeromie! – zawołał dekorator.

– Oj, bo mnie brzuch rozboli! – zachwyciła się Brooke.

– Ja bym wolał, żeby mną opiekował się Ashton Kutchner.

– Och, Jerome – kwiczała Brooke, która nigdy w życiu tak się nie śmiała. – Jesteś taki zabawny!

Cordelia zakładała kolczyki, gdy poirytowany Morgan włożył spinki w dziurki koszuli frakowej i zerknął na zegarek.

– Nie mogę uwierzyć, że nas w to wrobiłaś – pokręcił głową.

– Kochanie – broniła się żona skruszonym tonem. – A co miałam zrobić? Melanie była bardzo natarczywa. Zatrzymywała mnie w windzie ze sto razy, a ja wykorzystałam już każdą możliwą wymówkę. Co mogę zrobić, kiedy nagrywa się na sekretarce i podaje siedem dat do wyboru? Nie mogę jej przecież powiedzieć, że te wszystkie terminy mamy zarezerwowane.

– Są sposoby, Cordelio. Można odwoływać w ostatniej chwili. Wtedy zrozumie.

– Ona nie rozumie aluzji, Morgan. Do niej nie dociera nic z tego, co ludzie o niej myślą.

– Po prostu nie wyobrażam sobie, jak wytrzymamy tam cały wieczór. Arthur jest w porządku, jak sądzę, to nieszkodliwy facet.

– Tam prawdopodobnie będzie mnóstwo ludzi, których znamy, więc skryjemy się gdzieś w kącie. Przypuszczam, że zaproszą jakieś piętnaście, może dwadzieścia par.

Kilka chwil później, po zjechaniu do westybulu, żeby Luca i Fred z nocnej zmiany mogli odesłać ich windą na piętro Kornów, Vance'owie weszli do ręcznie malowanego holu. Zza drzwi nie dobiegał jednak znajomy gwar, jaki zwykle panował na nowojorskich pro-

szonych kolacjach – ani pełnego ekscytacji szumu, ani muzyki, ani koktajlowych pogawędek... po prostu cisza.

– Jesteśmy za wcześnie? – zapytał Morgan.

– Nie sędzę. – Cordelia nacisnęła dzwonek.

Ubrany w strój wieczorowy kelner otworzył drzwi i wpuścił ich do pustego przedpokoju. Zaraz pojawiła się Melanie, uspokajając ich, że nie pomylili wieczorów.

– Witajcie, sąsiedzi! – nachyliła się, żeby pocałować Cordelię.

Cord nie przepadała za witaniem się pocałunkiem.

– Jesteśmy za wcześnie? – zapytał Morgan.

– Nie, nie, nie, nie, nie! Jesteśmy tylko my oraz Paul i Miriam Lutzowie. Są w salonie z Arthurem. To będzie miła, kameralna kolacja dla naszej szóstki! Pomyślałam, że tak będzie znacznie przyjemniej, wicie, co wieczór chodzimy na te szalone, tłumne przyjęcia. Po prostu odpoczniemy sobie. Lubimy takie bardzo zwyczajne i proste życie.

Owa prostota wymagała zatrudnienia trzech mistrzów kucharskich z firmy Tentations, jednego *sommelierra* i trzech służących, co w efekcie dawało jednego kelnera na dwójkę gości. Pan Guffey właściwie lubił takie przyjęcia, kiedy to czuł się jak dyrygent kierujący wykonaniem symfonii światowej klasy. Przy jego magicznej zdolności do pozostawania niewidocznym i mimo to wszechobecnym, dopilnował perfekcyjnie każdego szczegółu.

Lutzowie wyraźnie odetchnęli z ulgą na widok Vance'ów i przebiegli salon, żeby powitać znajome sobie osoby. Przynajmniej nie byli sami.

– A zatem jesteśmy wszyscy – powiedział Arthur. *Sommelier* nalał wyśmienitego różowego szampana.

– To Crystalle Rose, rocznik 1972 – Melanie dopilnowała, żeby to zauważono. Chciała, by jej goście mieli świadomość, iż dostają to,

co najlepsze, ale w rzeczywistości zadziałało to na jej niekorzyść. W świecie, w którym takt stanowił zaletę, Melanie była konsekwentnym grzesznikiem, a jej wypowiedzi – odbierane jako przechwałki – tylko skonsternowały gości. Pan Guffey rzucił jej spojrzenie i natychmiast zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Koniec z wtrącaniem nazw! To jeden z grzechów głównych. Popełniła go z nerwów.

– Gdzie jest toaleta? – spytała Cordelia, delikatnie odstawiając kieliszek.

– Och, pójdę z tobą! – powiedziała Miriam.

Służący poprowadził je korytarzem do pozłacanej damskiej toalety. Miriam spojrzała na Cordelię, która nie należała do specjalnie serdecznych osób, ale nigdy wcześniej nie była tak szczęśliwa ze spotkania z nią.

– Wiesz, jak to jest, kiedy, dajmy na to, przebywasz w Rzymie – zaczęła Miriam – i wpadasz na parę, którą ledwo znasz z Nowego Jorku, ale witacie się i może nawet idziecie na drinka, chociaż nigdy nie zrobilibyście tego w domu?

Cordelia zastanowiła się.

– Tak, tak, rozumiem, o co ci chodzi.

– Cóż, wiem, że nie jesteśmy zaprzyjaźnieni, ale mamy miliardy wspólnych znajomych i kiedy zobaczyliśmy was dziś wieczorem, to było zupełnie tak, jakbyście ty i Morgan byli naszymi krajanami, na których wpadliśmy na obczyźnie. Jak ja się cieszę, że cię widzę!

Dwie kobiety uśmiechnęły się do siebie i uściśniły sobie dłonie.

– Wiesz – ciągnęła Miriam – ta Melanie ma ogromną chętkę na to, żeby Paul zarekomendował ją do zarządu Met. Po prostu umiera, żeby zostać Kimś. Powiedziałam: „Cholera, nie idziemy do nich”, ale zadzwoniła i zostawiła nam na sekretarce jedenaście dat! Co mieliśmy zrobić?

Cordelia uśmiechnęła się. Zrobiło jej się żal sąsiadki: wszyscy jej szczerze nienawidzili. A ona nie jest aż tak zła. Może trochę brakuje jej obycia.

– Jestem pewna, że będzie świetnie – Cordelia starała się spojrzeć na sytuację pozytywnie. – Spróbujmy się dobrze bawić – zasugerowała, kiedy szły do jadalni.

Zebrali się przy stole, a Melanie wzięła na siebie prowadzenie konwersacji.

– A zatem – powiedziała, kiedy wszyscy podnieśli posrebrzane łyżki i sięgnęli do misek z białą zupą truflową – Cordelio, ty i Morgan jesteście małżeństwem od, od zawsze! Morgan powiedział: dwadzieścia osiem lat. Jak się poznaliście?

Cordelia, mimo że była w towarzystwie zaledwie pięciu osób, odniosła wrażenie, że jej twarz oświetlił gigantyczny laser, i niemal zmrużyła oczy od blasku oślepiających ją spojrzeń. Jej mąż też poczuł, jak coś go ściska za gardło. Wiedział, że Cordelia nie cierpi znajdować się w centrum uwagi, i rozpaczliwie chciał ją chronić. Ale jego żona, ten delikatny ptaszek został zmuszony do wyjścia z gniazdka i stawienia czoła bestii trzęsącej drzewem.

– Cóż – zaczęła, patrząc niepewnie na męża, który wsparł ją uśmiechem – byliśmy w Cosmopolitan Club na debiucie Deirdre Pearce. Posadzono nas przy tym samym stoliku, koło mnie siedział Higby Sommers, ale ja nie odrywałam wzroku od Morgana. – Zarumieniła się i spojrzała na talerz. Czowała zadowolenie, przyznając się do tego.

Drżące rzęsy opuszczanych powiek przypomniały Morganowi o jej nieśmiałych spojrzeniach wtedy, w liliowej sukience bez ramiączek, z kwiatem we włosach.

– Ale on wydawał się bardziej zainteresowany gospodynią...

– Nieprawda! Nie byłem nawet w stanie zapamiętać jej twarzy.

– Cóż, tak sądziłam. Przetańczył z nią całą noc.

– Jej starsza siostra zachowywała się bardzo apodyktycznie. Ciągle do mnie podchodziła i tłumaczyła mi, że jestem okropnie niegrzeczny, nie prosząc do tańca.

– Cóż, na szczęście jej ojciec koniecznie chciał z nią zatańczyć. A z jakiegoś powodu, zdaje się, że Higby poszedł do toalety...

– Albo wyszedł napić się szkockiej z piersiówki... – wtrącił Morgan.

– Wszystko jedno, co się stało, nagle znaleźliśmy się sami przy stoliku. Więc Morgan przesiadł się na krzesło koło mnie i zaczęliśmy rozmawiać...

– A ja próbowałem zebrać się na odwagę, żeby poprosić ją do tańca – dodał Morgan z nostalgią w głosie, uśmiechając się do żony.

– I w końcu to zrobił – Cordelia zamilkła, wspominając. Nadal potrafiła przywołać obraz dekoracji stołu, smak cytrynowej bezy, zapach hiacyntów na patio.

Morgan też milczał. Zwykle nigdy by się nie dzielił tak osobistymi wspomnieniami przed obcymi; to nie było w jego stylu. Ale przestało go to obchodzić. Powróciły wspomnienia. Przypomniawszy sobie, że Chuckie Lyons podwiózł go samochodem ojca i zarysował lakier, kiedy wjeżdżał na podjazd. Że nie wrócił do domu przed drugą i jego niania – tak, nadal z nimi mieszkała – niepokoiła się. I że uznał Corde-lię za najpiękniejszą istotę, jaką kiedykolwiek spotkał. Melanie przyglądała się im.

– I co wtedy? – przerwała ciszę. Cordelia i Morgan wrócili do teraźniejszości.

– I wiedziałam, już kiedy Morgan obrócił mnie w tańcu i przyciągnął do siebie, że będzie moim mężem. – Uśmiechnęła się tęsknie w sposób, który wtedy tak szybko go oczarował.

Serce Morgana przepełniło się miłością do żony. Jej dobroć była tak wielka, a jego wina zaczynała przybierać olbrzymie rozmiary, że stawało się to nie do zniesienia.

– Czyż to nie wspaniałe?! – pisnęła Melanie, klaszcząc w dłonie. Zasygnalizowała kelnerom zebranie talerzy z pierwszego dania.

Tymczasem pani Lutz świetnie wiedziała, jak gospodarz i gospodyni pobrali się, ale chciała usłyszeć, co powiedzą. Zobaczmy, jak bardzo lubią być w centrum uwagi.

– A wy dwoje? – kąciki ust Miriam uniosły się złośliwie, ale miła szybko jej zrzędała.

– Och, poznaliśmy się, kiedy Arty podróżował. Siedzieliśmy koło siebie w pierwszej klasie. – Melanie wiedziała, że Miriam zna prawdę. Ale Kornom zadawano już to pytanie i umieli to rozegrać.

– Naprawdę? Gdzie lecieliście? – zapytała Miriam.

– Na Florydę – odpowiedział Arthur szybko. Wiedział, że nie był to ulubiony temat Melanie. To jej przeszłość. – A wy? Jak się spotkaliście?

Lutzowie dość sztywno wyjaśnili, jak zostali umówieni na randkę w ciemno przez wspólnego znajomego, który opowiadał każdemu z osobna o tej drugiej osobie i o tym, że oboje pochodzą z dobrych (czytaj: nadzianych) rodzin. W ich opowieści nie było specjalnych emocji.

Kiedy podano fileta, rozmowa przeszła na świat finansów.

– Tak mi żal biednego Bena Holdena – powiedziała Miriam. – Zostać wyrzuconym z własnej firmy!

– To okropne – dołączył Paul. – Sam ją stworzył.

– Biedaczek! Tak smutno wygląda – dodała Miriam.

– To straszne – zgodziła się Melanie.

– A o czym wy mówicie? – oburzył się Arthur. – Gość zniszczył firmę, okantował akcjonariuszy i odchodzi z miliardem dolców w kieszeni. Powinien się cieszyć, że nie siedzi w więzieniu.

Miriam wyglądała na dotkniętą. Kim jest ten wstrętny człowiek?

– Jak możesz tak mówić? To jeden z ważniejszych ofiarodawców New York Hospital!

– Sądzę, że Arthurowi chodziło o... – zaczęła Melanie zmartwiona. Nie spieprz tego! Tak dobrze szło.

– No i co z tego? – powiedział Arthur z pełnymi ustami. – Dawał pieniądze, które do niego nie należały. Psiakrew, też tak potrafię. Proszę bardzo, Cordelio, chcesz trochę z trzystu milionów Paula Lutza? – Arthur wybuchł śmiechem.

Cordelia uśmiechnęła się uprzejmie. Melanie zobaczyła, jak Miriam mruży oczy, i na próżno starała się rozładować sytuację:

– Arty, sądzą, że oni mieli na myśli, iż był szczodry i akcjonariusze powinni się nad nim zlitować.

– Nie kupuję tego. Mel! Dajcie spokój, ten facet to oszust! Naciągał fiskusa i chował pieniądze do kieszeni. Powinien iść do paki.

Melanie skłęła się w duchu. Powinna była powiedzieć Arthurowi, żeby powstrzymał się od picia czerwonego wina. Robił się po nim zbyt gadatliwy. A teraz stawia ją w trudnym położeniu! Nie może mówić tego, co myśli.

– Wiecie, moim zdaniem Arthur ma rację – odezwał się Morgan. – Ludzie powinni czuć się odpowiedzialni. Tego właśnie brakuje naszemu społeczeństwu. Odpowiedzialności.

Morgan został osobistym bohaterem Melanie.

– Prawda – wyszeptała.

Tymczasem Miriam ponownie uniosła brwi.

– Widzisz, wiedziałem, że cię lubię, Vance. Jesteśmy w tej samej drużynie.

Morgan ośmielił się. Być może to przez wino.

– Tak. Ludzie powinni płacić za swoje grzechy. Trzeba być mężczyzną. Najwyższy czas. Jeżeli Ben Holden oszukał akcjonariuszy, to wynocha. Co tu dużo gadać. Jak to mówił ten afro-amerykański prawnik?

– Skoro rękawiczka nie pasuje, należy uniewinnić⁵ – powiedziała Melanie niepewnie.

– Och, tak. Nie. Może to nie był afroamerykański prawnik. Hm... – myślał głośno Morgan, a pięć par oczu patrzyło na niego wyczekująco. – Och, tak! Jeżeli nie chcesz popełnić przestępstwa... nie, nie. Jeżeli nie chcesz do więzienia, nie popełniaj wykroczenia! – Morgan odchylił się z satysfakcją.

– Zuch chłopak! – Arthur wznosił toast: – Twoje zdrowie, Morgan.

Melanie ochoczo uniosła kieliszek, a Miriam i Paul niechętnie poszli w jej ślady.

Cordelia wpatrywała się w swój kieliszek, a potem upiła bardzo duży łyk wina.

⁵ Słynne zdanie z mowy końcowej obrońcy OJ. Simpsona, na którego dłoń nie pasowała rękawiczka znaleziona na miejscu zbrodni – prawdopodobnie dlatego, że skurczyła się przesiąknięta krwią.

– Wiesz, Morgan – powiedziała w końcu – nie miałam pojęcia, że tak uważasz. – I dopiła wino.

Po wspaniałym posiłku, składającym się z pięciu dań, wszyscy przeszli do salonu, gdzie spojrzenie Miriam skanowało obrazy i bibeloty, szacując ich wartość. Była aukcjoholiczką i pamiętała każdą wylicytowaną sumę. Unosiła znacząco brew i lekko kiwała głową z uznaniem, kiedy dostrzegła coś, co Kor-nowie nabyli mimo wysokiej ceny. Z każdym przedmiotem kalkulator w jej umyśle księgowej podliczał sumę końcową, a zadrukowywana biała rolka obracała się

i obracała poty, póki nie sięgnęła podłogi. Melanie próbowała oprowadzić Miriam po mieszkaniu, ale ta ją zbyła i sama wyruszyła na wycieczkę po apartamencie. Lubiła szacować w spokoju.

Mieszkanie było gustowne, musiała to przyznać. Melanie porządnie się podszkoliła. Przynajmniej połapała się, że trzeba wynająć projektanta wnętrz, który zna się na meblach. Zbyt wielu dekoratorów po prostu wypełnia dom reprodukcjami i kiedy przychodzi pora sprzedania majątku, spadkobiercom zostaje mnóstwo podróbek, które może i pasują do ciemnego kąta pokoju, ale nie są nic warte. Miriam niechętnie zaaprobowała mozaikę naścienną w pracowni i wystrój gabinetu Melanie, ale nadal szukała fatalnego błędu. W końcu trafiła: w bibliotece dostrzegła parę niebiesko-białych waz z dynastii Ming na mahoniowym gzymsie. Natychmiast wróciła do salonu i zbliżyła się cicho do Melanie, podczas gdy reszta gości rozmawiała. Wzięła ją za rękę.

– Melanie, moja droga. Pozwól na chwilę.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała gospodyni. Miriam Lutz wytrącała ją z równowagi. Miała taki wyniosły sposób bycia i należała do tych osób, które zdawały się delectować wynajdywaniem wad.

Miriam nie raczyła odpowiedzieć pani domu, tylko pociągnęła ją do biblioteki i stanęła przed wazami. Westchnęła głęboko i wskazała.

– Wyświadczyć mi przysługę – powiedziała błagalnym tonem.

– Przysługę? Jasne – odrzekła Melanie z wahaniem. – O co chodzi?

– O te wazy... – Miriam urwała dramatycznie.

– Tak? – Melanie nie miała pojęcia, co tamta ma na myśli. Miriam westchnęła głęboko.

– One naprawdę nie pasują do tego pokoju – orzekła. – Powinny stać w salonie. Tamta paleta kolorów jest dla nich odpowiedniejsza.

W pierwszej chwili Melanie poczuła się upokorzona, jakby ją spoliczkowano. Jak mogła być taka nierozsądna? Te wazy tu – to takie głupie. A potem pomyślała: „Chwileczkę... kim ty, do cholery, jesteś?”. Nagle krew się w niej wzburzyła. Co ona powiedziała? Nigdy nie słyszała o ANN LECONEY? Kim ona, do cholery, jest, żeby tak wparadować i udzielać wskazówek dekoratorskich! To, że zęby zjadła na artykułach gospodarstwa domowego, nie oznacza jeszcze, że ma pojęcie o kolekcjonerstwie. I myśli, że ma do tego prawo! Proszę, wchodzi sobie, gdzie chce, dostaje obiad z kawiozem i białymi truflami, pięćset dolarów od łebka, i udziela rad? Melanie nakręcała się we wściekłości i już miała wybuchnąć, ale zamiast tego zaczerpnęła głęboko powietrza i policzyła do trzech, powtarzając w myślach słowo „Missisipi” pomiędzy liczbami. Ostatni wydech.

– Dziękuję ci za tę uwagę – odpowiedziała w końcu. – Och! Spójrz, która godzina! Muszę położyć Arthura do łóżka. O północy zamienia się w dynię!

Melanie starała się zachichotać uprzejmie, ale nie mogła się na to zdobyć. Miriam uśmiechnęła się do niej, myśląc, że wreszcie może się stąd wydostać. Pomimo ogromu i przepysznego wystroju apartament Kornów nadal wydawał się jej jedną z tych trumien, którymi Arthur handlował w Queensie.

Kiedy wróciły do salonu, Cordelia i Morgan siedzieli ściśnięci na sofie i wyglądali jak nowożeńcy. Paul zajmował fotel, a Arthur, z kanapy, zabawiał gości opowieściami o zgonach.

– Powinniśmy już iść – powiedziała Miriam z udawanym smutkiem.

Paul poderwał się jak katapultowany.

– Tak, świetna kolacja, Arthur – poklepał go po plecach.

– No, chyba już późno. – Morgan zerknął na zegarek.

– Świetnie się bawiłam – powiedziała Cordelia. I to była prawda. To miło wyrwać się co jakiś czas z ich nudnego małego kółka towarzyskiego. Trochę się rozruszać.

– Fajnie było. – Arthur odprowadzał ich do drzwi. – I, Vance, jeżeli ta osoba, o której mówiłeś, umrze, mam dla niej idealną trumnę.

– O co chodzi? – zdziwiła się Melanie.

– Och, taka jedna znajoma osoba – wyjaśnił Morgan. – Na krawędzi śmierci.

– Chodź, kochanie, pora spać – ponagliła Cordelia.

Pan Guffey pojawił się znikąd i podał Lutzom płaszcz. Jeszcze mnóstwo „dziękuję” i pocałunków na dobranoc i wreszcie obie pary wyszły. Kiedy Guffey zamknął za nimi drzwi i wrócił do kuchni, Melanie i Arthur spojrzeli po sobie i odetchnęli z ulgą.

– Chyba poszło dobrze. Jak sądzisz? – zapytała Melanie.

– Fajnie. – Arthur ściągnął krawat. – Wiesz, ci Vance'owie nie są tacy nudni, jak myślałem. Właściwie to są całkiem mili.

– Zgadzam się. Naprawdę do rzeczy. Nigdy bym się tego nie spodziewała.

– Założę się, że z Vancem można byłoby pójść na mecz baseballu.

– Szkoda, że powiedziałaś to o Benie Holdenie... – zaczęła Melanie.

– Nie zaczynaj, złotko. Dobrze poszło. Ciesz się.

– Masz rację. Dobrze poszło. Chyba byli nami zachwyceni.

– Proszę, proszę, zadajemy się z socjetą. Kto by pomyślał? I położyli się spać. Melanie była podniecona. Kolacja udała się, a pomijając złośliwe komentarzyki Miriam, wszystko poszło dobrze. Jedze-

nie zrobiło wrażenie, mieszkanie oczywiście też i właściwie Van-
cebwie okazali się mili. Melanie była zmęczona i śpiąca. Jutro czeka
ją wielki dzień. Tej nocy przyśni jej się coś więcej niż cukrowe wróż-
ki⁵ – będzie śnić o słodkiej Krainie Sławy. A jutro artykuł, który
wypromuje ją na nie kwestionowaną gwiazdę towarzystwa, trafi do
kiosków. Pieprzyć Miriam Lutz! Po tekście w „New York Observer”
ona i reszta członków zarządu Met będą ślinić się na myśl o zdoby-
ciu Melanie.

Ozdobne drzwi do windy przy wtórze dzwonka otworzyły się na
olbrzymi westybul Park Avenue numer 741 i Melanie wybiegła,
strzelając oczami na wszystkie strony. Wczorajszy wieczór napraw-

⁵ Cukrowa wróżka to postać z *Dziadka do orzechów* Piotra Czajkowskiego, zamieszkująca Krainę Słodyczny.

dę był udany, a ten dzień to pora jej ostatecznego triumfu: dzisiejszy „New York Observer” zamieszcza przeprowadzony z nią wywiad.

Olivia Weston weszła do westybulu z numerem „Obser-vera” w rękę i zanim znalazła się w windzie, obrzuciła sąsiadkę rozbawionym spojrzeniem.

– Och, świetnie, już jest! – krzyknęła zachwycona Melanie.

W końcu Olivia zobaczy, jak to jest czytać dla odmiany o kimś innym. Już jakoś inaczej na nią patrzy. Teraz z pewnością zechce się zaprzyjaźnić.

Emma Cockpurse siedziała na swoim ulubionym miejscu, na szaroniebieskiej aksamitnej kanapce, a portierzy próbowali ją nakłonić do powrotu do mieszkania, ponieważ zeszła tylko w niebieskim szlafroku zmarłego męża. Melanie czekała niecierpliwie na Eddiego i Toma, ale wyraźnie mieli ręce pełne roboty. W końcu świrnięta pani Cockpurse wróciła do windy, eskortowana przez Toma, a Melanie mogła zapytać o dzisiejszą pocztę. Olivia chyba przyniosła gazetę z miasta.

– Tom...

– Eddie.

– Tak. Jest już poczta?

– Nie, jeszcze nie.

– Och, to pójde do automatu z gazetami.

– Jest zimno, proszę pani.

– Nie szkodzi. Warto zmarznąć.

Gwałtowny poryw wiatru mało jej nie przewrócił, kiedy otworzyli przed nią drzwi. Odważnie wyszła z budynku, zapinając kaszmirowy sweterek. Skrzyżowała ramiona, obejmując się w obronie przed zimnem, gdy starała się pokonać wiatr i dojść do rogu. Tom wrócił na dół i zapytał Eddiego, gdzie jest pani Korn.

– Wyszła się zdziwić na widok gazety! – zaśmiał się Tom.

Eddie wyciągnął swój mocno zmiętoszony egzemplarz «Observera» spod płaszcza.

– Już widziałem. Niezła afera.

Na rogu Melanie wrzuciła nerwowo ćwierćdolarówki do otworu, otworzyła skrzynkę i wydarła egzemplarz w brzoskwiniowej okładce.

Wrzaski. Nastroszyły się drzewa na Park Avenue. Przerażone gołębie zerwały się z gałęzi. W promieniu trzech przecznic każda istota ludzka i niektóre zwierzęta usłyszały jej krzyk. Okładka przedstawiała olbrzymią karykaturę Melanie w uniformie stewardesy z mnóstwem banknotów ułożonych w wachlarz. Zszokowana, aż się zachłysnęła; zebrała się w sobie na tyle, żeby rozejrzeć się i wyjąć wszystkie gazety. Wściekła pomaszerowała z powrotem z prędkością dziesięciu machów do westybulu. Przeniosła stos trzydziestu magazynów obok złośliwie rozbawionych portierów, których nawet nie zauważyła. W głowie huczało jej od doznanego upokorzenia, które powoli zamieniło się w panikę. To nie może dziać się naprawdę.

To był drugi, zaraz po urodzeniu dzieci, najszcześniejszy moment w życiu Joan i Wendy. Zupełnie jakby tego ranka padły na nie promienie światła. Obie wyłaziły ze skóry, dziękując swojej szczęśliwej prasowej gwiazdzie – to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Z narożnego boksu u Daniela liczyły egzemplarze „Observera”. Wendy wypatrzyła na razie dwadzieścia sześć, co oznaczało dwadzieścia sześć opadniętych szczęk. Wszyscy byli zelektryzowani.

– Och! Posłuchaj tego! – Joan czytała tekst Crispina po raz siedemnasty, wybierając najsmakowitsze kąski: – „Chcę dostawać najlepsze stoliki na imprezach...” a dwie sekundy później nazywa siebie, cytując: „następną Brooke Astor” Możesz wto uwierzyć?

– Wyobraź sobie, co Brooke na to.

– Posłuchaj tego! – Joan niemal się oblizywała. – „Pani Korn zalicza swoją osobę do wspaniałego panteonu, do którego należą Olivia Weston i nieżyjąca żona Johna F. Kennedy'ego juniora. Często mówi o Olivii, którą określa mianem «taka stodziutka», i nadmienia, jak to ostatnio została zaproszona do jej mieszkania. Choć panna Weston odmówiła komentarza, bliskie jej osoby twierdzą, że nie cierpi bogatej żony producenta trumien" To poniżające! Ciekawe, co na to Arthur?

– Możesz uwierzyć? Ona nazywa go swoim małym żydowskim kowbojem. Żenada.

– Billy Crispin jest geniuszem. Posłuchaj tego: „Im bardziej Melanie Korn stara się wspiąć po szczeblach towarzyskiej kariery, tym niżej się ześlizguje. Jej krytycy mówią, że jest swoim największym wrogiem: odrzuca ich jej brak taktu, uporczywa determinacja i notoryczne prostackie uwagi"

– Chłopak ma talent. Całkowicie uchwycił istotę rzeczy. Właśnie w tym momencie Joan zauważyła, że głowy

wszystkich obracają się w jednym kierunku, kobiety nachylają się do siebie z szeroko otwartymi oczami i szepczą. Odwróciła się, by sprawdzić, kto wchodzi: czyżby Brooke Astor i Kenneth Jay Lane? Aerin Lauder? Nie, to bohater godziny. Pod rękę z Mimi Halsey pojawił się rozpromieniony Billy Crispin. Gdy wszystkie głowy zwracały się ku niemu, jedna z bywalczyń salonów zaczęła wolno kłaskać, wstając na dowód uznania. Dołączyła do niej druga, trzecia i w końcu prawie wszyscy w restauracji przyłączyli się do chóru zachwyconych dłoni i pełnych aprobaty uśmiechów, który przerodził się w lawinową owację na stojąco godną La Scali.

Jedna z kobiet odważnie podeszła, by oddać dziennikarzowi hołd.

– Billy, jesteś geniuszem. Zrobiłeś z Melanie Korn pośmiewisko!
Przekomiczne.

– Billy, ty łobuziaku! – złażała go na niby inna.

– Byłem miły – powiedział Billy, gdy zapanowała cisza i wszyscy nadstawili uszu, jakby Alan Greenspan doradzał w sprawach inwestycji. – Ten artykuł to akcja charytatywna. Gdybyście usłyszały, co ona jeszcze wygadywała. Nie posiekałem jej na plasterki. Ja ją oszczędziłem.

Oszczędził ją? A jakież to jeszcze smakowite kąski wyrzuciła z siebie Melanie? Joan machnęła na Gustave'a, *maître d'hôtel*.

– Gustave, proszę posłać panu Crispinowi butelkę waszego najlepszego szampana.

– *Oui, madame Coddington, tout de suite.*

Wendy i Joan, wychodząc przez olbrzymie drzwi obrotowe na Sixty-fifth Street, nadał nie mogły się pozbierać. Zupełnie jakby ich lunch zamienił się w spektakularne wydarzenie. I pomyśleć, że Crispin obszedł się z nią łagodnie!

Lecz zanim doszły do Park Avenue, żeby złapać taksówkę, ten sam maniak z ZET – ten odrażający, gruby, śmierdzący facet w przetłuszczonej wojskowej kurtce i brudnych niebieskich ogrodniczkach, który zaatakował lady Harvey u Swifty ego – rzucił się w ich kierunku z wiadrem farby. Nie zostawił im nawet chwili na reakcję. Brodaty demon wylał krwistoczerwoną maź na ich futra, gdy starały się odskoczyć. Jak w zwolnionym tempie Wendy widziała lecący ku niej gęsty płyn, otwierając usta do najgłośniejszego krzyku swojego życia. Ale daremnie; wiedziała, że już po jej sobolach.

– MORDERCZYNIE! ZABÓJCZYNIE ZWIERZĄT! – wydierał się bełkotliwie, jakby pod wpływem środków odurzających. - ZGNIJECIE W PIEKLE RAZEM Z DEN-NISEM BASSO I SIOSTRAMI FENDI!

Joan zemdląła, gdy szalencie cisnął puste wiadro i uciekł.

RS

Jest tyle rozmaitych sposobów spędzenia wieczności. Sosnowa lub stalowa trumna. Kremacja lub pochówek. Obicie jedwabne lub aksamitne. Popioły rozrzucone z łodzi lub umieszczone w orientальной urnie na kominku. Możliwości było tysiące, a Arthur znał każdą. Jeżeli pojawiała się coś nowego, wiedział o tym pierwszy. Lubił pracować nie tylko za biurkiem. To dlatego miał trzecie w kraju co do wielkości przedsiębiorstwo zajmujące się domami opieki i zakładami pogrzebowymi. Jego domy opieki Święty Spokój oraz zakłady pogrzebowe Skonać ze Szczęścia działały jak McDonald's w sektorze opieki nad starszymi oraz usług pogrzebowych na terenie Stanów Zjednoczonych. Jego firma produkująca trumny na zamówienie także miała świetne perspektywy, według najnowszego numeru „Fortune” A poza tym śmierć nieprędko wyjdzie z mody.

Jednym z ulubionych zajęć Arthura było składanie niezapowiedzianych wizyt we wszystkich filiach i doglądanie, czy praca idzie jak należy. To właśnie spowodowało go w to rześkie listopadowe popołudnie do znajdującego się na Lower East Side zakładu pogrzebowego. Na ten dzień zaplanowano trzy pogrzeby i cztery kremacje. Nieźle, ale mogliby się bardziej postarać. Wygłosił do pracowników mającą zmotywować ich przemowę na temat promowania firmy i wybierał się w następne miejsce. Kiedy kierownik otworzył przed

nim drzwi, Arthur zrobił dwa kroki i stanął jak wryty. Znalazł się twarzą w twarz z Olivia Weston.

– Och, dzień dobry – lekko się uśmiechnęła. Zarzuciła bladożółty kaszmirowy szalik na ramię.

Arthur był tak zaskoczony jej widokiem, że ledwie wymamrotał przywitanie. Spojrzała na sztyl budynku, z którego właśnie wyszedł, i wyraz jej twarzy natychmiast zmienił się z wymuszonej grzeczności w autentyczną troskę.

– Och, mam nadzieję, że wszystko w porządku – powiedziała zmartwionym tonem.

– Tak, oczywiście. Zdziwiło mnie tylko, że panią tu widzę – odpowiedział szybko.

– Nie, ja... wraca pan z pogrzebu?

– Pogrzebu? – zdziwił się. – Och, nie! To moje miejsce, to znaczy nie moje... należy do mojego przedsiębiorstwa. – Arthur zarumienił się. Czemu, do diaska, zapomina języka w gębie na jej widok?

– Naprawdę?

– Tak, mam domy opieki i zakłady pogrzebowe.

– Interesujące.

Arthur rozejrzał się. To nie najlepsza dzielnica. Zastanawiał się, co ona, u licha, tutaj robi.

– Może panią podwieźć?

– Och, z przyjemnością, ale mam się spotkać z kimś, kto tu mieszka. – Olivia wskazała na stojący po drugiej stronie ulicy ceglany budynek z gigantycznymi czarnymi drzwiami pokrytymi graffiti, przypominający jakąś fabrykę. – Ale jeszcze nikogo nie ma, więc właśnie idę zaczekać w restauracji na rogu.

-Ach.

Arthur spojrział na lokal, gdzie kilku niewyraźnych gości paliło papierosy, a skinhead z tatuażami pokrywającymi każdy widoczny

skrawek skóry pił z butelki ukrytej w papierowej torebce. Zachowywali się głośno i wyglądali na nieco niebezpiecznych. Zapadał zmrok i dzielnica wyglądała coraz groźniej. Kogo ona tu zna? Może Preston wyszedł z kliniki. Naprawdę nie podobał mu się pomysł zostawienia jej tu samej.

– Wie pani, sądzę, że taka kobieta jak pani nie powinna przebywać tu sama. Mam trochę czasu, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, moglibyśmy wspólnie wypić filiżankę kawy – Arthur mówił najbardziej oficjalnym tonem, na jaki było go stać.

– Nie chcę nadużywać pańskiej uprzejmości. – Olivia rozejrzała się po okolicy. Było przerażająco, i choć to krępujące siedzieć z prawie nieznanym, nie chciała zostać ofiarą gwałtu.

– Niczego pani nie nadużywa.

– Zatem chętnie, dziękuję. Jest pan prawdziwym dżentelmenem.

Kiedy usiedli w boksie i zamówili kawę (Arthur wziął również kawałek sernika), popatrzyli na siebie skrupowani. Nie mógł uwierzyć, że są razem. Wyglądała pięknie – zaróżowione od chłodu policzki, lekko potargane przez wiatr włosy i kaszmirowy golf w kolorze kości słoniowej. Spojrzał na jej śliczne palce obejmujące wyszczerbiony biały kubek. Miała blad różowy lakier, taki delikatny. Czasami nienawidził tych jaskrawoczerwonych paznokci, które preferowała Melanie. Wyglądały jak szpony. Interesowało go wszystko, co wiązało się z Olivia, ale nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– Och! Skończyłem czytać pani książkę. Jest świetna. – Jego entuzjazm wziął się bardziej z tego, że wpadł na pomysł co powiedzieć, niż z przyczyny samej lektury.

– To miłe.

– Czy jest autobiograficzna? To znaczy... ee... wiem, że kobieta się na końcu topi, ale chodziło mi o, o...

– Częściowo tak. Tolstoj powiedział, żeby pisać o tym, co się zna, i to właśnie staram się robić.

– A ten Preston? Kto to?

– Zlepek różnych postaci.

– Rozumiem. Cóż... to naprawdę twórcze. To fantastyczne, że potrafi pani wymyślać różne historie.

– Przez całe życie prowadziłam dzienniki, notowałam na skrawkach papieru różne pomysły, eseje, nawet wiersze. Niektórzy mogą powiedzieć, że to głupie albo niemodne...

– Kto może tak mówić? – Arthur był wzburzony.

– Och, moi przyjaciele. Tylko żartują oczywiście.

– Lepiej, żeby tak było, bo może pora na nowych. – „Ten tupet dyletantów z towarzystwa”, pomyślał.

– Nie, bardzo mnie wspierają.

– Powinni. Jest pani świetna. Nie wolno pani przestawać tylko dlatego, że jakiś cymbał mówi, że to niemodne.

– Och, nigdy bym tego nie zrobiła. Kocham pisać.

– Zawsze pani wiedziała, że chce pisać?

– Tak. – Uśmiechnęła się.

Arthur patrzył, jak dmuchając, studzi kawę. Usta w idealnym kolorze różowej czerwieni. Otworzyła jeden z pojemniczków ze śmietanką i wymieszała ją z kawą.

– A pan? Zawsze pan chciał... mieć domy pogrzebowe?

– Ja? Nie. Byłem okropnym uczniem. Nie zamierzałem zostać pisarzem, to na pewno. Mam okropną dysleksję.

– Och, to przykre – ściągnęła współczująco idealnie wyregulowane brwi. – Więc jak to się stało, że się pan tym zajmuje?

– To zabawna historia. – Arthur wziął kęs sernika. – Dorastałem we Flatbush. Nie w tej dobrej części, tylko w niebezpiecznej dzielnicy. Tak czy inaczej, któregoś dnia byłem u przyjaciela – on

mieszkał w tej ładnej części – a pod dom naprzeciwko zajechał wielki cadillac i wysiadł z niego facet w futrze. Powiedziałem do mojego kumpla Lenny'ego Shipmana – ciekawe, co u niego sły-
chać? – tak czy inaczej, powiedziałem do Lenny ego: „Zamierzam
robić to, co ten facet, cokolwiek to jest”. Bo wydawało mi się, że on
ma mnóstwo pieniędzy. Prowadził zakład pogrzebowy. I tak się za-
częło. – Arthur zachichotał, przypominając sobie dawne dni.

– Cóż, sądzę, że dzięki filmowi *Sześć stóp pod ziemią* pańska bran-
ża zrobiła się nieco bardziej modna.

Akurat wtedy zadzwoniła jej komórka.

– Przepraszam, to może być moja przyjaciółka. – Pogrzebała w
torbie z monogramem i wyciągnęła telefon. – Halo? – zapytała
powściągliwym tonem. – Holland! Skąd dzwonisz? Jestem na rogu,
tuż koło twojego domu... Co? Słuchaj, muszę się z tobą zobaczyć. –
Olivia spojrzała na wpatrującego się w nią Arthura, odwróciła się na
bok i wyszeptała: – To pilne. Dlaczego mnie unikasz?... Dobrze, już
wychodzę. – Zamknęła klapkę telefonu i włożyła go do torby. Od-
wróciła się do Arthura. – Moja przyjaciółka wróciła, więc muszę już
iść.

– Jasne, nie ma problemu. – Arthur spojrzał na rachunek i poło-
żył banknot dwudziestodolarowy.

– Och, nie, proszę pozwolić mi zapłacić! Był pan tak miły, sie-
dząc tu ze mną.

– Nie ma mowy. Dama nigdy nie płaci.

Włożyli płaszcze i wyszli na ulicę. Samochód Arthura już na nich
czekał.

– Mogę panią odprowadzić do drzwi, żeby się upewnić, że pani
bezpiecznie wejdzie?

– Nie, nie ma potrzeby.

– Będę patrzył, tak na wszelki wypadek.

- Naprawdę pan nie musi.
- Nalegam.
- Dziękuję bardzo, panie Korn.
- Proszę mi mówić Arthur.
- Arthur – jej głos zabrzmiał tak słodko.

Przyglądał się, jak idzie w kurtce obszytej futrem, kołysząc torbą. Wydawało mu się, że się roztopia w gigantycznej kadzi mlecznej czekolady.

Niemal frunął do domu, ale kiedy się tam znalazł, jego dobry nastrój natychmiast prysł jak bańka mydlana. Wszedł do zaciemnionego salonu i zastał Melanie i Juanitę wrzucające stopy „New York Observera” do kominka, jedyne źródło światła w całym mieszkaniu. W pomieszczeniu musiało być jakieś dwieście pięćdziesiąt stopni w skali Celsjusza przy tym szalejącym ogniu, ale Melanie na to nie zważała, ogarnięta szałem.

- Gdzieś ty był? – powiedziała z obłędem w oczach.
- Co się stało?
- Dzwonię do ciebie i przywołuję pagerem przez cały dzień.

Gdzie byłeś?

– W zakładzie pogrzebowym – kiedy tam jestem, to wyłączam pager, przecież wiesz. Nie chcę zakłócać ceremonii. – Położył płaszcz na skraju sofy.

– Oni już nie żyją, Arty. Możesz go nie wyłączać, na litość boską.

– Melanie, co się dzieje?

– Co się dzieje? Powiem ci, co się dzieje. Ten Billy Crispin to diabeł wcielony. Taki nikczemny! Zniszczył mnie, zniszczył nas.

– Co zrobił?

Melanie tak płonęła gniewem, że Arthur nie był pewien, czy go usłyszała. Fryzurę miała w katastrofalnym stanie – zupełnie jakby

wetknęła palec do gniazdka elektrycznego. Ubranie poplamione farbą drukarską. Tusz do rzęs spłynął wraz ze łzami i potem. To nie była Melanie, jaką znał. Wrzuciła więcej gazet do ognia i cienie za-
tańczyły po ścianach, poczuł się jak w gabinecie luster w wesołym
miasteczku.

– Wiesz, co jest najbardziej wkurzające? Że okazałam mu życz-
liwość i hojność. Przygotowałam wyśmienite jedzenie, z dobrej fir-
my, serwowane przez kelnerów. Risotto z białymi truflami i sałatkę
z homara. Kawior *amuses bou-ches*. Oprowadziłam go po naszym
domu, a on zmieszał mnie z błotem. Nadal czuję się brudna!

Wybuchnęła spazmatycznym płaczem, a Arthur podszedł i pró-
bował ją objąć. W końcu uległa i przyłgnęła do niego zanosząc się od
szlochu. Juanita nadal ciskała egzemplarze pisma do ognia, coraz
szybciej. Arthur poklepał Melanie po plecach.

– Jak rozumiem, artykuł ukazał się.

– Ukazał się, ukazał. I jestem na językach całego miasta.

– Ale czy nie tego chciałaś? Po to wynajęłaś specjalistę od wize-
runku.

– Ale nie od złego wizerunku.

– Nie może być aż tak źle.

– Jest.

– Daj spokój.

– Wszyscy mnie zjechali. Ten Jerome de Stingol powiedział, cy-
tuję: „Była zbyt skąpa, żeby skorzystać z moich usług, a ja odmówi-
łem negocjowania stawki”. Nie byłam skąpa! Po prostu założyłam,
że ten wstrętny człowiek jest projektantem wnętrz. Przepraszam, że
spodziewałam się po nim urządzenia mieszkania. Ten facet tylko
trzebie poduszki i bierze dwadzieścia tysięcy dolarów za jeden po-
kój. A jakaś anonimowa osoba – prawdopodobnie Wendy Marshall
– zrugła mnie za próby dostania się do zarządu Met.

Arthur przesunął dłonią po jej włosach.

– Zazdrozczą ci. Mówiłem ci setki razy, że możesz się tego spodziewać. Są dwadzieścia lat starsze i nie tak piękne.

Melanie odsunęła się i popatrzyła mu w oczy.

– Arthur, to coś innego. To olbrzymi prawicowy spisek.

– Ludzie o tym zapomną. Są zbyt narcystyczni, żeby zajmować się jakimś artykułem na twój temat.

– Może – pociągnęła nosem.

Arthur podszedł do stosu brzoskwiniowych egzemplarzy.

– Niech zobaczę. Ojej, sporo tego.

– Kazałam kierowcy obwieźć mnie po całym mieście – byliśmy w każdym kiosku na Upper East Side, przy automatach z gazetami. Wszystkie delikatesy. Chyba zebrałam cały nakład w Upper East Side.

Gdy Arthur studiował artykuł, Melanie wrzuciła kolejne magazyny do ognia.

– Juanita, jeszcze są w przedpokoju. Proszę, idź je przynieś.

– Tak, psze pani – Juanita pośpiesznie wyszła na korytarz.

W miarę lektury uśmiech na twarzy Arthura powoli zaczął zamieniać się w grymas.

– CO?! Melanie! Powiedziałaś: „Arthur zawsze określa tych ludzi, którzy pozują do zdjęć na przyjęciach, jako żywe trupy”? Nie mogę uwierzyć, że tak powiedziałaś! Melanie!

– To zostało wyrwane z kontekstu, Arthur. – Melanie znowu zaczęła płakać.

– Musisz uważać! Prasa to sępy – nie był zachwycony. Spędził takie miłe popołudnie z Olivia, zupełnie jakby leżał na piernatach. A teraz przez Melanie zżeraną ambicją i po jej głupich uwagach skręcał się z bólu na desce nabitej gwoździemi. Nie chciał, żeby Olivia zoba-

czyła ten artykuł. Co by pomyślała? Co ona w ogóle sobie myśli?
Nie mógł jej rozgryźć.

– Och, Arthur, przepraszam. Tak mi wstyd. Nigdy już nie wyjdę z domu. – Melanie padła mu w ramiona.

Poklepał ją po plecach.

– Nie martw się, dzieciaku. Nie martw się. Ludzie zapomną.

Ale oboje wiedzieli, że aby tak się stało, potrzeba bardzo dużo czasu albo innego wielkiego skandalu.

RS

- Witam, pani Vance. Założę się, że się mnie nie spodziewałaś
- powiedziała Maria, stojąc na progu mieszkania Cordelii.
- Nie... – Cordelia nie za bardzo pamiętała, kim jest ta Meksykanka. Służąca Powellów? Sprzedawczyni w Wolfor-dzie? Manikiurzystka z salonu Frederica Fekkai?
- Nie pamiętasz mnie.
- Ja... – przeciągała Cordelia, mając nadzieję, że Maria sama się jej przypomni, zanim sytuacja stanie się niezręczna.
- Maria Garcia. Pracowałam w Brown Brothers. Widziałyśmy się któregoś dnia u Tiffany'ego.
- Och, Maria, oczywiście! – Cordelia nadal się zastanawiała, co ta kobieta tu robi i skąd ma pieniądze na tak olbrzymie futro. Może to nieco rasistowskie, ale uznała, że Maria należy do pracowników sprzątających budynki korporacji.
- Przyszłam tu na lekcję układania kwiatów!
- Och, nie skojarzyłam, że to ty.
- Tak, znam kogoś, kto pracuje w Harbor, kto poszedł na aukcję i zdobył dla mnie twoją lekcję. Musiałam na nią przyjść! Chciałam zobaczyć, jak mieszkasz, och, i uwielbiam kwiaty.
- Ależ dziękuję ci... – Czy to jakaś bogaczka kolumbijska? W Argentynie też jest kilka znakomitych rodzin.

– Nie wspominając o tym, że jesteśmy teraz koleżankami. Robimy zakupy w tych samych butikach, ty i ja – dodała Maria.

– No tak.

Maria zażądała od Morgana pieniędzy, twierdząc, że Schuyler ma szmery w sercu i musi przejść małą operację. Absolutnie nie mogła przepuścić okazji obejrzenia mieszkania Morgana i posiedzenia z jego starą. O nie.

– Więc proszę, wejdz. Zapraszam.

Nie wiadomo skąd pojawiła się pokojówka i pomogła rozebrać się Marii.

– Jakie piękne futro.

– Dzięki. To od mojego chłopaka – rozpromieniła się Maria.

Następnie pokazała swoją wersję stroju odpowiedniego na lekcję układania kwiatów: błyszczące spodnie w kolorze wozu strażackiego, czarne kozaki na szpilkach, zwiewną wydekoltowaną czarną bluzkę i olbrzymi łańcuch z osiem-nastokaratowego złota. Absolutne Miami. Na obu przegubach miała grube złote bransolety z wisiorami, dzwoniące przy każdym ruchu.

Cordelia uniosła brwi. Była w swoim codziennym ubraniu: beżowe spodnie z cieniutkim czarnym paskiem, bluzka w kolorze kości słoniowej, zamszowe mokasyny. Jedyne dodatki to zegarek i obrączka.

– Cóż, zaczynamy?

– Bardzo chciałabym najpierw obejrzeć mieszkanie, jeżeli nie masz nic przeciwko temu. – Maria rozejrzała się po przedpokoju. Same wielkie, czarne, brzydkie meble i portrety zachmurzonych starych ludzi, przypominających pielgrzymów. Od razu widać, że Cordelia nie ma smaku. Gdzie kryształowe posągi? Złote figurki? Wielkie, oprawione w złote ramy obrazy nagich kobiet z elfimi skrzydłami?

– Och, dobrze. – Cordelia była trochę zaskoczona. – Mam nadzieję, że nie ma bałaganu. Nie prowadzimy ostatnio życia towarzyskiego.

Oczywiście w mieszkaniu panował idealny porządek. Ekipa magazynu „House Beautiful” mogła wejść w dowolnym momencie i zastałaby dom gotowy do sesji zdjęciowej. Cordelia zaprowadziła Marię do salonu i patrzyła, jak ta przygląda się dokładnie każdemu szczegółowi. Cordelia, która nigdy nie wchodziła do tego pokoju, jeśli nie mieli goście, spjrzała nań oczami osoby z zewnątrz. Cytrynowe ściany z misterną sztukaterią, przyozdobione obrazami Fragonarda i Mary Cassatt w pozłacanych ramach. Zasłony według projektu Jubilee Rose firmy Colefax & Fowler. Dwa osiemnastowieczne jasnoniebieskie aksamitne fotele, trzy berzery w stylu Ludwika XVI, sofa zaprojektowana przez Georgea Smitha, obita tkaniną barwy jasnej persymony. Konsole kryte listkami srebra, stoliki w stylu regencji i rosyjski stół na jednej nodze. Porcelanowe wazy w stylu *familie rose* na chińskich wspornikach dekorowały ściany. Tak, to zdecydowanie może zrobić wrażenie.

– Ładnie tu – powiedziała Maria cicho, choć tak naprawdę zbierało się jej na mdłości. Mnóstwo gówna: krzesła, każde z innej bajki i takie niewygodne, mała kanapa, że nawet tyłek jej ciotki Lupity by się na niej nie zmieścił, i te wszystkie kwieciste tkaniny. Ta kobieta za grosz nie ma gustu; to pewnie dlatego Morgan ma jej już dosyć.

Cordelia oprowadziła Marię po mieszkaniu, co tylko ugruntowało jej niesmak, aż w końcu doszły do nasłonecznionego przeszklonego pomieszczenia o ścianach w kolorze sałaty. Przygotowano tam tony kwiatów, a także wyszukane wazony, nożyczki i rękawiczki ogrodnicze. Maria zdała sobie sprawę, że to zrujnuje jej sztuczne paznokcie. Świetnie. Przymocowanie ich trwało trzy godziny.

– Więc co wiesz o układaniu kwiatów? – zapytała Cordelia.

Była specjalistką w tej dziedzinie i przyjaciele nawet namawiali ją, żeby napisała drugą książkę na ten temat.

– Wiem, że łatwo jest wykręcić numer do firmy, która je dostarcza – zażartowała.

Cordelia nie uśmiechnęła się.

– Więc zaczniemy od podstaw.

Cordelia szczegółowo omawiała tajniki układania kwiatów, kiedy Maria zamyśliła się. Ta stara torba jest zajełście nudna! Przyjrzała się chabrowym oczom Cordelii i policzyła zmarszczki. Maluje się bardzo oszczędnie – naprawdę powinna trochę bardziej zadbać o siebie. W końcu już niedługo będzie szukać nowego męża.

– Chyba już wiem, o co chodzi – przerwała Cordelii.

– Och, okay. Przepraszam, poniosło mnie. To moja pasja.

– Taa... więc, ee... chcesz usiąść i pogadać? Strasznie bolą mnie stopy.

– Och, okay.

Cordelia poprowadziła Marię do biblioteki ze ścianami w kolorze szpinaku. Jeszcze więcej perkalu, jeszcze więcej nie dopasowanych krzeseł. Przy ich pieniądzach chyba stać ich na jakieś nowe książki. Prawie każda na półce wygląda na starą i zniszczoną. Ci ludzie naprawdę potrzebują pomocy.

– Zatem opowiedz mi o swojej rodzinie. – Maria klapnęła na kanapę, zapadając się w morzu poduszek z frędzlami. O wiele za dużo poduszek. Cisnęła kilka na podłogę. Cordelia wyglądała na zmieszaną.

– Mam dwóch synów.

– A jak z mężem?

– Cóż, znasz Morgana.

– No tak, ale jak się poznaliście?

- Poznaliśmy się na debiucie. Maria popatrzyła na nią tępo.
- Na balu wprowadzającym naszą znajomą do towarzystwa.
- I od tego czasu żyli długo i szczęśliwie?
- Chyba tak. – Cordelia była zaskoczona śmiałością tej kobiety.

Ale to nawet dość miła odmiana porozmawiać z kimś szczerym. Towarzyskie owijanie w bawełnę bywa takie męczące.

- Chyba tak? – zapytała Maria, biorąc garść orzeszków ze srebrnego półmiska. – Nie jesteś pewna?
- Cóż, to dwadzieścia osiem lat. Każdy ma gorsze momenty.
- Naprawdę? Więc jest kiepsko?
- Nie, jest w porządku.

– To o co ci chodziło? – Maria spojrzała na nią, jakby jej rzeczywiście zależało na tej wiedzy i to jakoś ośmieliło Cordelię.

– Sądzę... sądzę, że chyba przechodzę mały, nie chcę powiedzieć: kryzys, ale zdecydowanie jakiś dziwny okres w życiu. To... no wiesz, cóż, jesteś jeszcze młoda i atrakcyjna, ale człowiek starzeje się, dzieci dorastają i odchodzą z domu. Wszystko się zmienia, ale zostaje takie samo. Nie ma poczucia wyzwolenia ani celu. Chyba po prostu nie mogę sobie znaleźć miejsca.

– Cóż, te wszystkie stare przyki, z którymi się zadajesz, są pewnie dość nudne.

Cordelia zaśmiała się. Zabawna ta Maria.

- To prawda.
- Powinnaś dodać trochę gazu. Założę się, że nigdy nie miałaś Latynosa. Potrzebujesz latynoskiego kochanka. Kogoś, kto cię porządnie przeleci.

– Maria! – Cordelia była bardziej rozbawiona niż zbulwersowana.

– To prawda. Wy, białe anglosaskie protestantki, wszystkie jesteście oziębłe. Potrzebujecie *cunnilingus*. Znajdź sobie faceta, który by ci strzelił minetę.

Cordelia poczerwieniała jak piwonia.

– Maria, naprawdę przesadzasz.

– To jest rozwiązanie.

– Myślałam o zupełnie innym rozwiązaniu, ale może i masz rację...

Zgrzyt klucza w zamku przerwał rozmowę o latynoskich zwyczajach seksualnych. Przyszedł pan Vance.

Wszedł i zobaczył Cordelię z Marią. Serce mu zamarło. Schemat jego rzeczywistości kompletnie się rozpadł, a w całym jego wszechświecie zapanowały chaos i strach.

– Co to? – Morgan wszedł do pokoju jak nakręcana lalka, zszokowany i sztywny. Na jego twarzy nie malowały się żadne emocje, ale wrzał gniewem.

– Cześć, kochanie. Co robisz w domu o tej porze? – Cordelia odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Mam niedaleko mecz, muszę wziąć rzeczy. Co się tu dzieje?

Maria posłała mu szelmowski uśmiech, a potem ni mniej, ni więcej tylko mrugnęła do niego. Fajnie widzieć, jak nie wie, co z sobą zrobić.

– To jest Maria Gonzales...

– Garcia.

– Przepraszam, Garcia. Wylicytowała lekcję układania kwiatów na aukcji w Harbor.

– Rozumiem.

– Pamiętasz Marię z Brown Brothers?

– Tak... dzień dobry.

– Pracowałam tam, dopóki nie znalazłam sobie bogatego mi-
siaczka. Dobrze o mnie dba. – Przeszyła go przebiegłym spojrze-
niem.

– Jak cudownie – powiedziała szczerze Cordelia. Pomyślała, że
to dobrze, iż natura obdarzyła ją urodą –

dzięki temu znęciła mężczyznę, który się nią zajmuje; dziew-
czyna prawdopodobnie wydostała się z latynoskiego getta.

Morgan od miesięcy nie widział tak rozweselonej żony. Co tu się,
u licha, dzieje?

– Cordelio, naprawdę muszę z tobą porozmawiać. Te -raz.

Cordelia widziała, że coś jest nie w porządku. Maria wstała.

– Ja już chyba pójdę. Dzięki za lekcję, Cordelio. Może zjemy kie-
dyś razem lunch?

– Byłoby fantastycznie!

Morgan aż się gotował. Popatrzył z wściekłością na Marię, gdy ta
wychodziła, i czekał niecierpliwie na przyjazd windy. Kiedy upew-
nił się, że odjechała, odwrócił się gwałtownie do żony:

– O co chodzi? – zapytała.

– Nie podoba mi się ta kobieta. Nie chcę, żebyś się z nią więcej
spotykała.

– Dlaczego nie?

– To złodziejka. Okradła firmę i ją wylano. I kłamie. Nie ufaj jej.

– Wydawała się czarująca.

– Nie daj się jej oszukać. Nigdy się z nią więcej nie spotykaj, ro-
zumiesz?

– Tak, kochanie. W porządku.

– Dobrze. Gdzie moja torba sportowa? Muszę iść na mecz.

Jeżeli Morgan miał jakiegokolwiek wątpliwości, to rozwiały się,
kiedy zobaczył Marię w swoim mieszkaniu. Jej niegodziwe, szyder-
cze miny zza pleców jego wspaniałej żony sprawiły, że uczucia, któ-

re kiedyś do niej żywił, zniknęły – to okropna manipulantka, podstępna mała ulicznica. I może zniszczyć cały jego świat. Bezczelność. Przyszła do jego domu – przekroczyła granicę, weszła do sfery sacrum, do miejsca, w którym śpi żona i wychowywały się jego dzieci, na litość boską! Przeszarżowała.

Godzinę później na odkrytym boisku w Battery Park Morgan chodził w tę i z powrotem, patrząc, jak jego oddech zamienia się parę. Na ramieniu miał torbę z logo Brown Brothers i gdy spoglądał na przechodniów, zastanawiał się, co by sobie pomyśleli, gdyby mieli dar jasnowidzenia i zobaczyli stosy gotówki, które leżały w torbie zamiast ubrania do sąuasha. Czy rozpozna tego mężczyznę? W nocnym klubie było ciemno. Wszystkie twarze miały czerwonawą poświatę – nawet jego syn wyglądał inaczej. Morgan zatrzymał się w pół kroku i spojrział na zegarek. Niech to. Co on sobie myśli? Odwrócił się i ruszył do biura, ale znowu zastygł. Cordelia. Co z nią? To ma im pomóc, ich małżeństwu – ona nie zasługuje na to, co się dzieje. Nic dziwnego, że jest taka samotna; on już dawno wyłączył się z ich życia. Maria jest zbyt niebezpieczna, żeby pozwolić jej dalej działać.

Zbliżył się przypominający bandziora znajomek z klubu.

– Hej.

– Hej.

Skrzywiony Morgan wręczył mu torbę. Czy to naprawdę jego życie?

– Proszę się nie martwić – pocieszył go mężczyzna w sięgającym do ziemi skórzanym płaszczu z paskiem. – Robi pan właściwą rzecz. Życie jest zbyt krótkie, żeby zajmować się takim gównem. A jej jeszcze krótsze – zaśmiał się.

Morgan tylko się wzdrygnął.

– Wpadłem w obłąd. Ona doprowadziła mnie do obłądu.

– Musi pan ratować siebie i całe swoje życie. – Gdy mężczyzna poruszył ramionami, słychać było chrzęst skóry i Morganowi zebrało się na wymioty. – Nie chce pan, by ta suka naprzykrzała się i groziła za dwadzieścia lat, prawda?

– Nie, kocham moją rodzinę. Muszę ich chronić. Moja żona... ja... zrozumiałem teraz, że kocham ją ponad wszystko.

– Więc wie pan, że to słuszna decyzja. Ta suka, z którą pana widziałem, myśli tylko o pana pieniądzach. No, bez obrazy, jest pan przystojnym facetem i tak dalej, ale gdyby był pan aptekarzem w Passaic, w życiu nie rozłożyłaby nóg. Wie pan, o co mi chodzi?

– Chyba tak.

– Ta suka ma dolary w oczach. Jak na kreskówkach.

– Całkiem mnie wykorzystała – zgodził się Morgan. – Zrobiłem okropny, okropny błąd w ocenie sytuacji. Moment słabości, a teraz to po prostu wyrwało się spod mojej kontroli. Prawie zniszczyłem sobie życie. Moja żona nie może przeze mnie cierpieć. Po prostu nie mogę jej tego zrobić.

– Niech ta suka cierpi.

– To nie... będzie bolało, prawda? – Morgan przypomniał sobie jej rozwarłe nogi i przeszywające wrzaski, kiedy rodziła się ich córka. Echo tych krzyków nadal go prześladowało. Najwyraźniej ma zerową tolerancję na ból.

– Nawet się nie zorientuje.

Morgan pokiwał głową i stał w milczeniu.

– Widziałem już takie sytuacje jak ta. – Mężczyzna przewiesił torbę przez ramię. – Jeżeli się tego nie załatwi, zrobi się zbyt duży bałagan, żeby sobie z nim poradzić...

– ...i wszystko wyjdzie na jaw.

– I wtedy wszyscy na tym stracą.

Zasłony z surowego jedwabiu były dokładnie zaciągnięte, a urządzenie tłumiące szumem inne dźwięki włączone na najwyższe obroty. Taca od Georga Jensena z udekorowanym koprem łososiem z wody w warzywach spryskanych octem balsamicznym, garnirowanym kozim serem i prażonymi migdałami, stała nie tknięta koło szczelnie zamkniętych drzwi. Przy łóżku leżał stos rozrzuconych europejskich magazynów mody (amerykańskie były zbyt bolesne) i nie przeczytanych powieści Judith Kranz. Ale Melanie wszystko zignorowała. Cierpiała katusze i nie była w stanie stawić czoła światu; leżała w morelowym peniuarze w pościeli marki Porthault i wpatrywała się w sufit. Trwała w tym odrętwieniu przez cztery dni, od czasu kiedy przeczytała ów artykuł. I planowała nie przerywać tego stanu, dopóki magazyn nie zniknie z półek. Jeszcze trzy dni. Ale co z półkami pamięci? Tam nie krążą ciężarówki wywożące to, co nowojorczyści już przeczytali. Słowa o mocy elektrowstrząsów już wryły się wszystkim w świadomość, zapisując ją w rocznikach skandalu na wieczność.

Odczuwała całą gamę emocji i przeżywała je w różnych odstępach czasu. Po pierwsze – prześladowanie. Jak to możliwe?

Czemu wszyscy są przeciwko niej? Bo jest młoda? Bo jest piękna? Ponieważ jest z Florydy? Czy ci ludzie naprawdę sądzą, że są tacy

świetni, bo ich przodkowie załapali się na wcześniejszy statek do Ameryki niż jej? To absurdalne.

Po drugie – upokorzenie zmieszane z paranoją. Co myślą Lut-zowie, Vance'owie? Co myśli Diandra? I – och, Boże! – co myśli pan Guffey?

Po trzecie – wyrzuty sumienia. Dlaczego musiała się popisywać, rzucać nazwami? Dlaczego tak starała się zrobić na wszystkich wrażenie? Dlaczego musiała upokorzyć ukochanego Arty ego?

I wreszcie zniechęcenie. Bo z pustym terminarzem, pocztą pozbawioną zaproszeń i milczącym telefonem była pozostawiona samej sobie.

Wróciła myślami do innego, jeszcze bardziej upokarzającego wydarzenia z jej życia. Miała szesnaście lat i nie należała do „wyluzowanej grupy”, składającej się głównie z najbogatszych dziewczyn w najlepszych strojach. Pewnego ranka ich liderka Sandy St. John, której tata był dealerem Toyoty i która przewodniczyła cheerleaderkom, wstała i napisała na tablicy: „Oto lista osób, których nienawidzę” A pod spodem tylko jedna linijka: „Melanie Sartomsky: wieśniara”. Melanie nigdy nie wiedziała, czemu tamta tak ją potraktowała. Tak samo czuła się dzisiaj.

Gdy tak przewracała się z boku na bok, a przez głowę przebiegały jej wszelkie możliwe scenariusze, rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Tak? – zapytała rozdrażniona. Czy „proszę nie przeszkadzać” nie oznacza „idź w cholerę”?

– Przepraszam, proszę pani, ale, za pozwoleniem, chciałbym chwilę porozmawiać.

To Guffey. Cholera. Jego szczególnie unikała. Wiedziała, że go zawiodła. Jak zła uczennica, która nie zważała na to, czego ją uczył, i wyleciała ze szkoły.

– To naprawdę nie najlepszy moment, panie Guffey.

– Bardzo przepraszam, ale zmuszony jestem pilnie z panią pomówić.

Melanie westchnęła. Wiedziała, co się szykuje, i nie miała siły tego wysłuchiwać.

– Dobrze, może pan wejść – zawiązała szlafrok.

Pan Guffey otworzył drzwi i rozejrzał się po zabałaganionym pokoju. Widziała po jego oczach, że wzdrygnął się, ale jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Proszę o wybaczenie. Wiem, że nie najlepiej się pani czuje. Chodzi o to, że zaszło coś raczej naprawdę nagłego i muszę panią o czymś poinformować.

– Och? Co się stało?

– Nie będę pani zawracać głowy nieistotnymi szczegółami, jako że to dość trywialna sprawa, ale jestem zmuszony poprosić o udzielenie mi urlopu, od zaraz. – Zamilkł i czekał na reakcję Melanie.

Więc to tak – pomyślała – kiedy wszystko się wali, nawet kamerdyner się wynosi. Jej własny pieprzony służący odwrócił się od niej. Ale czy można mieć o to do niego pretensje?

Chociaż głos uwiązł jej gdzieś w krtani, zdołała wykrztusić:

– Mogę zapytać dlaczego?

– To naprawdę dość banalna sprawa, więc wolałbym pani tym nie kłopotać, bo jestem świadomy, iż ma pani ostatnio własne... zmartwienia.

– Rozumiem.

Melanie podniosła się. Podeszła do toaletki i zmrużyła oczy. Założyłaby się o wszystko, że ten pedzio popędzi galopem do Palm Beach, żeby rządzić służbą Diandry. Powinien jej przynajmniej wy-

baczyć. Ludzie popełniają błędy. Jego odejście to zdrada. To pieprzony Benedict Arnold⁶.

– Dobrze, panie Guffey. A jak długo ten... urlop ma potrwać?

– Niestety nie jestem w stanie tego określić. Bardzo przepraszam, ale są pewne sprawy, które wymagają, aby się nimi zająć, i nie wiem, jak bardzo skomplikowane będzie ich załatwienie.

– Tak, tak. – Melanie nalała sobie wody z karafki stojącej przy łóżku. – Sprawy. Tak. Ważne sprawy mogą zabrać dużo czasu.

Pan Guffey uniósł brwi.

– Być może, proszę pani.

– Dobrze, Guff. – Melanie przełknęła odrobinę wody. – Niech pan jedzie. Daję panu tyle czasu, ile będzie potrzeba. Poradzimy sobie tutaj. Ja i cała reszta.

Pan Guffey chciał powiedzieć coś więcej, ale rozumiał, że to nie jest najwłaściwsza pora.

– Dziękuję, proszę pani. – Skłonił się lekko i opuścił pokój.

I tyle, pomyślała Melanie. Jeżeli kamerdyner ucieka z jej życia dotkniętego skandalem, cała ta sytuacja zamieniła się w turecki sitcom. Dość obijania się w koszuli nocnej – musi wyjść i zaczerpnąć świeżego nowojorskiego powietrza.

Godzinę później Melanie dziarsko maszerowała Second Avenue, oglądając wystawy Banana Republic i Gap. Była w okularach przeciwsłonecznych i wiedziała, że w tej okolicy (na wschód od Lexington Avenue) nikt jej nie pozna.

Dobrze jest wyjść. Arty – który natychmiast jej przebaczył, gdy tylko uroniła pierwszą łzę – błagał ją od kilku dni, żeby wróciła do

⁶ Benedict Arnold – generał, który za dwadzieścia tysięcy funtów chciał poddać Anglikom West Point. Jego nazwisko do dziś jest synonimem zdrajcy.

normalnego życia, ale się opierała. Teraz jest do tego gotowa po przejściu przez cztery stadia rozpacz, jak i po zużyciu trzech pudełek eleganckich chusteczek nasączanych kremem nawilżającym. Już wypłakała wszystkie łzy. Jest zahartowana i silna. Przynajmniej silniejsza. Była w nastroju: „do diabła z tym” Spacerowała prawie dwie godziny i skierowała się do domu.

Gdy skręcała do swojego budynku, przysięgłaby, że zobaczyła Reginę Bates wchodzącą pod markizę. Ale kiedy Melanie znalazła się w westybulu, nigdzie nie było jej widać.

– Luca, czy to była Regina Bates?

– Tak mi się zdaje, proszę pani – odpowiedział portier. Wziął podkładkę do pisania i przejrzał listę. – W rzeczy samej, proszę pani, Regina Bates.

– Do kogo poszła?

– Do pani Aldrich, proszę pani.

– Och, mój Boże! – Melanie natychmiast zdała sobie sprawę, że popełniła straszny błąd. – Proszę, pozwól mi zobaczyć tę listę, Luca, bo jeżeli to jest to, o czym myślę, to wdepnęłam w wielką psią kupę.

Luca wręczył jej podkładkę i Melanie szybko przebiegła wzrokiem wszystkie nazwiska: Joan Coddington, Cordelia Vance, Eve Masterson... i tak dalej.

– To Komitet do spraw Zwalczenia Dyżenterii.

– Nie jestem pewien, proszę pani. Wiem, że to jakieś spotkanie u pani Aldrich. Taa, coś z dobroczynnością...

– Ja jestem w tym Komitecie! – wpadła mu w słowo Melanie. – Musiałam nie dostać wiadomości, kiedy byłam chora!

Luca nie za bardzo wiedział, co powiedzieć.

– Och, proszę pani.

– To gorzej niż żenujące, Luca. Na którym piętrze mieszka Leslie Aldrich?

– Na piątym, proszę pani.

– Powinnam natychmiast udać się na górę.

– Oczywiście, proszę pani.

Melanie spojrzała na swój strój. Była ubrana kompletnie nieodpowiednio na spotkanie komitetu, ale jeszcze bardziej upokarzające byłoby się na nim nie pojawić.

– Czy wyglądam dobrze? – zapytała Luce, zdesperowana.

– Tak, proszę pani – wyjąkał zaskoczony. – Wspaniale. Podeszła do windy i poprosiła Freda, starszego portiera,

żeby wcisnął guzik z numerem pięć. Spełnił polecenie. Kiedy drzwi otworzyły się na błyszczący hol, Melanie przeszła po marmurowej posadzce i nacisnęła dzwonek.

Leslie Aldrich otworzyła drzwi z promiennym uśmiechem, który natychmiast zgasł, gdy tylko zobaczyła Melanie.

– Melanie!

– Tak mi przykro, Leslie. Nie mogę uwierzyć, że się spóźniłam. Wiesz, że szczycę się punktualnością. Jakoś nie trafiła do mnie twoja wiadomość.

– Och, cóż, Melanie, widzisz, to bardzo niezręczna sytuacja.

Melanie poczuła, że się czerwieni.

– Ee... och. Czyli to nie jest spotkanie w sprawie balu na rzecz zwalczania dyzenterii?

Leslie miała rozbiegane spojrzenie, jakby nie była pewna, czy skłamać, czy powiedzieć prawdę. W końcu ramiona jej opadły i westchnęła:

– Cóż, tak...

– Chyba nie rozumiem.

– Cóż, widzisz... – spojrzała prosząco, ale Melanie była nadal zdezorientowana. Leslie odchrząknęła. – Nie zostawiłam ci wiadomości.

Zaskoczona kobieta nadal nie kojarzyła, o co chodzi.

– Jestem członkinią Komitetu do spraw Zwalczania Dyzenterii, prawda?

– Cóż...

– Czasem te choroby mi się mylą. To znaczy wiem, że wszystkie są poważne i ważne, ale można się troszkę pogubić. Tak czy inaczej... – Przestań gadać, Melanie. Nienawidziła tego swojego słowotoku. Spojrzała na Leslie, która milczała i nie wyglądała na rozba-
wioną.

– Melanie – westchnęła Leslie teatralnie. – W kwestii twojej roli w komitecie. Zostałaś zwolniona.

– Zwolniona?

– Melanie, to... – Leslie popatrzyła błagalnym wzrokiem, mając nadzieję, że Melanie będzie na tyle taktowna, iż zrozumie i odejdzie. Ale ta nadal wpatrywała się w nią. – Widzisz, to nie była moja decyzja. Ale nie będziemy cię już potrzebowali w komitecie.

– Och. – Serce jej zamarło i odczuwała zawroty głowy. Zaczęła cofać się do windy i nie odwracając się, nacisnęła guzik. Chciała jak najszybciej wydostać się z tego holu.

– Och, Melanie, tak mi przykro. Ale miałam związane ręce. Naprawdę nie chciałam cię wykluczać.

Oszołomiona Melanie skinęła głową, aż w końcu dotarły do niej słowa Leslie.

– Miałaś związane ręce? Przez kogo? Jesteś przewodniczącą komitetu koordynacyjnego.

– No tak, ale... – Leslie nerwowo gryzła paznokcie. – To wszystko jest naprawdę głupie i wiem, że samo się rozwiąże. O nic się nie martw. To po prostu naprawdę niezręczna sytuacja...

– Cóż, jaka sytuacja?

Wyglądało na to, że Leslie wolałaby skoczyć z klifu, niż ciągnąć tę rozmowę.

– To sponsorująca nas firma – powiedziała w końcu. – Nie wiem dlaczego, ale nie życzą sobie, żebyś się dłużej angażowała w ten bal. To takie infantylne...

Jakie to upokarzające! Jakież firmy chcą się od niej odciąć? Ten artykuł z «Observera» z każdą minutą przynosi coraz więcej szkód. Czy kiedyś, do cholery, to się skończy? W momencie gdy pod Melanie uginały się nogi, otworzyły się drzwi windy.

– Na górę? – zapytał Fred.

– Tak – odpowiedziała Leslie.

Melanie zrobiło się niedobrze i już miała wejść do windy, kiedy coś się jej przypomniało.

– Leslie, czy to nie Frothingham's jest naszym sponsorem?

– Tak.

– Uff! Bo jesteśmy świetnymi klientami. Jestem pewna, że jak to tylko sobie skojarzą, nie będzie żadnego problemu.

– Nie, Melanie. Oni dokładnie wiedzą, kim jesteś.

– I powiedzieli, że nie chcą, abym brała udział?

– Coś w związku z ostatnimi... no wiesz, wydarzeniami prasowymi. Nie chcą być... uwikłani w żaden skandal.

– Frothingham's nie chce skandalu? – Melanie niemal się zaśmiała. – Czyż ich przewodniczący i prezes nie siedzą właśnie w więzieniu? W tej firmie roi się od przestępców! Ale to ja, która pojawiłam się w jednym, tycim, umniejszającym mnie artykule w lokal-

nym tygodniku, jestem tą osobą, z którą nie chcą być kojarzeni? Daj spokój, Leslie, zgodzisz się ze mną, że to absurd.

– Mają swoje standardy korporacyjne... Melanie, zszokowana, pokręciła głową.

– No bo podnosiłam moją tabliczkę w ich domu aukcyjnym więcej razy niż Venus Williams uderzyła z woleja na kortach Wimbledonu! To naprawdę absurdalne.

– To nie jest idealna sytuacja, ale jak powiedziałam, Melanie, mamy związane ręce. Nie chcą cię w Komitecie. – Leslie przestąpiła z nogi na nogę. Kurczowo przytrzymała drzwi swojego mieszkania, jakby Melanie miała zamiar mimo wszystko wdrzeć się na spotkanie.

– To naprawdę przykre. Mogłabym zrobić wiele wspaniałych rzeczy, żeby pomóc wyeliminować dyzenterię.

– Następnym razem. – Leslie zamknęła drzwi. Melanie weszła do windy. Fred bez słowa wcisnął guzik.

W czasie jazdy panowała niezręczna cisza. Melanie wiedziała, że portier wszystko słyszał. Świetnie, teraz obsługa domu będzie śmiać się z niej za plecami. Fred zerkał na nią z ukosa, jakby chciał coś powiedzieć. W końcu nie wytrzymał:

– Wie pani co, pani Korn? Niech się pani nie przejmuje tymi skąpiradłami. Państwo jesteście najmilszymi osobami w całym budynku. Dzięki waszemu prezentowi gwiazdkowemu zabrałem całą rodzinę do Disneylandu.

Melanie spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Życzliwość zawsze przychodzi z najmniej spodziewanej strony.

– Dzięki, Fred – powiedziała, wysiadając na swoim piętrze.

41

– Zatrzymaj windę! – krzyknął Drew Vance, kiedy już się zamykała.

Biała dłoń z długimi szczupłymi palcami pianistki owinęła się wokół krawędzi drzwi, żeby je zablokować.

– Dzięki. – Drew wszedł do środka.

– Nie ma problemu – odpowiedziała Lila Meyer.

– Przepraszam, myślałem, że to portier.

– Wpuścił mnie.

– Hej, ja cię znam. – Drew przekrzywił głowę. Jasnoniebieskie oczy zamrugały dwa razy, jakby starał się coś sobie przypomnieć. – Jesteś siostrą Jimmy ego Meyera.

– Lila.

– Świetnie. Jak tam Jimbo? Nadal w Georgetown? – Drew wcisnął guzik z numerem swojego piętra.

– Nie, już skończył. Pracuje w kancelarii jakiejś agencji w L.A.

– Super. Hollywood go zawsze kręciło.

– Wiem.

– A do kogo się wybierasz? – Drew spojrzał uważnie na panel.

– Dziewiąte. Olivia Weston?

– Tak.

– Bomba. To pisarka, tak?

– Tak. No, napisała jedną powieść.

– Jedną więcej niż ja – zaśmiał się.

Spojrzał na Lile. Zdecydowanie lasencja, chociaż ma już ze trzydziestkę. Naprawdę szczupła, w typie: „jestem bogata, więc muszę się zagłodzić”. Żadnych cycków, o których warto by wspominać. Ale twarz niezła i długie kasztanowe włosy. W dodatku ładnie pachnie.

Lila z kolei przyglądała się Drew. Jest w wieku jej brata, czyli jakieś dwadzieścia dwa lata. Od razu widać, że podrywacz, przyzwyczajony dostawać to, czego chce. Idealnie zagrał, ta przekrzywiona głowa, długie gęste rzęsy i ta idiotyczna czapka z pomponem. Tylko naprawdę przystojny chłopak może nosić takie nakrycie głowy. Zdecydowanie pewny siebie. I naprawdę wysoki.

Winda zatrzymała się niespodziewanie na piątym piętrze, a kiedy otworzyły się drzwi, do środka, szurając nogami, weszła pani Cockpurse w różowym szlafroku frotte i puchatych kapciach.

– Ach, pani Cockpurse, nie jestem pewien, czy pani chce wejść do windy – powiedział Drew.

– Tak, chcę! – odwrzasnęła.

Nacisnęła po kolei wszystkie guziki na panelu.

– Chce się pani zatrzymywać na każdym piętrze? No, niech pani nie żartuje.

Lila przytrzymała drzwi, a Drew próbował delikatnie skierować panią Cockpurse z powrotem do holu.

– Zabierz ode mnie swoje brudne łapy! – warknęła i chwyciła się drzwi windy, jakby to była kamizelka ratunkowa.

– Pani Cockpurse, gdzie pani chce iść? – zapytał Drew.

– Chcę stąd zwać!

– Ale nie może pani...

– Czemu, do cholery?! – krzyknęła.

– Ponieważ jest pani w szlafroku.

– No to co? Muszę uciec od tego obłąkanego lekarza! Ten wariat chce mi zrobić lewatywę. Powiedziałam mu, żeby sam ją sobie wsadził w tyłek!

Drew nie mógł powstrzymać uśmiechu. Odwrócił się do Lili i uniósł ramiona, jakby pytał: „Co możemy zrobić?”. Odwzajemniła uśmiech i również wzruszyła ramionami.

– Proszę mi powiedzieć, pani Cockpurse, czy ktoś jest w domu?

– Tylko ten obłąkany lekarz. Ten obłąkany na punkcie tyłków lekarz!

Drew wszedł do holu i nacisnął dzwonek.

– Jestem pewien, że jakoś sobie z nim poradzimy.

– Powiedz mu, żeby się odczepił od mojego tyłka!

Otworzyły się drzwi i w progu stała ważąca dziewięćdziesiąt kilo pielęgniarka w białym stroju. Skrzyżowała ramiona i pokręciła głową.

– A, tu pani jest, pani Cockpurse. Wszędzie pani szukamy – strofowała ją.

– Chciała uciec od lekarza. ~ Drew prowadził panią Cockpurse za rękę do pielęgniarki.

– Doktor już wyszedł, kochana. Nie ma się czym przejmować.

– Powiedz mu, żeby się trzymał ode mnie z daleka! Pielęgniarka przewróciła oczami do Drew, gdy wracał do windy.

– Dzięki.

Kiedy drzwi zamknęły się, Lila i Drew wybuchnęli śmiechem.

– Rany, ale świruska – powiedziała Lila.

– No. To właściwie smutne. Zwariowała, kiedy zmarł jej mąż. Był naprawdę miły, dawał najlepsze w całym budynku sołdycze na Halloween. A ona po brzegi wypełniała pudełka, z którymi przy

okazji kwestowaliśmy na UNICEF. Winda stanęła na szóstym piętrze.

– Chyba będziemy się teraz zatrzymywać na każdym – zauważyła Lila.

– Na to wygląda. Portierzy powinni blokować piętra, żeby nie można się było na nie dostać, ale zazwyczaj im się nie chce.

– Taa.

Zapanowała cisza.

– Mam nadzieję, że się nie śpieszysz. – Drew patrzył jej w oczy. Dziewczyny miękły, kiedy tak robił.

– Nie, nie. Mam tylko przeczytać fragmenty nowej powieści OUVii.

– Świetnie – powiedział, gdy winda zatrzymała się na siódmym.

– Taa, ale nie bardzo mi się chce. Nie jestem w nastroju. Ale wiesz, to przyjaciółka.

– Jasne – Drew uśmiechnął się ironicznie.

Oboje spojrzeli na panel i przyglądali się, jak zapalają się numery kolejnych pięter, w miarę jak winda wznosiła się. Popatrzyli na siebie z uśmiechem.

– Wiesz – Drew zaczął przysuwać się wolno do współuwięzionej. – Znam dobry sposób na uniknięcie nudy.

– Tak? – uśmiechnęła się kokieteryjnie.

– Hmm. – Spojrzał w dół. Nacisnął guzik stop.

Lila była przestraszona, ale kompletnie upojona, i czuła, jak wali jej serce. Nachylił się ku swej zdobyczy, chwycił ją i pocałował, mocno przyciskając do ściany windy. Była w niebie. Rany, ten facet to przecież jeszcze dzieciak. Co ona robi? Cokolwiek to jest, nie przestawała.

Wyczerpana Lila, po pierwszym w jej życiu seksie na stojąco, wciągnęła w płuca haust powietrza, a Drew wcisnął guzik, żeby winda znowu ruszyła w górę. Następne piętro było jego.

– Chcesz... wejść?

Bez słowa przeszła za nim przez okazały apartament do jego pokoju. Wyglądało, jakby dział urządzania wnętrz został wycięty z imperium Ralpa Laurena i wklejony tutaj. Naprawdę niewiarygodna reprodukcja – ciemnozielone ściany, olbrzymie łóżko z ciemnego drewna, zdjęcia w srebrnych ramkach, skórzany fotel, grafiki Audubona, tweedowe kapy.

– Jezu, czy to sam Ralph urządził ci pokój? – zapytała Lila.

– Nie miał z tym nic wspólnego. Moja mama to wszystko zrobiła.

Ponownie się na nią rzucił. Padli na wyłożone poduszkami łóżko i kochali się po raz drugi. Kiedy skończyli, oboje milczeli.

– Mogę tu zapalić? – zapytała.

– Jasne. – Drew podsunął jej popielniczkę z kilkoma niedopałkami.

Lila wyjęła z torby paczkę marlboro i zapalniczkę, zapaliła. Kiedy strząsała popiół, zauważyła, że na jednym z niedopałków są ślady szminki.

– No to co robisz, Drew?

– Co masz na myśli?

– Chodzi mi o to, czy skończyłeś studia. Pracujesz?

– Och, masz na myśli utrzymanie się – posłał jej uśmiech.

Podszedł do komody i wziął napoczętą torbę chrupek Cheez Doodles. Zaczął pogryzać, przerwał, żeby się przeciągnąć i szeroko ziewnąć. Pomasował idealnie umięśniony brzuch.

– Tak, skończyłem studia. I tak, pracuję. Na pół etatu w funduszu inwestycyjnym prowadzonym przez przyjaciela rodziny.

– Gdzie chodziłeś do college'u?

– Middlebury.

– No i co, nie planujesz pracować na pełny etat? To dla ciebie za dużo?

– Tak, któregoś dnia planuję przejść na pełny etat – klapnął na łóżko i poczęstował ją chrupkami.

– Nie, dzięki – machnęła ze wstrętem ręką, jakby proponował jej bombę al-Kaidy.

– Daj spokój, nie zaszkodzą ci!

– Proszę, niedobrze mi się robi.

– Naprawdę? Mnie smakują – wepchnął kilka do ust.

– Więc ty się tak... co? Obijasz?

– Nie, nie obijam się tak. Jeju, nie jesteś przypadkiem z hiszpańskiej inkwizycji? – uśmiechnął się. Strzepnął pył o smaku sera z pomarańczowo zabarwionych palców. – Idę do wojska.

– Ha, ha! – Lila włożyła stanik.

– Albo do straży wybrzeża, nie jestem pewien.

– Daj spokój, serio. Co zamierzasz w życiu robić?

– Boże, mówisz jak moja matka! Lila spojrzała na niego krzywo.

– Okay, w styczniu jadę na Florydę, żeby zrobić licencję pilota.

– Chcesz być pilotem?

– Nie, ale postanowiłem mieć licencję. Mamy samolot i chcę nim latać.

– Nie możesz tego zrobić gdzieś na Long Island?

– Ja będę latał tymi wielkimi, mała! Pasażerskimi! W razie niebezpieczeństwa Drew Vance przybywa na ratunek! – Wstał i uderzył się w pierś jak superbohater.

Lila spuściła nogi z łóżka i zaczęła wkładać spódnicę.

– A potem co?

– A potem... – teatralnie zawiesił głos – ...nie wiem. Lila wstała i zapięła pasek.

– Cóż, powinieneś o tym pomyśleć.

– Czemu?

– Bo powinieneś. – Przeszła przez pokój i użyła jego szczotki do włosów. Zastanawiała się, ile dziewczyn przed nią zrobiło to samo.

– Tak, mamo.

Odwróciła się i popatrzyła na niego przenikliwie.

– Cóż, powinnam iść. Olivia będzie się zastanawiać, gdzie się podziałam.

– Okay.

Lila milczała i nadal mu się przypatrywała. Co teraz?

– No, to chyba do widzenia.

– Odprowadzę cię. – Drew otworzył drzwi pokoju.

Lila wzięła płaszcz, torebkę i ruszyła za chłopakiem, który był tylko w bokserkach, na korytarz. Zaprowadził ją do drzwi frontowych i otworzył je.

– Więc... – zaczęła.

Nachylił się i cmoknął ją zdawkowo w policzek.

– Jesteś wspaniała.

Lila nie była pewna, co zrobić, ale w tym momencie otworzyły się drzwi windy i wysiadła z niej pani Vance.

– Cześć, mamo! – Drew szeroko otworzył ramiona.

– Cześć, kochanie. – Cordelia ucałowała syna.

Drew wziął od niej paczki. Cordelia spojrzała na jego bokserki, a potem na Lilę.

– Mamo, to jest Lila. Przyjaciółka Olivii Weston.

– Miło mi poznać. – Cordelia wyciągnęła rękę. Lila była zażenowana. Uścisnęła jej dłoń.

– Miło mi panią poznać, pani Vance. Muszę uciekać.

– Wskoczyła do windy, zanim zamknęły się drzwi.

– Pa! – zawołał Drew.

– Pa – to było wszystko, na co zdobyła się Lila. Przez cały czas, który spędziła u Olivii, Lila była w stanie

myśleć tylko o Drew. Na szczęście przyszła też Rosemary i dzięki jej nieustannej gadaninie nie musiała nic mówić i mogła trwać w zamyśleniu.

Więc on jest tylko osiem lat młodszy, zastanawiała się. Nie tak wiele. Madonna jest dziesięć lat starsza od Guya Ritchiego. Goldie Hawn i Kurta Russella też dzieli jakieś osiem lat. To nie takie rzadkie. Jest zdecydowanie kobieciarzem, ale może odpowiednia dziewczyna...?

Drew natomiast nie zaprzętał sobie głowy Lilą. Ale wiedział, że ona o nim myśli. Był świadomy swojej władzy: jest przystojny, ma pieniądze i czarującą osobowość. A przede wszystkim rozgryzł dziewczyny. Uwielbiają złych facetów – chcą ich ujarzmić. To dla nich rodzaj zabawy, a wszystkie czują się na tyle wyjątkowe, żeby zostać tą jedyną. Nauczył się tego od Georgea Clooneya i jego kuzynki Eleanor. Kiedy George – jak go nie uwielbiać! – ogłosił, że nigdy ponownie się nie ożeni, sprawił, iż każda dziewczyna w Stanach zakochała się w nim. Eleanor zalewała się łzami przez całe tygodnie (jakby miała jakieś szanse!). Ale teraz George ma więcej lasek niż ktokolwiek w Hollywood, bo każda dziewczyna uważa, że to ona będzie tą, przez którą zmieni zdanie. No, po prostu pieprzony geniusz. Drew nie planował ustatkować się przed skończeniem trzydziestu pięciu albo czterdziestu lat. Po co? Życie jest piękne.

Melanie Korn przebywała oficjalnie na wygnaniu. Kiedy nie ukrywała się w apartamencie, w którym czuła się jak w więzieniu (choć większość osób dałaby się pokroić za taką celę), zaszywała się w miejscach, w których nie powinna na nikogo wpaść. Bywała tam, gdzie za nic w świecie nie pokazałby się nikt z jej znajomych: atrakcje turystyczne, kina, Liberty Island, Upper West Side. Postanowiła zrezygnować z rzucającego się w oczy bentleya i wybrała samotne piesze wycieczki przez park. Nosila za duże okulary przeciwsłoneczne w stylu Jackie O., a podczas sporadycznych napadów skrajnej paranoi godnej Garbo – apaszkę od Hermesa na głowie. Mijały dni, tygodnie i ostry, przesywający wstyd zamienił się prawie w tępy znajomy ból – w ból, z którym dorastała – dobrze znany brak pewności siebie.

Często szła ulicą i wypatrywała matron, które zameldowałyby o tym, co zobaczyły (jej wygląd, strój itd.), całemu towarzystwu rezydującemu w restauracji Swifty's. Kiedy widziała jedną z tych kobiet, spokojnie wpadała do pierwszego lepszego sklepu czy bistro i w efekcie przez przypadek odkryła wiele nowych miejsc. Na przykład: małe centrum odnowy biologicznej, kiedy postanowiła zrobić sobie pedikiur bez strachu, że jakaś wiedźma z socjety zasiądzie na skórzanym tronie koło niej. I choć trudno w to uwierzyć, ta mała kore-

ańska panna Nikt, która wycinała jej skórki, była właściwie lepsza niż Mila w salonie Federica Fekkai. Kto by pomyślał? Innym razem wydawało jej się, że dostrzegła Pamelę Baldwin na Columbus Avenue (musiała jechać po syna do Collegiate), więc skręciła do awangardowej galerii sztuki z rumuńskimi przedmiotami z brązu, które były nawet dość oryginalne. Melanie kupiła dziewięć, ale potem przemyślała ten zakup i sprezentowała je Juanicie.

Pewnego popołudnia postanowiła obejść Midtown i zobaczyć, jak wygląda świat na południe od Fifty-seventh Street. Przechodziła przez Thirty-fourth Street i nagle zobaczyła Maggie McSorley, członkinię zarządu Met, idącą w jej kierunku. Zanim zdążyła się zastanowić, co, u licha, taka kobieta robi w krainie Denny's i Dunkin Donuts, skręciła w wielkie drzwi obrotowe Empire State Building. Z ulgą, że w ostatniej chwili uniknęła spotkania, przeszła przez marmurowy hol, koło ochrony do majestatycznych wind. Stała w kolejce – incognito – całą wieczność i jak zombi weszła za tłumem na zatłoczony taras widokowy.

Ojej. Ta roziskrzona panorama rozciągająca się przed nią naprawdę budziła podziw. Widziała wszystko. Niesamowite. Melanie nawet wrzuciła kilka ćwierćdolarówek do teleskopu i znalazła swój apartament. Kto by pomyślał, że ten Empire State Building jest taki świetny?

Upajała się wywołującym gęsią skórkę widokiem kolazu dachów i samochodów o rozmiarach pchły. Minęła godzina. Stała tam z zaczerwienionymi oczami, myśląc o tych wszystkich odbywających się tu filmowych pocałunkach, które widziała na ekranach Floridian Mall Mutiplex. Przez te uściski Nowy Jork kusił, zupełnie jakby obiecywał romans i ucieczkę każdemu, niezależnie od tego, kim jest i skąd pochodzi.

– Melanie? O mój Boże! Czy to ty?

Nagle z zamyślenia wyrwała ją podniszczona blondwłosa mama trójki dzieci, która patrzyła na nią pytająco. -Tak.

– Wiedziałam! Cześć, to ja, Sandy! Sandy Braddock! Z domu Sandy St. John? Nie widziałam cię od czasów liceum!

– Och, tak, jasne, oczywiście.

Sandy St. John. Dawna nemezis Melanie, która zamieniła jej życie w piekło. Ta, która przewodziła paczce przyjaciół i przekonywała wszystkich, że Melanie to wielka dziwka z małego osiedla domów na kółkach. Dzisiaj role odwróciły się. Oto Melanie, obwieszona biżuterią i wyglądająca... cóż, rewelacyjnie.

Melanie przyjrzała się koleżance z klasy. Co jest w tych licealnych znajomościach, że zawsze ciągną człowieka za plecak z powrotem do szkolnego korytarza? Zupełnie jakby te dwadzieścia lat, które od tego czasu minęły, nigdy się nie wydarzyły. Puf! – i znowu jest na trybunach, patrzy, jak Sandy i jej przyjaciółki zachwycają się mięśniami z licealnej drużyny. A Sandy teraz? Szerokie biodra i trzy blond-włose brzdące, które wyglądają jak wzięte z obsady siódmej części *Dzieci kukurydzy*.

– Jak suuuper cię widzieć! – piszczała Sandy. – Fantastycznie wyglądasz!

– Dzięki. Ty też. – Kłamstwo. Wygląda beznadziejnie. Jej blond włosy, niegdyś lśniące, teraz pilnie potrzebują farby, bo widać odrosty. Za dużo podkładu, który kontrastuje z odcieniem skóry na szyi. I zdecydowanie pora na przystąpienie do programu Strażnicy Wagi.

– Więc co u ciebie? Co robiłaś przez ostatnie dwadzieścia kilka lat? – zapytała Sandy i zaniósła się donośnym śmiechem.

– Mieszkam tu, w Nowym Jorku. Na Park Avenue.

– Park Avenue! No, no, patrzcie, patrzcie, ale lalunia! No, zawsze byłaś ładna. Musiałaś złapać sobie jakiegoś niezłego faceta! Widzę po tym gigantycznym brylancie, że jesteś mężatką.

– Tak, mam wspaniałego męża.

– A co robi?

– Jest przedsiębiorcą.

– No to wspaniale! Zawsze się zastanawialiśmy, co się z tobą stało, Melanie Sartomsky. Ale widać, że naprawdę odniosłaś sukces. Wyglądasz świetnie.

Sandy zawsze była hardą suką, a tu niemal całowała Melanie w tyłek. Dziwne. Jedno z jej dzieci szarpnęło ją za spódnicę i musiała odejść ze swoim stadkiem i torbą marki Le Sports Sac.

– Okay, okay, idziemy – uspokoiła dzieci. – Świetnie cię widzicie, Mel. Czas działa na twoją korzyść.

– Jasne! Na twoją też – powiedziała Melanie bez przekonania. Ale dzieci ma naprawdę urocze. Tylko bez tych legginsów w lamparcie cętki w stylu JonBenet.

Melanie odetchnęła i popatrzyła na wspaniałą panoramę dachów. Wzdrygnęła się na to przypadkowe wspomnienie szkoły średniej, kolejny nieszczęśliwy moment w jej życiu. Czuła, jakby ten taras w stylu art déco był wehikułem czasu, który przeniósł ją z powrotem do jej gównianego domu: ojca odsiadującego trzynaście udowodnionych oszustw, jej totalnego odosobnienia, plotek na szkolnym korytarzu. Teraz dzięki skandalowi, w jaki się wpakowała, znowu znalazła się w liceum. Kiedyś były szepty na korytarzu, wzdłuż którego ciągnęły się uczniowskie szafki, teraz są szepty z wyściełanych aksamitem ław ustawionych pod ścianami. Jedyna różnica polega na tym, że wtedy było światło w tunelu – wiedziała, że będzie lepiej. I było... przez chwilę. Teraz, w obliczu całkowitej samotności, była w tej samej rozpacz, tylko tym razem bez nadziei, że się z niej wydobędzie.

Melanie opuściła słynny budynek i ruszyła przed siebie. Szła i szła, dopóki nie zaczęło się ściemniać. Słońce zaszło, niebo zmieniło

kolor z ciemnopomarańczowego na fioletó-woniebieski, gdy przechodziła przez zatłoczony w godzinach szczytu Columbus Circle. Minęła podświetlony budynek Lincoln Center i patrzyła, jak stadko tancerek z New York City Ballet przebiega po marmurze za kulisy, drobiąc małymi kroczkami. Przy Seventy-second Street skręciła w lewo i poszła w kierunku zachodnim. Spacerowała Riverside Drive, przyglądając się zapierającym dech w piersiach gotyckim budynkom i uroczym szeregowcom, patrząc, jak dzieci bawią się w parku, gdy ich tatusiowie z aktówkami wracają z pracy. Widziała wysportowane kobiety w ubraniach do jogi, idące do domu z zakupami spożywczymi zrobionymi w Fairway, Citarelli lub Zabar's. Zauważyła zabieganych studentów Columbia University, wyglądających na inteligentów dzięki rogowym okularom, śpieszących na wykłady i seminaria na temat Foucaulta oraz na wiece na rzecz reprodukcyjnych praw kobiet.

I wtedy pojęła.

Nowy Jork to nie tylko jej nadęta dzielnica. To cały świat. Nie jest zrujnowana! Zawsze myślała, że świat kręci się jak obrotowe drzwi – te same twarze na tych samych imprezach charytatywnych, w tych samych restauracjach i salonach, ponieważ jej życie z Arthurem tak właśnie przebiegało, z jej własnej woli. Ale oto jest w cudownej dzielnicy, której nigdy nie widziała, i ma ją tylko dla siebie. Wiedziała, że większość pretensjonalnych salonowych bywalców dostałaby pokrzywki, gdyby wystawiła choć stopę w pantoflach od Louboutina na zachód od Central Park West. Ich strata. I jej. Tyle lat i nigdy nie wyszła poza tę wysadzaną drzewami aleję, na której wiał wietrzyk od rzeki. Potrzebowała tego wywołanego skandalem odosobnienia, żeby się tu dostać. Mające nad jej głową gargulce nie tylko odstraszały złe duchy – spłoszyły także i jej lęki. W cudowny spo-

sób wszystkie jej troski i nerwowość odpłynęły z prądem rzeki Hudson.

Czuła się, jakby przyleciała odrzutowcem do jakiegoś niesamowitego, obcego, europejskiego miasta. Po co bulić kupę kasy na wyjazd za granicę; ludzie powinni po prostu przejść przez park na drugą stronę. Rozejrzała się wokół i zobaczyła... życie, zwyczajne, tylko w nowym miejscu. Może lepsze niż wszyscy uważają. Nawet nie sprzedają tu tej gównianej gazety Billy'ego Crispina. Wciągnęła do płuc rześkie powietrze i zaczęła iść do domu, uzbrojona w nową nadzieję pokonania całej fali zmartwień. Życie jest po prostu zbyt krótkie. A jej miasto zbyt duże.

RS

Wendy była zdenerwowana. Dlaczego? To takie głupie, naprawdę. Sprawdziła swoje odbicie w lustrze. Joan kazała jej włożyć tę seksowną czarną sukienkę z dekoltem w szpic i brylantową broszkę, którą dostała od byłego na siódmą rocznicę ślubu. Chciała przypiąć tę, którą otrzymała na jedenastą (i ostatnią), z brylantem i szmaragdem, ale Joan powiedziała: „Nie możesz go za bardzo olśnić”

Joan umówiła ją na spotkanie ze starym kolegą Phillipa z Tuck Business School. Niedawno się rozwiódł, przeprowadził do Nowego Jorku i zarobił miliard dolarów na biznesie związanym z telekomunikacją, z którego miał szczęście odpowiednio wcześniej się wycofać. Joan naciskała na Phillipa od miesięcy, żeby przyśpieszył sprawy i poznał ich z sobą, ale był wyjątkowo opieszawy, więc w końcu sama wzięła telefon i to załatwiła.

Zadzwoił portier i oznajmił, że Joan i Phillip czekają na nią w samochodzie na dole, więc Wendy weszła do salonu powiedzieć dzieciom dobranoc.

– I jak wyglądam? – zapytała.

George i Nina ledwo oderwali oczy od *Przyjaciół*. „Dobrze” i „w porządku” – to wszystko, na co się zdobyli.

– Siedzicie za blisko ekranu. Popsujecie sobie oczy. – Wendy podeszła do nich i cmoknęła każde w czoło. – I nie kładźcie się za późno. Kocham was.

– Yhy – wymamrotali.

Zerknęła jeszcze w lustro i wyszła. Od dawna na nic tak bardzo nie czekała. Nie pamiętała, kiedy ostatnio była umówiona, i doszła do wniosku, że wyszła z wprawy i czuje się dziwnie. „Trzymam kciuki, żeby dobrze poszło” powiedziała do siebie. Wspaniale byłoby znaleźć mężczyznę. Nawet jeśli nie wyszłaby ponownie za męża, to miałyby kogoś, z kim mogłaby pójść do kina, może do teatru. Późna kolacja w kameralnej włoskiej restauracji lub wspólny wyjazd na południe Francji. Może wynajęty dom na Vineyard i... Przestań, Wendy – zganiała się. Jej marzenia zaczęły ją rządzić, a nawet jeszcze nie poznała tego mężczyzny! Zjeżdżając windą do Joan, odsunęła od siebie te nadzieje i głęboko zaczerpnęła powietrza.

– Dobrze, nie denerwuj się – radziła Joan, gdy wchodzili do Elio's. – Tom to bardzo miły człowiek. Jego eks-żona to nudziara, straszna nudziara, nie mogłam jej znieść. Bardzo w stylu Connecticut, po prostu nudy na pudy. Moim zdaniem jej psychoterapeuta przesadził z terapią elektro wstrząsową. No, naprawdę, kompletna niemowa i ciągle skrzywiona. Dzieci chyba są podobne do niej – córka to istna poczwara. Ale niech cię to nie zniechęca, nie miałybyś z nimi dużo do czynienia. Mieszkają gdzieś w jakiejś szkole z internatem – i to w jakiejś dobrej – przynajmniej są rozgarnięte, choć brzydkie. Bo brzydkie i głupie to przekleństwo, jak wiemy. Wiesz, o kim mówię: tak, te dzieci Goodyearów. Przykre, ale prawdziwe. Durne jak gryzonie. Ale te dziewczyny mają rozum po Tomie, nie po matce. Zabawne – nawet nie pamiętam już jej imienia: takie zrobiła na mnie wrażenie! Mowę jej odjęło, ta kobieta to istna Helen

Keller⁷⁷. No, jakżeż ona miała na imię? Jakoś głupio i śmiesznie, Libbitz czy coś. Beznadziejna, naprawdę beznadziejna. A gdybyś zobaczyła ich dom w Darien! Och, absolutna katastrofa. Użyła tego samego zielonego perkalu na sofy, krzesła i zasłony! Wyobrażasz sobie? Jak z komedii sytuacyjnych o rodzinie z przedmieść. Tylko Newhartów brakowało! Dobrze, że się stamtąd zabrał. Poradzisz sobie, tylko się nie przejmuj.

Gdy Joan monologowała, szli za kelnerką do najlepszego stolika w głębi sali. Tom jeszcze nie przyszedł.

– Dobrze, Phillip, ty siądź tutaj, a ty, Wendy, tu – zarządziła Joan.

Zastosowali się do jej instrukcji.

– Wiecie co? Tak jest niedobrze. Tom musi siedzieć tyłem do sali, żeby nic nie rozpraszało jego uwagi. Dziś jest tu tyle interesujących osób. Jeżeli siądzie tu, to będzie widział tylko stolik po prawej i miejmy nadzieję, że zajmą go jakieś stare pierniki. Więc, Wendy, zamień się miejscem z Philli-pem.

Zastosowali się do jej instrukcji.

– Hmm... teraz nie jestem pewna... – zaczęła Joan, ale Phillip jej przerwał:

– Joan, nie będę się znowu przesiadać. Dobrze, poproszę szkocką – zwrócił się do kelnerki. – Bez wody, podwójną.

– A co dla pań?

Zanim Wendy zdążyła cokolwiek powiedzieć, Joan zamówiła za nią:

– Dwa razy chardonnay.

– Już podaję.

⁷ Helen Keller (1880-1968) – głucha i niewidoma amerykańska pisarka i działaczka społeczna.

– Dobrze, Wendy, pamiętaj, żebyś nie mówiła z pochyloną głową. Cały czas podniesiona. Inaczej ta mała fałdka na szyi trochę wystaje.

Wendy momentalnie dotknęła podbródka.

– Naprawdę?

– Żaden powód do zmartwienia. Ale uważaj, żeby twoja broda była na wysokości oczu Toma. Kogóż my tu mamy!

Wendy odwróciła się, żeby spojrzeć na Toma Fairbanksa zbliżającego się do ich stolika. Około pięćdziesięciu pięciu x lat, szczupła sylwetka tenisisty i stalowoszare gęste włosy. Bardzo przystojny. Wendy poczuła, że serce zaczyna jej szybciej bić.

– Witajcie. – Tom pocałował Joan i uściśnął dłoń Phillipowi. – A ty musisz być Wendy. Tom Fairbanks.

– Miło cię poznać.

Emanował atrakcyjnym poczuciem pewności siebie i Wendy spodobał się sposób, w jaki usiadł, zamówił drinka i to, że nie zachowywał się jak przestraszona mysz pod miotłą. To nie Phillip. Wendy patrzyła na niego ciekawie, gdy wdał się w zwyczajowe swobodne przekomarzanie, i kiwnęła z aprobatą, gdy złożył zamówienie. Jest dobrze.

– Wendy, Joan mówi, że jesteś pisarką – powiedział Tom.

– Pisarką? Och, cóż, kiedyś byłam redaktorką w «Mademoiselle»; to jest, zanim wyszłam za mąż, jakiś czas temu. – Zaśmiała się nerwowo i jednocześnie rzuciła Joan spojrzenie.

– Ale, Wendy, pracujesz nad pamiętnikami – przypomniała jej Joan.

– Och, tak, cóż, to bardziej zapiski dotyczące miejsca pobytu mojego byłego i wydatków z naszego wspólnego życia – życia, do którego się przyzwyczaiłam – dla prawników rozwodowych. Ugoda zajęła dużo czasu.

– Rozumiem – odpowiedział Tom. Nastąpiła krępująca cisza.

– Tom, Wendy, oboje jeździecie do Millreef Club.

– Naprawdę? – zapytał. – Kiedy tam bywasz?

– Każdego marca.

– My w każde Boże Narodzenie. – Tom pociągnął łyk drinka. – Ale właściwie to nie będę już tam jeździł. Moja była dostała dom.

– Och, jaka szkoda. Tam jest pięknie.

– Tak. Świetne pole golfowe.

– Grasz?

– Kiedy tylko mam okazję. W przyszłym tygodniu jadę na obóz golfowy na Florydę.

– Fajnie.

– A ty grasz?

– Nie.

– Och.

– Ale zawsze chciałam spróbować.

– Powinnaś. Świetny sport.

Kelnerka otarła się o rękaw Toma, gdy usadzała parę w średnim wieku.

– Przepraszam – dotknęła lekko jego ramienia.

– Nie szkodzi – odwrócił głowę. Zerknął na parę, która siedziała po jego stronie.

– Tom! Jak się masz? – zapytał mężczyzna.

– Świetnie, Frank. Cześć, Liz.

– Przyszliśmy świętować ukończenie prawa przez Gin-ny. Druga na swoim roku w Yale.

– To cudownie.

W tym momencie podeszła olśniewająco piękna kobieta. Miała długie blond włosy i zielone oczy, a ubrana była w obcisły czerwony top i krótką spódniczkę, odsłaniającą rewelacyjne nogi.

– A oto Ginny. Pamiętasz Toma Fairbanka?

– Oczywiście, że pamiętam Toma. – Cmoknęła go w policzek.

– Mimo że w ostatniej chwili odwołał pan swój udział w naszym przyjęciu z okazji Święta Pracy.

– Przepraszam! Musiałem wyjechać z miasta. Proszę, wybacz mi!

– Dobrze, ale lepiej, żeby pan przyszedł w przyszłym roku – otwarcie flirtowała.

– Obiecuję.

Wszyscy przedstawili się sobie. Wendy patrzyła, jak Joan mierzy wzrokiem Ginny, która siadła przy stoliku rodziców z miną wyrażającą młodzieńczą pewność siebie, czego, jak wiedziała, Joan nie cierpi. Zauważyła, jak Tom przygląda się Ginny, i poczuła się nieswojo.

– Panie Fairbanks, tatko mówi, że właśnie zarobił pan kupę forsy na sprzedaży swojej firmy – odezwała się Ginny znowu przekor-nym tonem.

– Ginny! – zawołali jednym głosem jej rodzice, śmiejąc się.

– Och, Ginny, ty zawsze mówisz to, co myślisz – powiedział Tom z rozbawieniem.

Tom odwrócił się do swojego stolika, a Joan zmarszczyła z dez-aprobatą brwi. Gdy wrócili do rozmowy o tym, co zwykle – golf, wspólni znajomi, kluby, do których należą, plany na wakacje i tak dalej – Wendy miała nieodparte wrażenie, że Tom się wyłączył. Głowę miał zaprzątniętą Ginny i stolikiem za swoimi plecami. Wendy kątem oka przyjrzała się jeszcze raz Ginny. To jedna z tych dziewczyn, które mają wszystko – urodę, inteligencję, pewność siebie. I widać po niej wyraźnie, że jest jedynaczką – rodzice ją uwielbiają, rozpieszczają, uważają za dar niebios i wszystko, co wychodzi

z jej ust, jest najdowcipniejsze i bardziej fascynujące niż słowa, jakie kiedykolwiek powiedziano. Wendy nie mogła się z tym mierzyć.

– A jej syna wylali z Choate. No naprawdę... – mówiła Joan.

– Przepraszam – przerwał jej Tom. Wstał i Wendy patrzyła, jak idzie schodami na dół do męskiej toalety.

Joan nachyliła się do niej.

– I co, co myślisz? Przystojny, nie? – zapytała.

– Bardzo. Ale nie zainteresowany.

– O czym ty mówisz? Moim zdaniem tak.

– Joan, przez cały wieczór nie odrywa oczu od tej młodej damy siedzącej za nami.

– Nonsens! – zaprotestowała Joan hałaśliwie. Wykręciła szyję, żeby zerknąć na Ginny. – Nie uważasz, że to nonsens, Phillip?

Phillip wzruszył ramionami.

– Jest atrakcyjna.

– Jesteś do niczego. Mężczyźni, Wendy. Proszę, nie zwracaj uwagi na mojego męża. Jak inni z tego gatunku jest mało subtelny i delikatny.

– Tak, po prostu nie zwracajcie na mnie uwagi – powtórzył Phillip sarkastycznie. – I tak to, co mówię, nie liczy się.

– Poza tym ta Ginny jest zbyt wyzywająca. – Joan starała się szeptać, ale nieudolnie. – I nie byłaby atrakcyjna, gdyby nie blond włosy. Taka twarz może się podobać tylko matce.

W tej samej chwili Wendy zobaczyła, jak Ginny wstaje i idzie tańczonym krokiem przez restaurację w stronę toalety.

– Wcale nie jest ładna – stwierdziła Joan pewnie. Kilka minut później nadal nie było jeszcze ani Toma, ani

Ginny. Joan mówiła z ferworem na swój ulubiony temat: Melanie Korn. Snucie domysłów, gdzie też się podziewa w związku z wydaleniem z ich kręgu, stało się dla Joan niemal grą towarzyską.

– Słyszałam mnóstwo rzeczy, mnóstwo. Ale mogę wam powiedzieć, że przy takim ostracyzmie nie ma szans na powrót. Absolutnie żadnych. Jest skończona, zniszczona – miała jeszcze coś dodać, ale zobaczyła wchodzących po schodach Toma i Ginny. Śmiali się i wyglądało, jakby cieszyli się z jakiegoś potajemnego żartu. Wymienili ukradkowe spojrzenia i oboje usiedli przy swoich stolikach.

Wendy poruszyła się nieswojo. To żenujące! Ten facet nawet nie jest specjalnie atrakcyjny. Nadziany i samotny. Żałosne. Nie chciała być zmuszana do współzawodniczenia z kobietami o połowę młodszymi.

– Spotkałem znajomych na dole – przeprosił Tom.

– Naprawdę? Bo myśleliśmy, że wpadłeś! Już mieliśmy wzywać straż wybrzeża, żeby cię wyłowiła – złościła się Joan w imieniu przyjaciółki.

Tom uśmiechnął się półgębkiem.

– Phillip, powiedz mi, co tam słychać w Szkockim Towarzystwie Historycznym?

I to był już koniec. Kiedy ktoś naprowadził Phillipa na jego ulubiony temat, reszta wieczoru była z głowy. Joan wtrącała, subtelne w jej mniemaniu, przytyki pod adresem Toma: „Och, teraz masz pieniądze, więc starasz się dostać do nowojorskiej socjety”, a nawet tak rozpaczliwe jak: „Wy, z Connecticut, jesteście tacy prowincjonalni” ale zamiast odnieść spodziewany efekt, sprawiała tylko wrażenie jędzowatej i podpitej. A zresztą, gdy tylko Joan coś mówiła, Phillip zagłuszał ją swoim donośnym, nosowym głosem. Jak na kogoś tak bardzo małomównego w czasie spotkań towarzyskich ten człowiek był wręcz gadatliwy, kiedy chodziło o jego organizację.

Wendy tymczasem nie mogła doczekać się końca obiadu. Była potwornie upokorzona i coraz smutniejsza. To tak? Skończy sama, zawsze na doczepkę z Joan i Phillipem na jakichś kolacjach czy nie

kończących się przyjęciach. Lepiej byłoby żyć jak Joan – małżeństwo bez miłości, ale przynajmniej z kimś – niż być samotną kobietą w średnim wieku w Nowym Jorku. Z pewnością.

RS

Cordelia, wbrew typowemu dla niej farmaceutycznie kontrolowanemu opanowaniu, wpadła w stan maniakalnego pobudzenia. Przed nią niełatwe zadanie. Będzie musiała podwinąć kaszmirowe rękawy, wziąć głęboki oddech i krok po kroku postępować zgodnie z wytycznymi. Kiedy zadzwonił telefon, odebrała go, pytając nerwowo: „Halo?” – i z wielkim pośpiechem odprawiła koleżankę, z którą jadła lunch w Colony Club.

– Tak mi przykro, Candace – powiedziała, patrząc na zegarek.
– Dziś mam naprawdę szalony dzień. Są urodziny mojego syna, Johna, i muszę upiec ciasto.

Tak, w przeciwieństwie do wielu szacownych dam z Park Avenue, których asystentki dzwoniły do Fauchon i zamawiały lśniący tort z imieniem jubilata, pani Vance była zdecydowana zrobić go sama. Nie jak te zimne, kosztowne w utrzymaniu mamy, które nie dbają o ważne dhi w życiu członków swoich rodzin – ona włoży w ciasto całą swoją miłość.

Weszła do kuchni, skinęła głową służbie zajętej sprzątaniami, krojeniem warzyw na kolację i przyjmowaniem pracownika firmy Poland Spring, który przywiózł świeżą wodę.

Pokwitowawszy odbiór, Madge podeszła i zaprowadziła Cordele do spiżarni. Tam, wyłożone starannie, jakby zaraz miały się pojawić kamery z Television Food Network, koło wielkiej błyszczącej

czerwonej miski leżały odmierzone wszystkie składniki. Cordelia obejrzała nieskazitelnie czyste naczynia, popatrzyła na różnej konsystencji produkty – mąkę, olej, czekoladę – tak piękne w swojej prostocie. Spojrzała nerwowo na Madge, która skinęła głową, a następnie wolno sięgnęła po pierwszą miarkę i wsypała jej zawartość do miski. Uśmiechnęła się z ulgą, szukając uznania w oczach gospo- si. Delikatnie wrzuciła pozostałe składniki. Madge wymieszała wszystko mikserem i kiedy ciasto o rzadkiej konsystencji było gotowe, Cordelia przytrzymała miskę, a Madge przelała je do formy.

Cordelia była zahipnotyzowana widokiem wstążek czekoladowej mikstury spadających kaskadą na blachę. Czuła się spełniona, taka jak za dawnych dobrych dni, kiedy cała rodzina spędzała każdą chwilę razem.

– Uwielbiam gotować – powiedziała.

Na dole Tom i Eddie zapadli w podobny błogostan, dlatego że mało kto wchodził i wychodził z powodu groźnie wyglądających grafitowych chmur.

– Uchowaj Boże, żeby im zmokły te ich pieprzone fryzury – powiedział Tom. – Zupełnie jakby uważali, że z nieba leje się kwas.

– Mnie tego nie musisz mówić – odparł Eddie. – Zwłaszcza panna Weston. Chyba nigdy nie widziałem, żeby ośmieliła się wyjść na zewnątrz, jeśli spostrzegła na błękitnym niebie choć jedną chmurkę.

– Ciekawe, co z panią Korn. Sądzisz, że nadal siedzi tam na górze?

– Nee. Ukryła się w Hamptons, ale wróciła. Luca mówi, że teraz to nawet wychodzi.

– Cholera, nadal z niej seksowna laska. Może jak się tak skom- promitowała w oczach tych wysoko urodzonych, to nabrałaby ochoty na bzykanko ze starym portierem, co?

Tom zaśmiał się, a Eddie trącił go przekornie.
– Śnij dalej, stary – zążartował.

RS

Joan i Wendy szły East Eighty-sixth Street, lawirując pomiędzy ulicznymi handlarzami ubrań, sprzedawcami hot dogów i kawałkami chodnika zablokowanymi przez tysiące znużonych pracusiów i uzbrojonych w wielkie magnetofony nastoletnich chuliganów.

– Fuj, mam alergię na tę ulicę. Na wschód od Lexington Avenue jest jak za południową granicą. – Wendy wachlowała się, jakby chciała zwiększyć odstęp pomiędzy sobą a niestosownymi przechodniami w za dużych kurtkach i krzyczącej złotej biżuterii.

– Wiem, zaraz po Canal to najokropniejsza ulica na wyspie – dodała Joan, odepchnięta na bok przez grupkę latynoskich nastolatków.

Obie znalazły się na rogu East Eighty-fifth Street i York Avenue w niedużym sklepie niedaleko Gracie Mansion, rezydencji burmistrza. Zupełnie nie po drodze, ale stary Włoch sprzedawał najlepsze gzymsy kominkowe w całym mieście, a Wendy szukała nowego ozdobnego marmuru do salonu. Kilka przecznic dalej, których pokonanie upłynęło im na psioczeniu i pomstowaniu na niezbyt czyste towarzystwo na chodniku („Już nie mówiąc o tych wszystkich sklepach ze starzyzną!” – powiedziała Joan), Wendy zatrzymała się i złapała okryte futrem ramię przyjaciółki.

– Och! Spójrz... – Wpatrywała się w drugą stronę ulicy.

Gdy Joan skierowała tam wzrok, zobaczyła najsłynniejszą samotnicę ostatnich tygodni – Melanie Korn. W okularach przeciwsłonecznych i długim, podobnym do trencza płaszczu z wielbłądziej wełny ludzka laleczka wudu pana Crispina szła w ich kierunku.

– Cześć, Joan. Cześć, Wendy – przywitała się spokojnie.

Nastąpiła chwila ciszy. Joan nie miała pojęcia, co powiedzieć. Wendy czekała, co zrobi przyjaciółka.

– Mel! Co ty robisz na Eighty-sixth Street? – zapytała Joan.

– Och, mam różne sprawy do załatwienia. Co u was?

– W porządku – powiedziała Joan niepewnie. – A u ciebie?

Melanie wiedziała, że chodzi im o skandal związany z artykułem, i miała to gdzieś. Porusz ten temat, pomyślała.

– Cóż, od czasu tego tekstu trochę się zaszyłam. Wiecie, wymykowałam się, jak mówią dzieciaki...

– Co? – zdziwiła się Joan.

– Ukrywać się – wyjaśniła Wendy. – Język getta.

– Och.

– Cóż, miło było was widzieć – powiedziała Melanie uprzejmie, z nową, pogodną pewnością siebie, jakiej nigdy nie miała. Jej otwartość w związku z następstwami artykułu rozbroiła dwóch jej największych krytyków i jeszcze bardziej rozbudziła ich zainteresowanie.

– Dokąd idziesz? – zapytała Wendy, żądna usłyszeć więcej, i trochę z ciekawości. – Może przyłączysz się do nas? Właśnie idziemy coś przekąsić do Demarchelier...

– Och, proszę, chodź z nami – dodała Joan uprzejmie. Melanie zamilkła. Dlaczego te dwie są dla niej miłe? To jakiś podstęp? Powinna uciekać? Jest jednak głodna. A, co tam.

– No, dobra. Umieram z głodu.

– Świetnie!

– Rewelacyjnie!

Ten przedziwny tercet przeszedł jeszcze dwie przecznice w kierunku zachodnim do sławnego paryskiego bistro. Talerze gotowanych na parze karczochów i *moules marinières* żeglowały na uniesionych dłoniach francuskich kelnerów w fartuchach, a Wendy nabiegła ślinka do ust, kiedy obok przepłynął półmisek *pomme frites* i wyładował na sąsiednim stoliku.

– Ooooch, spójrzcie na te frytki – położyła rękę na sercu. – Nie powinnam.

– Dlaczego nie? – zapytała Melanie. – Życie jest krótkie. – Przywołała kelnera, który przyjął zamówienie na trzy *salades Niçoise* i jedne frytki.

– Więc – odważyła się Wendy – mówiłaś, że się zaszyłaś?

– Och, tak. Wicie, dochodziłam do siebie. Bez obaw, nie łykałam pigułek jak Melanie Griffith. Świat nie zawalił się, ale cóż, obrzucono mnie trochę błotem, ale teraz jestem już czysta.

– Jej, naprawdę dobrze to wszystko zniosłaś – Joan była pod wrażeniem.

Melanie wiedziała, że bagatelizuje swoją traumę, ale chociaż nie dbała już tak o ich opinię, nadal miała się na baczności. Te dwie może i są całe w uśmiechach, lecz to nadal sępy w garniturach od Givenchy.

– Och, wicie. Powiedziałam sobie, że życie jest po prostu zbyt krótkie, by przejmować się takimi bzdurami. Jak mówi Arthur, za czterdzieści lat nikt z nas już nie będzie żyć, więc jakie to ma znaczenie, prawda? – zaśmiała się swobodnie i pociągnęła łyk char-donnay.

– Jesteś niesamowita! – zareagowała Wendy.

Była pewna, że gdyby jej zrobiono taką krzywdę, nigdy nie doszłaby do siebie, należałoby ją zbierać z podłogi. A ta karykatura na okładce? Tylko się powiesić.

– Nie, nie niesamowita. Po prostu posłuchałam męża. Powiedział: „Kochanie, musisz czasami kazać innym odpieprzyć się” więc w ciągu kilku ostatnich tygodni czasami to robiłam. Te towarzyskie sprawy są kompletnie bez znaczenia. Wiecie, jest tyle ważniejszych rzeczy.

Joan i Wendy były zachwycone, że zaprosiły swojego byłego arcywroga na lunch. Kiedy zjadły sałatki, Melanie zostawiła trochę pieniędzy (wystarczyło na wszystko, co zamówiły) i powiedziała, że musi lecieć, bo ma wizytę u lekarza. Joan i Wendy, które zostały, bo zamierzały zamówić jeszcze deser („Oooch, ta *tarte tatin* wygląda tak znakomicie, że nie mogę się oprzeć!” – zawołała Wendy), patrzyły, jak wychodzi. Ledwie skrzyła i zniknęła im z oczu, podwinęły rękawy i wzięły się do roboty. Tym razem z nowo odkrytym... niemal... szacunkiem. Właściwie to nie z szacunkiem, ale nienawiścią przytłumioną nieco przez pokorę ich byłego worka treningowego.

– Metamorfoza – orzekła Wendy. – Zupełne przeobrażenie.

– Zapomnij Jeffa Goldbluma w *Musze*.

– Widziałaś, jaka spokojna? Zupełnie inny człowiek. Kiedyś zawsze starała się tak cholernie. Ani razu nie rzuciła żadnej nazwy

– zauważyłaś?

– Ani nie mówiła o pieniądzach.

– Dokładnie! Zupełnie jakby ta cała klapa ściągnęła ją z powrotem na ziemię. Może tego właśnie było trzeba, żeby nią potrząsnąć.

– Dać w twarz.

– Tak! Jakby była pijana tymi wielkimi pieniędzmi i przepychem, znarkotyzowana kosmetykami, ubraniami i biżuterią, a całe to wydarzenie momentalnie ją otrzeźwiło.

– Dokładnie. Dokładnie.

Duet zajął się deserem i na chwilę urwała się rozmowa. Wendy myślała o tym, jak bardzo lubiła nienawidzić Melanie Korn. A dziś ten wielki bezczelny rottweiler stał się słodkim przyjaznym szczeniakiem. Teraz, kiedy Melanie nie będzie ich ulubionym obiektem niechęci, kto się nim stanie? A jeżeli ona nie przejmuje się już tym artykułem, to czy one też nie powinny o nim zapomnieć? Zdecydowanie musi zdarzyć się coś nowego.

RS

– Urocza! Naprawdę znakomicie zbudowana i widać, że będzie ładnie dojrzewać – powiedział Jerome, przeglądając katalog. Spojrzał na Cordelię ciekaw jej opinii.

– Piękna – odpowiedziała.

Mówiła szczerze, ale była oszołomiona. Kobieta siedząca naprzeciwko Cordelii i Jerome'a patrzyła na nich ze zdziwieniem. Nie mogła wykrztusić słowa.

– Och! Jaka niezwykła uroda. Nigdy takiej wcześniej nie widziałem – dodał Jerome, przewróciwszy kartkę. – Jej, naprawdę trudno będzie zdecydować.

– Hm, chyba muszą być państwo pewni – powiedziała kobieta.

– Och, tak. Nie można tego bagatelizować – zgodził się Jerome.

– Oczywiście...

– Powinniśmy wziąć białą czy ciemną? – zapytał.

– Naprawdę nie mogę państwu na to odpowiedzieć.

– Jak myślisz, Cord?

– Nie jestem pewna.

– Wiem, wiem. No bo biały jest oczywiście praktyczniejszy – Jerome myślał na głos. – Bardziej naturalny. Ale ciemny kusi, jest inny. Mam skłonności do ciemnego, ale może jestem zbyt radykalny? Spójrzmy prawdzie w oczy, biały jest stosowniejszy, gdy chodzi o twój klub. Nie są zbyt nowocześni.

– Nie sądzę, żeby to było najważniejszym czynnikiem przy podejmowaniu decyzji – powiedziała kobieta.

Jerome nadal kartkował katalog, a Cordelia patrzyła z rozmarzeniem.

– Och, chyba mamy zwyciężczynię! – zauważył, pokazując Cordelii swoje znalezisko. – Ta jest taka śliczna, idealna! – wskazał na zdjęcie. – jak uważasz?

– Może być – uznała Cordelia.

– Uważam, że to niekoniecznie najlepszy pomysł. – Kobieta chwyciła katalog. – Nie powinni się państwo śpieszyć z decyzją! To bardzo poważna sprawa. – Co ci ludzie sobie myślą? To nie są buty. To żywe ludzkie istoty! – My tu, w ośrodku adopcyjnym Spence-Chapin, jesteśmy oddani szukaniu jak najlepszych rodzin dla naszych dzieci i nie pozwolimy, żeby jedno z naszych maleństw trafiło do domu z powodu kaprysu nudzącej się bogaczki. Sugeruję państwu wzięcie psa, nie dziecka.

I tak pokazano im drzwi. Cordelia czuła się źle – Jerome chyba potraktował adopcję jak przejaw mody na dzieci, jakby kupowała jakiś dodatek, ale tak naprawdę to znowu chce być matką. Chce czuć się kochana, potrzebna i być dla kogoś oparciem. Chce być człowiekiem wartościowym. Może Jerome nie jest najlepszym doradcą w tej kwestii.

Kiedy jego żona zastanawiała się nad zmianą losu jakiegoś bezbronного maleństwa, Morgan w domowym gabinecie był zdecydowany zrobić wszystko, by nie być bezbronny. Instrukcje od mężczyzny w skórzanym płaszczu co do dalszego postępowania były precyzyjne, zwięzłe i fachowe. Morganowi zostało tylko zadzwonić do Marii.

– Gdzie byłeś? – zajęczała, usłyszawszy jego głos. – Dzwoniłam trzy razy. Miałam już zadzwonić do ciebie do domu!

– Byłem na spotkaniu. Słuchaj – zaczął szybko Morgan, żeby nie stracić zimnej krwi – zobaczymy się w piątek wieczorem. Jest nowa restauracja, o której czytałem w „New York Magazine”. To na Brooklynie, ale ma niesamowite recenzje. A Shirley Rockefeller mówiła mi, że koniecznie powinienem się tam wybrać. – Ostatnie zdanie było kłamstwem, ponieważ wiedział, że Maria podejrzliwie potraktuje zabranie jej do Brooklynu. Nie ma żadnej Shirley Rockefeller, ale ona tego nie wie.

– Najwyższa pora, żebyśmy gdzieś razem poszli. Nigdy nie wychodzimy do porządnych knajp. Muszę trochę odpocząć od tego bałchora.

Czy nie mogłaby mieć do niej innego nastawienia? Schuyler to przecież dziecko. Ale nie chciał się kłócić i od piątku już nie będzie musiał.

– Cóż, wygląda na to, że to miejsce z klasą.

– Dobra, pójdę – powiedziała, jakby robiła mu łaskę. – Może zapytasz Rockefellerów, czy by z nami nie poszli? Chcę poznać twoich przyjaciół. Zabawimy się!

Tak, jasne.

– Zadzwonię do Shirley i zapytam, czy ma czas.

– Założę coś od Versace. Zakochają się we mnie, uważaj!

Aha.

– Dobrze, mój kierowca przyjedzie po ciebie o siódmej. To nie będzie ten co zwykle – jest na urlopie. Ale zna drogę. „I zabierze cię prosto do piekła, kochanie”.

Morgan usłyszał, jak Cordelia wchodzi do mieszkania, więc szybko skończył rozmowę i udał się do przedpokoju, by ją powitać.

– Co robisz tak wcześnie w domu? – zapytała, stawiając torby z zakupami.

– Chłopcy przychodzą na kolację, a ja czuję, że ostatnio byłem zajęty tylko pracą, więc chciałem spędzić z wami trochę więcej czasu – powiedział szybko, cmokając ją w czoło.

Wzruszyło to Cordelię, więc wyciągnęła dłoń i chwyciła Morgana za rękę.

– Jeżeli mówimy o rodzinie, to chciałabym z tobą o czymś porozmawiać. To poważna sprawa.

Krew momentalnie odpłynęła mu z twarzy.

– O co chodzi? – zapytał nerwowo.

– Chodźmy do salonu – ruszyła w głąb mieszkania. Do salonu? Cholera, chyba jest źle. Czyżby dowiedziała się o Marii? Morganowi zrobiło się niedobrze.

Kiedy usiadł, cierpliwie czekał, aż żona wyprostuje krzywo wiszący, jej zdaniem, obraz, przesunie palcem po Stein-wayu, sprawdzając, czy nie ma kurzu, poustawia jadeitowe duperele na kominiku, zanim powie, o co jej chodzi. Coraz bardziej zbierało mu się na mdłości, gdy tak zwlekała. W końcu odwróciła się do niego.

– Zdecydowałam, że chcę adoptować dziewczynkę. Zawsze chciałam mieć córkę. A w Chinach zostawiają je na mostach i w ogóle...

Morgan jednocześnie miał mętlik w głowie i odczuwał ulgę.

– To coś nowego. Nigdy o tym nie mówiłaś. Cordelia bawiła się perłami.

– Już od jakiegoś czasu czułam się taka... niekompletna i zastanawiałam się dlaczego. W końcu zdałam sobie sprawę, czego mi brakuje, i teraz wiem, że tego chcę naprawdę.

– To nie są zakupy, Cordelio. Nie możesz jednego dnia postanowić, że chcesz mieć dziecko, a potem oddać je, jak niepotrzebną rzecz biednym, kiedy wyjdzie z mody.

– Nie zrobiłabym tego! Nie zwracam rzeczy. Przyszli John i Drew. Narobili hałasu, wpadając do pokoju i trzaskając drzwiami. Morgan odwrócił się do nich.

– Chłopcy, wasza matka oszalała. Chce mieć córkę. John i Drew popatrzyli na rodziców i zdali sobie sprawę, że weszli w niewłaściwym momencie.

– Super – zamruczał John pod nosem. Ale Drew nie był zadowolony.

– Co? Siostra? Cholera.

– Drew! – zwróciła mu uwagę Cordelia.

– Tak, kiedy już kupiła wszystko w Nowym Jorku, to chce dziecko – Morgan mówił surowym tonem, jakiego nigdy nie używał wobec żony.

– To nie dlatego... – zaczęła.

– Nie wiem, Cordelio. To jakieś szaleństwo. W jednej chwili chcesz futro, w następnej biurko w stylu regencji, a jeszcze następnej – dziecko. Masz klimakterium?

Cordelia czuła się potwornie zażenowana. Nigdy by się po nim nie spodziewała takiej reakcji. Dlaczego Morgan jest taki okrutny?

– Wiem, że to może wyglądać na decyzję pochopną i podjętą impulsywnie, ale długo się nad tym zastanawiałam.

– Tak? A pomyślałaś o tym, że dzieci krzyczą cały dzień? Że płaczą i grymaszą? Pomyślałaś o tym, co zrobisz, kiedy cię to zmęczy?

– Morgan nie mógł nawet myśleć o dzieciach.

– Tak! Zaopiekuję się nią. W Chinach zostawiają je na mostach!

– Teraz mówisz, że chcesz dziecko, ale kto wie...

– Wszyscy odeszliście i macie swoje życie – powiedziana, patrząc nie tylko na synów, ale i na męża. – A ja jestem tu i nadal mam do zaofiarowania mnóstwo miłości. Na świecie jest tyle potrzebujących dzieci. Czy rodzina tak uprzywilejowana jak nasza nie powinna czegoś z siebie dać? – Cordelia wstała i wpatrywała się w nich.

Byli zaskoczeni, widząc ją tak przejętą. Zupełnie jakby defibrylacja przywróciła ją do życia ze stanu śmierci klinicznej.

– Cordelio... – zaczął Morgan.

Ale zanim zdołał skończyć, przerwała mu:

– Wiem, wszyscy uważacie mnie za kogoś, kto tylko cały dzień robi zakupy, ale jestem kimś więcej! Tak!

Zaniosła się płaczem i wybiegła z pokoju. Morgan odwrócił się do synów, którzy patrzyli na niego gniewnie. Czuł się winny. To nie na Cordelię był wściekły.

– Chłopcy, bądźcie mili dla mamy. Przechodzi trudny okres.

Delikatnie zastukał do jej garderoby. Wydawało mu się, że usłyszał stłumione „proszę” więc wolno otworzył drzwi. Cordelia leżała na sofie w miętowozielone paski, plecami do niego, ze zgniecionymi w kulkę chusteczkami w zaciśniętej dłoni. Szloch wstrząsał jej ciałem. Morgan westchnął i usiadł na fotelu koło niej.

– Przepraszam, Cord. Nie powinienem był tak na ciebie naskoczyć.

Nie odpowiedziała. Morgan rozejrzał się po pokoju, spojrzął na brzoskwińską toaletkę ze srebrnymi akcesoriami. Wszystkie szczotki i lusterka były starannie ustawione przed rządkiem kolekcjonowanych przez nią zabytkowych flakonów po perfumach. Poczł smutek na myśl o Cord siedzącej tu, strojącej się przed wyjściem na przyjęcie, przyglądającej się sobie w lustrze.

– Opowiedz mi, żebym wszystko zrozumiał, Cord. Skąd to się wzięło?

Nie odwróciła się do niego, ale cichym głosem wyszemrała:

– Czy tylko o to chodzi? Nie mogę uwierzyć, że moje życie tak wygląda...

– Co masz na myśli? Moim zdaniem twoje życie jest całkiem niezłe.

– Nie, nie, nie – wyszeptała.

– Masz dwójkę zdrowych dzieciaków i wszystko, czego dusza zapragnie.

– Nie o to mi chodzi, Morgan. Wiem, że jestem uprzywilejowana i że mam szczęście.

– Więc o co? Odwróciła się do niego.

– Czuję się, jakbym unosiła się w próżni. – Toczyła po pokoju rozbieganym wzrokiem zasnutym mgłą łez. – Czuję się pozostawiona samej sobie.

Morgan wziął ją w ramiona. Jej szczupłe ciało zwiotczało, wydawała się taka krucha i bezradna. Jak mógł jej to zrobić? Pozostawiona sama sobie. Zapomniał o niej. To wszystko przez niego.

– Nie martw się, kochanie. Nie jesteś sama.

– Duszę się, Morgan. Potrzebuję czegoś więcej.

– Nie było mnie przy tobie, Cord. Tak mi przykro.

Cordelia wybuchnęła płaczem. Morgan przytulał ją, dopóki nie zasnęła w jego ramionach. Musnął ustami jej włosy i przysiągł, że ją uszczęśliwi. Najwyższa pora.

Joan siedziała w boksie RSVP i z roztargnieniem przeglądała menu, czekając na swoją towarzyszkę. Suflet serowy? Nie, zbyt tłusty. Hm, co by tu dziś zjeść? Dobrze, por w sosie winegret – będzie grzeczną dziewczynką. Rozejrzała się po zwykle zatłoczonej restauracyjce, dziś dziwnie spokojnej. Tylko trzy stoliki są zajęte i siedzące przy nich kobiety rozmawiają przyciszonymi głosami. Coś jest nie w porządku? Właśnie gdy Joan zaczynała podejrzewać, że coś się stało, Wendy wkroczyła teatralnie i siadła naprzeciwko z miną pokerzysty. Odetchnęła głęboko, zanim zaczęła mówić. Wiadomość była szokująca. – Joan. Stało się coś strasznego.

Kilka przecznic dalej Morgan otworzył drzwi do sypialni i spojrzał na śpiącą żonę. Tyle przeszła, a teraz zbudzi ją z pokrępowanego snu tylko po to, żeby dostarczyć jej wieści, od których z pewnością będzie chciała wpełznąć pod kołdrę i nigdy się nie obudzić. Morgan grał rano w squash, kiedy dowiedział się o tej tragedii. Zamiast pójść do biura, przyszedł osobiście przekazać to Cordelii, zanim grad telefonów zbudzi ją i wprawi w histerię. Musi być przy niej, kiedy ona dowie się o tym. Sam nie mógł w to uwierzyć.

W jakiejś norze w Harlemie, związanego i zakneblowanego, na brudnym materacu znaleziono martwego Jeromea de Stingola.

– Cord, kochanie, obudź się – wyszeptał, kładąc dłoń na jej włosach. – Cordelio, stało się coś strasznego.

Dwa piętra niżej Melanie poważnym tonem kończyła rozmowę telefoniczną.

– Rety, do czego ten świat zmierza? Taka tragiczna strata, co za szok... Tak, po prostu mnie zamurowało... Jasne, okay, dzięki za telefon... Trzymaj się. Dobrze. Cześć. – Cicho odłożyła słuchawkę. O rany.

Skoro sama znalazła się w panteonie bogów skandalu, nie mogła prosić o lepszy sposób na przyćmienie artykułu Crispina. Słuchajcie, w mieście jest całkiem nowy skandal i jego mroczne plugastwo wstrząśnie wami o wiele silniej niż jej nudne życie. Ten wredny duppek Jerome de Stingol to świrus. Biedak, prawdopodobnie do końca nie miał pojęcia, co się z nim dzieje. Ale chociaż Melanie odczuła ulgę z powodu zejścia Jerome'a, to nie była tym zachwycona. Jeszcze kilka tygodni temu przyjęłaby tę wiadomość niemal z radością, teraz nie. Po prostu nie miało to żadnego wpływu na jej życie i taka reakcja wydawała się dziwna.

Krzyki cierpiącej Cordelii były ogłuszające. Szlochy z poprzedniego wieczoru bladły w porównaniu z tą katastrofą, która wywróciła jej świat do góry nogami. Pustka, która ogarnęła teraz jej życie, była wprost nieskończona. Biła poduszkę, krzycząc: „DLACZE-GO?!!!” i Morgan poprosił gosposię, żeby zadzwoniła po lekarza. Gładził uspokajająco żonę po plecach, choć nic nie mogło ukoić jej serca.

W RSVP Joan również była w szoku.

– Nie! To nie może być prawda! To był ostatni taki przyjaciel kobiet!

Wendy milczała dramatycznie, zaciągając się papierosem i przymykając oczy.

– Już nikomu nie będzie towarzyszyć.

Po drugiej stronie miasta Arthur przeszedł od wiaty, pod którą stały karawany, do głównego wejścia swego olbrzymiego imperium Skonać ze Szczęścia, zaspokajającego wszystkie potrzeby zmarłych. Grający w kości kierowcy wstali i przywitali się z panem Kornem, którego uważali jako pracodawcę, ale dogadywali się z nim jak z równym sobie. Był nadziany, jasne, lecz nie udawał kogoś lepszego.

– Hej, szefie!

– Hej, chłopaki, luźny dzień?

– No.

Przeszedł przez hol recepcyjny prowadzący do siedmiu zakładów pogrzebowych i zszedł schodami do pracowni balsamowania zwłok. W jednej części makijażyści przygotowywali nieboszczyków, w drugiej trwała rekonstrukcja zwłok, a nowe ciała wjeżdżały do chłodni przez boczne drzwi.

– Raz, dwa, trzy – powiedział koroner do swojego asystenta i przełożyli zwłoki na nosze na kółkach.

Dwie sekundy i jeden jęk później otwarto plastikowy worek.

– O kurde, znałem tego faceta! – zdziwił się Arthur. Czy to jakiś przyjaciel żony? Widywał go.

– Ci z medycyny sądowej właśnie z nim skończyli – wyjaśnił Sal, dyrektor firmy. – Znaleziono go wczoraj w nocy i zrobiono szybką sekcję zwłok. Mówią, że to jakaś szycha na Manhattanie. - Jej.

– Ofiara morderstwa. Jakaś masakra w Harlemie, gejowskie porno czy coś.

– Dziwne. – Arthur powoli przypominał sobie: jego żona mówiła, że ten facet jest jakiś lewy.

– Całe dwie godziny zajęło wyjęcie mu z tyłka wibratora.

– Pogrzeb będzie gdzieś u nas?

– Nie, tylko go przygotowujemy. Ma być w jakimś luk-suśnym kościele na Park Avenue.

– Cholera. Pewnie będę musiał pójść.

– Obraca się pan w wyższych sferach, panie Korn.

– Tak, Sal – przytaknął, idąc korytarzem. – Ale najdziwniejsze jest to, że większości z nich to nawet nie lubię. Wszyscy zadzierają nosa i wcale nie są tacy fajni. Nie wiem, czemu tak jest.

– Mogą odgrywać zarozumiałych, ale wszyscy skończą tam, gdzie pan i ja.

– Prawda?

Arthur zauważył nową trumnę w magazynie.

– Hej, czy to DX7000? – zapytał rozradowany jak dziecko ciągnące za wstążkę i zdzierające papier z prezentu gwiazdkowego.

– Właśnie przyszły, szefie. – Sal promieniał dumą.

– Ale ślicznotka. Spójrz na wykończenie. – Arthur pogładził lakierowaną powierzchnię z podziwem i uznaniem.

– Fornir.

– Rewelacyjnie. Brokatowe obicie jest wspaniałe – zauważył Arthur, głaszcząc pieśczośliwie środek. – Lawenda to świetny wybór.

– Mamy też bordo i myśliwską zielen.

Arthur czule wpatrywał się w trumnę, pocierając ręką politurę. Westchnął głęboko.

– Smutne, że nikt nie doceni tej ciężkiej pracy i kunsztu włożonych w jej wykonanie. Wszystko na próżno. To tak naprawdę się nie liczy.

– Cóż, my doceniamy. A my się liczymy. Arthur spojrzał na niego i uśmiechnął się.

– Tak, Sal, masz rację.

RS

W porze lunchu Cordelia, nadal nie umyta, nie uczesana i bez makijażu, siedziała zawinięta w kaszmirowy peniuar w kolorze *ecru*. Nie żeby się tym przejmowała. Próbowwała podnieść rękę i wyszczotkować włosy, ale przeciągnęła szczotką raz, a dłoń opadła jej bezwładnie na toaletkę. Po co? Nic już teraz nie ma znaczenia. Nic, poza napisaniem najlepszej mowy pogrzebowej, jaką kiedykolwiek słyszano na Upper East Side. Jest to winna swojemu Jerome'owi. Och, Jerome. Co on mógł sobie myśleć? Co on mógł robić? Skończyć w ten sposób, to takie niestosowne, zbrodnicze, plugawe. Musi być jakieś wyjaśnienie; z pewnością, wbrew temu, co mówi policja, został uprowadzony. To po prostu nie ma sensu, on nie znalazłby się w Harlemie z własnej woli. W jakimś brudnym mieszkaniu... nie. Wszyscy wiedzieli, że Jerome panicznie bał się zarazków. Nie pływał nawet w basenie w Bathing Corp. ze strachu przed odchodami malutkich dzieci. I wściekał się, gdy ktoś zanurzał w sosie już ugryzioną krewetkę. Nie, nie ma takiej możliwości, żeby z własnej woli siedział w jakiejś obskurnej czynszówce.

Zaledwie tydzień temu towarzyszył jej na przyjęciu dobroczynnym na rzecz centrum onkologii Memoriał Sloan-Kettering, a teraz odszedł. Przez głowę przelatywały jej wspomnienia Jerome'a ubranego w smoking i prowadzącego ją do olbrzymiej sali balowej. Co

ona bez niego zrobi? Skąd będzie wiedzieć, czy już nie pora zmienić tapety? Kto jej powie, jak się ubierać? Jej świat się rozpadł. Zrobiłaby wszystko, by przywrócić go do życia. Ale mogła tylko podejść do biurka w stylu epoki królowej Anny i starać się napisać coś, co oddałoby istotę człowieka, którego podziwiała – ironicznie smutne było to, że byłby jedyną osobą, którą poprosiłaby o radę, zabierając się do takiego właśnie zadania. Za każdym razem gdy próbowała coś ułożyć, targając sobie włosy, łzy zasnuwały jej oczy i nie widziała papieru. Zgniecione w kulki kartki z wielkanocnego notatnika od Tiffany'ego leżały na jasnokremowym dywanie – karygodnie nieudane próby opiewania uwielbianego człowieka. Wyjrzała przez duże okna balkonowe. Poczula się urażona tym szalonym, gorączkowym tempem, w jakim pędziły samochody i przechodnie – życie toczy się dalej. Dlaczego Park Avenue zachowuje się tak, jakby wszystko było w porządku? To obrzydliwe.

– Podobno Cordelia Vance skreca się przykuta do biurka – wyszeptła Joan do Wendy jaskrawoczerwonymi ustami pełnymi *foie gras*.

– Absolutnie nie należało jej prosić o napisanie mowy pogrzebowej. Pewnie wyrywa sobie włosy z głowy – zgodziła się Wendy, wycierając usta serwetką.

Pojawiły się u Swifty'ego wcześniej, żeby dostać najlepszy stolik, dzięki czemu mogły obserwować wchodzące na lunch panie oraz upewnić się, czy nadal wszystko wiedzą. I tak, kiedy Cordelia rwała sobie włosy z głowy, wściekła na świat, że istnieje bez Jerome'a, Joan i Wendy uznały, iż ich misją jest poznać najdrobniejszy pikantny szczegół jego zgonu. .

– Kto w ogóle ustala te sprawy? No bo on nie ma żadnej rodziny, prawda? – zapytała Joan, machając do Cindy Briggs i Fernandy Wingate.

– Z wyjątkiem tego siostrzeńca z Minnesoty. – Wendy włożyła do ust kęs endywii.

– Jakiego siostrzeńca?

– Nie wiem, jakiegoś.

– Więc on ją poprosił, żeby to zrobiła?

– Nie. Cass Weathers powiedziała mi, że firma jej męża zajmuje się majątkiem Jeromea. Podobno zostawił absurdalnie długi i drobiazgowy testament, w którym zawarł ostatnie życzenia łącznie z pieśniami, jakie mają być grane na pogrzebie i przystawkami podawanymi na przyjęciu.

– Nie. – Tak.

– Cóż, przynajmniej wiemy, że nas dobrze nakarmią. Ooch, wiem, jak on uwielbiał kawior. Może będzie trochę.

– Z pewnością. I nie tylko to. Jego warunki były tak szczegółowe, że potrzeba było trzech prawników, aby wszystko zorganizować. Podobno życzył sobie wyłącznie białych kalii dostarczonych przez firmę Renny, a Lawrence Powell ma czytać Modlitwę Pańską...

– Lawrence? Przecież on go prawie nie znał!

– Daj spokój, moja droga, to Jerome. Chodzi tylko o status.

– Boże drogi.

– Określił, kto ma nieść trumnę.

– Mogę sobie wyobrazić tę listę.

– I nawet przygotował okolicznościowe książeczki, jakie mają być wręczone gościom, podając czcionkę, jakiej należy użyć przy druku tych broszurek.

– Taki boski!

– I oczywiście to Cordelia musi napisać mowę pogrzebową. Żadnych „jeżeli” „i” ani „ale” w tej kwestii.

– To ciekawe, że to jego wspaniała Cord-Cord ma go wychwalać, mmm? Wiedział, że nigdy temu nie sprosta...

– Tak, to niefortunny wybór, ponieważ Cordelia nie jest typem, który by sobie z tym poradził – wyszeptała Wendy z powagą. – Jest taka krucha.

– Jajko Fabergé.

Zamilkły, rozmyślając o nadwątlonej kondycji Cordelii, a potem przeszły do innych tematów. Wendy poruszyła jeden ze swoich ulubionych:

– Tak czy inaczej, przejdźmy do ważniejszych spraw: co zakładasz?

– Czarne valentino, a ty?

– Mój kostium od Chanel z tym wypukłym deseniem. Jak myślisz? Jest z zeszłego sezonu, ale nie zamierzam przepuszczać pieniędzy na nowy dla Jerome'a.

– Nie ma potrzeby. I tak tylko on by to zauważył.

Gdy Joan i Wendy wdały się w poważną dyskusję na temat tego, jakie buty włożyć na ceremonię, Morgan zajmował się własnymi problemami – Marią.

– Mam już dość twoich wykrętów! – krzyczała do telefonu. – Nie dam się ignorować.

– Wychodzimy w piątek! – Morgan był bliski rozpacz.

– Mam to gdzieś. Chcę cię zobaczyć teraz!

– Słuchaj – upewnił się, czy drzwi biblioteki są zamknięte – moja żona przeżyła tragiczną stratę. Zmarł wielki człowiek. Był jej serdecznym przyjacielem.

– Czytałam o tym twoim serdecznym przyjacielem w rubryce towarzyskiej „New York Post”. Teraz wiem, z jakimi psycholami się zadajesz. Ty i twoje towarzystwo jesteście rąbnięci. Wolisz jakichś świrów, a mnie traktujesz jak śmiecia!

– Maria, to nie tak. To skomplikowana sprawa.

– Nie jest skomplikowana! Jest prosta! Wolisz wariatów od swojej córki!

– To nieprawda.

– Prawda! I zastanawiam się, jak się to spodoba w „New York Post”! – Maria trzasnęła słuchawką.

– Nie ośmielisz się – powiedział Morgan w pustkę. Och, ta kobieta to koszmar. Ale wkrótce będzie po niej i jeśli wszystko się uda, zamknie ten mały rozdział swojego życia. To wreszcie musi się skończyć. Cordelia nigdy nie potrzebowała go bardziej niż teraz.

RS

Arthur wyszedł z pracy i dojeżdżał właśnie do domu, kiedy zobaczył Olivie Weston ze zmartwioną miną wychodzącą z ich budynku. Owinęła się karmelowym szalem, krzywiąc się z zimna, i bezradnie próbowała złapać taksówkę. Wszystkie zjeżdżały do bazy. Arthur już miał podjechać i zaproponować, że ją podwiezie, kiedy któraś zwolniła i kierowca zapytał, dokąd chce jechać. Kiwnął głową, że może ją zabrać, i wsiadła do środka. Arthur zastanawiał się: jechać za nią? Czy to nie jest trochę w stylu maniaków prześladowających ludzi? Ale zanim zdążył pomyśleć, już skręcał w tę samą stronę co auto, które ją wiozło. Dobrze, że przynajmniej jego kierowca ma dziś wolne. Czułby się okropnie idiotycznie, mówiąc: „Jedź za tą taksówką!”.

Podążali Park Avenue, wokół Union Square, Broadwayem i w lewo, w Twelfth Street. Gdzie ona, do licha, jedzie? Nie spuszczał oczu z plakietki z numerem licencji, żeby nie zgubić taksówki. Q6X8 nagle stało się dla niego magicznym kodem. Wyprzedzając śmieciarkę, mijając zaparkowany samochód, cały czas miał go w zasięgu wzroku; to kod, który wiódł go do niej, oznaczenie jej rydwanu – żółtego, dziko lawirującego wehikułu wiozącego cenny ładunek.

Kiedy taksówka zatrzymała się w końcu, Arthur był zaskoczony, ponieważ wrócili do ziemi niczyjej, na Avenue D, pomiędzy Eleventh i Twelfth Street, naprzeciwko Skonać ze Szczęścia, pod numer 487, dokładnie tam, gdzie kiedyś na nią wpadł. Patrzył, jak Olivia wysiada i podchodzi po ciemnych schodach do drzwi tego odrażającego budynku, w którym mieszka jej przyjaciółka. Kilku facetów paliło papierosy na podeście drugiego piętra, z innego dobiegała głośna muzyka.

Olivia zadzwoniła do drzwi i pchnęła je lekko, kiedy rozległ się brzęczyk sygnalizujący ich otwarcie. Arthur martwił się. Oto jego bogini wchodzi do tej rudery. Może skończyć jak Jerome de Coşam. Spanikowany, zaparkował; zignorował niebezpieczeństwa mogące grozić również jemu i wysiadł. Kiedy zbliżał się do budynku, zadzwonił jego telefon. Włożył rękę do kieszeni, wyłączył go i podszedł do drzwi. Nadal były otwarte, więc wszedł do środka i podążył za kojącym dźwiękiem głosu Olivii. Znalazł się piętro niżej i schował pod schodami w otwartym pomieszczeniu gospodarczym, skąd właściwie wszystko słyszał. Rozmawiała z kimś na korytarzu. Kiedy na moment wyjrzał, dostrzegł tę jej koleżankę, Holland. Stała w drzwiach pokrytych łuszczącą się i odpadającą farbą, ubrana w spodnie od dresu i T-shirt, miała te same okulary w oprawce w kształcie kocich oczu. Wydawała się zła. Wściekła. A jego dziewczyna z marzeń, piękna i inteligentna Olivia, została doprowadzona do łez przez tę jadowitą dziewczynę.

– Proszę, nie rób mi tego, Holland! – głos jej łamał się. – Tak nam dobrze szło...

– Zapomnij o tym. Jesteś nieznośna. I nieuczciwa. Olivia zaczęła płakać.

– Ale ja cię potrzebuję...

Zaraz, zaraz. Czy to jakaś lesbijska kłótnia? Kurde. Arthur nie wierzył własnym uszom.

– Nie piszę za ciebie *Sweet Valley High*, Olivio. – Holland powiedziała to imię z taką siłą, że zabrzmiało jak: „Suko”.

– Ale... – próbowała przerwać jej Olivia.

– Zbieranie materiałów i praca nad twoją powieścią zabrała mi od cholery czasu i nie napiszę ani rozdziału więcej, dopóki nie zapłacisz mi pieprzonych pięćdziesięciu tysięcy dolarów, które jesteś mi winna!

Arthur osłupiał. Położył dłoń na sercu, które biło mu jak szalone.

– Holland, błagam cię. – Olivia była bliska łez. – Muszę mieć te dwa rozdziały dla wydawcy przed weekendem. Proszę...

– Pieprzyć wydawcę. Chcę moich pieniędzy. Nie napiszę ani słowa więcej do twojej głupiej książki, dopóki ich nie dostanę. – Holland chciała zatrzaskać drzwi, ale Olivia przytrzymała je.

Nagle delikatna drżąca barwa jej głosu zniknęła. Nowy, lodowato-jadowity ton przeszył Arthura jak chirurgiczne cięcie i rozplątał od szyi po pępek.

– Na twoim miejscu nie zamykałabym ci drzwi przed nosem – powiedziała zimno. – Jestem ustosunkowana.

– Ooooch, ale się boję.

– Powinnaś. Mogę cię zniszczyć. Jestem następną Mimi Halsey!

– Słuchaj, Mimi, proszę bardzo, spróbuj mnie „zniszczyć”! Nikt w East Village nie wie, kim jesteś, tu mają cię w dupie. Ja też nie wiedziałabym, kim jesteś, gdyby Rob nie poznał cię na zajęciach z pisania. Nie zdołasz mnie „zniszczyć”.

Olivia podniosła rękę i uderzyła Holland w twarz. Obie zamarły, kiedy zdały sobie sprawę, że pierścionek rozciął dziewczynie skórę. Arthur, będący świadkiem tej sceny ze swojej kryjówki pod scho-

dami, uznał, że chyba dostanie zawału. Jego mała gołąbeczka okazała się wiedźmą.

– Ty psychopatko! – Holland była zszokowana. – Świetnie, uderz mnie jeszcze raz, świrusko. Z przyjemnością zadzwonię do twojego wydawcy – albo jeszcze lepiej, do jednego z tych twoich ilustrowanych szmatławców dla bogaczy – i powiem im, że jeżeli chodzi o twój bestseller dla bogatych snobów, to ani jedno słowo nie pochodzi od ciebie. I cała prawda, łącznie z tym, że przyłożyłaś mi w twarz, znajdzie się w gazetach, jeżeli do jutra nie dostanę pieniędzy, które jesteś mi winna.

Holland, tym razem skutecznie, zatrzasnęła Olivii drzwi przed nosem. Ta stała przez chwilę w milczeniu, a potem odwróciła się i ruszyła schodami na dół. Arthur ukrył się w cieniu pomieszczenia gospodarczego i przyczaił się tam, dopóki nie usłyszał, że znajome kroki mijają jego kryjówkę. Drzwi frontowe zamknęły się, odeszła, nastąpił koniec. Stał w schowku jak słup soli chyba przez godzinę, rozmyślając nad swym zauroczeniem tym ideałem, który teraz uległ katastrofalnej przemianie. Był odurzony rzeczywistością, rozłożony na łopatki prawdą. To, czego się dowiedział, zważyło go z nóg i osłabiło. W wypadku zadurzenia bardziej chodzi

o nadzieję niż realia. A teraz wyimaginowane spacerunki po idealnym świecie skończyły się i nie mógł tego znieść, bo wszystko, co hołubił w tym uosobieniu wdzięku, intelektu

urody, zniknęło, kiedy Olivia zatrzasnęła za sobą drzwi. A jego marzenie odeszło.

Otworzyły się drzwi na górze i usłyszał kroki Holland. Nie chciał jej przestraszyć, ale kiedy się odezwał: „Proszę pani...”, ta wrzasnęła.

– Proszę się nie obawiać.

– Kim jesteś? Czego chcesz?

– Nazywam się Arthur, przy... przysięgam, że nie jestem przestępcą. Chciałem tylko panią zapytać...

– O co? – zawahała się. No dobra, facet nie wygląda na mordercę z siekierą.

– Pani jest przyjaciółką Olivii Weston?

– Przyjaciółką? Nie. Kim pan jest?

Arthur przyjrzał się jej twarzy. Koło ust nadal miała zaczerwienioną skórę. Wyjął chusteczkę.

– W porządku? Naprawdę pani przywaliła.

– Nic mi nie jest. – Holland machnęła ręką. – Czego pan chce?

– Ja, ee... – Przecież nie musi tego ukrywać. – Czy to ona napisała *Rytmy Fisher's*, czy... pani?

Holland milczała. Kim, do diabła, jest ten gość? Pewnie jeden z tych masturbujących się fanów Olivii z dzielnicy bogaczy. Zabiera książkę do kibla i wali konia, gapiąc się na jej portret z tyłu okładki, zrobiony przez tego fotografa milionerów, Scavullo. Łee.

– Muszę wiedzieć... – Twarz mu się zmieniła. Co on? Płacze? O rany.

– Okay. Ja ją napisałam.

Arthur jeszcze raz doznał wstrząsu, słysząc to z jej ust.

– Nie mogę uwierzyć... Po prostu nie mogę uwierzyć, że wszystko to jedna wielka bzdura.

Holland ruszyła na dół, a oszołomiony Arthur podążył za nią. Szli ulicą, on nieprzytomny, ona lekko rozbawiona, choć było jej go żal. Chryste, ta pisanina naprawdę musiała wzruszyć ludzi.

– Dlaczego pan jest tak poruszony? – zapytała.

– Bo... ja jej wierzyłem. Prawda już nie istnieje.

– Przykro mi. Naprawdę. Proszę się nie martwić. – Biedny osioł, pomyślała.

– Jestem tak rozczarowany.

– Rozczarowuje nas większość ludzi.

– Ale... myślałem, że ona jest inna od tych wszystkich nudziarzy z klubów sportowych. Wyróżniała się z tego tłumu – powiedział ze znużeniem.

– Udawała.

– Dlaczego?

Holland milczała. Ten facet zadurzył się naprawdę! Wydaje się dość słodki. Kolejna ofiara dziwnego uroku Olivii. Przypomniała sobie, że z początku też uważała ją za czarującą i tajemniczą. A okazała się kupą parującego gówna.

– Proszę posłuchać, Olivia chciała się wyróżniać, tak jak wszyscy inni chcą się upodobnić do bogatych wybrańców. Ironia losu. Oni marzą o tym, żeby być tacy jak ona. Uważają ją za autentyczną.

– Nie wiem już, co jest autentyczne, a co nie.

– Powiem panu. – Zatrzymała się, położyła mu pokrzepiająco dłoń na ramieniu i uśmiechnęła się łagodnie. – Prawdziwa jest osoba, z którą pan jest mocno związany. Ktoś taki, kto odsłania swoje wady, lęki, wszystko. Tak właśnie poznaje się kogoś, po jego brakach. Kiedy nie musi pan niczego analizować – żadnej wady, żadnego problemu – jak może pan poznać tę osobę?

– Chyba ma pani rację.

– Nie, proszę o tym pomyśleć.

– Nie mogę. Zamurowało mnie. Olivia plagiatorką! Chamką! Oszustką! Nie wiem już, co jest czym.

– Wie pan. Prawdziwy jest ktoś, kto jest otwarty, uczciwy i nie boi się pokazać swojego prawdziwego „ja”. A Olivia nie ma wnętrza. Musiała mi zapłacić, żebym je dla niej wymyśliła.

– Wydawało mi się, że ona jest inna, miałem nadzieję...

– Nie. Olivia Weston to fantazja, mit sklecony z pana marzeń. Biały ekran, na którym ludzie widzą to, co chcą widzieć – swoje pragnienie gustu, piękna czy czegoś tam.

– Ale ona... Myślałem, że ona jest tym, o czym marzyłem. Wszystkim, co dobre.

– Wie pan, co tu jest paradoksalne? Nie ma w niej żadnego z pana złudzeń. Zagubiła się. Nawet nie wie, kim jest – bez swojego pochodzenia, bez tej twarzy, obiektywu skierowanego na jej najnowszą suknię. Jest jedynie zdjęciem z przyjęcia.

I po tych słowach Holland odeszła, zostawiając bezradnego Arthura na ulicy.

RS

50

Melanie weszła do westybulu z dwiema torbami zakupów z Fairway. Dokonała starannego wyboru, bo postanowiła zrobić na kolację coś niepodobnego do rezerwacji stolika w lokalu. I przygotuje to sama, ku wielkiemu zdziwieniu jej mistrza kucharskiego. No co, jeżeli Nigella gotuje tak łatwo, ona ma sobie nie poradzić?

Czekając na windę, Melanie zobaczyła doktora Herba Steina, który wychodził, dźwigając staromodną torbę lekarską zabieraną na wizyty domowe. Stein był szefem interny w New York Hospital, a kartoteka jego pacjentów to wierna kopia listy pięciuset najbogatszych prezesów zarządu według magazynu „Fortune” – niezła sprawa, biorąc pod uwagę fakt, że doktor nie honoruje ubezpieczenia i nie bierze mniej niż dwa tysiące za badanie kontrolne.

– Hej, Fred. – Kiedy lekarz oddalił się na tyle, żeby jej nie usłyszeć, Melanie zapytała portiera: – Ktoś jest chory? Co tu robił doktor Stein?

– Tak, proszę pani – Fred odparł szeptem, rozglądając się, jakby zdradzał tajną informację komuś z korpusu piechoty morskiej. – To pani Vance. Zachorowała. Śmierć bliskiego przyjaciela. Od kilku dni nie wstaje z łóżka.

— Och — Melanie pomyślała o okresie własnego przygnębienia, który spędziła pogrążona w morzu martwym prześcieradeł i poduszek. To nie było takie odległe wspomnienie. Biedna Cordelia. — To okropne.

Patrzyła, jak zapalają się kolejne numery piętér i poczuła, że bardzo żal jej sąsiadki. Jasne, sama nie należała do wielbicielek Jerome'a. Delikatnie mówiąc, facet był do niczego. Dosłownie. I szczerze, bo był snobistycznie okrutny i pluł jadem na świat, rozsiewając toksyczne plotki i gorzkie, pełne żółci słowa. Jeżeli chodzi o ścisłość, to wiadomość o jego śmierci przyniosła jej ulgę, a nawet sprawiła trochę przyjemności. Mniej o jedną osobę, której misją było zniszczenie jej życia, i nie tylko jej. Miał jeszcze długą listę ludzi, których planował zrujnować. Ale z jakiegoś powodu był oddany Cordelii i Melanie wiedziała, że zostawił po sobie wielką pustkę w jej życiu. A to było smutne.

To dziwne, bo im dłużej zastanawiała się nad tym, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że Cordelia jest inna niż kobiety z jego trzódki. Jasne, była dziwnie zagubiona i otępiała, ale w porównaniu z pozostałymi i ich podłymi złośliwościami pod adresem Melanie wcale nie była taka zła. Bywała często zbyt spokojna i smutna, jakby została wychowana na mało towarzyską, ale potrafiła być ciepła, tylko od dawna tego nie okazywała.

Kiedy Melanie i Juanita spałaszowały ravioli z leśnych grzybów z mnóstwem sosów i warzyw, Melanie usiadła przy swoim olbrzymim biurku i uznała, że choć raz zrobi z niego dobry użytek. Wyciągnęła szeleszczącą kartkę papieru listowego od Mrs. John L. Strong i niedbale skreśliła swoje nazwisko, żeby nie wyszło zbyt oficjalnie. „Droga Cordelio” zaczęła. Już miała napisać bardzo elegancji list z kondolencjami, pełen właściwych „guffeyizmów” ale zmieniła zdanie. Dlaczego nie postąpić zgodnie z tym, co naprawdę czu-

je? Dlaczego nie powiedzieć: „Słuchaj, wiem, że teraz jest do chrzta-
nu, ale będzie dobrze”? W każdym razie tak byłoby bardziej do rze-
czy. I naprawdę w to wierzy.

Godzinę później Melanie wyszła z windy z koszykiem wypełnio-
nym kwiatami i ciasteczkami, żeby zostawić go w holu Vance'ów.
Kiedy wracała, żeby zjechać do siebie, otworzyły się drzwi fronto-
we. Melanie odwróciła się wolno i, zaskoczona, stanęła twarzą w
twarz z Cordelia, która wyszła w szlafroku, blada i z oczami zmę-
czonymi od płaczu.

Obie były równie zaskoczone swoim widokiem.

– Och, Cordelio, przepraszam cię, właśnie zostawiłam to dla cie-
bie.

– Dzień dobry. Ja właśnie... wyszłam zabrać pocztę.

Melanie odwróciła się i zobaczyła stosik leżący na wyściełanej
ławce pod ścianą. Wręczyła go sąsiadce i miała się już wycofać, kie-
dy się ośmieliła:

– Słuchaj – powiedziała ciepło – nie znamy się zbyt dobrze, ale
widzę, że teraz cierpisz, a dobrze wiem, jak to jest. Chciałam ci
przynieść parę rzeczy, żebyś... może się troszkę lepiej poczuła, i po-
wiedzieć, że współczuję ci z powodu twojej straty.

Cordelia nie była aż tak nieprzytomna, żeby nie wzruszyć się
głęboko. Mimo otępienia wywołanego środkami uspokajającymi po-
ruszyła ją życzliwość tej kobiety (którą tak wiele osób gnębiło) ofia-
rowana w chwili, kiedy czuła się całkiem porzucona.

– To bardzo miło z twojej strony. – Oczy zaczęły jej się napeł-
niać łzami na sam widok tego ślicznego koszyka. – Bardzo to miłe.
Naprawdę jestem ci wdzięczna.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Gdybyś czegoś potrzebo-
wała, znajdziesz mnie na dole. Wiem, jak to jest kogoś stracić. I
przeżywać... ból samotnie.

Cordelia spojrzała na Melanie. Nikt nigdy jej nie widział w takim stanie. Nawet służba. Ale z jakiegoś powodu nie czuła wstydu. Poczowała się nawet odprężona. Ta kobieta ma podejście.

– Dziękuję ci bardzo, Melanie. To ciężkie, każda godzina bez Jerome'a wydaje mi się wieczną walką – powiedziała łamiącym się głosem. – Był moim najlepszym przyjacielem.

– Wiem. I myślisz, że nie przejdiesz przez pustkę, jaką po sobie zostawił, ale dasz radę.

– Mam nadzieję. – Cordelia lekko kiwnęła głową. – Pogrzeb jest jutro. Mam napisać mowę, a tylko wpatruję się w kartkę.

– Jestem pewna, że wymyślisz coś pięknego. Cordelia wytarła łzę z oka.

– Jak opanować słowa? Jak mam go zredukować do kartki pełnej słów?

Łatwo, pomyślała Melanie. Wystarczą dwa: „głupi” i „dupek”. Ale pomijając podłość Jerome'a, szczerze współczuła Cordelii. Wiedziała, że tę kobietę o łagodnym głosie łączyły z nim szczególnie bliskie stosunki. Nie wspominając o całej masie innych spraw w domu.

– Jestem pewna, że dasz sobie radę, Cordelio. Po prostu pomyśl o tych wszystkich wspólnych dobrych chwilach. Zaufaj sobie i niczego nie poprawiaj.

Cordelia popatrzyła na Melanie. Nigdy nie zwracała szczególnej uwagi na plotki, ale pamiętała jakieś głupie żarty robione na jej temat, kiedy wyszła za Arthura. Teraz zrozumiała, że Arthur naprawdę dobrze zrobił.

– Wiesz, Arthur ma wielkie szczęście, że jest z tobą. Melanie zaskoczyło to oświadczenie. I schlebiło jej.

– Dziękuję.

– Naprawdę. Właściwie nic o nim nie wiem, choć trochę znałam jego pierwszą żonę... hm? – Cordelia nie mogła przywołać jej imie-

nia. Dziwne. Były w tylu komitetach, ale za nic nie może go sobie przypomnieć.

– Diandra.

– Tak. Była...

Melanie zaczerpnęła głęboko powietrza i czekała na tradycyjne superlatywy, których każdy używał do opisu fantastycznej Diandry: znakomita, błyskotliwa, elegancka, wytworna, cudowna.

Cordelia przyjrzała się uważnie Melanie.

– Cóż, ona nie była taką żoną jak ty. Była... trochę twarda.

Oschła.

Melanie oniemiała. Cordelia... krytykuje Diandrę? To coś nowego.

– Nie, nie. Absolutnie nieodpowiednia dla Arthura. Miły człowiek i szczęściarz. Ty-jesteś bardzo ciepła.

Melanie uśmiechnęła się z wdzięcznością. Cordelia jest naprawdę miła. Przez ostatnie dwa lata uważała ją za sztuczną piękność ze Stepford, a oto przełamała się, nawet w stanie takiego przygnębienia.

– Wiesz co? Na świecie są tacy, co dają, i tacy, co biorą. Diandra bierze. I nie dziwi mnie, że jej obecne małżeństwo rozpada się.

Diandra znowu planuje sprawę rozwodową? Ciekawe.

– Ty też jesteś ciepła, Cordelio. Trzymaj się i powodzenia jutro. Wiem, że pięknie go pożegnasz.

Zanim Melanie odwróciła się, żeby wrócić do windy, obie kobiety popatrzyły sobie w oczy i wymieniły podnoszące na duchu uśmiechy.

Jérôme byłby rzeczywiście bardzo zadowolony ze zgromadzenia w kościele Świętego Jakuba na Madison Avenue w ten skrzący się od mrozu, spowity płatkami śniegu środowy poranek na początku grudnia. Wszystkie ławki wypełnione były odzianymi w markowe stroje bywalczyńmi salonów, których nazwiska pojawiały się tłustym drukiem w „WWD”. Zajmowały je głównie kobiety, choć kilka pograżonych w smutku żon zmusiło swoich mężów do opuszczenia z tej okazji Wall Street i zaoferowania im ramienia w miejsce tego, którego czule używał im Jérôme, żeby mogły się wypłakać. Zgodnie z przewidywaniami wszystko było wykwiśnięte i w dobrym guście, bez żadnego śladu sugerującego ciemne strony jego osobowości.

Cordelia ścisnęła dłoń Morgana tak mocno, że czuł, jak krew przestaje mu krążyć w nadgarstku. Ale zasłużył sobie na ten ból, cholera, za to, przez co z jego winy przeszła. Kiedy pastor skinął w jej kierunku, Morgan musiał postawić ją na drżące nogi w pantoflach od Sergia Rossiego i niemal zanieść na podium. Nie był pewien, czy dotrwa do końca przemowy. Miał tylko nadzieję, że nie zemdleje.

Cordelia nigdy nie wyglądała na tak wątłą. Prawie pływająca w czarnym kostiumie od Gianfranca Ferrégo, rozmiar trzydzieści sześć. Szmaragdowo-brylantowe kolczyki i naszyjnik zdawały się ją przytłaczać, a jej twarz była wymizrowana. (Jerome, wyśmienicie

znając swoją przyjaciółkę, szczegółowo opisał w swojej ostatniej woli, co dokładnie powinna włożyć, wygłaszając mowę pogrzebową ku jego czci, biorąc oczywiście pod uwagę wszystkie pory roku. Gdyby to była wiosna, widziałby ją w czarnej krepie od Calvina Kleina, w lecie zdecydowanie preferował len od Yves St. Laurenta. Dodatki również zmieniały się stosownie do stroju. Poprawki do tej części testamentu wnosił zależnie od nowych zakupów).

Cordelia stanęła na podium i zaczęła mówić, ale była tak daleko od mikrofonu, że pastor podszedł, poprawił go i musiała zacząć jeszcze raz.

– Jak wszyscy wiecie, Jerome był moim najlepszym przyjacielem. To jedna z najbardziej wyjątkowych i szczerych osób, jakie kiedykolwiek poznałam – tak wierny sobie. Nie było w nim nic sztucznego ani nieuczciwego.

Joan spojrzała na Wendy i przewróciła oczami. Cordelia mówiła dalej:

– Spędzaliśmy tyle czasu, robiąc Madison i wszystko na B – Barneys, Bergdorf's, Bendels, Bloomingdale's, Bon-witt's – choć nigdy B. Altman's. Jerome do tego nie dopuszczał. „Nawet bielizna nie tu”, mawiał.

– Możesz w to uwierzyć? – powiedziała Wendy do Joan bezgłośnie, gdy Cordelia westchnęła głęboko i dramatycznie odrzuciła głowę. Nie panowała nad emocjami.

– Jerome był moją północą i moim południem, moim wschodem i moim zachodem. Moim szarmanckim towarzyszem, najbardziej oczekiwanym gościem. Moim doradcą na zakupach, kochanym powiernikiem. Będę bardzo za tobą tęsknić, najlepszy przyjacielu, jakiego można sobie wymarzyć. – Cordelia wybuchła spazmatycznym płaczem i trzeba było jej pomóc wrócić do ławki.

Kiedy żałobnicy wypełnili Knickerbocker Club, w którym zaraz po ceremonii odbywało się przyjęcie, zastali tam mnóstwo jedzenia. Goście mrowili się wokół stołów, pochłaniali tartinki i z udawaną szczerością martwili się o drogą Cordelię: jak ona to zniesie?

– Joan, właśnie znowu rozmawiałam z Cass. Powiedziała, że Jerome'a znaleziono w skórzanej obroży i skutego łańcuchami w jakiejś pozycji sadomaso – powiedziała Wendy. Wróciła do stołu, gdzie Joan usadowiła się, żeby mieć dobry widok na całą imprezę. Wendy postawiła przed nią Krwawą Mary i wśliznęła się do boksu.

– A ja słyszałam od Fernandy jeszcze coś lepszego. Powiedziała, że tam było całe mnóstwo makabrycznych akcesoriów, naprawdę potworne rzeczy.

– Jak on mógł?

Do ich stolika zbliżyła się Sandra Goodyear i przywitała się z przyjaciółkami.

– To była piękna ceremonia – powiedziała uroczyście.

– Boska – kiwnęła głową Joan.

– Doskonała – zgodziła się Wendy.

– Jerome byłby taki szczęśliwy – mówiła dalej Sandra.

– Zachwycony – przyznała Joan.

– Oczarowany – wtórowała Wendy.

– Mowa pastora była taka głęboka – ciągnęła Sandra.

– Wzruszająca – dorzuciła Joan.

– Mądra – przytaknęła Wendy. Nastąpiła pauza.

– To co robicie po? Chcecie jechać do śródmieścia? – zapytała Sandra.

– To znaczy na przykład do Saksa? – zdziwiła się Joan.

– Jej, nie, nie tak daleko. Myślałam raczej o Chanel. Jest już wiosenna kolekcja.

– Jesteśmy umówione – zgodziła się Joan.

– Nie mogę się doczekać – ucieszyła się Wendy.

– Znajdę was później. Pojedziemy moim samochodem.

– Rewelacyjnie! – powiedziała Joan, gdy Sandra odeszła, i zwróciła się do Wendy: – Powie nam sporo, jeżeli ją sprytnie wypy-tamy. Nigel przyjaźni się z wykonawcą testamentu Jerome'a. – Skrzyżowała palce, żeby pokazać, jak blisko są ci dwaj.

– Dobrze. – Wendy zlustrowała wzrokiem salę. – Nie chcę nigdzie chodzić.

– Ciekawe, gdzie jest Cord – rozmyślała Joan.

– Była tak zrozpaczona, że Morgan musiał ją zabrać do domu, żeby się położyła. Wielka szkoda, zachwyciłaby się tymi tartinkami.

– Wendy ugryzła kęs ciasta francuskiego z kozim serem doprawio-nym pieprzem.

– Jerome byłby zmartwiony, że straciła takie przyjątko.

– Jestem pewna, że wziął to pod uwagę w swoim testamencie. Dlatego nagrywa wszystko na wideo. – Wendy wskazała na kame-rę dyskretnie umieszczoną w rogu.

– Co, że niby mają magnetowidy w piekle? – zadrwiła Joan.

– Och, Joan, straszna jesteś – zachichotała Wendy.

– Dobra wiadomość jest taka, że Jerome chciał, abyśmy się śmia-ły.

– I ucztowały. – Wendy rozejrzała się po sali. – Ciekawe, czy pojawi się Melanie Korn.

– Oczywiście, że tak. – Joan była tego pewna. – Dla niej spra-wiedliwości stało się zadość. Jej największy krytyk, który niedawno oczernił ją w prasie, padł trupem na atak serca w jakiejś ruderze, z penisem jakiegoś faceta w ustach.

Nie mogła wyśnić sobie nic lepszego. Pewnie włoży poma-rańczową sukienkę.

– Ale ona zniknęła ze sceny na wieki.

– Bez problemu wróci z nicości. Znowu ma szczęście. To najlepsza rzecz, jaka jej się kiedykolwiek przytrafiła. Śmierć Jerome'a przyćmiła jej skandal. Została ekshumowana.

– Cóż, zawsze wiedziałyśmy, że on zejdzie z hukiem.

– Z hukiem, który przywróci do życia pewną parwe-niuszkę – dodała Wendy.

– Aż mnie dreszcz przeszedł – wzdrygnęła się Joan.

RS

Utuliwszy Cordelię w łóżku, Morgan wyszedł po jej ulubioną sałatkę z kurczaka od Williama Polla. Nie chciała nic jeść od czasu, kiedy dowiedziała się o zgonie Jerome'a, i Morgan martwił się coraz bardziej. Zamawiał jej ulubione dania: sałatka z rukoli z La Caravelle, karczochy w sosie winegret z Le Cirque, chłodzony melon i *prosciutto* od Daniela – ale na próżno. Jej usta nie przyjmowały niczego poza pigułkami. Sałatka z kurczaka to ostatnia deska ratunku. Kiedy Morgan wrócił pod 741, Tom przywitał go z poważną miną.

– Panie Vance, uznałem, że powinien pan wiedzieć. Smutna okoliczność – powiedział ponuro.

– Wiem, Tom. Byłem dziś na pogrzebie.

– Nie, nie pan de Stingol. Niestety odszedł jeden z mieszkańców tego budynku.

-Och?

– Tak. – Tom z powagą spuścił wzrok. – Mademoiselle Oeuf. Mademoiselle kto? Ach, ten pies.

– To okropne.

– Tak. Była na automatycznej smyczy i, cóż, odbiegła za daleko od wyprowadzającej ją osoby. Wie pan, jak to jest. Wpadła po otwartej zsuwni do piwnicy restauracji Nello's.

– Straszne. – Morgan pochylił głowę. Towarzysz pań umiera w obroży jak pies, a potem pies umiera przez swojego towarzysza. Czy bogowie próbują im coś powiedzieć? – Cóż, niewesoły dziś dzień.

– Morgan podszedł do windy, na którą czekała Melanie Korn.

Melanie trzymała świeżo kupioną matę do jogi i stertę broszur na temat tras rowerowych w Europie.

– Dzień dobry, Melanie. – Morgan przyjrzał się jej uważnie. Coś się zmieniło. Jej twarz wglądała jak wyszorowana. Nie był pewien, ale przysięgłby, że jest zupełnie bez makijażu. Cokolwiek to jest, wygląda rewelacyjnie.

– Dzień dobry, Morgan. Współczuję ci z powodu twojej straty – powiedziała szczerze.

– Straty? Cóż, nie znałem tak dobrze tego psa.

– Nie, chodzi mi o Jerome'a. Wiem, że był waszym bliskim przyjacielem.

– Och! Jerome. Tak. – Wyciągnął rękę, przepuszczając Melanie pierwszą do windy. – Był bardzo miły dla mojej żony.

Ale prawdę mówiąc, Morgan wcale nie przepadał za Jerome'em. Zawsze wydawał mu się obleśny. I wystawiał niebotyczne rachunki za swoje „urządzenie wnętrza”.

– Czy był też i waszym przyjacielem? – zapytał.

– Nie.

– Och. – To ma sens, uznał, Jerome był takim snobem. Kornowie nigdy by nie odpowiadali jego kryteriom.

– Jak się czuje Cordelia?

– Będzie dobrze, dziękuję. Co u Arthura?

– Świetnie.

Morgan przekrzywił głowę i znowu przyjrzał się Melanie. Naprawdę nie potrafił określić, co się zmieniło, ale wydawała się auten-

tycznie miła. Wcześniej była w niej odrobinka szaleństwa, ale teraz wyglądała na prawdziwie spokojną i pełną harmonii.

– Wiesz, musicie któregoś wieczoru wpaść do nas na kolację. Żadna gala, tak po prostu.

– Byłoby wspaniale. – Melanie wysiadła na swoim piętrze.

– Powiem Cordelii, żeby do ciebie zadzwoniła i dograła szczegóły.

To było milutkie. Pełnym życia krokiem Melanie wpadła do mieszkania i znalazła Arthura siedzącego w ciemnym salonie i czytającego książkę w słabym blasku lampy od Tiffany ego. Mąż w ostatnich dniach był trochę milczący i dziwny. Jakby przybity. Może grypa go rozkłada.

– Co jest, Groszku? – Melanie zdjęła jego stopy ze stolika i usiadła na sofie obok.

– Nic specjalnego.

– Morgan Vance właśnie zaprosił nas na kolację.

– To świetnie – odparł Arthur posępnie. – Byłaś na pogrzebie tego faceta?

– Wiesz, zastanawiałam się nad tym, ale to by było po prostu nieuczciwe. No bo, na litość boską, nie znosiliśmy się. Fakt, że to wielkie i głośne wydarzenie towarzyskie, jeszcze nie oznacza, iż muszę paradować na jego pogrzebie.

– Racja.

Melanie przerzuciła kartki odłożonej przez niego książki, spojrzała na okładkę i zmarszczyła nos.

– Dlaczego czytasz książkę Olivii Weston?

– Nie wiem.

– Podobno jest do niczego.

– Nie, jest... – zaczął protestować, ale urwał. – No, jest do niczego. Naprawdę przegadana i kiepska. Rozczarowanie.

Melanie wtuliła się w Arthura. Położyła mu głowę na ramieniu.

– Ci ludzie już nie robią na mnie wrażenia – ziewnęła.

– Na mnie też nie.

– Jeszcze kilka tygodni temu wpadłabym w zachwyty z powodu zaproszenia do Vance'ów, ponieważ są, kim są. Teraz cieszę się po prostu dlatego, że uważam ich za całkiem miłych. A jeżeli nie zadzwonią umówić się na konkretny dzień, to też dobrze. Czy to nie dziwne?

– No. – Arthur wpatrywał się w ścianę.

– Chyba jesteś gdzieś daleko, Arty. Co jest? – Melanie przekrzywiła głowę, żeby zajrzeć mu w oczy.

– Nic.

– Jesteś pewien?

– Tak.

– Nie okłamuj mnie.

– Nie okłamuję.

Melanie nadal patrzyła uważnie na Arthura. Wrócił do lektury, ale ona nie odrywała od niego wzroku.

– O co chodzi? – zapytał w końcu. , – Chcę ci zadać to samo pytanie.

Westchnął.

– Nie wiem. Tak się po prostu zastanawiam... to dziwne, jak bardzo można zmienić o kimś zdanie.

– O kogo ci chodzi?

– O nikogo konkretnie. Tylko nie uważasz czasami, że ludzie cię rozczarowują?

– Nieustannie. Właśnie dlatego niczego od nikogo nie oczekuję. Trzeba robić wszystko samemu, inaczej rozczarujesz się. Ludzie

zawsze zawodzą. Zwłaszcza to towarzystwo, z którym się zadajemy.

– Czemu się z nimi zadajemy?

Melanie już miała wyrecytować swoją gadkę, o tym, kto stanowi śmietankę, elitę, i w jaki sposób ktoś staje się kimś.

– Nie wiem! – roześmiała się. – Nie wiem, dlaczego zadajemy się z tymi... palantami!

Czy to z powodu Diandry? Jeżeli tak, to żalosne. Diandra to idiotka – zostawiła Arthura. Dlaczego w ogóle chciałam być podobna do tej idiotki? Zachichotała na myśl o tym, jak niedorzecznie się zachowywała.

Śmiech Melanie był zaraźliwy i wkrótce Arthur śmiał się jak szalony.

– Chodź. – Pocałował ją w czoło. – Zjedzmy trochę tych pysznych lodów z karmelem i czekoladą.

Ten ranek nie zaczął się dobrze dla Joan. Właściwie to niezupełnie prawda, ponieważ obudziła się w świetnym humorze, ale potem z każdą chwilą było gorzej. Pierwszym powodem do rozdrażnienia okazały się drobnostki. Pralni chemicznej nie udało się usunąć plamy po occie balsamicznym z jej jasnobrązowej spódnicy, gosposia wyrzuciła wczorajszy numer „New York Observera”, którego jeszcze nie zdążyła przeczytać, a w pokoju wypoczynkowym znalazła małe rozdarcie na kozetce. Irytujące, ale do wytrzymania. Dopiero Phillip naprawdę ją zezłościł.

– Prosiłeś Larry'ego Powella o napisanie rekomendacji dla Camilli? – zapytała przy śniadaniu.

Larry był w zarządzie Hamilton College, do którego chciała dostać się ich córka, Camilla.

– Nie. – Phillip nawet nie podniósł oczu znad gazety.

– Phillip, musimy to załatwić. Zaczął się okres składania podań, a już siedem osób z klasy Camilli zadeklarowało wybór Hamilton.

Phillip nie reagował.

– Możesz do niego zadzwonić i zapytać?

– Jak będę mieć czas.

To było denerwujące. Jeżeli będzie mieć czas?

– A czym, bądź łaskaw mi wyjaśnić, jesteś tak zajęty, że nie masz czasu zadzwonić w sprawie swojej córki?

Phillip opuścił gazetę i popatrzył na Joan. Nic nie powiedział i w końcu wrócił do lektury. Joan była rozsierdzona. Jest beużyteczny, beużyteczny!

– Phillip, masz mi odpowiedzieć.

– Och, daj spokój. Nie zaczynaj...

– Czego mam nie zaczynać?

– No wiesz, tego twojego zrzęczenia, marudzenia. Co, nudzi ci się? Może polecisz na herbatę z Wendy?

Joan wrzała już ze wściekłości.

– Phillip, zaczynam mieć ciebie naprawdę dość. Spojrzał jej prosto w oczy.

– No i co? Zostawisz mnie? Ha – kpił.

– Dlaczego zawsze poruszasz ten temat, kiedy rozmawiamy o czymś poważnym? – Nie odpowiedział, więc narzekała dalej: – Gdy tylko mówimy o czymś, co jest dla ciebie niewygodne, to zaraz musisz gadać o zostawieniu mnie albo o rozwodzie, albo czymś w tym stylu. To dziecinne.

– Zaczyna się. – Phillip westchnął i pociągnął łyk kawy.

– Cóż, naprawdę uważam, że to ważne, żeby rozmawiać.

– O czym na przykład? – zapytał z sarkazmem.

– Na przykład o tym, że ty nic nie robisz, Phillip! Spędzasz cały dzień w Racquet Club – siedzisz tam beczynnie, przeczytasz gazetę, pójdziesz na masaż, zdrzemniesz się, zagrasz w tryktraka i może, no ewentualnie, w squasha! Albo idziesz do tego swojego szkockiego klubu, gdzie siedzisz i marnujesz czas w Internecie albo gędzisz z innymi nudziarzami! To żałosne, Phillip, naprawdę żałosne. Praca nic dla ciebie nie znaczy. Jasne, wkładasz garnitur, ale tylko dlatego, że takie są wymagania Racquet Club! Nie robisz

nic! Nic! To ja utrzymuję rodzinę i zaczynam mieć tego dość! — Kiedy Joan skończyła się ciskać, zaczerpnęła głęboko powietrza. Naprawdę wkurzyła się. Phillip przyglądał się jej.

— Skończyłaś?

— Tak.

— Dziękuję. — Wrócił do gazety.

— Nie chcesz nic powiedzieć?

— A co chcesz, żebym powiedział, Joan? To ta sama stara kłótnia. Joan celowo oddychała głośno i głęboko, wdech i wydech, wdech i wydech.

— Cóż, nie sądzisz, że to prawda?

Phillip rzucił na stół dodatek biznesowy i wzruszył ramionami.

— I co z tego? Lubię chodzić do klubu.

— Ale nie uważasz, że powinieneś utrzymywać rodzinę?

— Mamy pieniądze.

— Ale to moje pieniądze. A ty się wylegujesz i nic nie robisz! — Joan wpadła w histerię.

— No, tak, Joan, to twoje pieniądze. Ale gdyby to były moje pieniądze, to prawdopodobnie nie przeszkadzałyby ci to w ich wydawaniu. A tak przy okazji, to nie zapominaj, że ty ich sama nie zarobiłaś. Odziedziczyłaś je. Jakiś twój daleki krewny zapierniczał do pracy, a ty z tego korzystasz. Więc nie zaczynaj mi tu mówić o etyce pracy, bo sama jej nie masz.

— Żaden z ciebie mężczyzna! Jak możesz czuć się dobrze, siedząc beczynnienie? Nie chcesz zrobić nic dla społeczeństwa?

— Jak ty? — zapytał zjadliwie. — Nazywajmy rzeczy po imieniu, Joan. Co ty takiego ważnego robisz? Co innego niż ja? Biegasz w butach za pięćset dolarów od jednej luksusowej restauracji do drugiej, gdzie jesz miskę sałaty za dwadzieścia pięć dolarów i plotkujesz o każdej kobiecie, która wchodzi do środka. Jesteś małostkowa, dwu-

licowa, jesteś zazdrosna, znudzona i bez względu na to, co się stanie, skazana na mnie. Ponieważ widzisz Wendy i jej samotne życie i nie życzyłybyś tego najgorszemu wrogowi. Więc przestań mnie krytykować, przestań męczyć, tylko wstań, ubierz się i idź robić to, na co tam marnujesz swój czas!

Nie pozostało jej nic do powiedzenia. Joan robiła dokładnie to, o czym mówił, i marzyła o życiu, w którym ma bogatego, odnoszącego sukcesy pantoflarza, obsypującego ją brylantami i nie dbającego o waleczki tłuszczu w jej talii.

Kilka godzin później w elipsowatej, ręcznie malowanej we wzorki sali restauracji hotelu Carlyle Joan piła w spokoju herbatę z Mimi Halsey. Kiedy sączyły napar – jedna cynamonowy, druga mieszankę dzikiej róży i cytroneli – i próbowały kanapeczek z odkrojoną skórką, Joan poruszyła kwestię, którą chciała omówić z Mimi.

– Urządzamy je we wtorek u Pierre'a. Przy podwieczorku. Wszystko załatwione.

– Kolejne przyjęcie z shahtoosh? Cóż, Joan, moja droga, może powinnaś poczekać...

– Czemu? Wszystko ustalone. Bardzo bym tylko chciała, żebyś rozgłosiła to wśród swoich znajomych, których adresów nie znam. Byłoby rewelacyjnie.

Zanim Mimi zdążyła odpowiedzieć, do sali wpadła rozgorączkowana Wendy z zaczerwienionymi policzkami i za-dyszką.

– Nigdy nie zgadniecie, co się stało! Joan niemal zakrztuściła się rzeżuchą.

– Mój Boże, co?

– Co? Proszę, powiedz – zareagowała Mimi spokojnie. Wendy odchrząknęła teatralnie.

– Mów w tej chwili – zażądała Joan z rosnącym napięciem. Jeżeli Wendy przybiegła tu z fryzurą jak... no, to musi być superplotka.

Wendy spojrzała skupionym słuchaczkom w oczy.

– Cordelia Vance została aresztowana.

– Nie.

– *Oui*. Mogę to tylko złożyć na karb bólu, jaki odczuwa z powodu tragicznej i przedwczesnej śmierci Jerome'a.

– Co się stało? – Joan była bliska pochwylenia przyjaciółki i wytrząśnięcia z niej wszystkich drastycznych szczegółów.

– Podobno beztriosko wyszła sobie z domu bez makijażu i udała się na piechotę do Cartiera.

– Nie – zareagowała Mimi.

– Na piechotę? – nie dowierzała Joan.

– Poprosiła, żeby jej pokazano kilka pierścionków, włożyła je na palce i ruszyła do wyjścia, ale zanim zdążyła opuścić sklep, zatrzymała ją ochrona. Założyli jej kajdanki na Fifth Avenue. Możecie sobie wyobrazić coś bardziej upokarzającego?

Joan cofnęła się myślą do wydarzenia, kiedy siedmioipółcentymetrowy obcas w szpilkach od Chanel złamał się jej w metalowej kratce na chodniku, naprzeciwko jedzących lunch w ogródku La Goulue. Wendy przypomniała sobie koszmarną chwilę, kiedy wyszła z toalety w La Caravelle ze wstęgą papieru toaletowego przyczepioną do łydki. Mimi pomyślała o tym, jak kiedyś zjadła grzanekę, która nie wiadomo skąd, znalazła się w jej sałatce.

– Nie – powiedziała Joan zdecydowanie. – Nie jestem w stanie wyobrazić sobie niczego gorszego.

– Ja też nie – zgodziła się Wendy.

– Ani ja – dodała Mimi.

– I co teraz będzie? – zapytała Joan.

– Cóż, nie wiem. Musiałam wam powiedzieć i wracam do domu, żeby zadzwonić. Biedna Cordeña – dodała Wendy, przypominawszy sobie, że na razie wypada okazywać troskę.

Jak na komendę Joan i Mimi natychmiast zrzędyły miny.

– Biedactwo – wymamrotały.

– Cóż, to ja uciekam. Nie przeszkadzam wam – pożegnała się Wendy.

– Och! No, my... ee... – Joan rozpaczliwie pragnęła wyjść stąd i dopaść telefonu.

– Właśnie kończyłyśmy – powiedziała Mimi.

I choć dopiero co zamówiły jeszcze po jednym imbryku, szybko zapłaciły rachunek i wsiadły do taksówek, żeby wycisnąć z tej historii ile się da.

RS

Morgan przemierzał z niepokojem korytarz swojego mieszkania, podczas gdy prawnik, Sy Hammerman, kończył rozmowę z prokuratorem okręgowym, który, tak się szczęśliwie złożyło, okazał się jego starym kumplem z wydziału prawa i partnerem do squasha z czasów studiów w Yale.

– Dzięki, stary. Okay, Jasper, brzmi wspaniale... i pozdrów ode mnie Ellen... Świetnie, do zobaczenia. Cześć – odłożył słuchawkę, westchnął i odwrócił się do swojego klienta, klepiąc go po plecach z miną oznaczającą „po sprawie”.

Morganowi ulżyło.

– Już w porządku – uśmiechnął się Sy. – Chodźmy po nią.

Przeszli trzy przecznice z domu Vance'ów do XIX Komisariatu mieszczącego się pomiędzy Lexington Avenue i Third Avenue. Fasada z czerwonej cegły z niebieskimi jak nowojorskie radiowozy parapetami – widząc ten atrakcyjny budynek, nikt by się nie domyślił, że przetrzymuje się w nim bandziorów (choć sporo zaparkowanych wozów patrolowych mogłoby to sugerować). To nie był typowy komisariat z serialu *Prawo i sprawiedliwość*, w którym siedzą niebieskie ptaszki w kajdankach – w tym okręgu zdarzały się oczywiście sporadycznie brutalne przestępstwa, ale głównie zamieszkiwany był przez przyzwoitych urzędników. Gdy Sy podszedł do policjanta, żeby zapytać o Cordelię, Morgan rozejrzał się i za-

uważył znajomo wyglądającego człowieka. Racquet Club? Hmm... Lyford? Nie mógł sobie przypomnieć, skąd go zna.

– Pan Vance? – zagrzemiał twardy głos, wskazujący na mieszkańca Staten Island. – Doherty, wydział dochodzeniowo-śledczy. Proszę tędy. – Poprowadził go na górę, gdzie przebywała zatrzymana Cordelia.

– Normalnie to wsadziłbym pana żonę do celi, ale mamy tu dziś kilka paskudnych dziwek, więc siedzi w moim biurze.

– Jestem panu wdzięczny – podziękował Morgan.

– Nie ma problemu. Powiedzcie, kim wy tak w ogóle jesteście? Telefon z biura burmistrza? Rany. Prokurator okręgowy oddalił tę sprawę szybciej, niżby odrzucał gorący kartofel. Cartier osobiście zadzwonił, aby powiedzieć, że wycofują wszystkie oskarżenia.

– To nie chodzi o to, kim jest mój klient – odpowiedział stanowczo Sy. – Ale o to, że ona jest absolutnie niewinna i wszystko to straszna pomyłka.

– Taa? Mamy materiał z kamery, jak kradnie mnóstwo błyskotek!

– Ona nie kradła! – wybuchł Morgan.

– Morg... – Sy starał się go uspokoić. – Nie słuchaj tego. Ona jest w porządku!

– Nie – ciągnął Morgan. – Mamy umowę z Cartierem. Sprzedawczyni, która normalnie wie o naszym rachunku kredytowym, jest na wakacjach, okay? – Przyłożył dłoń do czoła i wytarł pot, zdenerwowany własnym postępowaniem.

Czy to on ją do tego doprowadził? Najwyraźniej i biżuteria, i ubrania, i imprezy dobroczynne miały zasłonić pustkę w ich małżeństwie. Biedna kobieta, a teraz jakiś baran ze Staten Island łaja ją i poniża. To nie w ich stylu! Przychodzić po nią do więzienia?

Oddychać głęboko. Uspokoił się i gdy w milczeniu skręcili za róg korytarza, Morgan zobaczył żonę siedzącą z ponurą miną za biurkiem oficera.

– Cordelia! – podbiegł do niej i objął, chcąc zabrać stąd jak najszybciej.

– Och, kochany! – zawołała, przytulając się do niego. – Dziękuję ci, tak mi przykro.

– Nie, nie mów ani słowa. To wszystko jest jakimś strasznym nieporozumieniem.

– No – wtrącił się Doherty. – Myśmy nie zrozumieli, że pani wolno kraść.

– To wystarczy – powiedział Sy.

Podpisanie potrzebnych dokumentów zajęło Sy'owi kilka minut. Cordelia spędziła ten czas wtulona w Morgana. To nie byle co, zdała sobie sprawę. Była w więzieniu! Wychodzi, ale miała szczęście, że sprytny prawnik wyciągnął ją. Co ona sobie myślała? Czasami czuła się jak opętana albo lunatyczka. Pamiętała, że poszła do Cartiera i wzięła biżuterię, ale jakby znajdowała się pod wodą, jakby patrzyła na siebie z boku, a jednocześnie była gdzieś daleko. Jak ona się tam dostała? Naprawdę powinna wyrzucić niektóre pigułki z apteczki. Robią z nią dziwne rzeczy.

– Gotowe – uspokoił ich Sy. – A teraz chodźmy stąd.

Wszyscy troje odwrócili się i popędzili schodami. Jakkolwiek miły, komisariat dzielnicowy Upper East Side z pewnością nie był miejscem, w którym chciałoby się zasiedzieć. W drodze do wyjścia minęli jakieś ekskluzywne prostytutki, staruszkę narzekającą na psa zakłócającego jej spokój i faceta wypełniającego formularz w związku ze zgubionym telefonem komórkowym. Powietrze na zewnątrz nigdy nie wydawało się świeższe.

– Dziękuję ci bardzo, Sy. – Morgan uścisnął mu dłoń.

– Nie ma za co. – Prawnik wsiadł do taksówki. Cordelia wspierała się na Morganie, kiedy szli do domu.

Drżała i trzęsła się, nie wiedział, czy z zimna, czy z powodu tego, co zrobiła.

Kiedy znaleźli się w sypialni, Morgan zapytał, jak zniosła te trzy godziny.

– Och, nieźle, jak sędzę – odpowiedziała, starając się zachować spokój i rozmarzonym wzrokiem patrząc za okna, jak w półśnie.

Łzy zaschły jej na policzkach, przez co skóra wydawała się bledsza, lecz ani jednej nie uroniła z powodu zaistniałej sytuacji, tylko z napięcia, które ją do tego doprowadziło.

– Nawet zabawne. Wcale nie czułam zakłopotania. Było w porządku. – Uśmiechnęła się sztucznie. Musi być silna, dla siebie i dla Morgana. Jeżeli znowu pozwoli sobie na załamanie... – Och, i widziałam, jak aresztowali Lamara Crabba!

– To był on. Wiedziałem, że znam tę twarz!

– Nie widział mnie, dzięki Bogu. Powiedzieli, że jest oskarżony o prześladowanie! Jakaś biedna dziewczyna zaraz po studiach – no, na tyle młoda, że mogłaby być jego córką – do której nieustannie ktoś dzwonił o każdej porze. Od miesięcy miała telefony z nieprzyzwoitymi propozycjami oraz pogrózkami i okazało się, że to on, jej szef. A raczej szef jej szefów – jest prezesem zarządu. Pracowała jako asystentka, czy coś, w jego firmie. Wyobrażasz sobie? Biedna Beatrice.

– To przerażające. Musi się modlić, żeby to się nie rozeszło.

– Cóż, dobra wiadomość jest taka, że jestem z powrotem w domu.

– Tak, kochanie. – Poglaskał ją czule po włosach. – Może zamówimy coś z Coco Pazzo i zjemy tutaj?

– Byłoby wspaniale – powiedziała znużonym głosem, ale z uśmiechem. – Po prostu idealnie.

Wymuszony uśmiech zdradziły wzbierające łzy, od których coraz bardziej błyszcząły jej oczy. Bądź silna, bądź silna! – powtarzała sobie, ale na próżno. W końcu zaniósła się zdławionym szlochem. Życie coraz bardziej wymykało się jej spod kontroli i ciało poszło za jego przykładem.

– Już dobrze, kochanie. – Morgan tulił żonę.

– Tak mi przykro, Morgan, że cię upokorzyłam. Nie wiem, co mnie naszło.

– Nie przejmuj się, skarbie. To był bolesny tydzień. Musisz pozwolić sobie odpocząć. Chodź, położymy się.

Morgan otulił żonę świeżo wyprasowaną pościelą i usiadł koło niej – tak bardzo ją kochał. Poprawił wokół niej poduszki z monogramem i upewnił się, że jest jej wygodnie. Mimo tragedii, jaką była śmierć Jerome'a, i mimo epizodu z kradzieżą biżuterii czuł, że to wszystko jego wina, że załamanie Cordelii jest spowodowane tylko i wyłącznie jego cudzołóstwem, które doprowadziło do pierwszego pęknięcia.

– Pójdę po środek uspokajający. Powinnaś pospać. – Pogładził ją po głowie.

– Dziękuję ci.

Przyniósł pigułkę i szklanekę wody. Patrzyła szklistym wzrokiem na zasłony.

– Co się ze mną dzieje? Czuję się... pozbawiona celu. Nic już dla mnie nie ma znaczenia.

– Nie myśl tak. To nieprawda – rozpaczliwie chciał naprawić wszystko, co w niej zniszczył.

– Ja... ja czuję, jakbym udawała. Kolejne przyjęcie, kolejny lunch, zakupy. Jestem na wpół martwa.

– Uspokój się, kochanie. Nie martw się tym. Wszystko będzie dobrze.

– Nie zasługuję na ciebie, Morgan. Jestem jak pusta skorupa. Ty... ty jesteś taki dobry... taki dobry... – Znowu zaczęła płakać, a Morgan czuł ból, jakby nóż wbijał mu się w pierś – ostrzem była jego wina. Raniła go boleśnie.

– Cordelio – wziął jej dłoń – nie byłem taki dobry, jaki mogłem być, ale zamierzam to zmienić. Chcę być lepszym mężem i po prostu lepszym człowiekiem.

– Zawsze cię kochałam, Morgan. Nigdy mnie nie zawiodłeś.

– Obiecuję, że nigdy tego nie zrobię.

Kiedy Cordelia wolno zapadała w sen, nadal słyszał jej słowa. On dobrym człowiekiem? Zlecił zamordowanie kochanki. Nie, nie jest dobrym człowiekiem. Co on sobie myśli? Chwilowo oszalał. Siedzenie w więzieniu to nie najlepszy sposób na bycie dobrym mężem Cordelii. Ona potrzebuje jego obecności i bez względu na wszystko wiedział, że przy niej będzie.

Poszedł do swojego gabinetu, odnalazł wizytówkę Vin-ce'a i wybrał numer jego komórki.

– Dzień dobry, to ja, Morgan. Proszę posłuchać, rozważyłem to, o czym rozmawialiśmy. Proszę to odwołać. To... załatwienie, czy jak to tam nazywacie... Tak, jestem pewien. Co to znaczy, że za późno? Proszę posłuchać, zmieniłem zdanie... Nie może pan po prostu nie jechać?... No to kto to robi?... Nie, nie, wie pan co, ma pan rację, nie mówiąc mi. Nie może pan po prostu zadzwonić do tej osoby i powiedzieć, że nie? Proszę zatrzymać pieniądze. – Morgan zaczął chodzić po pokoju i pot kapał mu z czoła. Musi to odwołać. – Zadzwonić jutro? Jaką pan organizacją kieruje? Wiem, wiem, ale proszę posłuchać, chcę, żeby pan to odwołał... Dobrze, zadzwonię jutro. Proszę. Proszę!

Świetnie, po prostu świetnie. Należy dopilnować, żeby ten typek nie zabił Marii. Nie wolno mu mieć jeszcze jednej sprawy na sumieniu. Chociaż życzy jej śmierci, nie może się przyczynić do jej unicestwienia.

– Kto to był?

Morgan odwrócił się zaskoczony. Na progu stał John, ściskając swój weekendowy worek marynarski.

– Och, znajomy z pracy.

– Co się dzieje z mamą?

– Miała wypadek.

– Dobrze się czuje?

– Tak. Cierpi na stres pourazowy z powodu śmierci Jerome'a, więc trochę się pogubiła u Cartiera, wzięła kilka rzeczy i zapomniała za nie zapłacić.

– Ukradła?

– Nie celowo – powiedział Morgan defensywnym tonem.

– Cholera.

– Może pójdziesz do niej i trochę ją rozweselisz? Na pewno będzie zachwycona twoim widokiem.

– Dobrze. – John wyszedł z gabinetu.

Mało brakowało. Niedyskrecja może go zgubić. To i morderstwo. Musi odwołać zlecenie. Natychmiast.

Melanie obudziła się i przeciągnęła na łóżku jak puchary kocur, któremu akurat udało się znaleźć w plamie słońca. Arthur siedział w nogach łóżka, wkładając skarpetki.

– Oo, dzień dobry, panienko. Wreszcie się obudziłaś.

– Mój Boże. – Melanie spojrzała na zegarek. – Ale ze mnie leń! Musiałam spać jakieś dziesięć godzin.

– Nie ma problemu, kochanie.

Arthur rzucił się na żonę i pocałował ją w czoło. Przygnieciona Melanie zachichotała i walnęła go poduszką, żeby się wydostać. Udając ból, jakby spadło na niego kowadło firmy Acme z kreskówek Looney Tunes, z trudem dźwignął się na nogi. Melanie zrobiła nagle minę, jakby dostała mdłości.

– Arty, chyba zaraz będę haftować.

– Ha, ha. Oczywiście, że ci bardzo niedobrze, moja ty Saro Bernhardt.

– Nie, serio...

Zanim zdążyła powiedzieć słowo, rzuciła się do łazienki sprintem godnym Flo Jo.

– Och, mój Boże... – Arthur popędził za nią i położył kojąco dłoń na jej drgających plecach, gdy gwałtownie wymiotowała jak opętane dziecko w *Egzorcystyce*.

– O do diabła, to było okropne.

– Już okay, kochanie. – Arthur próbował ją ukoić, głaszcząc po głowie. – Może powinnaś się położyć.

Zaniósł ją do łóżka i przyjrzał się, gdy leżała bezpiecznie zawinięta w przytulną pościel firmy Porthault tkaną z tysiąca nitek. Powiedział, że z przyjemnością zostanie z nią w domu, ale wiedziała, że ma mnóstwo pracy przed Targami Trumiennymi w Vegas. Więc pożegnała go i wkrótce zamknęła oczy, zapadając w głęboki poranny sen.

Jakieś dwie godziny później usłyszała zgrzyt klucza w zamku i męskie kroki na marmurowej posadzce w przedpokoju.

– Słonko? To ty?

Arthur musiał wrócić, żeby sprawdzić, jak się czuje. Wyszła za naprawdę porządnego gościa.

– Nie, proszę pani – zabrzmiał znajomy energiczny głos. – To ja. Wróciłem.

Guffey! Wrócił? Melanie była przekonana, że służący leży na szezlongu w Palm Beach wraz ze swoją byłą panią, która ma tyle klasy, że jej... hm... wystaje.

– Guff, wróciłeś? Jestem tutaj! Pojawił się w drzwiach.

– Tak, proszę pani. Przykro mi, że moje kłopoty trzymały mnie z dala od pani tyle czasu... Dobrze się pani czuje?

– Cóż, jestem troszeczkę niedysponowana. Ale tak, wszystko jest dobrze.

Uśmiechnęli się do siebie i Guffey poszedł do swojego pokoju rozpakować bagaż. Później Melanie siedziała w szlafroku w kuchni nad herbatą, a on wdrażał się w swoje obowiązki, doprowadzając do porządku kuchnię i sporządzając listę zakupów dla Juanity.

– Guffey – Melanie zaczęła łagodnie – powiedziałaś, że miałaś... kłopoty. Czy wszystko okay?

– Nie ma powodu do zmartwienia, proszę pani. Jeżeli o mnie chodzi, to wszystko w porządku. Zrobiliśmy to, co mogliśmy, jak to się mówi.

– Cóż, martwiłam się. Nie wiedziałam, co się stało, czy... to nie moja wina.

– Pani wina? Ależ skąd!

– Tylko myślałam... że może to coś, co ja zrobiłam. Albo powiedziałam. Albo jakaś żenująca kombinacja jednego i drugiego. Bo ten tekst w „Observerze”...

– Nonsens! Nie dbam o jakiś bzdurny artykuł.

– Nie?

– Na Boga, nie!

– Pomyślałam... pomyślałam, że może odszedłeś, bo poczułeś się upokorzony przeze mnie.

– Nigdy w życiu – pokręcił głową. – Proszę pani, wyjechałem, ponieważ, niestety, ostatni ciąg kokainowy mojego brata sprawił, że chwilowo potrzebował opieki. Chodziło o naszą mroczną rodzinną tajemnicę, nic więcej.

– Naprawdę? – Melanie rozjaśniła się twarz, jakby była zachwycona tym, że brat Guffa jest ćpunem. – To znaczy to okropne. Ale ulżyło mi. Wiem, że wszystko szło bardziej gładko z Diandrą i... ja nie zawsze wiem, co i jak. Ale cieszę się, że nie byłam przyczyną twojego nagłego wyjazdu.

– Wielkie nieba, nie – uśmiechnął się lekko. Wzruszyło go, że ma na nią taki wpływ. Musiała być po prostu rozbita jego nagłym wyjazdem. Jakby miała mało stresu z powodu potępiającego ją artykułu, to jeszcze pewnie czuła się opuszczona nawet przez niego, swojego zaufanego służącego i doradcę. Jedno jest pewne: ostre jak

miecz słowa Billy'ego Crispina z całą pewnością spuściły powietrze z balonu dumy. Co więcej, jego pani wydaje się teraz bardziej odprężona i bliższa realnego życia niż kiedykolwiek. Popatrzył na swoją chorą podopieczną w nowym szlafroku – zauważył nową pościel i stylowo stonowane ubrania w jej garderobie – i poczuł ojcowską dumę. Słuchała, chłonęła; cały czas bardzo się starała. I przez to wzruszenie i współczucie Guffey postanowił powiedzieć Melanie prawdę o spędzającej jej sen z powiek poprzedniczce.

– Proszę pani – zaczął, nie bardzo wiedząc, jak przejść do tego tematu. – Jest coś, co powinna pani wiedzieć o pierwszej pani Korn...

– Mm – Melanie się uśmiechnęła. – Zabawne, że o niej mówisz. Wpadłam w taką paranoję po tym artykule, iż prawdę powiedziawszy, myślałam, że wróciłeś do Jej Królewskiej Mości.

– Ależ skąd – pokręcił głową. – Widzi pani... jak to ująć? – zawahał się. – Ja ją stworzyłem.

-Co?

– Znałem ją, zanim została Diandrą Chrysler.

– Miała jeszcze jednego męża?

– Nie. Znałem ją, zanim zmieniła swój wizerunek. Melanie milczała. Guffey mówił dalej.

– Znałem ją, kiedy nazywała się Diane Buick.

– Buick? – Melanie osłupiała.

Tania marka samochodu najwyraźniej nie była dla niej wystarczająco dobrym nazwiskiem, więc uznała, że zamiana jej na bardziej luksusową to drobna kosmetyka. Nie?

– Diandra to nie Diaaaandraaa? Chcesz powiedzieć, że zmieniła imię. Z Dianę?

– Obawiam się, że tak.

– IChrysler? No, Jezu, przynajmniej miała wycucie, żeby wybrać nazwisko, które nosi budynek widoczny na tle nowojorskiego nieba. A ja myślałam, że to szczyt elegancji i dobrego smaku!

– Tak. Dzięki mnie. Pracowałem dla wicehrabiny Havorshire, zanim wyjechałem z Wielkiej Brytanii. Wiedziałem wszystko: byłem oczami i uszami zamku, życia towarzyskiego. Po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych byłem kamerdynerem greckiego księcia Kasjusza, a Diane jedną z jego... cóż, kobiet.

Ogłuszona Melanie słuchała z zapartym tchem. Guffey kontynuował:

– Szybko się zaprzyjaźniliśmy. Rozpaczliwie chciała zdobyć jego serce, a ja zauważyłem, jak stara się być wytworna i zasłużyć na niego. Szalenie martwiła się swoim pochodzeniem i szukała u mnie pomocy, żeby się podszkolić. I zrobiłem, co mogłem. Serce jednak ciągnęło księcia do innej kandydatki, do młodej córki hodowcy koni wyścigowych z Kentucky. I Diane była zdruzgotana. Postanowiłem więc jej pomóc. Stała się moim małym projektem i wkrótce potem była towarzyską potęgą, z jaką należało się liczyć. Niebawem interesowali się nią wszyscy milionerzy z Fifth Avenue. Wzięła mnie z sobą, awansując, ale nasze drogi rozeszły się, kiedy polubiłem pana Korna i zobaczyłem, jak źle go traktuje. Związała się z innym mężczyzną i powiedziała, że chyba się przeprowadzi. Wtedy wiedziałem, że nigdy nie opuszczę Nowego Jorku. Zima, którą spędzaliśmy w Palm Beach, była dla mnie torturą. Floryda to mój najmniej ulubiony stan.

– Wiem coś o tym. – Melanie miała szklisty wzrok, bo przed oczami migały jej obrazy trzaskających drzwi, pomponów cheerleaderek, natapirowanej rozjaśnianej grzywki, sieci Dairy Queens i starych chevroletow na parkingu, z których wylewała się głośna muzyka.

A więc to tak. Sławna, znana, poważana Diandra była taka sama jak ona. Tylko że Melanie wydostała się z tego wstrętnego półwyspu, a pierwsza pani Korn sama tam się wybrała. Pal sześć słońce – Melanie lubiła skrzący się w ciemności Manhattan i jego nerwową bieganinę. A połyskująca diamentowo iglica Chrysler Building to nocny widok, jakiego nie oddałaby za żadne skarby świata.

RS

– Proszę tu skręcić w lewo. Tak, to chyba tutaj. – Morgan ponownie zerknął na adres, jaki nabazgrał na karteczce.

Kierowca taksówki odwrócił się i spojrzał na niego. Widział, że ten facet jest, no, tego, wytworny. To nie jest miejsce, w którym powinien się kręcić.

– Pewien pan jest, że chce wysiąść tutaj?

Morgan popatrzył na niespecjalnie zachęcający, ciemny budynek na opustoszałym rogu w Bronksie i pomyślał: „Nie!” Niestety nie miał wyjścia.

– Nie chcę, ale muszę.

– W porządku.

– Ale może mógłby pan na mnie poczekać? Proszę nie wyłączać taksometru, dam panu pięćdziesiąt dolarów napiwku.

– Super. Tylko niech mnie pan nie wykantuje.

– Obiecuję.

Morgan wysiadł z taksówki. Celowo nie wziął swojego samochodu, ponieważ nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, dokąd się wybiera. Vince tak niefachowo odwoływał wykonanie mokrej roboty, że był zmuszony osobiście spotkać się z tamtym facetem, jeśli chciał mieć pewność, że to się nie zdarzy.

Teraz podszedł do drzwi, które zdawały się prowadzić donikąd, dopóki nie zauważył małego napisu: „U Franka” Odetchnął głęboko i pchnął je.

Za staroświecką ladą stał barman, przy stoliku dwaj mężczyźni palili i pili. Miejsce samo w sobie nie było takie złe, przeciętny bar, ale tym bardziej wydawał mu się groźny, z wiadomego powodu. Podszedł do barmana, który patrzył na niego bez słowa.

– Witam, szukam...

– Mnie – powiedział ktoś za jego plecami, zanim zdążył skończyć.

Morgan odwrócił się. Zobaczył jakiegoś chudego mężczyznę o dziobatej twarzy, który odsłonił w uśmiechu zaskakująco ładne zęby.

– Pan jest...?

– Zgadza się.

– Dobrze. A zatem... – Morgan zaczerpnął głęboko powietrza. Był przygotowany na to, że usiadzie, przedstawi swoją historię i wyjaśni, czemu najpierw postanowił pozbyć się kochanki, a potem zmienił zdanie. Opowie szczegółowo o jej nieustannym jęczeniu i żądaniach, o tym, jak zapomniał o swej wspaniałej żonie, jak przeszedł kryzys wieku średniego, ale potem oprzytomniał. Wspomni, jak z początku Maria była wspaniała, a teraz stała się zła, ale mimo to nie może być odpowiedzialny za śmierć człowieka. Ale dziobaty mu przerwał:

– Zatem chcę pan odwołać sprawę.

– Tak. – Morgan rozejrzał się. Myślał, że zostanie zaprowadzony do małego ciemnego pokoju i będzie musiał prosić i błagać.

– Okay.

– Dobrze, i jak mówiłem, proszę zatrzymać pieniądze.

RS

– Jasne.

Morgan popatrzył wokół siebie niepewnie. To wszystko?

– Więc to wszystko?

– Tak. Może pan iść.

– W porządku. – Morgan spojrział na barmana zajętego oglądaniem meczu hokejowego na małym ekranie telewizora zawieszonym na ścianie. – Świetnie, dzięki. – Poczul ulgę.

Mężczyzna wrócił na swoje miejsce koło kolegi.

Podeksytowany Morgan wyszedł z baru. To takie proste! Tak zwyczajnie wszedł tam i odwołał zlecenie. Hura! Dopiero w taksówce, kiedy przejeżdżali przez most, opadła z niego cała euforia. Zrobił to, co należało. Szkoda, że w nagrodę będzie musiał znieść więcej cierpienia ze strony tej szantażystki. Chryste.

RS

– Na pewno wszystko w porządku? – zapytała Rosemary po raz piętnasty.

– Przysięgam – odpowiedziała Olivia szczerze.

– Nic, o czym powinniśmy wiedzieć? Coś z twoją rodziną?

– Nie, nie, u nich wszystko w porządku.

– Co z Henrym? Nadal wybierasz się z nim do Lyford? – zapytała Lila.

– Tak, chyba tak.

– Więc to nie chodzi o twoje życie uczuciowe? – upewniała się Rosemary.

– Nie.

– Chodzi o to, że przypadł ci ten obraz Childe'a Hassa-ma? – dopytywała się Lila.

– Nie.

– Bo nie możesz mieć o to do siebie pretensji. Frothin-ghams zawsze ma bałagan z licytacją telefoniczną.

– Nie, właśnie dzwoniłam do marszanda, który go wylicytował, i kupiłam bezpośrednio od niego.

– Żacjnych chorób, żadnych dolegliwości? – dociekała Rosemary.

– Już mówiłam, wszystko w porządku.

Zamilkły.

– Och! To zimowe przybranie na wadze? Bo świetnie wyglądasz – powiedziała Lila.

– Jak to? – spanikowała Olivia. – Uważacie, że przytyłam?

– Nie, jesteś patyczek.

– No bo nie jadłam węglowodanów od dwóch tygodni. Mam nadzieję, że dobrze wyglądam.

– Wyglądasz świetnie.

Olivia podniosła rękę i ścisnęła skórę, żeby sprawdzić, czy nie ma zbędnego tłuszczu. Nie ma. Rosemary zerknęła na Liłę i obie zwróciły się do Olivii. Wyglądała fantastycznie, siedząc na pistacjowym fotelu w swojej bibliotece. Ale coś było nie tak.

– Słuchaj, Olivia. Po prostu bardzo się o ciebie martwimy – zaczęła Lila.

– O mnie? Dlaczego?

– Bo opuściłaś dwa ostatnie bale charytatywne i od dawna nie wychodziłaś na kolację – powiedziała Rosemary.

– Możesz to nazwać... interwencją – dodała Lila.

– Po prostu nie wiemy, co może być nie w porządku. Jeżeli nie jesteś chora ani nie cierpisz z miłości, to co cię tak trzyma w mieszkaniu?

Olivia westchnęła. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu i ludzie zaczną zadawać pytania. Po prostu nie była w nastroju na przyjęcia ani spotkania towarzyskie i choć to brzmiało dziwnie, taka była prawda. Po raz pierwszy w życiu czuła się naprawdę zestresowana – miała termin i żadnego pisarza, który by jej pomógł. Holland nie reagowała na jej telefony i nawet Rob – który je poznał – odmówił mediacji. Może nie powinna była jej policzkować.

– Jesteście takie słodkie, martwiąc się o mnie, Chodzi o pracę. Jestem po prostu bardzo zestresowana terminem.

Rosemary i Lila popatrzyły na siebie i wybuchnęły śmiechem.

– To wszystko? – zagrzmiała Rosemary. – Dobry Boże, myślałyśmy, że to coś o wiele poważniejszego. Słonko, terminy ostateczne można przesunąć. Nikt nie zwraca na nie uwagi.

– Szczerze mówiąc, uznałyśmy za dziwne, że tak się śpieszysz z następną książką. Powinnaś się trochę nacieszyć sukcesem – dodała Lila. – W dodatku pisarze mają być ekscentryczni. To część wizerunku, wiesz?

– Naprawdę tak myślicie? – zapytała Olivia, czując jednocześnie ulgę i konsternację. – Ale jest takie zapotrzebowanie. Wszyscy pytają, proszą o ciąg dalszy, chcą przeczytać coś, co napisałam.

– Cóż, jest rozwiązanie, wystarczy, że dasz mały artykuł do „Town and Country” albo „Elle”. Napisz o butach czy czymś takim. To ich zaspokoi na dłuższy czas – doradziła Lila.

– Świetny pomysł. – To potrafi zrobić sama. Na butach się zna.

– Dzięki Bogu, że się tym zajęłyśmy. – Rosemary pochyliła się i wzięła kilka ciasteczek firmy Greenberg, które przyniosła, żeby pocieszyć Olivie. – A teraz posłuchajcie: Ashley Sommers wychodzi za mąż.

– Ashley Sommers? – szybko zareagowała Lila. – Ale ona jest... dużo młodsza od nas. Za kogo?

– Za jakiegoś faceta z San Francisco. Ma się tam przeprowadzić.

– Koszmar – skomentowała Lila.

– Och, nie sądzę, żeby Frisco było takie złe. – Olivia naląła sobie herbaty.

– Nie miałam na myśli Frisco, chodziło mi o małżeństwo. No bo to okropieństwo być uwiązany do jednej osoby. I naprawdę, jak już wyjdiesz za mąż, to facet nie chce wychodzić z domu. To żałosne. Mąż Brooke Lutz wychodzi z nią tylko dwa razy w tygodniu.

Upiera się, żeby w pozostałe wieczory siedzieli w domu z dzieckiem.

– Nuda! – potwierdziła Rosemary. – Właśnie dlatego cieszę się, że ja się wycofałam.

Rosemary miała na myśli swoje krótkie małżeństwo, które trwało tylko siedemnaście dni i trzy godziny dłużej niż jej dziesięciogodzinne wesele na pięćset osób u Pierre'a.

– Absolutnie. Zupełnie mnie to nie pociąga – dodała Lila.

– Wiem, o co ci chodzi – zgodziła się Olivia.

– Słyszałyście o ślubie Ruperta Wingate'a? – zapytała Rosemary.

– Z kim się ożenił? – zainteresowała się Olivia.

– Z jakąś panną Nikt znikąd. Tak czy inaczej, oczywiście Wingate'owie zapłacili za wszystko, bo dziewczyna nie miała nawet dziesięciu centów na pudełko popcornu Cracker Jack, a bardzo, bardzo lubi się rządzić. Fernanda mało nie dostała zawału. W dodatku jeszcze nie ma gustu. W każdym razie wesele było na Vineyard, a ona nalegała – serio, możecie sobie nie wierzyć – że na koniec uroczystości wszyscy mają wypuścić motyle, więc każdy dostał ręcznie pleciony koszyczek i poszli na nabrzeże. Byli gotowi wypuścić je w tym samym czasie. Otwierają jednocześnie koszyczki, a tu wszystkie motyle martwe! Możecie to sobie wyobrazić? – Rosemary wybuchnęła śmiechem.

– Czy Rupert nie jest najlepszym przyjacielem Drew Vance'a? – zapytała.

Nie opowiedziała przyjaciółkom o swojej małej przygodzie erotycznej, nie zrozumiałyby. Ale wszędzie wypatrywała Drew. Przechodziła koło 741 tak często jak mogła, poszła na koktajl do Racquet Club. Nawet udała się raz do Dorriana, idąc któregoś wieczoru na kolację w Elios z rodzicami, ale go tam nie było. Myślała, że do niej zadzwoni, ale tego nie zrobił.

– Nie wiem - Rosemary wstała. – Cieszę się bardzo, Livy, że czujesz się lepiej. Musze jechać do domu. Sergio przyjdzie za godzinę zrobić mi makijaż, a teraz jest u Jane Roberts, więc będzie mieć mnóstwo ciekawych wieści! Przyjdiesz dziś?

– Chyba tak - Pora zakończyć to zesłanie. Publiczność czeka.

– Rewelacyjnie. Będzie bosko.

Kiedy winda zatrzymała się w westybulu i otworzyły się drzwi, Lila znalazła się twarzą w twarz z Drew Vanceem. I ładną blondyneczkę którą trzymał za rękę.

– Drew! – wypaliła Lila zanim zdążyła pomyśleć.

– Cześć, lalka - Drew cmoknął ją w policzek i szarmancko wprowadził blondynkę do windy. - Co u ciebie?

Rosemary wyszła do westybulu i przyglądała się Lili stojącej jak słup soli.

– Świetnie – tylko tyle zdołała wykrztusić.

– Fantastycznie Drew uśmiechnął się do niej szeroko. – Pokazuj się częściej – a potem mrugnął zanim zamknęły się drzwi windy.

– Skąd go znasz? - Rosemary ciasniej zawiązała szalik.

– Przyjaciel mojego brata - wymamrotała Lila.

– Przystojniaczek - stwierdziła Rosemary.

– Tak, ale widziałaś to dziecko, z którym był? – zapytała Lila, przybierając odcień bladej zieleni. – Pospolita.

– Straszna smarkula. Chyba wyciągnął ją z przedszkola – skomentowała Rosemary.

– No.

– Podobno nieziemski łajdak z niego – zahuczała Rosemary. – Ale przynajmniej przystojny.

Wyszły z budynku i silny podmuch wiatru uderzył je w twarz. Lila czuła się potwornie upokorzona. Nigdy więcej tu nie przyjdzie.

RS

Gorączkowy gwar Wall Street nie przenikał przez grube szklane ściany gabinetu Morgana w Brown Brothers, ale wywołujący ból głowy jazgot rozmowy telefonicznej z Marią prawdopodobnie równał się hałasowi z zewnątrz (jeśli go nie przewyższał). Jej nosowe skrzeki wierciły mu dziurę w mózgu, głos brzmiał jak tarka do sera. Bezustanne narzekania, ton jak u Rosie Perez, tylko dziesięć razy głośniejszej, zachłanne żądania i szaleńcze korzystanie z karty kredytowej zaczynały go przerastać. Mimo to musi wytrzymać, ponieważ nie ma wyboru. Teraz taka jego dola.

– Maria, właśnie dostałem olbrzymi rachunek z American Express na jedenaście tysięcy dolarów wystawiony przez Cartiera – każde wyszeptane słowo pełne gniewu. – Co, u diabła, kupowałaś? Nie możesz tak szastać pieniędzmi.

Maria kręciła sznur telefoniczny w świeżo wymanikiu-rowanych palcach, leżąc na kanapie obitej w jedną z nowych tkanin Versace Casa. Trzymając słuchawkę pomiędzy policzkiem i ramieniem, wyciągnęła przed siebie rękę, podziwiając niedawno zakupioną błyskotkę i zachwycając się lśniącym w słońcu rubinem.

– O czym ty mówisz? – zapytała nonszalancko. – Wychowuję twoje dziecko, pamiętasz? Mamy swoje wydatki.

– Maria, trudno mi sobie wyobrazić, że wydałaś to wszystko na pieluchy. Jak ostatnio sprawdzałem, Cartier nie robił butelek na mleko.

– Nie chcę o tym rozmawiać. Spóźnię się na przyjęcie z shahtoosh.

W Morganie wezbrało dawne pragnienie, żeby wykończyć tę zepsutą lalę. Jego gniew rósł jak lawina – miał ochotę zanurkować w kable telefoniczne jak w *Matriksie* i udusić ją sznurem.

– Przyjęcie z shahtoosh? Piłowałaś pazurek w Astorii, gdybyś nadal była sprzątaczką? A teraz potrzebny ci shahtoosh? Nawet nie wiedziałaś, co to jest, kiedy wybierałaś śmieci z koszy w Asuncion! Lepiej nie zbliżaj się do Cordelii i jej przyjaciółek, rozumiesz?

– Mogę robić, na co mam ochotę, Morgan. To wolny kraj. Pieprz się.

Po tych słowach przerwała połączenie, a Morgan ponownie ukrył twarz w dłoniach, uwięziony w labiryncie, który sam zbudował.

Ale przecież musiał odwołać to zlecenie. Zbyt wiele kłopotów. Będzie teraz wiecznie żyć w piekle. Tylko cud może go uratować.

Maria wolnym krokiem wyszła z budynku, żeby wezwać taksówkę. Wybierała się na organizowane przez Joan i Wendy przyjęcie w Carlyle, a dochód ze sprzedaży szali shahtoosh miał pójść na Instytut Narkolepsji. Miała szczęście – jej kuzyn Santiago pracował na zastępstwie jako windziarz w budynku Coddingtonów i zmusiła go, żeby wykradł dla niej zaproszenie. Nikt się nie dowie, jak je zdobyła. Postanowiła zacząć wkręcać się do śmietanki towarzyskiej. Niech przyzwyczajają się do niej, psiakrew. Jest następną panią Vance.

W hotelu Carlyle Joan i Wendy brylowały, odgrywały najlepsze aż do przesady gospodynie, wychodziły ze skóry, dbając, żeby każdy miał wszystko, czego potrzebuje do szczęścia i nastroju na zaku-

py. Mnóstwo kobiet kosztowało kanapeczek rozmiaru palca z wyśmienitego zestawu przygotowanego przez firmę Fauchon i popijało herbatę z luksusowej linii czternastu smaków przysłanych przez Maria-ge Freres z Paryża. Joan zlustrowała wzrokiem scenę – wszystkie biegały podekscytowane, dotykały mięciutkich szali, porównywały ich odcienie i już przerzucały przez ramię, żeby z sobą zabrać. Spodziewała się mnóstwa sprzedanych egzemplarzy.

Melanie Korn zaczerpnęła głęboko powietrza, wchodząc do środka. Nie wiedziała nawet, czemu tu przyszła ani dlaczego została zaproszona. Ale zdawała sobie sprawę, że jeżeli ma widywać tych ludzi przez resztę życia, to lepszej okazji na powrót do towarzyskich zobowiązań niż ta nie będzie. Czuła wewnętrzny luz, dopóki nie dotarła do drzwi. A wtedy poczuła się jednak bardzo dziwnie. Po raz pierwszy nie miała żadnych planów ani zamiarów. Nie zależało jej na popisaniu się ani zrobieniu na ludziach wrażenia. Nie było dla niej ważne, z kim będzie gawędzić. Przyszła tu, żeby miło spędzić czas.

Kiedy oddała płaszcz do szatni, zauważyła małe Tybe-tanki – najwyraźniej przywieziono je tu specjalnie na tę okazję – które tkaly w rogu. Panie gapiły się na przeróżne kolory wełny i warkliwie rozkazywały tym zdezorientowanym, nie znającym angielskiego ludziom. To trochę niesmaczne, pomyślała Melanie, przechodząc koło nich do sali. Joan i Wendy podjadały w bufecie. W pierwszej chwili skojarzyły się jej z dwoma odkurzacami wciągającymi pufurki, ale natychmiast odpędziła od siebie tę myśl. Starła się nie być złośliwa. Kiedy szła, żeby się z nimi przywitać, przygotowywały potok pozbawionych taktu wypowiedzi.

– Oj – powiedziała Wendy.

– Zaraz się zacznie – dodała Joan z przyklejonym do twarzy najlepszym, przesłodzonym uśmiechem.

– Witam panie! – powiedziała Melanie radośnie. – Co za wspaniałe przyjęcie. Macie tu mnóstwo szali. Jak tam sprzedaż?

– Nie możemy narzekać – odpowiedziała Joan.

– Już zarobiłyśmy ładną sumkę na Instytut Narkolepsji. Tam idą pieniądze, gdy już zapłacimy sprzedawcom – dodała Wendy.

– Tak, ludzie, którzy zasypiają przy stole, nie będą usprawiedliwieni! – zażartowała Joan.

– Super. Dzięki, że mnie zaprosiłyście.

– Miło, że przyszłaś – Joan i Wendy były zaskoczone.

– Pójdę obejrzeć szale.

– Tak, wiemy, że możemy na ciebie liczyć. Kupuj, kupuj, kupuj! – zachęcała Wendy.

– Ci nieoczekiwanie zasypiający ludzie liczą na ciebie! – dodała Joan.

Melanie podeszła do rogu sali, a Joan i Wendy przyglądały się, jak nachyla się nad Tybetankami i coś do nich mówi. Nawet nie zaczęła Sandry Goodyear ani Fernandy Wingate. Dziwne.

– Słuchaj, sprzedaż nie idzie tak dobrze, jak się spodziewałam – wyszeptała Joan.

– Wiem. To będzie żalosne, jak zarobimy tylko tysiąc dla instytutu. Cass Weathers zarobiła piętnaście na swoim przyjęciu – skrzywiła się Wendy.

– Musi przyjść ktoś, kto ma szeroki gest – Joan powiedziała to z wielką powagą.

Właśnie wtedy otworzyły się podwójne drzwi do apartamentu i wszystkie głowy zwróciły się ku Mimi Halsey, w futrze długim do ziemi, w towarzystwie atrakcyjnej kobiety. Obie eleganckie. Wendy i Joan pośpieszyły je przywitać z wizją dolarów w oczach.

– Mimi! Wyglądasz zabójczo! Jestem zachwycona, że udało ci się przyjść. Kogo przyprowadziłaś? – zapytała Joan.

– Joan, kochana, to jest moja bardzo dobra przyjaciółka, Alice Martinez.

– Dzień dobry, miss Martinez – Wendy przywitała się służalczo, wymawiając nazwisko gościa, jakby była lokalną reporterką laticynoskiego pochodzenia, która akcentuje każdy wyraz, nawet „taco”

– Przyjaciele Mimi są...

– Dziękuję. – Alice zlustrowała apartament. – Pięknie. Czy to wasze przyjęcie?

– Tak. Wendy i ja zorganizowałyśmy wszystko do ostatniej kanapeczki z wędzonym indykiem przybranym żurawiną.

– Macie urocze szale. Co to jest?

– Shahtoosh. Nie widziała ich pani? Proszę dotknąć. Kaszmir to przy nich pilnik do paznokci. Obowiązkowe w tym sezonie. – Joan nachyliła się do Alice, szepcząc: – Ciężko je zdobyć i wiem, że nie wypada mówić o pieniądzach, ale wydałyśmy sporo na znajomości na lotnisku, żeby je tu sprowadzić.

– Czemu? Są nielegalne? – zapytała Alice.

Wendy przewróciła oczami na niedorzeczność takiego pytania.

– Są „zagrożone” – nakreśliła w powietrzu cudzysłów. – To wszystko polityka, gdyby ktoś mnie pytał. Nie które przepisy są po to, by je łamać, jak ten idiotyzm z kubańskimi cygarami. Żyje się tylko raz.

– Rozumiem.

Mimi poprowadziła przyjaciółkę, żeby obejrzała nielegalnie sprowadzone luksusy. Joan i Wendy patrzyły na zaaferowane, zachwycone towarami panie, jak rozmawiają, buszują wśród wyłożonych tkanin i dziękują im wylewnie za boskie popołudnie.

– Miejmy nadzieję, że to zachęci innych do zakupów. Niektóre już wychodzą z pustymi rękoma – wyszeptała zmartwiona Wendy.

– Poluzuj. Czekają tylko na właściwy moment. Wszyscy pójdą za przykładem Mimi – uspokoiła ją Joan.

-Oby.

– No i jest jeszcze Melanie. Prawdopodobnie wykupi wszystko. Zawsze chce wydać więcej niż inni.

Joan i Wendy przechadzały się po sali, delikatnie sugerując gościom kupowanie szali „w słusznej sprawie”, degustację jedzenia i spędzanie miło czasu.

– Melanie, ile bierzesz? – zapytała Joan z udawaną obojętnością.

– Dziś nic. Tylko przeglądam. – Melanie uważnie lustrowała spojrzeniem sterty szali.

– Przeglądasz? Daj spokój, ty? To na cele dobroczynne! – oburzyła się Wendy.

– Są absolutnie cudowne, ale prawda jest taka, że właściwie nie potrzebuję kolejnego.

– Naprawdę, Melanie! Nie sądziłam, że jesteś taka skąpa! – Wendy rozpaczliwie starała się coś sprzedać.

Melanie odwróciła się i popatrzyła na Wendy. Z nią nigdy nie wygra.

– Och, Wendy – powiedziała z braku czegoś lepszego.

– A co z tymi Tybetankami! – Wendy zamachała rękami. – Nie chcesz chyba, żeby chodziły głodne, prawda?

– Nie, nie chcę.

– Dobrze. Więc ile?

– I właśnie dlatego zaprosiłam je do siebie dziś wieczorem, żeby dały mi lekcję tkania. Obiecałam każdej po tysiąc. – Melanie odeszła.

W drugiej części sali Joan rozpaczliwie starała się namówić gości do kupowania.

– Wiecie, co jest w nich piękne? To, że można cały shah-toosh przeciągnąć przez obrączkę ślubną. Po tym się go poznaje. – Joan ściągnęła pierścioneł zaręczynowy oraz obrączkę i przeciągnęła przez nie szal w kolorze ochry. Wyglądała jak magik. – No – powiedziała do Mimi i Alice – nie chcecie takiego? Nie mówcie mi, że te kozy na darmo wykitowały.

Mimi spojrzała na Alice.

– Kupię jeden – powiedziała Alice opanowanym głosem.

– To rozumiem! I pamiętajcie, to w słusznej sprawie. Gdy Joan brała od Alice pieniądze, patrzyła, jak Melani cmoka powietrze obok policzków Mimi w drodze do wyjścia. Wręczyła Alice jej szal.

– Będzie pani zadowolona – powiedziała i podeszła do Wendy.

– Czy cały nasz świat schodzi na psy? Najpierw Jerome przekreślił się i nie zostawił po sobie następcy, potem Cordelia popełnia przestępstwo, a teraz Melanie Korn, amatorka podniebnych podróży, zostaje przyjęta przez śmietankę towarzyską? Co tu się dzieje? – zapytała.

– To się wymyka spod kontroli. Co dalej, Clintonowie pojedą do kurortu odwiedzanego przez konserwatystów?

Joan wybuchnęła śmiechem.

– Och, Wendy, jesteś straszna.

– Mam zadyszke i nie mogę myśleć.

– Okay, posłuchaj. Zimowe Targi Antyków są w styczniu, a wtedy następuje przegrupowanie i pozbedziemy się niepożądanych osób. Mam nadzieję, że wszystko wówczas wróci do normy – powiedziała surowo Joan.

– Oby. Inaczej nie wiem, co zrobię – westchnęła Wendy sfrustrowana. – Coś musi się zdarzyć, żeby rzeczy poukładały się na nowo.

Mindy Greenbaum nie miała pojęcia, co się dzieje. Z trudem łapała oddech, krztusząc się trującymi oparami i usiłując nie zwymiotować na podłogę taksówki. To wina kierowcy, wstrętnego, małego brudasza z tłustymi włosami – najwyraźniej nie mył się od lat siedemdziesiątych. A teraz smród potu dusił ją jak pętla, dlatego zastanawiała się, czy na pewno musi jechać do Macy's po prezent gwiazdkowy dla swojego szefa. A taksówkarz nie tylko śmierdział, ale na dodatek był fanatycznym bojownikiem o prawa zwierząt – tyradę na temat testowania kosmetyków wygłaszał od Ninety-fifth Street.

– A te suki, człowieku, w tych swoich futrach! Pokryte martwymi zwłokami z powodu próżności i mody! Robi mi się, kurde, NIEDOBRZE! – wściekał się.

Mindy trochę zaczynała się denerwować. Facet naprawdę przesadzał.

– Tak, rozumiem, o co panu chodzi – powiedziała łagodnie w nadziei, że to go uciszy.

– Och, naprawdę? A one nie. Te biedne szlachetne zwierzęta są trzymane w strasznych warunkach i hodowane na pantofle i płaszcze! To PARODIA! Trzeba dać nauczkę tym sukcom.

– Aha – wymamrotała Mindy.

Kierowca wpatrywał się w nią w lusterku wstecznym, sprawdzając, czy jest tego samego zdania. Ledwie patrzył na drogę, ale podnosił głos i gestykulował intensywniej, gdy mijali kobietę w futrze lub mężczyźnię w skórze. Mindy była przekonana, że jest na prochach.

– Staram się im pokazać, tym pieprzonym projektantom mody i bogatym sukcom! Oblewam je czerwoną farbą, ale mają to gdzieś! Potrzeba czegoś więcej! Chcę im dać nauczkę!

– Wie pan co? Ja tu już chyba wysiądę – powiedziała Mindy nerwowo. Byli dopiero na rogu Sixty-fourth i Fifth Avenue, ale nie mogła dłużej znieść obłędnej filipiki w stylu Davida Koresha.

– Patrz na tę SUKE, tam! – wskazał na kobietę w sobolach, czekającą na rogu ulicy. Z wściekłością opuścił szybę w samochodzie i wrzasnął: – FUTRO TO MORDERSTWO!

Pokazała mu środkowy palec, a samochód z tyłu zatrąbił.

– Pieprzona dziwka. Okrutna suka!

– Tu będzie świetnie – powtórzyła Mindy, rzucając mu dziesięć dolarów.

Zatrzymał się i poczekał, aż wysiądzie. Jakaś kobieta czekała, żeby wsiąść na jej miejsce, ale Mindy rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie. Nie było zresztą potrzebne, bo kiedy kierowca zobaczył jej karakuły, wrzasnął:

– Pieprzona zabójczyni! – i cisnął puszką coca-coli, trafiając ją w łydkę. – To tylko sekunda cierpienia, przez jakie przeszły zwierzęta na twoich plecach, ty, morderczyni! – krzyknął i ruszył szybko Fifth Avenue.

Pienił się z wściekłości. Nacisnął klakson, pokazał innym kierowcom środkowy palec i prawie rozjechał grupę turystów, zanim skręcił w Fifty-ninth. Jadąc wolno wzdłuż ciągnionych przez konie powozików, wrzeszczał do ich woźniców:

– Traktujecie zwierzęta jak gówno, skurwiele!

Te biedne konie. Powinny być na farmie, a nie, do cholery, ciągać hołotę z Kansas po Central Parku. Musi im być strasznie zimno. I zakładają im klapki na oczy, żeby nie widziały! To okrutne. To chore. To szokujące. Znowu będzie musiał o tym napisać do Busha juniora. Jak ludzie mogą to robić? Gdzie oburzenie? Czy tylko jemu zależy? Był już tak zdenerwowany, że gniew go zaślepił. Kiedy przyśpieszał, zauważył portiera wzywającego taksówkę dla następnej bogatej suki w futrze po drugiej stronie ulicy. To jest to. To jest to. Tym babom należy się nauczka. Gwałtownie zawrócił na środku ulicy, niemalże przewracając handlarza precelkami i zmuszając kilka samochodów do gwałtownego hamowania. Znalazł swój cel. Odstawiona, zepsuta dziwka w futrze tak wielkim, że zobaczył dusze siedemdziesięciu pięciu soboli, które zginęły męczeńską śmiercią.

– Już po tobie, kochanie! – wymamrotał, zanim wdepnął pedał gazu do dechy.

Oczy się jej rozszerzyły, kiedy pędził do celu, ale wszystko działało się bardzo szybko. Jedno uderzenie, ostatnie „AJ!”, i Maria była martwa.

Zaczynało robić się coraz bardziej świątecznie. Wieńce przyozdobione czerwonymi wstążkami i kokardami umieszczono na drzwiach wejściowych wszystkich apartamentowców na Manhattanie. Spoceni robotnicy dźwigali choinki, żeby ustawić je równo na środku każdego skrzyżowania Park Avenue. Zespoły dekoratorów u Barneya i w Saksie spędzały długie godziny na montowaniu świątecznych dekoracji na wystawach, żeby turystom z Wyoming oczy wyszły na wierzch. Elijah i Betty Ann Mackeralowie promienieli z dumy, gdy ekipa z NBC ścięła siedemdziesięciodwuletnią sosnę stojącą na ich terenie w Stowe w Vermont, która teraz zdobiła Rockefeller Centre, żeby Katie i Matt, i wszyscy mogli ją zobaczyć. Lecz dla śmietanki towarzyskiej darmowy ajerkoniak i ciasteczka w kształcie renifera rozdawane w domach towarowych ani też zapach jabłkowego grzańca w sklepach Williams-Sonoma nie oznaczały świąt. Nie zwiastowały ich też niezliczone interpretacje *The Little Drummer Boy* i *Let It Snow!*, dobiegające z głośnika w salonie Frederica Fekkai, ani światełka na plastikowych drzewkach w salonach Elizabeth Arden. Nie. Dla nich sezon oficjalnie otwierało tylko i wy-

łącznie coroczne Fête de Noël wydawane przez Lawrence'a i LeeLee Powellów.

Przyjęcie odbywało się zawsze w przedświąteczny wtorek w trzypiętrowym apartamencie na samym szczycie 741 i wszyscy planowali masowy exodus z miasta na okres Bożego Narodzenia stosownie do jego terminu. Robert Isabell i jego rewelacyjny zespół pracowali nad tym bankietem od dwudziestego szóstego grudnia poprzedniego roku. Instrukcje były zwięzłe: „Wymyśl coś z witrażami” a Isabell przyjął ten pomysł i pracował nad jego realizacją. Efekty jego starań nakazywały określić Marthę Stewart mianem lenia. W ciągu roku skrupulatnie gromadził kolorowe celuloidowe lampiony z lat dwudziestych ubiegłego wieku, zwisające teraz z sufitu. Znalazł – dzięki znajomościom w Ermitażu – żółte emaliowane ozdoby Faberge, którymi przystroił choinkę w przedpokoju. Marszand doprowadził go do witrażowych ozdób zwieszających się z drzewka w jadalni; zostały specjalnie zamówione u Louisa Comforta Tiffany'ego dla stolicy u progu XX wieku. Isabellowi udało się również przelicytować niemieckiego magnata prasowego w Druot w Paryżu i zdobyć siedemnastowieczne figurki świętego Mikołaja, należące rzekomo kiedyś do Habsburgów. Zdobył nawet zniszczone, pokryte tłustymi plamami kartonowe pudełko czerwonych i zielonych kukielek, które, jak dowiedział się z dobrego źródła, zostały zrobione przez Johna-Johna i Caroline dla ich matki, Jackie Onassis.

Isabell nie tylko kupił dekoracje, zlecił również ich wykonanie. Pokryte szelakiem szyszki sosnowe zebrane w Acadia National Park w Maine zostały dyskretnie powpi-nane w jodłowe gałęzie wijące się wokół kominka. Szwaczki Bardzo Ważnego Włoskiego Domu Mody poproszono o zrobienie po godzinach długich skarpet na prezenty gwiazdkowe z surowego jedwabiu i gniecionego weluru. Ta-

kie egzotyczne owoce, jak czerwone pomidory drzewiaste, ciemnofioletowe bakłazany, pomarańczowe tangele i wiśniowe papryczki, zamówiono zawczasu w Meksyku i Kalifornii, następnie pokryto szklivem lub pomalowano farbą w sprayu i ułożono na ozdobnych stojakach na środku stołów. W całym mieszkaniu poustawiano stroiki ze świeżo zerwanych wonnych czerwonych róż, związanych wstążeczkami z dyskretnym monogramem. Ale chyba najbardziej wymyślną dekoracją była żywa szopka ustawiona w salonie. Scenograf z Lincoln Center skonstruował żłób, a zespół New Haven Repertory od miesiący ćwiczył pantomimę. Isabell był sumienny i dokładny, a efekt wspaniały. Gdy więc Harlem Boys Choir cicho śpiewał w sali balowej kolędy po łacinie, a Tony Bennett – gość niespodzianka wieczoru – rozgrzewał swój magiczny głos w części domu przeznaczonej dla gości, bankietowicze zaczęli się schodzić.

Do wpół do ósmej około trzystu osób zostawiło swoje futra i płaszcze wieczorowe w westybulu, przyjęło kieliszek szampana z rąk kelnerów w smokingach i przechadzało się po apartamencie, napawając się fantastycznymi dekoracjami.

– W tym roku naprawdę przeszli samych siebie – pochwaliła Joan.

– Wspaniale – zgodziła się Wendy.

Przybyły odpowiednio wcześnie przeprowadzić rekonesans, żeby ulokować się w miejscu, z którego wszystko będzie widać. Wybrały okazałą salę bankietową, gdzie zmuszono słynnego Bobby'ego Shorta, by zasiadł przy stein-wayu i wybrzdąkał kilka piosenek.

Cały czas badawczo przyglądały się zgromadzonym osobom.

– Nie widzę Cordelii Vanee – powiedziała Wendy.

– Nadal w odosobnieniu.

– Mądrze.

Wendy strzelała oczyma we wszystkich kierunkach. Zmrużyła je na widok Melanie Korn w czerwonej sukience z głębokim dekoltem. Gawędziła z Nigelem Goodyearem, który nie mógł oderwać wzroku od jej cycków.

– Naprawdę nienawidzę tej Melanie.

– No, no, Wendy, święty Mikołaj patrzy – zbeształa ją Joan, mierząc wzrokiem panią Korn. – Ale wiem, o co ci chodzi.

Melanie zaśmiała się, dotknęła ramienia Nigela i odeszła. Joan odwróciła się z niesmakiem. Melanie wypatrzyła męża i podeszła do niego, żeby go przytulić.

– Taa, a spójrz na Cindy Briggs – powiedziała Joan. – Z całą pewnością robiła coś z twarzą. Ale przed świętami, to naprawdę głupio. Wszyscy będą o tym wiedzieć. Czemu nie po? Kiedy wyjeżdża się na tak długo, że wszyscy zapominają, jak się wygląda? Niektórzy ludzie są po prostu bezmyślni.

Gdy Joan trajkotała, Wendy nieustannie przyglądała się gościom. Dostrzegła Gustave'a Straussa wchodzącego z długonogą blondynką, którą namiętnie pocałował pod jemiolą. Przepadł kolejny kawaler, pomyślała, odwracając wzrok. W rogu w takt muzyki kołysała się Cass Weathers, która trochę przybrała na wadze. Może rozsądniej byłoby darować sobie tego indyka na Święto Dziękczynienia. W drugim rogu, otoczony tłumem wielbicielek, siedział najnowszy ulubieniec miasta, Billy Crispin. Mała grupka pochlebczyń chłoneła każde jego słowo i najwyraźniej zaczęło mu się już przewracać w głowie. Kiedy dojrzał Wendy, zachowywał się, jakby była przezroczysta. Jak sobie chce. I tak za jakieś dwie minuty będzie po nim.

Nagle na twarzy Wendy pojawiło się zdumienie. Szykuje się coś mega. Właśnie tu. Właśnie teraz. Tam, za Joan.

– O mój Boże.

– Co? – Joan gwałtownie odwróciła się.

– Patrz!

Cały oddział policji wszedł z Lawrence'em Powellem, który gorączkowo rozglądał się po sali.

– Sądziś, że przyszli tu po Cordelię? – zapytała pod-
eksycytowana Joan.

– Niemożliwe. Portierzy by im powiedzieli, że zaszła się w swoim mieszkaniu.

Joan i Wendy omiatały wzrokiem całą salę.

– Myślisz, że wreszcie dowiedzieli się o tym, że wielki doktor Johnson wypisuje chętnym za dużo recept na psy-chotropy?

– Wątpię, żeby ciągnęli tu całą drużynę z powodu małego wy-
kroczenia.

Patrzyły, jak głowa Lawrence'a Powella pojawia się i znika, szu-
kając kogoś w tłumie gości. Wreszcie dostrzegł swoją ofiarę i coś
wyszeptał policjantowi. Potem wskazał w kierunku Joan i Wendy.
Te błyskawicznie obejrzały się, żeby zobaczyć, kto za nimi stoi. Me-
lanie Korn. Obrócona plecami do nich, gawędziła z Pamelą Baldwin.
Wendy i Joan szeroko otwały ze zdumienia usta.

– To Melanie – wyszeptała Wendy ze złośliwą satysfakcją.

– Wiedziałam, że jest podejrzana. Jej ojciec wykito-wał w pu-
dle. – Joan była uszczęśliwiona.

– Może aresztują ją za zły gust.

Przyglądały się, jak strumień policjantów płynie wśród tłumu w
ich kierunku. Joan spojrzała na Melanie, która ciągle beztrosko pa-
plała.

– Pani Korn jest nadal nieświadoma – prychnęła Joan, sycąc się
każdą nanosekundą zapowiadającą skandal.

– Mogę tylko powiedzieć: „Dziękuję ci, Jezu, że pozwoliłeś mi tu
być i zobaczyć to na własne oczy” – Wendy popatrzyła ku niebu.

– Właśnie wygrałyśmy skandalową loterię.

– Zostałyśmy wezwane. Teraz musimy głosić dobrą nowinę.

– Niestety, wszyscy są tutaj – zauważyła Wendy.

– Nie Europa. Nie Londyn. Musimy dotrzeć do nich pierwsze.

Będzie przezabawnie! Nagle obie jednocześnie zmrużyły oczy.

Zaraz, ta kobieta w źle skrojonym męskim mundurze z bronią przypiętą do paska wygląda zupełnie jak...

– Czy to nie...? – zapytała Wendy, zwracając się do Joan.

– Niemożliwe. Ale wygląda tak samo jak ona.

– Wendy Marshall i Joan Coddington? – zapytała policjantka.

– Tak? – były zdezorientowane.

Oczywiście przywódczyni tej grupy to nikt inny niż Alice Martinez, „gość” Mimi na urządzonej przez Joan i Wendy małej herbatce z szalami shahtoosh, już nie w pożyczonej garsonce Diora, ale w najlepszym nowojorskim odcieniu niebieskiego od stóp do głów. Żadnej torby-bagietki od Fendi. Tym razem jej jedyne akcesoria to odznaka, kajdanki i kabura.

– Wendy Marshall i Joan Coddington, jesteście aresztowane.

– Alice? – zapytała Joan niedowierzająco, rozpoznawszy elegancką damę w tym dziwacznym granatowym przebraniu.

– Tak, Alice Martinez. Wydział dochodzeniowo-śledczy. I mam nakazy aresztowania was obu.

Stłumiony okrzyk zdziwienia i cisza. Bobby Short przestał grać, kelnerzy Glorious Food przestali roznosić przystawki, a łagodny pomruk głosów, który ożywiał przyjęcie, zamienił się w martwą ciszę. Czy to część uroczystości? Czy też... uchowaj Boże, nie. Prawdziwy skandal?

Gdy Martinez zaczęła pouczać nowe przestępczynię z tej ulicy o przysługujących im prawach, Joan i Wendy wpadły w panikę.

– Aresztowane? Za co? – głos Joan był coraz bardziej piskliwy.

– Za handel towarami z przemytu, import bez zezwolenia, przestępstwo celne i dwa zarzuty przekupstwa – odparła Alice automatycznie.

Wendy wzrokiem przesłoniętym przez wzbierające łzy rozejrzała się po sali i popatrzyła na zaskoczonych widzów. To absolutnie upokarzające. Musiała nastąpić jakaś pomyłka. Nie.

– To niemożliwe – powiedziała.

– Możliwe. – Alice zapięła kajdanki nad czarnym atlasowym paskiem zegarka od Cartiera.

– Phillip?! Phillip?! – krzyknęła Joan.

Jej rozbiegany wzrok przesuwiał się po twarzach zdumionych gości w poszukiwaniu męża. Ale nigdzie go nie było.

Joan wychodziła z siebie. To okropnie niesprawiedliwe. Czemu to właśnie je przyskrzynili? Każda suka z Fifth Avenue urządziła herbatkę z shahtoosh, łącznie z Mimi! To ona musiała złożyć zeznania obciążające innych w zamian za uwolnienie jej od zarzutów, zdrajczyń! KAPUŚ!

– To była pułapka! – wrzasnęła Wendy.

– Jesteśmy kozłami ofiarnymi! – krzyknęła Joan.

Mimi pojawiła się znikąd:

– Próbowałam was ostrzec – pouczyła je. – Nie miałam wyboru.

Zdraj czyni!

– Idziemy. – Alice popchnęła Joan w tłum zdumionych gości.

– Musisz? – zapytała Joan.

– Tak – odpowiedziała Alice szorstko.

– To pomyłka – Wendy wybuchnęła płaczem.

– To nie jest pomyłka. Jesteście przestępczyniami, wy napuszone snobki z Park Avenue. Uważacie, że stoicie ponad prawem. Nie

mogłam się doczekać, aż was przyskrzynię. Jesteście gorsze niż głony na stawie! – krzyczała Alice.

Wendy i Joan nie wiedziały, co robić. Wpatrywały się w swoich „przyjaciół”. Ci albo odwrócili wzrok z zakłopotaniem, albo milczeli zadowoleni, że dostały za swoje. W końcu Alice wyprowadziła aresztowane. Gwar w sali przybierał na sile, bo wszyscy mówili o tym, co się stało. Aż wreszcie Bobby Short znowu zaczął brzdąkać i wkrótce wszyscy zapomnieli o Joan i Wendy.

RS

– Kochanie?! – zawołała Cordelia, siadając na łóżku. – Jesteś tam, najdroższy?

Spojrzała na zegarek – dziesiąta trzydzieści cztery! Nie mogła uwierzyć, że udało jej się tyle pospać bez przewracania się z jednego boku na drugi.

– Tu jestem, Cordelio! – krzyknął Morgan z korytarza.

Uśmiechnęła się, wstając, i owinęła miękkim kaszmirowym szlafrokiem. Miło tak, tylko ich dwoje na Boże Narodzenie. Z początku była zdruzgotana, kiedy chłopcy oznajmili w Święto Dziękczynienia, że zamierzają z grupą przyjaciół wynająć dom na St. Bart's, ale teraz, w domowym zaciszu, z mężem, czuła się błogo i ciepło.

Oczywiście dobrze byłoby pobyć z dziećmi, ale koncentrowała się na pozytywach – takie będzie jej noworoczne postanowienie.

Gdy szła korytarzem do saloniku wyłożonego boazerią, Morgan wyszedł z niego i zamknął za sobą dwuskrzydłowe drzwi.

– Dzień dobry, kochanie – pocałował ją w policzek.

– Witaj, najdroższy – odpowiedziała.

Objęli się i Morgan spojrzał na żonę ze łzami w oczach.

– Cordelio, jesteś dziś tak piękna jak w dniu naszego ślubu, wiesz o tym?

– Och, Morgan...

– Posłuchaj. Mam dla ciebie wspaniałą niespodzianka*

– Tak?

– To twój prezent gwiazdkowy.

– Nie mów mi, że to coś w czerwonym pudełku z białymi napisami...

– Nie. Nie, to nie jest w pudełku.

– Naprawdę? Czy do tego potrzebne jest miejsce parkingowe?

– Nie. Ale... potrzebny jest fotelik samochodowy. -Co?

Morgan wziął żonę za rękę i otworzył drzwi do saloniku. Wprowadził ją do środka, a tam na kanapie siedziała niania, trzymając dziecko zawinięte w różowy kocyk i smacznie śpiące.

– Moja droga, poznaj Schuyler Vance.

– Och, Morgan! – zarzuciła mu ramiona na szyję. – Nie! Wiedziałeś, że to jest to, czego naprawdę chciałam!

– Zająłem się papierami adopcyjnymi. Jest. twoja.

– Chyba śnię – pośpieszyła uwolnić angielską nianię od jej obowiązków, żeby wziąć córeczkę w ramiona.

– Będzie cudownie zacząć z tobą jeszcze raz. Na tyle sposobów.

Otoczył ramionami Cordelię i dziecko. Łzy płynęły po jej alabastrowych policzkach.

– Och, Morgan! Znowu jesteśmy rodziną!

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Gdy Morgan patrzył, jak jego żona tuli córkę, przełknął ślinę i spojrzał ku niebu w podzięcie za cudowne ocalenie. Naprawdę uniknął kuli i dostał drugą szansę. I poprzysiągł, że tym razem będzie najlepszym mężem i ojcem.

Dla Cordelii wszystko stało się jasne, gdy tylko usłyszała imię Schuyler. Poznała je już wcześniej. Bogu dzięki, że Morgan nawet

nie był na tyle przezorny, aby je zmienić. Zresztą nie dowiedział się nigdy, że usłyszała je u Tiffany'ego. Miło go widzieć takiego odprężonego, bez tej udręki malującej się na twarzy. Ci szaleńcy z ZET na coś się przydali.

RS

Melanie wyszła z za rogu Seventieth Street z olbrzymią torbą z Burger King. Sama miała ochotę coś zjeść, a ponieważ wiedziała, że Arty uwielbia whoppery, wyszła kupić kilka na obiad. Pan Guffey, który znacznie złagodniał, kiedy jego pani „zeszła z drabiny społecznej” zaproponował, że na deser zrobi bezy, przysmak ze swoich wczesnych lat w Brighton. Zapowiada się miły wieczór – Melanie i Arthur umówili się na oglądanie ich ulubionego filmu *Trzej mężczyźni i dziecko*. Podbiegła do windy i jeszcze zdążyła wsiąść, dołączając do swojej sąsiadki Olivii Weston, która najwyraźniej była poirytowana, że musi dzielić z nią tak małą przestrzeń.

– Cześć, Olivio – powiedziała radośnie. – Szczęśliwego Nowego Roku.

– Nawzajem – padła chłodna odpowiedź.

– Robiłaś coś fajnego w święta? – zapytała Melanie ciepło.

– Antigua. – Nawet nie spojrzała na Melanie.

– Och, podobno tam jest przepięknie.

– Tak – zbyła ją.

Dawniej Melanie włożyłaby jej w tyłek, ale niby czemu? Olivia to kompletna snobka i mimo znakomitego wykształcenia trudno powiedzieć, że jest dobrze wychowana, skoro tak traktuje ludzi. Melanie zauważyła, że nawet nie przywitała się z portierami.

– Wiesz, Olivio, skończyłam czytać twoją książkę. Bardzo ciekawa.

– Och, dzięki – w jej tonie dało się wyczuć zadowolenie. – Cieszę się, że ci się podobała.

– Tak, najbardziej intrygujące było podobieństwo twojej faszerującej się pigułkami bohaterki o imieniu Keely do lekomanki pijaczki Neely z *Doliny lalek* Jacqueline Susann.

– Ja... – Olivia była zaskoczona.

– Może powinnaś poinformować się w kwestii praw autorskich teraz, kiedy szykuje się to wielkie wznowienie. Ktoś może ci to wytknąć i wpakujesz się w kłopoty.

Winda zatrzymała się na piętrze Olivii, drzwi rozsunęły się. Nie poruszyła się. Holland! Musiała to zrobić celowo!

– Twoje piętro – powiedziała Melanie.

Olivia wyszła zdenerwowana, oglądając się niepewnie za siebie.

– Plagiatorstwo to całkiem poważne przestępstwo – powiedziała Melanie, kiedy zamykały się drzwi.

Gdy weszła do mieszkania, w saloniku Arthur, z nogami na kanapie, czytał gazetę przy buzującym ogniu.

– Hej, kochanie. – Poczul się naprawdę szczęśliwy na jej widok.

– Właśnie wpadłam w windzie na twoją byłą miłość, Olivię Weston.

– Co?

– Och, daj spokój, słonko, możesz sobie darować udawanie niewiniątka. Wiedziałam o tym, że byłeś w niej troszkę zadurzony. Nie martw się. Od razu ją przejrzałam.

– Zadzurzony? – Arthur zaśmiał się, zawstydzony. Ależ ona jest spokojna. Nic nie dała po sobie poznać.

– Arty, w porządku! Jesteś żonaty, nie martwy.

– Czy... tobie zdarza się zadurzyć?

– Jestem zadurzona w tobie. – Pociągnęła go za sweter i pocałowała namiętnie.

– Stanowimy niezły zespół, ty i ja. – Arthur dotknął jej twarzy.

– Tak. Byłam pewna, że się opamiętasz. Poza tym ta laska nie wiedziałaby, co robić z mężczyzną w łóżku.

Zaśmiał się serdecznie.

– Ci ludzie wydają się tacy ważni, ale tak nie jest. Teraz to widzę.

– Pieprzyć nowojorską śmietankę. Banda plotkujących wiedźm. A Olivia i te jej przyjaciółeczki, małe Joan Cod-dington... litości. Myślisz, że nie wiem, co o mnie mówią? Mam to gdzieś.

– Sądzą, że cię rozgryzły, ale to nieprawda.

– To bardzo, bardzo smutne kobiety. Joan musi żyć z najnudniejszym mężczyzną świata, który spędza czas w klubie i jest na jej utrzymaniu. A Wendy, cóż, jest po prostu samotna. Samotna ze swoimi obawami. To dlatego są takie złe i nieszczęśliwe.

– Masz rację.

– I dlaczego mam się przejmować, że o mnie plotkują? Kiedyś mnie to martwiło, bo tak bardzo chciałam, żeby mnie zaakceptowały. Ale teraz, kiedy wiem, kim są, nic mnie to nie obchodzi. Mam coś lepszego niż ich wytworni przyjaciele i małe kluby.

– A co takiego?

– Ciebie.

Arthur pocałował żonę.

– I jest jeszcze inny powód, dla którego nie mogę zrozumieć OHvii – powiedziała z uśmiechem.

– Jaki?

– Cóż, pomijając fakt, że jest bulimiczką, co ukrywa, przypadkiem wiem, że nie chce mieć nigdy dzieci.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Tak jak Diandra.

– Diandra? Mel, kochanie, o czym ty mówisz.

– Obie nie chcą dzieci. A ja... cóż, Arty.... – nie mogła wysławić się z nerwów. – Jestem w ciąży.

Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie, a Melanie przygryzła wargę. Czowała ucisk w dołku. Wprawdzie Diandra powiedziała, że „oni” nie chcą dzieci, ale miała nadzieję...

Zszokowana mina przekształciła się w najszerszy uśmiech.

– Kochanie, to najlepsza wiadomość, jaką kiedykolwiek słyszałem! – zawołał Arthur entuzjastycznie, przyciągając ją i przytulając.

– Jesteś pewien? – W oczach zakreśliły się jej łzy.

– Jak to, czy jestem pewien? – Odsunął żonę i popatrzył jej w oczy. Odgarnął zabłąkany kosmyk włosów z czoła. Biła od niego bezgraniczna radość i miłość do niej. – Bardzo chcę być ojcem. I chcę, żebyś to ty była matką.

– Ale ja myślałam, że ty nie chcesz dzieci.

– Skąd taki pomysł?

– Diandra.

– Nie! Diandra nigdy ich nie chciała. To jeden z powodów, dla których nam nie wyszło.

– Poważnie? – Melanie była zaskoczona.

– Jeden z wielu, wielu powodów. Diandra to zimna, samolubna, zła kobieta.

– A ja myślałam, że ona złamała ci serce.

– Złamała mi serce? Nie, tylko zrujnowała mnie finansowo. Ty jesteś miłością mojego życia, słoneczko.

– Ale kiedyś powiedziałaś, że nie ma co porównywać mnie i Diandry. Myślałam, że usychasz z tęsknoty za nią...

Arthur mocno przytulił Melanie.

– Nie ma co porównywać. Ty jesteś najlepsza. Ty wygrywasz – gem, set, mecz. I nie mogę się doczekać dziecka. Mam tylko nadzieję, że będzie podobne do ciebie. – Pocałował ją namiętnie.

Tyle czasu zmarnowała, starając się dorównać Diandrze, a ona nic dla Arthura nie znaczyła? Co za strata! Ale Melanie ulżyło i odetchnęła głęboko. Ona i Arthur mogą się odprężyć i wreszcie żyć długo i szczęśliwie, tak jak było im pisane.

Arthur podniósł Melanie i zakręcił się po całym pokoju. Tego wieczoru tańczyli przy płycie firmowanej przez restaurację Rao, słuchając miękkiego, omdlewającego głosu Tony'ego Bennetta i akompaniamentu trzasków palącego się drewna w kominku. Ich wystawny apartament był największym mieszkaniem, jakie kiedykolwiek mieli, ale dla nich stanowił najbardziej kameralne i przytulne miejsce na świecie.

EPILOG

Dwa kryształowe kieliszki do szampana z firmy Baccarat brzęknęły o siebie jak dzwoneczki, kiedy Joan i Wendy, wystrojone dla znajomych i fleszy aparatów, zapoczątkowały nowy sezon towarzyski na bankiecie otwierającym Zimowe Targi Antyków. Minał już okres święta pod hasłem „zo-bacz-i-pokaż się” na St. Bart's i w Aspen, gdzie towarzystwo potykało się o siebie (dosłownie, bo często musieli przedzierać się przez mgłę, kiedy padał deszcz ze śniegiem, grad i śnieg), żeby dotrzeć na czas na Sixty-seventh Street, do Arsenалу. Wśród malowideł starych mistrzów przedstawiających marność żywota ludzkiego, zabytkowych zbroi, średniowiecznych modlitewników i mebli w stylu chippendale cmokano się teatralnie, komplementowano fryzury i lustrowano stroje. Udając zainteresowanie, pytano o ferie (okres świąteczny oznaczał kompletne wyludnienie zamożnych dzielnic — Park Avenue była tak pusta, że można by pomyśleć, iż zrzucono tam bombę wodorową).

Wendy i Joan, wobec których szczęśliwie oddalono zarzuty, pod warunkiem że obiecają być grzecznymi dziewczynkami, postanowiły zdecydowanie nie mieć żadnych towarzyskich komplikacji przez to małe „nieporozumienie”. Mówiły o procesach przeciwko miastu i o tym, jak je wrobiono, a potem cicho zostawiły sprawę w spokoju, mając nadzieję, że inni zrobią to samo. Ze zdecydowaniem i pew-

nością siebie wkroczyły zatem na stoisko Leigha Keno, gdzie po trzydziestu pięciu minutach od otwarcia połowa towarów została zarezerwowana. Joan upajała się widokiem – agresywni klienci, którym zależało, żeby zapełnić swoje nowe apartamenty najwyższej klasy meblami, młode żony, na pokaz, oglądające znane klejnoty, i ludzie, których niewiele obchodziła sztuka, ale nie chcieli przegapić okazji do zrobienia sobie zdjęcia.

Wendy popatrzyła na wlewający się do środka tłum. Obawiała się pokazać w mieście po tej kłopotliwej aferze z shahtoosh u Powelłów, ale Joan nic sobie z tego nie robiła. Powiedziały wszystkim, jak to Mimi je wykorzystała, zawierając układ, by uniknąć aresztowania na własnym przyjęciu. Zmieniono obiekt potępienia i Mimi była tymczasowo traktowana jak trędowata, ale to w końcu Mimi. Wkrótce cała sprawa poszła w niepamięć.

– Ci sami co zwykle – stwierdziła Wendy z rezygnacją.

– To się robi męczące, prawda? Potrzebujemy trochę świeżej krwi. – Joan przyglądała się gościom w zamyśleniu. – Och, jest ten okropny Tom Fairbanks z Ginny jak jej tam.

Wendy poczuła, że czerwieni się, gdy patrzyła, jak przystają i oglądają zegar szafkowy. Trzymali się za ręce.

– Nie mogę uwierzyć, że kiedykolwiek uważałam go za odpowiedniego dla ciebie. Jest tak niedojrzały i pospolity, pospolity, pospolity. Ci dwoje świetnie do siebie pasują.

– Tak – wymamrotała Wendy cicho. Upiła łyk szampana, żeby ukryć drżenie dolnej wargi. To mogłam być ja, pomyślała.

Wszedł Billy Crispin i ustawił się do zdjęcia z dwiema damami po obu stronach garnituru od Zegny.

– Widzę, że panie wybrały sobie Billy'ego Crispina na nowego kompana – Joan chciała zmienić temat.

– Cóż, jest oczywistym kandydatem – skomentowała to Wendy.
– Niemal gwarantuje im to zdjęcie w jutrzejszym numerze „Women's Wear”.

Wolno wkroczyła Olivia Weston. Szeroko otworzyła niebieskie oczy, rozglądając się po sali. Jej dwie przyjaciółki – Lila i Rosemary – natychmiast pośpieszyły się z nią przywitać. Ona nie zwykła stać sama wśród tłumu.

– Hm, Olivia Weston – zauważyła Joan.

– Jest skończona – skonstatowała Wendy.

– Fu, i Melanie Korn. – Wendy westchnęła głęboko. – Ta to musi mieć dziewięć istnień.

– Nie pojmuję tego, dlaczego wszyscy zdają się mieć chorobę Alzheimera, jeżeli chodzi o ten artykuł w „Observerze”.

Arthur i Melanie gawędzili z jakąś parą przy stoisku handlarza orientalnymi dywanami, o tym, gdzie kupić najlepsze mebelki do pokoju dziecięcego, kiedy Olivia podeszła do baru za nimi. Z początku jej widok wywołał u Arthura miniwstrząs, który wezbrał i opadł po milisekundzie. Tak, ślicznotka z niej, ale teraz, kiedy zna prawdę, jej wdzięki już na niego nie działają.

Patrick McMullan zrobił jej zdjęcie, uśmiechając się z fałszywą skromnością. Arthur nadal przyglądał się jej, ale teraz, zamiast patrzeć z podziwem, analizował ją jak badacz. Gdy tak pozowała jak modelka fotografom, którzy tańczyli wokół światła jej uśmiechu, zdał sobie sprawę, że ten gatunek tak naprawdę istnieje tylko na zdjęciach. Fotografia z przyjęcia, jak mówiła Holland. Zabawne, Arthur uważał ją za tak pewną siebie i zadowoloną. Teraz widział w niej zepsuta, płytką dziewczynę, która nigdy nie musiała na nic pracować – dostawała wszystko, bo miała szczęście znaleźć się w klubie uprzywilejowanych plemników.

Arthur odwrócił się i popatrzył na żonę i lekko już widoczny brzuch z ich dzieckiem. Widok Melanie odrzucającej głowę w beztroskim śmiechu sprawił, że zrobiło mu się ciepło na sercu. Ona niczego nie udaje, pomyślał. Jasne, starała się zaprzyjaźnić z tymi damulkami z towarzystwa, ale zawsze, czasami ze szkodą dla siebie, była tylko sobą. I Bogu dzięki. Ci wszyscy ludzie dookoła to pozery. Melanie jest autentyczna.

Arthur ujął dłoń żony i czule ją ścisnął. W tej całej wielkiej imprezie nie chodzi o sztukę i działalność charytatywną – to maskarada. A w tej zatłoczonej pozłacanej sali tylko ona nie ma na twarzy maski. I za to ją kocha.

Po drugiej stronie wyłożonej karmazynowymi dywanami sali Joan i Wendy paplały, zainstalowane w swoim wszechwidzącym kąciuku, kiedy wypatrzyły Morgana i Cordelię trzymających się za ręce.

– Hm – prychnęła Joan. – Cordelia miała sporo szczęścia, że wszyscy tak współczuli jej niedoli, aż przymknęli oczy na to, że krađa biżuterię! Niemal jej przyklasnęli, uważając, że to szykowne.

– Z pewnością zyskała uwagę męża. – Wendy patrzyła, jak Morgan delikatnie objął żonę w pasie i odsunął pukiel jasnych włosów z jej twarzy. – Wydawało mi się, że on ma kogoś na boku, ale to już musi być przeszłość. Spójrz na nich! Świata poza sobą nie widzą.

– Nawet jeżeli kogoś miał, nikt się o tym nie dowiedział. Ten facet urodził się pod szczęśliwą gwiazdą – stwierdziła Joan. – Farciarz jeden.

– Niektórzy ludzie mają po prostu wszystko.

– Takie życie.

Morgan pocałował Cordelię w policzek; zachwycali się otaczającą ich sztuką. Po zatrzymaniu przez policję i pojawieniu się Schuyler Cordelia poczuła, jakby zdjęto jej z ramion dwutonowy ciężar. Po

raz pierwszy od niepamiętnych czasów była naprawdę szczerą. W ciągu ostatnich kilku tygodni razem z Morganem poświęcili mnóstwo czasu na długie rozmowy i ponowne poznanie siebie. Właściwie zaczęli patrzeć na swoje wspólne życie z innej perspektywy.

Doszli do wniosku, z pomocą najlepszego terapeuty ze szpitala Columbia Presbyterian, że być może kradła, żeby zwrócić na siebie uwagę, której tak potrzebowała w domu. Była ogromnie nieszczęśliwa, mimo że miała wszystko, więc stwarzała problemy i ryzykowała. Teraz Morgan poświęca jej dużo więcej czasu – naprawdę stał się lepszym mężem. A mała, cudowna Schuyler przywróciła wartość i znaczenie jej życiu. W końcu czyż nie o to właśnie chodzi? O opiekowanie się drugim człowiekiem? Cordelia miała poczucie, że jej rodzina dostała drugą szansę, i była zdecydowana jej nie zmarnować.

I, co dziwne, choć nie przyznałaby się do tego nikomu innemu poza Morganem, czasem czuła coś na kształt ulgi, że nie ma przy niej Jerome'a. Byłaby oburzona, gdyby coś takiego wcześniej przyszło jej do głowy, ale z perspektywy czasu jego nieustanne złośliwe plotkowanie okazało się przygnębiające. Kiedy ludzie koncentrują się tak bardzo na wadach innych osób, życie staje się mało znaczące; ale bardzo potrzebowała jego miłości, a on zawsze darzył ją uczuciem i był przy niej. Teraz jednak, gdy miała miłość dziecka i nowo odkrytą czułość męża, wszystkie tamte komplementy o idealnych strojach i świetnych fryzurach nie miałyby już tak wielkiego znaczenia. Tak łatwo powiedzieć coś podłego, myślała Cordelia. Ale jakie to radosne pomyśleć i powiedzieć coś miłego. Wtedy człowiek wie, że jest szczęśliwy, i pojmuje, dlaczego warto żyć.

Gdy Morgan ucałował dłoń żony, Wendy zmrużyła szpiegujące oczy.

– Słyszałam, że dopiero co wrócili z Lyford, gdzie mieli drugi miesiąc miodowy – wyszeptała do towarzyszki z plotkarskich okopów.

– Moim zdaniem drugi miesiąc miodowy jest w złym guście – orzekła Joan.

– Naprawdę?

– Cóż, nigdy nic nie wiadomo, jak sędzę. No bo nigdy nie sądziłam, że poduszki w zakietach znów będą modne.

– Zawsze byłam zdumiona tym, jak szybko można się do różnych rzeczy przyzwyczaić – zgodziła się Wendy.

Rozejrzały się po przestronnym atrium, popatrzyły na Vance'ów, Olivie, starą panią Cockpurse, która włożyła minispódniczkę, ale bez rajstop. W końcu ich spojrzenia zatrzymały się na Komach.

– Wiesz, Arthur i Melanie właśnie sprzedali swoje mieszkanie pod 741 – Wendy powiedziała to tak, jakby ta para oddała świętego Graala. – Dasz wiarę, że przeprowadzają się na West Side? Podobno kupili coś na Riverside Drive!

– Nie byłam tam od lat i nie wybieram się w najbliższym czasie – parsknęła Joan, jakby przenosili się do Abu Zabi i potrzebowali szczepionek.

– Ale wiesz co? – ciągnęła Wendy. – I tak wszyscy skończymy w trumnach Korna za czterdzieści lat, więc pozwólmy sobie na szaleństwo, póki w ogóle możemy coś robić.

– Och, Wendy – pisnęła Joan, śmiejąc się. – Jesteś okropna!

PODZIĘKOWANIA

Carrie i Jill dziękują

Przede wszystkim chciałybyśmy podziękować naszemu niesamowitemu i wspaniałemu wydawcy, Stacy Creamer, dzięki której ta książka jest o wiele lepsza i bez jej pomocy pozbawione byłybyśmy Guffeya. Dziękujemy Orene Webb za to, że od początku wierzyła w tę powieść i w to, że książka się sprzeda; naszej cudownej agentce, Debbie Deuble; naszemu zaufanemu prawnikowi, Steve-nowi Beerowi, fantastycznej drużynie marzeń: Binky Urban i Jennifer Joel. Szczególne podziękowania dla Mary Stanford oraz Beth Buschman-Kelly, jak i dla naszych pierwszych czytelników za ich niezliczone i wnikliwe komentarze: Lisy Wolfe Ravitch, Liz Carey, Laury Doyle Hammam, Kathy Doyle, Harry'ego Kargmana i Vasily'ego Karasyova.

Carrie dziękuje

Szczególne podziękowania dla pierwszych kibiców, których żarliwy entuzjazm pomógł pokonać każdą blokadę twórczą i pisarskie lęki: Julii Van Nice i Kimm Uzielli. Lesbia i cała rodzina Huit-zów – bez Waszej pomocy nie byłabym w stanie tego napisać, *gracias!* I dziękuję Justine z kiosku numer 2 w Santa Monica za

dostarczanie mi numerów „New York Post” – byłam na bieżąco z rubryką towarzyską.

Oraz rodzinie:

Dziękuję Liz i Laurze za to, że mnie uwielbiacie i tak uprzejmie pogodziłyście się z tym, iż to ja jestem ulubioną córką (tylko żartowałam). Ale serio, Wasz udział w tworzeniu tej książki był bezcenny. Nie mogłabym marzyć o lepszych siostrach. Alex, Zayd oraz Liam, dzięki, że tak dobrze dbaliście o moją rodzinę. Dickie Ra-vitch: poprowadziłeś mnie do ołtarza i znalazłeś agentkę. Teraz wszystko, czego potrzebuję, to kolejny wyjazd na Jamajkę (i proszę, żeby twoje mieszkanie było tip-top, kiedy się tam wprowadzę). Dziękuję za pomoc, darmowe jedzenie i młynek do pieprzu. Dziękuję również wszystkim pokoleniom rodziny Ravitchów: Lisie, Joe'mu, Michaelowi oraz Danielowi. *Merci* dla mojej szwagierki, Nadii, za jej entuzjazm na poziomie dziesięciu machów, za każdym razem, gdy coś robię, nieważne jak małego; oraz dla moich teściów, Dmi-triego i Tatiany. Dziękuję ci, Mamo (Kathleen M. Doyle), musiałaś się dobrze sprawować, że masz taką supergwiazdę za córkę! Ale obie wiemy, iż nie mogłabym mieć lepszej przyjaciółki. Oraz mojemu nieżyjącemu ojcu, Williamowi Doyle'owi – wiem, że pękałby teraz z dumy i byłby przekonany, iż właśnie to zdarza się miłym katoliczkom, kiedy idą do Bah-nahd College.

I szczególne *spasibo* dla mojego mężusia, Vasa, oraz mojego „najcenniejszego daru dla świata” Jamesa. Reszta sentymentalnych tekstów na karteczkach przyklejanych na drzwiach lodówki.

Jill dziękuje

W przeciwieństwie do niektórych postaci w tej książce, ja mam szczęście mieć najcieplejszą, najmądrzejszą, dającą najwięcej wsparcia i pomocy rodzinę oraz przyjaciół w całej galaktyce. Przede wszystkim chciałam podziękować mojemu ukochanemu

klanowi, rodzinie Kopel – mamie, tacie i bratu Willowi – za ich miłość, entuzjazm i mądre rady. Wy jesteście wiatrem, dzięki któremu szybuję tak wysoko. Tylko żartowałam. A może i nie. Wasza trójka sprawiła, że mam takie a nie inne poczucie humoru, i uwielbiam Was za to, że od dwudziestu dziewięciu lat nieustannie mnie rozśmieszacie. Jesteście moimi najbliższymi doradcami, nauczycielami oraz kumplami, i kocham Was.

Ogromne *merci* dla mojej mądrej, zabawnej i złośliwej paczki dziewczyn, które są dla mnie jak siostry: Vanessy Eastman, Jean

RS

Beinart, Dany Wallach, Lisy Pasquariello i Lauren Duff. Do tego szczególne podziękowania oraz moc uścisków i całusów dla Ruth Kopelman, Herzl Franco, Trip Cullman, Tary Lipton, Jacky Day, Teresy Heinz, Frances Stein, oraz dla moich teściów: Marjie, Boba, Bess i Sophie Kargman. Na koniec wielkimi literami DZIĘKUJĘ KOCHANA RODZINKO, moja drużyno i zbrojo: moje lwiątko i najlepszy z najlepszych przyjaciół – mój mąż Harry, i nasz skarbie – maleńka Sadie.

RS